

Prawnik i policjant:
bracia i rywale, muszą spojrzeć
w twarz demonom przeszłości i wybrać
pomiędzy sprawiedliwością a rodziną,

NEIL WHITE

**OSTATNI
NA LIŚCIE**

 AMBER

Neil White
Ostatni na liście

Prawnik i policjant, bracia i rywale, muszą spojrzeć w twarz demonom przeszłości i wybrać pomiędzy sprawiedliwością a rodziną. Nowy kryminał autora Zagłuszyć krzyk .

Joe Parker to najbardziej błyskotliwy prawnik w Manchesterze.

Sam Parker - najbardziej nieustępliwy detektyw manchesterskiego wydziału zabójstw.

Na obu ciąży nierozwikłane morderstwo ich siostry przed piętnastu laty. I obaj są zaangażowani w sprawę seryjnych zabójstw, które teraz wstrząsają miastem...

Ronnie Bagley zamordował swoją dziewczynę i dziecko. Czeka w więzieniu na proces. Na dwa tygodnie przed rozprawą żąda nowego adwokata. Twierdzi, że obronić go może tylko Joe Parker. Joe podejmuje się tej sprawy. Nie wie, że jego klient jest bardziej przebiegły, niż się wszystkim wydaje. I że on sam wkrótce stanie do rywalizacji z własnym bratem w sprawie najbardziej przerażającego seryjnego zabójcy, jaki kiedykolwiek działał w Manchesterze.

Ani Joe, ani Sam nie przeczuwają, że wspólna przeszłość boleśnie wdrze się do teraźniejszości i doprowadzi obu do szaleńczego wyścigu, w którym stawką jest odpowiedź na pytanie, kto będzie ostatni na liście mordercy...

Neil White stał się w ostatnich latach gwiazdą brytyjskiego kryminału. Prawnik specjalizujący się w sprawach kryminalnych postanowił zostać pisarzem kilkanaście lat temu. Na sukces musiał jednak zaczekać – dopiero w 2007 roku ukazała się jego pierwsza powieść, którą rozpoczął serię z Laurą McGanity i Jackiem Garrettem. Od tego czasu wiodące brytyjskie wydawnictwo wydaje co roku kolejny kryminał White'a. Są one powiązane postaciami głównych bohaterów, ale każdy stanowi odrębną powieść.

Intryga powieści White'a, z pasjonującą kryminalną zagadką i wiarygodnymi psychologicznymi „rysopisami” bohaterów, odsłania społeczne i obyczajowe tło miejsc, gdzie

toczy się akcja. Najczęściej są zainspirowane faktami, a ich realistyczna fabuła osnuta jest wokół rzeczywistych zbrodni.

Rozdział 1

Chodził w tę i z powrotem Był niespokojny, ale i podniecony. To było to, punkt, w którym chciał się znaleźć, część planu, nowy początek.

Wokół, nie licząc szurania jego własnych butów, panowała cisza. Ale to była cisza zbawienna, dawała wytchnienie po nocy wrzasków, krzyków, odgłosów walki i szamotaniny.

Poranek przyniósł ze sobą coś innego. Był zapowiedzią nowego.

Musi się na tym skupić. Na nowym początku. Nowym życiu. Zatrzymał się, oparł ręce na biodrach i spojrzał w dół. Popatrzył na swoje buty, brązowe, bez sznurówek, niewypastowane, brudne i zniszczone. Zlewały się z podłożem, prawie nie było ich widać. Żeby pozbyć się tego wrażenia, zakreślił stopami małe kółka. Podeszwy cicho zaskrzypiały.

Usiadł i przygarbił plecy. Był gotowy. Musiał być gotowy. Wziął głęboki oddech i mocno potarł twarz, naciągając skórę tak, że poczerwieniała. Na moment obraz w jego oczach zupełnie się zamazał. Ogarnęła go błoga ciemność, ale już po chwili wypełniły ją ich twarze – niewyraźne, z otwartymi ustami. Rozpalone oczy. I ich ciała – sponiewierane, szarpiące się – tylko że to zawsze było za mało.

Gwałtownie otworzył oczy. Oddech miał przyspieszony, na czoło wystąpił pot. Jakim cudem dotarł do tego punktu? Wiedział, jak to się wszystko zaczęło, ale nie do tego miało prowadzić.

Na końcu wszystkie ginęły.

Oderwał ręce od twarzy i wyciągnął je przed siebie, spodem dłoni do góry. Sama skóra, mięśnie i kości. Powoli odwrócił dłonie, tak żeby zamiast ciemnych kresków wżartego brudu mógł widzieć tylko szczupłe palce. Paznokcie też byłyby brudne, gdyby nie to, że je ogryzł wraz ze skórkami. Zostały tylko kikuty otoczone spuchniętą skórą. Ale to, czego dokonały, i tak wciąż

napawało go zdumieniem. Takie zwyczajne palce, a tyle w nich mocy... granice, jakie przekraczały... Jak to możliwe, że wyglądają tak normalnie?

Zwykłe ręce, tyle że to nie one były najważniejsze. To ona. Zawsze chodziło tylko o nią.

Znowu zamknął oczy. Musi o niej zapomnieć, choć to będzie trudne. Ilekroć próbował pozbyć się jej z pamięci, wracały wszystkie pozostałe. Ich włosy na jego palcach, miękkie, długie, niczym delikatne pocałunki na skórze, naelektryzowane, strzelające iskierkami.

Przelknął ślinę.

Ale wspomnienia były żywe, zalewały umysł obrazami. Pomieszczenie wypełniło się odgłosami szamotaniny, jęków, a potem krzykiem – szybko dławionym.

Jego oddech stał się krótki, umysł pędził poprzez wspomnienia. Dudniące echem wrzasków puste pomieszczenie, miękkie włosy na jego dłoniach, szelest plastiku, nogi krzesła szurające po podłodze, drewno walące w beton. Zacisnął ręce wokół kolan. Musi zapanować nad tymi wspomnieniami. Nie może dłużej tak myśleć. To już przeszłość. Musi iść dalej. To jest nowy początek.

Dzień pierwszy.

Rozdział 2

Joe Parker, huśtając się w fotelu, wyglądał przez okno i obserwował, jak plac za oknem budzi się do życia.

Wcześniej wykonał kilka telefonów – na komisariaty w Manchesterze i kilku pobliskich miasteczkach – żeby sprawdzić, czy doszło do nowych zatrzymań. Marginesy w prawie kryminalnym nie są szerokie. Firma potrzebowała tej codziennej harówki. Ściagała pijaczków i nocnych imprezowiczów, żeby zatkać nimi dziury między większymi sprawami. A o większych sprawach człowiek się dowiadywał tylko, jeśli był znany. Dlatego codziennie rano Joe obdzwaniał wszystkie areszty w promieniu piętnastu mil. Chciał się upewnić, czy ktoś o nim nie wspomniał. Najczęściej nikt nic nie mówił, ale on i tak przeprowadzał te uprzejme pogawędki,

przy okazji węsząc, czy nie pojawiło się coś większego. Morderstwo. Zabójstwo dzieci. Gwałt.

To była jego codzienna wędrówka poprzez manchesterskie bagno, która przynajmniej owocowała tym, że wyrabiał sobie reputację. W mieście było sporo dużych graczy i Joe, żeby go zauważano, musiał walczyć. Dla jego szefów w działach spraw cywilnych i gospodarczych, z ich eleganckimi garniturkami i sztywnymi, napiętymi uśmieszkami, prawo oznaczało finansowe zyski. Joemu zawsze chodziło o walkę i dramaturgię.

Odwrócił się wraz z fotelem w stronę okna. Widok za nim obejmował mały park, skrawek trawnika z drzewami i biegnącymi z boku starego kościoła asfaltowymi ścieżkami. Był to obszar spokoju, otoczony wysokimi budynkami z czerwonej cegły, w których mieściły się firmy prawnicze, zespoły adwokackie, biura księgowe oraz rzeczoznawców. Wysokie przesuwane okna i białe, drewniane kratownice wychodziły na zielone, nakrapiane jasnymi pączkami rododendronów żelazne ogrodzenie, na stojący pośrodku parku ledwie widoczny pomnik i na kamienny krzyż na cokole, upamiętniający pogrzebane pod nim ciała. Wszystko ciasnym kołem otaczały ławki.

Joe każdy dzień rozpoczynał w ten sam sposób. Do pracy przychodził przed siódmą i sięgał po piętrzącą się na biurku dokumentację. Starał się działać zgodnie z planem, ale plany często niszczyli klienci. Ich chaotyczny styl życia nie sprzyjał dotrzymywaniu terminów umówionych spotkań. Na większość się spóźniali lub w ogóle nie przychodzili, poza piątkowymi popołudniami; wtedy wizyta w jego biurze stawała się pretekstem, żeby błagać o pieniądze na przetrwanie kolejnego weekendu ich nędznego żywota. Izba Adwokacka zakazywała dawania klientom prezentów, jednak Joe starał się robić to, co najlepsze w danej sytuacji. Zasadą było nie dać się złapać.

Przyglądał się, jak miasto na jego oczach się rozbudza. Patrzył na trawniki, obramowane żółcią i różem aksamitek i pelargonii. Drzewa opływały bujną zielenią wczesnego lata. Miał przed sobą mały skrawek spokoju, oddzielony od chaosu sklepów,

zakorkowanych ulic oraz zatłoczonych chodników, wypełnionych ludźmi spieszącymi do pracy lub na zakupy.

Jednak ten idylliczny obrazek nie do końca był pozbawiony wad. Istniały elementy, które do niego nie pasowały. Na przykład wysoki, szklany budynek Beetham Tower, postawiony wbrew rozsądkowi i wyglądający, jakby przy silniejszym podmuchu wiatru miał się przewrócić.

Nowoczesna sylwetka wieżowca kłóciła się ze starymi ceglanyymi murami wiaduktów oraz szarzyzną brudnych kanałów. Kiedy wiało, szklana ścianka na szczycie brzęczała niczym chór fletów. Wokół wieżowca mieściły się sklepy stłoczone na parterze starej hurtowni – przeszłość płynnie przechodziła w przyszłość. Jednak, choć samo miasto z każdym kolejnym rokiem coraz bardziej się zmieniało i odnawiało, mały skwerek przed oknem jego biura pozostawał taki sam.

Joe pracował w kancelarii Honeywells od roku. Przeszedł do niej po odejściu z kancelarii Mahones, jednej z największych wśród specjalizujących się w prawie karnym, gdzie porad udzielał zespół wykwalifikowanych prawników, ciężko harujących, mimo to niemogących liczyć, że kiedyś dorobią się statusu wspólnika. Joe zaczynał swoją karierę zaraz po studiach, jako naiwny żółtodziób zaopatrzony tylko w dyplom i zapał. Chciał zmienić świat i naprawiać zło. W Mahones szybko się przekonał, że nie chodzi o to, jaki jest dobry; liczyło się tylko, ile zysków przyniesie firmie.

Jemu to jednak nie przeszkadzało. Sądził, że poradzi sobie z obydwoma aspektami.

Wiedział, że jest dobrym prawnikiem. Wiedział o tym już w dzieciństwie, kiedy przekonywał sąsiada, że niesłusznie ma do niego pretensję o to, że kopie piłką w jego płot – dla dzieci to przecież zdrowe, że bawią się na dworze, a poza tym kopał w płot od swojej strony. Joe pamiętał, że starszy pan wracał do domu mamrocząc: „Wygadany szczeniak”, jednak jemu największą satysfakcję sprawiła wygrana.

Patrzył, jak Monica, stażystka, przecina park, omijając

łukiem grupę osób ćwiczących tai chi. Był to częsty poranny rytuał – pracownicy biur próbowali zaszcześcić miastu alternatywną atmosferę, i to się im udawało. Monica przystanąła, żeby popatrzeć, chociaż Joe domyślał się, że bardziej chodziło o odwleczenie momentu wejścia do biura niż o sam widok.

Kiedy znowu ruszyła, Joe odwrócił się do biurka. Czas zająć się nadchodzącym dniem.

Otworzyły się drzwi. Weszła Gina Ross, emerytowana policjantka, która zatrudniła się w kancelarii w roli śledczego w tym samym czasie co Joe. Jak to z większością glin bywa, po odejściu ze służby zaczęło jej brakować adrenaliny, a w wieku pięćdziesięciu lat była za młoda, żeby resztę życia spędzić na gapieniu się na wędrujące wskazówki zegara. Gina nie mogła się poszczycić bliznami, jakie z dumą nosili niektórzy jej koledzy po fachu. Nie było mowy o posiniaczonych pięściach lub szramach na twarzy, wyniku nocnych objazdów po mieście i bójek w pubach. Gina zamiast siniakami budziła respekt lekką siwizną krótko obciętych włosów oraz spokojną gracją, z jaką się zachowywała. Poza tym była szczupła i miała długie, smukłe nogi, zadające kłam jej wiekowi.

Jednak to nie jej wygląd sprawił, że Ginę zatrudniono w kancelarii. Joe wiedział, że najlepszym sposobem na wykrycie policyjnych sztuczek jest najęcie kogoś, kto stosował większość z nich, a Gina była w tym ekspertem. Flirt i uśmiech przeciągały aresztantów na jej stronę. Więźniowie słuchali Giny, a nie swoich prawników, i chętnie opowiadali jej swoje historie, pomimo porady, żeby zachowali milczenie.

Jednak Gina nie była tylko ładną policjantką na emeryturze. Cechowała ją też inteligencja i pracowitość. A poza tym to właśnie ona prowadziła śledztwo w sprawie dotyczącej rodziny Joego – morderstwa popełnionego na jego siostrze Ellie, które miało miejsce na długo, zanim Joe został prawnikiem. Śmierć Ellie kładła się cieniem na jego życiu i dlatego Joe miał dług wdzięczności wobec Giny, nawet pomimo faktu, że śledztwo, którym dowodziła, zakończyło się fiaskiem.

Gina trzymała w dłoni jakąś karteczkę.

– Dzień dobry, Gino – przywitał się. – Co tam masz?

– Tylko telefon z aresztu w sądzie. Jeden z aresztantów chce się przenieść do ciebie.

Joe się skrzywił. Zamiany w areszcie to była zwykle strata czasu. Aresztanci, którym odmówiono zwolnienia za kaucją, wpadali we wściekłość, często wyzywając się na kancelarii, która ich dotąd prowadziła.

– Kto się nim zajmował?

– Mahones.

Joe unióśł brwi, a Gina się uśmiechnęła.

– Wiedziałaś, że cię to zainteresuje.

– Coś mi tu jednak śmierdzi. Czym aresztant uzasadnia prośbę o zmianę adwokata?

– Nie wiem i jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć.

– To musi być coś poważnego, bo Mahones nie oddaje łatwo swoich klientów.

– Widzę, że się ożywiłeś.

– Sama wiesz, na jakich zasadach to działa, ale mów, słucham.

– Będziesz jeszcze bardziej zainteresowany, kiedy ci powiem, o jakiego rodzaju sprawę chodzi.

– No dalej, mów.

Gina podała mu karteczkę.

– To morderstwo. I oskarżony chce ciebie.

Joe był bliski zagwizdania. Morderstwo. Mahones za żadne skarby tego nie wypuści.

Sprawy o morderstwo nie były opłacalne. Nie wymagały licznej dokumentacji, jak sprawy o oszustwa, w których duża ilość papierkowej roboty znacząco podwyższa koszty. Sprawy o morderstwo to zasadniczo sprawy o napaść, tyle że bez udziału jednego ze świadków. A jednak kancelarie bardzo je sobie ceniły, bo podnosiły reputację firmy. Joe spojrział na karteczkę.

Widniało na niej tylko imię i nazwisko: Ronnie Bagley.

– Skoro chce mnie, to może powinienem go znać?

– O to już musisz zapytać jego samego – odparła Gina, odwracając się i ruszając ku drzwiom. Tuż przy nich przystanąła i w oparach ciągnącego się za nią zapachu perfum dodała: – Może będzie miał dla ciebie kartkę urodzinową.

Joe podniósł wzrok.

– Dzięki, Gino. Pamiętałaś.

– Wybierasz się do matki?

– Po co? Żebym się tam udusił? – Podniósł karteczkę. – Pójdę, ale po wizycie w sądzie.

– Bardzo przeżyła to, co się stało z twoją siostrą. I z twoim ojcem. Wiem, co mówię, bo tam byłam. Ten dzień musi być dla niej bardzo trudny.

Joe poczuł, że nastrój mu siada. Zalały go przykre wspomnienia.

– Dla mnie też, Gino – rzekł po chwili. – Wszyscy z tym walczyliśmy. Każdy na swój sposób.

Gina skinęła głową i wyszła.

Joe znowu odkreślił się z fotelem w stronę okna i popatrzył na placyk. Monica zniknęła, pewnie była już gdzieś w budynku. Sesja tai chi też dobiegała końca. Odwrócił się do biurka, przechwytyjąc swoje odbicie w szkłe wiszącego na ścianie portretu – przedstawiał jakiegoś wiktoriańskiego sędziego i wisiał w biurze, żeby dodać mu powagi. Przez chwilę Joe widział siebie tak, jak widzieli go inni. Garnitur, krawat, spinki w mankietach. Odnoszący sukcesy prawnik.

To były pozory, fasada. Joe miał sekret, o którym nikt nie wiedział, i choć walczył z tą mroczną tajemnicą, czasami go przygniatała.

Przycisnęła palce do skroni. Na kilka następnych godzin musi uciszyć te myśli. Trzeba iść do sądu.

Rozdział 3

Joe zbliżał się do Sądu Miejskiego, wysokiego budynku ze szkła i czerwonego piaskowca, stojącego na tyłach Crown Square, niegdyś otwartej, wyłożonej brukiem przestrzeni, ostatniej szansy

ucieczki dla wielu pozwanych; Sąd Koronny znajdował się na drugim końcu placu. To znaczy tak było kiedyś, bo później stary sąd miejski zburzono i na jego miejscu powstały stalowo-szklane sklepy i restauracje, nadające okolicy wielkomięjskiego sznytu. Prawnicy, księgowi i bankierzy mieli wreszcie dokąd chodzić, żeby poplotkować.

Siedząc w kawiarnianych ogródkach, popijali drogą kawę zagryzaną jeszcze droższymi ciasteczkami.

Ludzie na placu tworzyli dziwną mieszankę – pozwani przechadzali się po nim ramię w ramię z ludźmi sukcesu, młodymi wilkami. Joego minęła młoda para. Ona była chorobliwie chuda, w brudnych czarnych dżinsach i T-shircie. On szczupły i umięśniony, w białym podkoszulku, tatuaże na rękach. Bardziej bandyta niż wysportowany fan siłowni. Para przeszła obok dwóch mężczyzn w garniturach. Na nadgarstkach elegancików polśniewały duże zegarki, garnitury mieli szyte na miarę. Obaj szli pewnym siebie i dumnym krokiem, który miał przyciągać spojrzenia. Młoda para odwrotnie – patrzyła dokoła wilkiem, jakby chciała odstraszyć ludzi.

Joemu towarzyszyła Monica. Szła obok w milczeniu. Przed ukończeniem stażu nie mogła aktywnie uczestniczyć w rozprawach, ale mogła przekazywać wiadomości, powiadamiać woźnych o przyjeździe Joego, rezerwować terminy lub odbierać dokumenty z prokuratury. Jej twarz zapadała ludziom w pamięć, a to znaczyło, że gdy już zakończy staż, jej początki w roli świeżo upieczonego prawnika będą mniej stresujące. I choć przesiedziała już swoje za plecami obrońców w bardziej wyrafinowanej atmosferze Sądu Koronnego, gdzie robiąc notatki, próbowała zrozumieć, na czym polega rozstrzyganie poważniejszych spraw, to jednak, jeśli chciała praktykować prawo karne, musiała się liczyć z tym, że najwięcej czasu zajmie jej codzienny młyn sądu rozjemczego.

– Więc jakim obszarem prawa chcesz się zająć po zakończeniu aplikacji? – zapytał Joe.

– Nie wiem – odparła Monica. Jedną ręką założyła

niesforny kosmyk włosów za ucho, w drugiej ścisła małą teczkę, która w rzeczywistości służyła jej za torebkę. – Podobają mi obrażenia cielesne. No i prawo spadkowe.

Joe lekceważąco pokręcił głową.

– Nudne przrzucanie papierków. Prawo karne to o wiele lepsza zabawa.

– Zabawa?

– Tak, zabawa – potwierdził. – Nikt nie wybiera prawa karnego dla zarobków, za to nigdy nie zabraknie ci anegdot. Mogę ci pomóc. Pomyśl o tym.

Monica się uśmiechnęła.

– Dziękuję. Pomyślę.

Uśmiechała się aż do chwili wejścia do gmachu sądu, gdzie ustawili się w kolejce za pozwany i ich pełnomocnikami, żeby przejść przez stanowisko strażników. To, że Joe nosił garnitur i że wszyscy strażnicy go znali, nie znaczyło niestety, że uniknie kolejek.

Monica nie sprawiała wrażenia wystraszonej, kiedy mijali grupę oskarżonych, typowy tłumek zabiedzonych nieszczęśników z przygarbionymi plecami, skrzywionymi ustami i pechem wyrytym na poszarzałych od palenia twarzach. Joe pamiętał, że zauważył Monicę już pierwszego dnia jej pracy w biurze. Chodziło o jej wygląd. W pracy zawsze zjawiała się w ciemnej garsonce i białej bluzce, przez co robiła wrażenie osoby zrównoważonej i opanowanej.

Ale Joe pod kołnierzykiem bluzki dostrzegł rąbek zielono-czerwonego tatuażu, a także maleńkie dziurki biegnące wzdłuż małżowiny usznej – ślady po kolczykach, które, gdy szła do pracy, zostawiała w domu. Wiedział, że w przyszłości będzie się wyróżniała i że na pewno przyciągnie do siebie klientów. I dobrze. Komu potrzebny kolejny szary garniturek?

Jasną windą o szklanym suficie wjechali na drugie piętro i wyszli na przestronny hol, przypominający luksusowy kompleks biurowy, po którym dumnie przechadzali się prawnicy z kancelarii Mahones. Była to jedna z największych firm prawniczych w

Manchesterze, bardzo prestiżowa, więc pełni zapału młodzi adwokaci z ich sztucznymi uśmiezkami dwoili się i troili, żeby tylko ich klienci nie pomyśleli, że w rzeczywistości mają do czynienia ze zwyczajnymi, miłymi dzieciakami z klasy średniej, które kariera prawnicza rzuciła na komercyjne śmietnisko prawa.

Joe przepchnął się przez niewielki tłumek blokujący dostęp do wejścia do kompleksu z aresztami, w którym w poniedziałki zawsze wrzało. Jakieś młode kobiety wypytywały prawników o swoich chłopaków: chciały wiedzieć, kiedy wrócą do domu. Kilku reporterów węszyło za informacjami z nadzieją, że usłyszą o czymś ciekawym – o jakiejś sprawie o oszustwo zasiłkowe lub dotyczącej nielegalnych imigrantów, bo te zawsze dobrze się sprzedawały. Niestety, zwykle chodziło o bardziej przyziemne przestępstwa, w których główną rolę odgrywała stała trójca prawa karnego – alkohol, narkotyki i przemoc.

Kiedy Joe zbliżył się do drzwi prowadzących do aresztu Centralnej Izby Zatrzymań, tuż przed sobą zauważył człowieka z aktówką z logo kancelarii Mahones. Matt Liver. Rzedniejące włosy, wąskie okularki; Matt uważał, że w byciu prawnikiem chodzi o wypolerowane na wysoki połysk buty.

Gdy Matt dostrzegł Joego, zeszytniał.

– Witaj, Matt – rzucił Joe. – Wygląda, że straciłeś klienta.

– Ronnie jeszcze nie jest twój.

– To dlaczego tu jesteś? Myślałem, że składasz w sądzie wniosek, żeby nikt ci nie świsnął klienta, zanim twoje nazwisko znajdzie się w aktach sądowych.

Matt zacisnął usta, co widząc, Joe szeroko otworzył oczy.

– Co, nie masz podpisu na wniosku? – zakpił i się roześmiał. – Staremu Mahone to się nie spodoba, zwłaszcza jeśli Ronnie przejdzie do mnie.

Matt podszedł bliżej.

– Cały weekend, Joe. Poświęciłem mu całą sobotę i wczoraj. A ty gdzie byłeś w tym czasie?

– Musisz odespać, bracie – mruknął Joe. – Od zmęczenia masz nieświeży oddech.

Zanim Matt zdążył odpowiedzieć, Joe zastukał w szybę obok drzwi prowadzących do aresztu. Kiedy się rozsunęły, uśmiechnął się do brzuchatego mężczyzny w białej koszuli, który przy pasku miał łańcuch z kluczami.

– Przyszedłem zobaczyć się z Ronniem Bagleyem.

– Cześć, Joe. Ronnie już na ciebie czeka.

Drzwi zabrzęczały i Joe wraz z Monicą weszli do środka. Matt chciał za nimi pójść, ale Joe wyciągnął rękę.

– Nie ponizaj się. Powiem twojemu staremu, że zrobiłeś, co mogłeś.

Matt kłął, kiedy drzwi się zamykały. Kliknięcie elektronicznego zamka spowodowało na korytarz mile widzianą ciszę.

– Ostatnio jest jakiś nerwowo – rzucił strażnik.

– Kto, Matt? – zapytał Joe. – Musi się nauczyć, że to tylko praca. W Mahones nigdy nie zostanie współnikiem.

– To dlatego od nich odszedłeś?

Joe nie odpowiedział. Powód jego odejścia z kancelarii Mahones nie miał nic wspólnego ze ścieżką kariery.

– Możesz poprosić Ronniego, żeby to podpisał, Ken? W tym miejscu co zawsze.

– Nie ma problemu – odparł strażnik.

Protokół tego nie wymagał, ale Joe wiedział, kogo warto mieć po swojej stronie. Ci, którzy zajmowali się transportem więźniów, mogli wspomnieć o nim innym więźniom. Tym, którzy jeszcze nie wybrali adwokata. Kilka butelek whisky w czasie świąt i Joe miał pewność, że więźniowie znali jego nazwisko.

Strażnik pokazał im boks w rogu, do którego Joe wcisnął się wraz z Monicą; małe pomieszczenie natychmiast wypełniło się zapachem jej perfum. Za szklanym ekranem zobaczyli puste krzesło.

– Nigdy nie widziałam mordercy na żywo – wyznała spokojnym głosem Monica.

– Jeszcze nie wiemy, czy to morderca.

Monica zasznurowała usta.

– Ale jeśli ci z policji uważają, że kogoś zamordował, to chyba mają jakieś podstawy, żeby tak twierdzić?

– Jesteśmy prawnikami. Nam chodzi o dowody. Wcześniej czy później to do ciebie dotrze, jak do wszystkich. Najważniejsze, żebyś nie została jednym z tych stroniczych adwokatów, bo tacy często nie widzą, gdzie jest granica, i dają się przeciągnąć na złą stronę, a potem zostają sługusami przestępców. Zdarza mi się robić coś, czego nie powinienem, ale tu chodzi o to, żeby wiedzieć, co może do człowieka wrócić, żeby się zemścić. Bądź miła, ale trzymaj dystans, bo oni wszyscy przy pierwszych problemach bez mrugnięcia okiem wystawią cię do wiatru.

Sesję szkoleniową przerwał odgłos rozmowy po drugiej stronie szyby, po czym na krześle za nią usiadł potargany mężczyzna. Wszystko miał średnie. Wzrost, budowę, bladą cerę i włosy, krótko ostrzyżone, choć nie na jeża, które sterczały na czubku – rezultat dwóch nocy spędzonych na winylowych materacach w policyjnej celi.

– Witaj, Ronnie. Nazywam Joe Parker, a to jest Monica Taylor.

Ronnie podrapał się po głowie.

– Wiem, kim pan jest, panie Parker. Zapomniał pan, że o pana prosiłem? – Ronnie mówił znużonym, zniechęconym głosem. Ponieważ Joe nie odpowiedział, dodał: – No co? Czego się pan spodziewał? Szerokiego uśmiechu na przywitanie? Przecież zamknęli mnie za morderstwo.

– Okej, zacznijmy jeszcze raz – rzekł Joe. Zwykle nie był taki łaskawy dla klientów, ale mógł tylko sobie wyobrazić, w jakim stresie ostatnio żył Ronnie. – Powiedz, dlaczego chciałeś mnie, a nie kogoś z Mahones.

– Kiedy prosiłem o prawnika z Mahones, myślałem, że dadzą mi pana.

– Odszedłem od nich.

– Taa... zdążyłem się zorientować. Więc co teraz?

Joe przyjrzał się Ronniemu. Wydawał się raczej zły niż zdenerwowany lub wystraszony.

Jakby się nie mógł doczekać rozpoczęcia procedury. Niezwykła postawa u podejrzanego o morderstwo. Większość tego typu podejrzanych przede wszystkim próbuje wyjaśniać, że są niewinni, nawet jeśli to nie jest prawda. Joe zaczął zauważać inne rzeczy. Ronnie zaciskał prawą dłoń w lewej i tarł kciukiem skórę, co zdradzało zdenerwowanie. Między kciukiem a palcem wskazującym miał tatuaż – domowej roboty, coś jak małe, zabarwione na szaro linie.

Ronnie zacisnął usta, a ponieważ Joe nadal milczał, najpierw odchylił się na oparcie krzesła, potem znowu się zgarbił, jakby nie był w stanie spokojnie usiedzieć. Można by go było nazwać przystojnym, gdy nie zniszczona twarz. Usta otaczała typowa dla nałogowych palaczy siateczka zmarszczek, pod oczami miał czarne sińce.

– Dzisiaj już nic ważnego się nie wydarzy – rzekł w końcu Joe. – Wrócisz na noc do więzienia. Jutro lub pojutrze sędzia Sądu Koronnego zastanowi się, czy wypuścić cię za kaucją, co się na pewno nie stanie. Potem będziesz czekał na rozprawę.

Ronnie ciężko przełknął ślinę i spuścił wzrok na podłogę.

– To pewne, że nie wyjdę?

– Tak, ponieważ jesteś oskarżony o morderstwo.

– Oskarżenia o morderstwo nie wychodzą za kaucją?

– Zwykle nie. Nie chcę w tobie rozbudzać nadziei, Ronnie. Mogę ci powiedzieć prawdę albo to, co chcesz usłyszeć, ale fakty i tak się nie zmieniają.

Nie odrywając oczu od podłogi, Ronnie skinął głową, zupełnie jakby się spodziewał takich wiadomości. Kiedy znów podniósł wzrok, jego spojrzenie przeniosło się na Monicę, która kolejny raz założyła włosy za uszy i niespokojnie poruszyła się na krześle.

– A pani to kto?

– Nazywam się Monica Taylor – odparła Monica, wcześniej odchrząknąwszy. – Jestem stażystką.

Joe zapukał w szybę.

– Oczy na mnie, Ronnie – nakazał, celując w siebie palcem.

– Opowiedz mi o swoim przypadku. Zdaniem policji, kogo to niby miałeś zabić?

Ronnie jeszcze przez chwilę przyglądał się Monice, po czym rzekł: – Moją dziewczynę, Carrie, i Grace, naszą córkę.

Joe zanotował odpowiedź, choć tak naprawdę chodziło tylko o czas na przetrawienie informacji. Ronnie zabił własne dziecko.

– Co powiedziałaś policji? – powrócił do przesłuchania.

– Nic nie powiedziałem. Bo niby co miałbym powiedzieć? Nie ma zwłok, a skoro ich nie ma, to jak można mnie oskarżać o morderstwo?

Rozdział 4

A więc teraz pozostało mu tylko czekać. Z powrotem oparł głowę o ścianę. Była zimna.

Najbardziej męczyła go niepewność. Nie wiedział, czy robi to, co należy. Działał z właściwych pobudek, dla miłości, ale może obrał zły sposób? To było podniecające, miał tego świadomość, ale musiał z tym skończyć, bo się wyrwało spod kontroli.

Mimo wszystko cisza sprawiła, że wrócił pamięcią do przeszłości; miał wiele wspomnień, jednak umysł przeniósł go do tego pierwszego.

Za pierwszym razem to on dokonał wyboru. Taką otrzymał obietnicę, kiedy się zgodził.

Zobaczył ją, gdy wychodziła od fryzjera, z małego salonu, za którym ciągnęły się ciemne mury stacji kolejowej, stale pogrążonej w cieniu wzgórza, niegdyś porośniętego trawą, obecnie zabudowanego domkami o kamiennych elewacjach, między którymi wiała się droga prowadząca do górnej części miasta. Była jasnością na tle mroku, który sprawiał, że wydawała się drobniejsza.

Miała włosy takie, jakie lubił – długie i proste, bez udziwnień, niezniszczone przez chemikalia i farby. Były takie, jakie powinny być, naturalne i miękkie, chociaż na końcach ostre; prawie widział szybki ruch nożyczek. Próbował się oprzeć, bo tak sobie obiecał, ale nie mógł, impuls był zbyt silny. Na początku

przypominał szept, później jednak zamienił się w pomruk. W głowie czuł ucisk, krew tak szybko krążyła w czaszce, że musiał pozbyć się jej ciśnienia.

Więc poszedł za nią. Słyszał tylko szelest jej włosów ocierających się o nylonową bluzkę, wydających miękkie trzaski. Poruszały się na boki, kusząc go, wprowadzając w hipnotyczny trans. Przechodził na drugą stronę chodnika, ilekroć przystawała, żeby popatrzeć na swoje odbicie w witrynie sklepów lub zerknąć na telefon. Wystraszył się, że go zauważyła, ale ona tylko chciała się obejrzeć. Poprawiała grzywkę, ostrzyżoną na prosto, dłuższą po bokach, żeby ładnie opływała twarz.

Pamiętał chłód ukrytych w kieszeni małych nożyczek. Zaciskał na nich palce, czekając na moment, gdy będzie mógł ich użyć – szybko, jak kieszonkowiec. W jakimś zatłoczonym sklepie lub może gdzieś na ulicy.

Potem ona się zatrzymała. Serce mocniej mu zabiło. To był przystanek autobusowy. Idealna sytuacja.

Stanął obok niej. Nie zwróciła na niego uwagi.

Kiedy nadjechał autobus, podsłuchał, dokąd jedzie, i też kupił bilet. Chciał widzieć, gdzie wysiądzie.

Miejsce za nią było wolne, więc się tam wśliznął. Jej włosy zwieszały się z oparcia.

Falowały, gdy autobusem trzęsło, a on się w nie wpatrywał. Oddychał coraz szybciej, czując, że wysycha mu w ustach. Za nim nie było nikogo. Przed nim tylko jakaś staruszka, ale nie patrzyła na niego. Nie zapamięta go.

Więc wyciągnął z kieszeni nożyczki. To było jego narzędzie pracy, małe i ostre, naoliwione, tak żeby nie wydawało żadnego dźwięku ostrza jak żyłki, żeby cięły szybko, bez szarpania.

Kiedy autobus się zatrzymał, włosy przestały falować. Wyciągnął rękę, podłożył pod nią drugą, gotową do pochwycenia włosów.

Wystarczyło jedno klaśnięcie, ostrza się zamknęły i długie na dwa centymetry pasemko wpadło mu do ręki, miękkie i jasne,

tak lekkie, że prawie go nie czuł. Mocno zacisnął na nim palce.

Pamiętał, jak mu się zamazał wzrok, pamiętał, że chciał szybko wracać do domu, chciał być sam, ale ona potrzęsnęła włosami i wszystko zwolniło. Długie pasma zafalowały niczym ciężka zasłona poruszona powiewem wiatru, i wtedy to zobaczył: tylko mignięcie, ale wystarczyło.

Skrawek gładkiej skóry na karku, gdzie włosy są najdelikatniejsze, prawie jak puch.

Nachylił się do siedzenia. Ryzykował, gdyż mogła poczuć jego oddech na szyi, ale musiał się przybliżyć. Uwielbiał krótkie włosy, ostrzyżone na pazia, ale z odsłoniętym karkiem, tak żeby mógł sobie wyobrazić, jak nożyczki śmigają blisko skóry, a włosy, odbijając się od oparcia, spadają miękko w dół do jego ręki. Ale z krótkimi włosami był też kłopot, mógł zadrasnąć skórę i przyciągnąć uwagę do siebie i nożyczek. Ścinki, które zbierał, były pocieszeniem; to było najwięcej, co mógł uzyskać bez dotykania.

Widok jej karku utrudniał mu jasne myślenie.

Wstała, żeby wysiąść z autobusu. Nylonowy top cicho zatrzeszczał, kiedy jej włosy przesunęły się po nim, czyste i lśniące, opadające na plecy i falujące w rytm miękkiego kołysania bioder, chociaż nie wszystkie były tak układne. Kilka mniejszych pasemek tańczyło na ramionach od naelektryzowania. Zaprzagnął czegoś więcej. Obserwował ją, jak wysiada z autobusu i skręca w stronę długiej ulicy, zabudowanej domkami o kamiennych fasadach. Ulica kończyła się polami, co znaczyło, że musiała gdzieś tu mieszkać.

Była tą pierwszą.

Rozdział 5

Sądowy korytarz wyglądał tak jak zawsze: puste twarze osób czekających na wezwanie, siedzących na przyśrubowanych do podłogi, poplamionych niebieskich krzesłach, prokuratorzy z laptopami pod pachą. Obrońcy, najczęściej młodzi ludzie, z aktami, na których widniała nazwa kancelarii, w których pracowali. Mieli poleczone, żeby pokazywać te nazwy, gdzie się dało, więc wyglądali trochę jak żywe reklamy.

Monica podążała za Joem, który zmierzał do sali rozpraw, puszczając mimo uszu rozmowy, jakie się toczyły na korytarzu. Pozwani opowiadali, co ich sprowadziło do sądu, nie wiedząc, że ich adwokaci zredagują i ocenzurują te historie, a żeby omamić sędziów, wypełnią je pełnymi skruchy oświadczeniami. Joe szybko omiół wzrokiem twarze mijanych osób, ale tylko po to, żeby sprawdzić, czy nie zauważy kogoś znajomego, zwłaszcza jakiegoś klienta z Mahones – żeby namówić klienta do zmiany adwokata, nie trzeba wiele, czasami wystarczała butelka taniej sherry, nikogo takiego jednak nie dostrzegł.

– To co teraz będzie? – prawie szeptem zapytała Monica.

– Odbierzemy dokumentację od prokuratora, a potem pójdziemy do więzienia. Ronnie może teraz liczyć tylko na długie oczekiwanie, żeby dowiedzieć się o tym, jak będzie wyglądała reszta jego życia.

Gwar rozmów ucichł, gdy Joe pchnął drzwi. Hałas z korytarza zastąpiła cisza sali sądowej.

Zapełniały ją rzędy drewnianych biurek, z podium dla sędziów na szczycie. Sprawiedliwość wymierzano tu pod herbem Wielkiej Brytanii: lew i jednorożec, tarcza herbowa, Dieu et Mon Droit. Przy biurkach siedzieli obrońcy. Niektórzy rozmawiali, inni czytali akta lub rozwiązywali krzyżówki. Joe jęknął. Wyglądało na to, że jest kolejka. Spojrzał na zegarek. Spieszył się, musiał jeszcze gdzieś pojechać.

Przez chwilę rozważał pomysł, żeby wyjść, nie chciał się spóźnić, ale sprawa Ronniego była zbyt ważna. Poczuł, że ogarnia go przygnębienie. Wiedział, co go czeka, że znowu zaleją go wspomnienia i na powierzchnię umysłu wypłynie tajemnica, którą ukrywał od piętnastu lat. Ale to nastąpi później. Tu i teraz był Ronnie.

Gestem dłoni dał znak Monice, żeby usiadła, a sam poszedł porozmawiać z prokuratorem.

Kiedy zobaczył, że jest nim Kim Reader, uśmiechnął się. Znał Kim ze studiów, a nawet kiedyś byli ze sobą, połączeni kilkoma zaprawianymi alkoholem nocami. Kim się odwróciła. Na

jej twarzy, zapewne dlatego, że spodziewała się kolejnych jęków jakiegoś adwokacyny, widniał grymas znużenia, jednak gdy ujrzała Joego, rozpromieniła się.

– Joe Parker – rzuciła. – Dobrze cię widzieć.

– Ciebie też. Co tu robisz? Myślałem, że teraz działasz w dużych sądach.

– Dostałam sprawę o morderstwo, więc się nią zajmuję, chociaż przy okazji dostała mi się też cała reszta. – Krzywiąc się, pokazała na tablet na pulpicie, na którego ekranie widniała gotowa do prezentacji lista porannych spraw. Obok tabletu leżał mały stosik białych teczek: sprawy z nocy.

– Ronnie Bagley? – mruknął Joe. – To mój klient.

Kim szeroko otworzyła oczy.

– Ty go dostałeś? – Odwróciła się i skinęła głową w stronę dwóch siedzących z boku sali osób, kobiety i mężczyzny. Joe domyślił się, że to policjanci. Zdradzało ich ubranie. Pastelowe, wyprasowane koszule i czyste marynarki. Prawnicy chodzili albo w wyswiechtanych, albo w drogich prążkowanych.

Para wstała, żeby podejść. Na szyjach jednego i drugiego wisiały identyfikatory na niebieskich wstążkach.

– Inspektor Evans – przywitała się kobieta z uśmiechem, który jednak zdaniem Joego był wymuszony. Cóż, na razie był wrogiem.

Mężczyzna stojący za Evans powiedział: „Sierżant Bolton” i wyciągnął rękę. Joe nią potrząsnął, mimo że wiedział, po co to wszystko – żeby zmusić go do grymasu i żeby podziwiał siłę uścisku.

– Dzień dobry, pani inspektor – rzucił do kobiety.

– Sądziłam, że Bagleya prowadzi ktoś z Mahones – rzekła policjantka.

– Już nie.

– Nie dziwię się. Kazali mu milczeć, ale jeśli miał coś do powiedzenia, powinien był to uczynić. Może uniknąłby oskarżenia.

– A więc dalibyście wiarę jego zeznaniom, pani inspektor? – zapytał Joe, udając zdziwienie.

– W takim razie, jeśli chcecie, kiedy tylko będzie miał okazję, mój klient złoży oświadczenie, że niczego złego nie zrobił, a wy go wypuścicie, tak?

Evans poczerwieniała, zdenerwowana sarkazmem w głosie Joego. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, otworzyły się boczne drzwi i do sali weszli sędziowie pokoju – dwóch starszych mężczyzn w garniturach i młoda kobieta, zbyt wystrojona jak na sąd. Wszyscy w sali wstali i wykonali zwyczajowy ukłon, a potem pomieszczenie wypełnił brzęk kluczy. Joe odwrócił się i spojrzał na ławę oskarżonych. Za szybą ze wzmocnionego szkła pojawił się około pięćdziesięcioletni mężczyzna w brudnym ubraniu, przykuty kajdankami do strażnika, pierwszy pijak z nocy tego dnia. Jego bluza i dresowe spodnie zdradzały, że w celi, w której spędził noc, nie panują luksusowe warunki.

Kiedy sekretarz sądu zaczął wypytywać mężczyznę o nazwisko i datę urodzenia, Joe zdał sobie sprawę, że potrzebuje Ronniego Bagleya, choćby jako odskoczni od codziennych połowów nieszczęśliwych, takich jak ten, który właśnie zeznawał.

Wrócił na swoje miejsce, ale widział, że detektywi, szepcząc między sobą, kiwiają głowami i spoglądają na niego. Potem, zbierając się do wyjścia, wstali. Gdy opuścili salę, Joego ogarnęło nieodparte wrażenie, że jego udział w sprawie z jakiegoś powodu bardzo zyskał na znaczeniu.

Rozdział 6

Joe spojrzał na dom matki i mocniej zacisnął palce na kierownicy.

Z zewnątrz dom wyglądał jak zwyczajny, przeciętny bliźniak o dużych oknach, z małym murkiem przed ogródkiem i podjazdem prowadzącym do garażu ze zniszczoną drewnianą bramą. Wiedział, co zastanie w środku: urodzinowy baner, tort, radosne uśmiechy. Tyle że to były pozory, wyreżyserowane tak, żeby się wydawało, że wszystko jest w porządku, że są szczęśliwą rodziną. I tylko jej członkowie wiedzieli, jak bardzo śmierć Ellie zdewastowała im życie. Ojciec Joego wpadł w depresję, z której nigdy się nie wygrzebał, a pocieszenia szukał w butelce. Pięć lat

temu dostał wylewu i zmarł. Wtedy pić zaczęła matka Joego i od tamtego czasu dom zaczął popadać w ruinę.

Rodzice odkupili go od władz samorządowych, gdy w handlu nieruchomościami panował ruch. Sądzili, że robią dobry interes, jednak za mało zarabiali, żeby stać ich było na prace konserwacyjne. Inne domy na ulicy regularnie przechodziły mniejsze lub większe remonty, opłacane z kasy samorządu, ale w domu matki studzienki ściekowe porastała trawa i kiedy padało, woda wylewała. Framugi okien zaczynały gnić, a farba z elewacji zesza prawie w całości. Joe namawiał matkę, żeby wynajęła firmę remontową, nawet sam pewnego dnia pojawił się z pędzlem i farbami, ale matka nie chciała niczego zmieniać. Jakby nie potrafiła pójść przed siebie, chociaż była jeszcze Ruby.

Joe postanowił, że martwienie się o stan domu musi odłożyć na inny dzień. To, co na niego czekało w środku, stanowiło część gry pozorów, więc przyszykował się, że będzie się musiał uśmiechać i narzekać, że znowu jest o rok starszy i że lat mu tylko przybywa zamiast ubywać.

Ale tak właśnie się to odbywało w rodzinie Parkerów. Wszystkie okazje świętowali wspólnie, jakby rodzina mogłaby się rozpaść, gdyby robili to inaczej.

Chociaż chodziło o coś jeszcze. O Ellie. Od dnia jej śmierci zawsze chodziło przede wszystkim o nią.

Joego zalały wspomnienia. Jak zwykle sprowadzały ze sobą ból, były jak ciemny koc, który go dusił. Jego urodziny zawsze przebiegały pod znakiem tłumionego smutku. Myślał, że wraz z upływem czasu ból się zmniejszy, ale on się tylko wzmacniał. I to była jego wina, bo utrzymywał wspomnienia przy życiu; złościł się na siebie, ilekroć mu się wydawało, że zapomina i chce rozpocząć nowy rozdział.

Zerknął w lusterko wsteczne. Musi być gotowy, musi się uśmiechać, chociaż wiedział, że gdy wejdzie do domu rodzinnego, zastanie ten sam ciężki smutek, jaki się w nim unosił tamtego dnia i już zawsze potem. A zwłaszcza w dniu jego urodzin, w rocznicę śmierci Ellie.

Nie, nie tak. To nie było zwykła śmierć. Ellie nie umarła. Została zamordowana. Brutalnie, z zimną krwią.

Ale nie powinien o tym teraz myśleć. Nie było zresztą o czym, bo co roku wszystko działo się tak samo. Jego urodziny przebiegały według stałego schematu – matka starała się zrobić z nich wielkie święto, mimo że wiedziała, że to się nie uda.

Wysiadł z samochodu. Było ciepło. Aż dziwne, bo w Manchesterze często padało, a niebo stale zasnuwały szare chmury. Jednak ten dzień należał do tych nielicznych wiosennych, gdy ptaki śpiewają, a majaczące za miastem Góry Pennińskie raczej błyszczą, zamiast straszyć posępnością. Metalowa furka kliknęła, kiedy ją otwierał. Ruszył podjazdem i gdy wszedł na biegnący wzdłuż domu podwójny rząd płyty chodnikowych, w oknie pojawiała się twarz Ruby, jego siostry. Ruby pomachała do niego, a on jej odmachął, i gdy dostrzegł cień jej sylwetki przez szybę w drzwiach wejściowych, przywołał na twarz szeroki uśmiech.

Ruby była typową nastolatką – patykowate ręce i nogi, gejzer energii. Miała dopiero trzynaście lat, więc między nimi była duża różnica wieku.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – pisnęła i wycisnęła mu na policzku słodkiego całusa. – Już myślałam, że nie przyjedziesz.

– Jak mógłbym przegapić taką imprezę? – odparł i mimo wszystko się roześmiał.

Ruby wciągnęła go za rękę do domu, gdzie zaatakowały go widoki i zapachy, które pamiętał z dzieciństwa: dochodząca z kuchni woń pieczonego ciasta, półka przy telewizorze, zastawiona przywiezionymi z wakacji kiczowatymi pamiątkami: popielniczka z Malty, dzwonek z Hiszpanii, jakieś kieliszki z różnych miejscowości w Szkocji. Na gzymsie kominka stały fotografie jego, brata i Ellie, ich młodszej siostry.

Joe skupił na niej wzrok. Przyjęcie z okazji jego urodzin zawsze odbywało się dość wcześnie, bo reszta dnia była przeznaczona dla Ellie, która zginęła w jego osiemnaste urodziny.

Została zgwałcona, uduszona i porzucona w krzakach

niedaleko szkoły, w której się uczyła.

Tak więc każde jego urodziny w rzeczywistości dotyczyły Ellie. Rodzina musiała tylko najpierw odbębnić przyjęcie.

Uderzyło go, jak bardzo Ruby jest podobna do Ellie. Miała taki sam uśmiech, trochę łobuzerski, ten sam błysk w oczach i tak samo przygryzała dolną wargę. Czasami, gdy się nie pilnował, ten uśmiech wywoływał w nim falę smutku. Musiał wtedy sobie przypominać, że Ruby jest oddzielną osobą, a nie substytutem zmarłej siostry.

– A więc jednak dotarłeś?

To był jego brat, Sam.

– Przecież to przyjęcie na moją cześć – rzekł Joe, odwracając się. – A podobno spóźnianie się na własne przyjęcie należy do dobrego tonu.

Sam posłał mu szybki uśmiech.

– Wszystkiego najlepszego, braciszku.

Sam był detektywem, chociaż nie takim, jak inni znani Joemu detektywi. Był spokojny, zrównoważony, szczupły, krótkie włosy miał zawsze porządnie uczesane. Ale cechowała go też nerwowość. I nosił okulary. Robił za sumienie rodziny, był tym, który próbuje trzymać wszystkich w kupie. Życie postrzegał jako niekończący się ciąg obowiązków. Dlatego, gdy zbliżały się czyjeś urodziny, w czasie wakacji, a czasami tylko dlatego, że prognozy pogody zapowiadały ładny dzień, ta sama mała grupa osób była proszona o zjawienie się w domu matki.

– No tak, dzięki – odrzekł Joe. – Gdzie mama?

– W kuchni, przygotowuje jedzenie. Wiesz, jak to jest. Najlepiej, kiedy się czymś zajmuje.

– O której wybieracie się na cmentarz?

– Wybieracie? Ty nie idziesz?

Joe westchnął. Szykowało się ta sama stara wymiana zdań.

– Nie mogę. Pracuję.

Sam z początku nic nie odpowiedział i tylko przez kilka sekund ciskał wzrokiem pioruny.

Wreszcie, pokręciwszy głową, rzekł: – Choć raz mógłbyś

zrobić wyjątek. Ze względu na mamę.

Joe, żeby Ruby nie słyszała, podszedł bliżej i szeptem powiedział: – Ellie jest zawsze w mojej głowie, ale wolę myśleć o niej przy weselszych okazjach, na przykład w rocznicę jej urodzin, a nie śmierci. Chcę ją wspominać z okazji innych wydarzeń niż myśląc, jak to się skończyło.

– Gadasz bzdury i dobrze o tym wiesz.

Zanim Joe zdążył odpowiedzieć, do pokoju weszła matka z talerzem kanapek w ręce. Gdy go stawiała na stole obok półmiska z pasztecikami i zapiekanką z mięsem, talerz głośno zastukotał. Drżenie dłoni matki stawało się coraz silniejsze.

Uśmiechnięta, podeszła do Joego, który od razu wyczuł, że jest bardzo spięta, mimo że chciała to ukryć. Musiał się pochylić, żeby dosięgła ustami jego policzka. Jej wargi były zimne i drżały bardziej niż zwykle.

– Ależ ty jesteś przystojny – rzuciła, biorąc go za rękę. Jej własna była chłodna i szorstka.

– Mój najmłodszy synek, trzydziestotrzylatek. Kto by pomyślał? Czuję się taka stara.

– Będziemy się o to martwili, kiedy zaczniesz staro wyglądać – odparł Joe, chcąc sprawić matce przyjemność.

Oboje wiedzieli, że to kłamstwo, ale matka lubiła, gdy tak żartował. Pomyślał, że od lat wygląda tak samo. Chodziła w tych samych sukienkach albo w dresach. Włosy miała zawsze krótkie i tylko ich kolor się zmieniał, bo gdy pojawiła się siwizna, zaczęła się farbować.

Ostatnio jednak wydawała się starsza, bardziej krucha. Pod oczami pojawiły się popękane naczynka, a policzki na stałe przybrały czerwoną barwę. Joe wiedział, że to przez alkohol, ale nie było sensu jej tego wypominać. Matka piła, kiedy potrzebowała się znieczulić, a jego urodziny były dla niej najtrudniejsze. Bardzo się starała, żeby dobrze wypadły, chociaż wielokrotnie jej tłumaczył, że mu na tym nie zależy. Z drugiej strony, gdyby nie urodziny, ten dzień byłby w całości poświęcony Ellie, więc matka i tak musiałaby pić, żeby go przetrwać.

– Chodź tutaj – powiedziała Ruby, ciągnąc go do fotela przy kominku. Chociaż to był maj, a na zewnątrz świeciło słońce, kominek był nastawiony na najwyższą temperaturę.

Kiedy usiadł w fotelu, całą trójką odśpiewali mu Sto lat. Ze względu na Ruby starał się wyglądać radośnie. Potem Ruby zniknęła i wróciła z małym stosikiem prezentów.

Rozpakowując je, udawał zachwyty, śmiał się z żartów na kartkach urodzinowych, wyrażał wylewną wdzięczność za każdy upominek: koszulę, kubek, karton piwa i skarpetki.

– Jeszcze raz wszystkiego najlepszego – powiedziała matka i po jej policzku spłynęła pojedyncza łza.

– Niedługo będę musiał wyjść – zapowiedział i skrzywił się na widok bólu, jaki na sekundę pojawił się w oczach matki. Chciałby cofnąć swoje słowa, ale było za późno.

– To jaki parszywiec tym razem jest ważniejszy od rodziny? – zakpił Sam.

– Mówisz, jakbyś wciąż był na służbie – mruknął niechętnie Joe. – Spróbuj czasami nie odgrywać gliniarza. Może się okazać, że to miłe uczucie.

– No, dalej, zacznij mi jeszcze tłumaczyć, że oni są takimi samymi ludźmi jak ty i ja.

– Nie wracajmy znowu do tej rozmowy.

– Nieraz widuję tych twoich klientów i wiem, jak naprawdę wyglądają, kiedy skuci kajdankami wyklinają i plują jadem. Ty ich dostajesz w wersji wyczyszczonej, kiedy ubiegają się o zwolnienie za kaucją lub o co tam jeszcze.

– Mimo to, są wciąż ludźmi.

– Nie kłóćcie się, chłopczy. – To była matka.

Uśmiechnęli się do niej, chcąc, żeby odniosła wrażenie, że tylko żartują, że to tylko takie braterskie przepychanki, z powodu upływu lat bardziej słowne niż fizyczne.

– Bo dla niego praca jest ważniejsza niż my – poskarżył się Sam.

– Joe ma ważną pracę – oznajmiła matka. – A ja jestem z niego bardzo dumna.

Sam zacisnął zęby. On zamykał przestępców, Joe ich wypuszczał, ale w świecie matki sukces mierzyło się ceną garnituru, a nie tym, że człowiek wykonał dobrą robotę.

– Kiedy skończę, znowu wpadnę. Obiecuję – zapewnił Joe.

Uśmiech matki wyglądał na jeszcze bardziej wymuszony. Świetnie wiedziała, że Joe chce uniknąć wyprawy na cmentarz.

Zadzwoiła komórka Sama. Odbierając ją, Sam odwrócił się plecami do wszystkich, ale Joe i tak słyszał.

– Dzisiaj mam wolne – mówił do telefonu. Potem chwilę słuchał, a gdy znów się odezwał, w jego głosie pobrzmiwało poirytowanie. – Dobrze, przyjadę jak tylko będę mógł.

– Co się stało? – zapytał Joe, kiedy brat się odwrócił.

Sam spojrział na telefon.

– Muszę wpaść na komendę. Chcą ze mną porozmawiać o jakimś morderstwie.

– Myślałem, że jesteś w wydziale przestępstw gospodarczych.

– Bo jestem – odburknął.

– Więc skąd to morderstwo?

– Nie wiem.

Joe, nie doczekawszy się wyjaśnienia, sięgając po kanapkę mruknął: – Kiepsko, gdy praca wchodzi człowiekowi w drogę, co?

Rozdział 7

Sam Parker zerknął w lusterko wsteczne, żeby sprawdzić, w jakim stanie jest jego krawat. Poprawił go, ale krawat jeszcze bardziej się skręcił. Znowu go wyprostował, jednak uzyskał tylko tyle, że krawat leżał tak jak na początku. Sam był tuż po wizycie na grobie Ellie i czuł, że nie jest jeszcze gotowy, żeby zająć się pracą. Ale musiał; dostał wezwanie z wydziału zabójstw i nie mógł go zignorować. Oficjalnie wydział zabójstw już się tak nie nazywał. Teraz nosił nazwę Wydział ds. Ciężkich Przestępstw, ale Sam wiedział, że pracownikom wydziału bardziej podobała się stara nazwa. Kwestia próżności.

Popatrzył w górę, na budynek, w którym mieścił się komisariat policji Stanmoss. Budynek był z czerwonej cegły i miał

dwa skrzydła z każdego boku. Elewację zdobiły pierścienie z piaskowca, żeby gmach wyglądał jak pokryty złotem, w rzeczywistości jednak sprawiał wrażenie zniszczonego i starego. Mury były poczerńałe od spalin dochodzących z ulicy.

Postaraj się zachować spokój, nakazywał sobie w duchu Sam, podekscytowany tym, że jeśli w dochodzeniu o morderstwo potrzebny jest ekspert do spraw finansowych, to być może będzie mógł się wykazać.

Chociaż wolałby, żeby to był inny dzień. Cała jego kariera zmierzała właśnie do tego punktu, żeby mógł choć przez chwilę popracować w wydziale zabójstw, ale wspomnienia z cementarza kładły się cieniem na satysfakcję, jaką odczuwał. Zresztą o Ellie myślał zawsze.

Jego mała siostrzyczka, którą ostatnio widział w dniu, gdy wyjeżdżał na studia. Ciepła, ładna piętnastolatka, której życie zostało przerwane przez kogoś, dla kogo to życie nie miało żadnego znaczenia. Wiedział, że to banalne, ale Ellie potrzebowała kogoś, kto będzie walczył o sprawiedliwość. I nie tylko z jej powodu, ale też ze względu na innych – osoby takie jak ona, i tych, którzy wyszli z domu i już do niego nie wrócili.

Sam miał za sobą wiele dochodzeń w sprawach o defraudacje. To była ciężka robota, która niestety często szła na marne. Ludzie trafiali za kratki, jednak nie na długo. Choć czasami wydawało się, że warto było się wysilić, na przykład, gdy wyszukane w dokumentach tropy prowadziły do domów zakupionych za wyprane pieniądze, a oszust je tracił. Jednak zwykle Sam ścigał pomniejszych oszustów, którym nielegalne dochody potrzebne były do uprawiania hazardu lub na rozrywki z kobietami. Może to jest jego szansa na pracę przy czymś poważniejszym, bo przecież po to zatrudnił się w policji. Dla Ellie.

Drgnął, bo zadzwoniła jego komórka. Na ekranie pojawiła się wiadomość, że numer dzwoniącego jest zastrzeżony. Wahał się, czy odebrać; przypuszczał, że dzwoni ta sama osoba, która wydzwaniała do niego już od kilku tygodni. Jednak, ponieważ swój numer podał świadkom, postanowił odebrać.

– Halo, detektyw Sam Parker.

Po drugiej stronie połączenia było cicho i przez chwilę myślał, że to automatyczna wiadomość, jakaś reklama ubezpieczeniowa z obietnicą rekompensaty w razie obrażeń ciała lub wypadku samochodowego. Ale tak nie było. Usłyszał te same odgłosy co zawsze. Szamotanina, jęki, zdławione stęknienia, a potem krzyk ucięty odgłosem uderzenia, po którym następował szloch.

Rozłączył się i schował telefon do kieszeni. Przypuszczał, że odgłosy, które słyszał, pochodziły z nagrania, może ze ścieżki dźwiękowej z jakiegoś horroru. Sądził, że ktoś mu to puszcza, bo jest na niego zły. Nie wszystkim się podobało to, czym się zajmował jako detektyw od oszustw finansowych. Z jego powodu wiele osób musiało się pożegnać z dużą kasą i pewnie sporo z tych osób miało o to do niego pretensje.

Te telefony z nagraniem nie zdarzały się codziennie. Czasami nie otrzymywał ich przez wiele dni, ale potem było ich cztery lub pięć dziennie przez cały tydzień. Zawsze z tym samym nagraniem.

Spojrzał w słońce, co mu trochę poprawiło nastrój. Wysiadł z samochodu i wolno ruszył do drzwi wejściowych, w których szybko znowu się przejrzał. Miał na sobie czysty szary garnitur – był w domu, żeby się przebrać – do tego niebieską koszulę i granatowy krawat. Wyglądał, jakby szedł na rozmowę o pracę, i tak się zresztą czuł.

Wszedł na komendę, czemu towarzyszył głośny trzask zamykających się za nim drzwi, po czym udał się na wędrowkę po wysokich korytarzach, oświetlonych jarzeniówkami o zapaćkanych kurzem kloszach. Kaloryfery na ścianach z powodu wielokrotnego malowania pokrywała gruba warstwa farby. Sam szukał czegoś, co przypominałoby centrum dowodzenia, ale w większości pokoi nikogo nie było. Wyglądały raczej jak magazyny ze względu na piętrzące się w nich pudła i rozmontowane meble, gotowe do wywiezienia. Zaczął już nawet myśleć, że ktoś mu zrobił żart, w końcu jednak doszły go stłumione odgłosy rozmowy. Poszedł za

nimi i kiedy skręcił za róg, ujrzał przed sobą otwarte drzwi. Widok koszul i krawatów powiedział mu, że wreszcie znalazł wydział zabójstw.

Przelknął ślinę i ruszył do drzwi. Kiedy w nie zastukał, wszyscy w pokoju odwrócili się w jego stronę.

Pomieszczenie zapełniały ustawione grupami biurka. Na wszystkich migotały monitory, rzucające niebieską poświatę na rozłożone na blatach akta i notesy. Różne dokumenty wisiały też na ścianach i na białej tablicy, na której widać też było napisane zielonym flamastrem jakieś nazwiska i daty.

Nikt się nie odezwał, więc Sam uczynił to pierwszy: – Detektyw Parker. Przyszędłem do inspektor Evans.

Spojrzenia wszystkich powędrowały na tył pokoju, do kobiety, która rozmawiała przez telefon. Kobieta zerknęła na Sama, ale nie przerwała rozmowy, więc wykorzystał moment, żeby się rozejrzeć. W pokoju na każdej ścianie wisiały plakaty z twarzami czterech nastolatk; dwie z nich nie miały jeszcze osiemnastu lat. Sam rozpoznawał plakaty, bo identyczne wisiały we wszystkich komisariatach w całym hrabstwie. Jednak tutaj, otoczone zdjęciami i powiększonymi portretami, bardziej rzucały się w oczy.

Odcinając się od gwaru rozmów, zbliżył się do jednej ze ścian, żeby się przyjrzeć plakatom.

Natychmiast ogarnął go ten przytłaczający smutek, który zawsze się w nim pojawiał, gdy myślał, przez co muszą przechodzić rodziny ofiar. Cztery młode dziewczyny z różnych części Manchesteru, których nic nie łączyło, zniknęły. Prawdopodobnie ktoś je zamordował. Ostatnia zaginęła przed dwoma miesiącami. Na pewno tym zaginięciom towarzyszył jakiś schemat.

Trzeba go tylko było dostrzec.

Kłopot w tym, że ofiary bardzo się od siebie różniły. Dwie z dziewcząt były białe, jedna wysoka, o rudych włosach, druga brunetka, z włosami długimi i kręconymi. Trzecia z dziewcząt była czarnoskóra, zaledwie piętnastolatka, chociaż jej zalotny uśmiezek na plakacie kazał myśleć, że jest starsza. Czwartą

zaginioną była Hinduska o włosach czarnych i bujnych. Czego ludzie nie widzieli, patrząc na te plakaty?

Usłyszał kroki za plecami. Inspektor Evans. Odwrócił się do policjantki. Była niska i drobna.

Włosy miała krótko ostrzyżone, uśmiech stalowy.

– Sam Parker?

– Tak – odrzekł, a kiedy dostrzegł leciutkie drgnienie nozdrzy, szybko dodał: – Pani inspektor.

– Mary Evans – przedstawiła się. – I mów mi po imieniu. Cieszę się, że mogłeś przyjechać.

– No tak, przepraszam, że to tyle zajęło, ale mam wolny dzień – zaczął się tłumaczyć, czując, że Evans jest zła, że zjawił się dopiero teraz.

– Cóż, liczy się to, że jesteś. A teraz chodź ze mną.

Wyminęła go i wyszła z centrum dowodzenia, prowadząc korytarzem do mniejszego pokoju, który chyba służył jej za biuro. Na blacie biurka stał brudny kubek po kawie i oprawione w ramkę zdjęcie młodej kobiety. Jednak biuro wyglądało na jeszcze nieurządzone; przy szafie leżała sterta poźółkłych od starości akt, jakby Evans nie zdążyła usunąć z pokoju pozostałości po poprzednim użytkowniku. Papiery na biurku wyglądały jak sterta śmieci i Sam musiał zwalczyć impuls każący mu uporządkować dokumenty, tak żeby Evans miała do nich łatwiejszy dostęp.

– Siadaj – mruknęła, wskazując na krzesło, które wyglądało, jakby zaraz miało się rozpaść; nogi rozlażyły się na boki. Kiedy na nim usiadł, głośno zatrzeszczało.

Evans przez chwilę mu się przyglądała, aż mu się zrobiło nieswojo.

– Chodzi o te cztery zaginione dziewczyny, tak? – zapytał, pokazując ręką na pokój obok. – Widziałem plakaty.

– Nie, nie chodzi o nie – odparła Evans. – Słyszałeś kiedyś nazwisko Bagley, Ronnie Bagley?

Jakby to była książka adresowa z nazwiskami, Sam przejrzał w myślach akta z szafki koło biurka w jego biurze. Niczego tam nie znalazł, więc spróbował sobie przypomnieć

nazwiska przestępców i oszustów, z którymi miał dotąd do czynienia. Na koniec pokręcił głową.

– Nie, nie wydaje mi się.

– Zajmuje się nim twój brat.

Sam nie bardzo rozumiał.

– Joe?

– Tak, Joe. Joe Parker. Jest obrońcą, zgadza się?

– Tak. Wcześniej pracował w kancelarii Mahones, ale się przeniósł do Honeywells. – Sam zmarszczył czoło. – Ale co to ma wspólnego ze mną?

– Chcę, żebyś wyciągnął od brata pewne informacje – odrzekła po krótkiej zwłoce Evans.

– Na jaki temat?

– Jednego z jego klientów.

Sam szeroko otworzył oczy.

– Chcecie, żebym szpiegował brata?

– Można to i tak określić.

Sam głośno wypuścił powietrze. Czuł, że dalsza część rozmowy mu się nie spodoba.

Rozdział 8

Joe zabrał Monicę z biura i prosto stamtąd pojechał z nią do więzienia. W drodze ucięli sobie miłą pogawędkę, co mu pomogło oderwać myśli od śmierci Elli. Monica była pełna zapału, zupełnie jak on, kiedy zaczynał karierę prawniczą. Mówiła i śmiała się z entuzjazmem, co mu się bardzo podobało.

Jednak, gdy ich oczom ukazały się wysokie i stare ceglane mury więzienia Strangeways, znów ogarnęło go przygnębienie. Strangeways nie było już tym samym więzieniem, co w czasach, gdy dochodziło w nim do buntów z powodu tłoku w celach i ostrego reżimu, niemniej wciąż stanowiło ponury punkt na mapie miasta. Jego rozplanowanie przypominało układ szprych w kole. Zewnętrzne budynki, łącznie z budynkiem centrum odwiedzin ulokowanym tuż przy głównej drodze, były nowoczesne, obłożone jasnymi cegłami. Jednak to była tylko złudna wierzchnia politura, bowiem budynki położone trochę głębiej wyglądały o wiele

bardziej ponuro.

A już zupełnie historyczne były wieża strażnicza i zabudowania położone najdalej od drogi, których pokruszone ceglane ściany pamiętały niejedną egzekucję i niejedne zamieszki.

Joe rzadko bywał w więzieniu, gdyż tę działkę przejęła od niego Gina, jednak wciąż, na skutek bolesnych doświadczeń, pamiętał, że należy ignorować prawie wszystko, co się usłyszy od zatrzymanych. Raz któryś z klientów oświadczył, że przyzna się do winy. Twierdził, że nie może znieść widoku krat i zamków i że zrobi wszystko, żeby tylko wyjść na wolność. Joe powiadomił prokuratora, świadkom kazano pozostać w domach. Po tygodniu pod wpływem prawników amatorów, których zawsze pełno wśród więziennej braci, klient zmienił zdanie. Joe stracił klienta i skompromitował się w oczach sędziego. Prawnicy bez przerwy popełniają błędy, z tym że ci dobrzy ich nie powtarzają.

Jednak te odwiedziny były inne. Tym razem nie chodziło o zapoznanie się z historią Ronniego, a o utrzymanie go jako klienta. Ronnie już odrzucił pierwszą firmę i Joe nie chciał, żeby z niego też zrezygnował.

– To miejsce jest straszne – oznajmiła Monica, przesuając wzrokiem po murach. – Nienawidzę go mijać, kiedy przyjeżdżam do miasta autobusem.

Joe popatrzył na nią. Nie wiedział, czy miała na myśli względy estetyczne, czy chodziło jej o to, że w więzieniu zamyka się ludzi.

– Lepiej się przyzwyczaj, bo będziesz tu częstym gościem – rzekł i się uśmiechnął. – I baw się tym ludzkim teatrem. Większość z osadzonych ma to, na co sobie zasłużyła. W sądach raczej nie spotyka się niewinnych ludzi; są tylko mniej lub bardziej winni.

W milczeniu, do którego zachęcały surowe spojrzenia strażników, poddali się kontroli skanerem, po czym zostali zaprowadzeni na górę do części wydzielonej na odwiedziny prawników.

Stały tam dwa rzędy szklanych boksów. Prawnicy nie musieli znosić hałasu panującego w głównej sali odwiedzin, gdzie

partnerzy i dzieci osadzonych próbowali w godzinę opowiedzieć to, co się wydarzyło w ich życiu przez cały tydzień. Niemniej prawnikom nie ufano aż tak, żeby zapewnić im pełną prywatność. Strażnicy mieli dobry widok na wszystko, co się działo w boksach. Joe to jednak rozumiał. Znał wielu uczciwych obrońców, ale znał też takich, którzy zrobiliby wszystko, żeby tylko zatrzymać przy sobie klienta; w końcu narkotyki jakoś muszą trafiać do więzienia.

Zabębnił palcami w blat stołu. Minęła go młoda kobieta w krótkiej spódnicy, która pod pachą niosła teczkę z aktami. Prawniczka z Mahones. Takich jak ona, ładnych i młodych, kancelaria zatrudniała cały zespół. Miały tylko jedno zadanie – towarzyszyć obrońcy. Nie bardzo znały się na prawie, ale klienci po ich wizytach wracali do swoich cel na pewno w lepszych nastrojach niż po wizycie Joego.

– O czym chcesz rozmawiać z Bagleyem? – zapytała Monica.

– Będę chciał, żeby mi opowiedział, co się wydarzyło.

– Czy już coś wiemy o jego sprawie?

– Dostałem akta i przeczytałem streszczenie, ale zanim zapoznam się ze szczegółami, chcę najpierw posłuchać, co on sam ma do powiedzenia. Może powie coś, co go obciąża.

– To normalna procedura? Sądziłam, że wystarczy, że przeczytamy zeznania. Bo przecież udowodnienie winny to zadanie prokuratury, nie nasze.

– Kłopot ze sprawami o morderstwo polega na tym, że one się nigdy nie kończą – odparł Joe. – Nie jest tak, że skazany odsiedzi wyrok i potem wszystko wraca do normalności. Ktoś przecież zginął. Rodziny cierpią po stracie. Skazany ma poczucie winy, że odebrał komuś życie albo przynajmniej męczy go piętno znieprawdzonego przez świat mordercy. Stąd apelacje, ponowne rozpatrywanie spraw. Człowiek już dawno o nich zapomniał, a tu się okazuje, że trafiły do sądu apelacyjnego i ktoś zaczyna wytykać ci twoje błędy. Rzeczy, które przeoczyłeś, przesłuchania, których nie przeprowadziłeś. Na ogół zaczyna się od zarzutu o niewłaściwą reprezentację. Skazany oskarża obrońcę, że ten wepchnął mu w

usta słowa, które doprowadziły do wyroku skazującego. Więc najpierw posłuchajmy Ronniego.

Zanim Monica zdążyła zadać kolejne pytanie, otworzyły się drzwi na końcu pomieszczenia i do środka wkroczył strażnik. Ktoś za nim szedł. Ronnie Bagley. Z rozbieganym spojrzeniem, przygarbiony, jakby chciał się wydać mniejszy, żeby nikt na niego nie zwracał uwagi.

Pierwszego dnia w więzieniu nikt nie próbuje się wyróżniać. Gdy Ronnie podszedł bliżej, Joe dostrzegł strach w jego oczach. Nie sprawiał wrażenia kogoś niebezpiecznego, choć Joe nie bardzo rozumiał, dlaczego go to zaskoczyło. Widział wystarczająco wielu zabójców, żeby wiedzieć, iż nie istnieje jeden typ mordercy. Czasami ci najspokojniejsi są najgroźniejsi, bo zła, jakie w sobie noszą, nie widać na zewnątrz.

Strażnik otworzył drzwi boksu. Ronnie podziękował mu skinieniem głowy i usiadł za stołem.

– Jak się czujesz, Ronnie? – zapytał Joe.

– Źle – odparł chłopak i potrząsnął głową. – Dzisiaj mam znowu zeznawać. Nie widzę w tym żadnego sensu. Po prostu mnie zamknijcie i dajcie mi spokój.

– Musisz być silny – rzekł Joe. – Cierpliwy. Już się skontaktowałem z biurem podawczym i ustaliłem, żeby twoja sprawa została zapisana na jutro. Do tego czasu muszę się wszystkiego dowiedzieć.

– I po co tyle zachodu? – burknął Ronnie.

– Po to, że inaczej pozostaje ci się tylko poddać. Nie czas teraz na uzalanie się nad sobą. I traktuj mnie, jakbym był twoim jedynym sprzymierzeńcem, bo poza mną nikt się tobą nie będzie przejmował. Dlatego musisz mi wszystko opowiedzieć. Nie pozwól, żeby to miejsce cię złamało.

Ronnie, zacisnąwszy zęby, chwilę się zastanawiał.

– Strażnicy patrzą tu na mnie jak na śmiecia. – Jego oczy wypełniły się łzami. – A ja nie zabiłem. Nikogo nie zabiłem. Ale i tak stąd nie wyjdę, prawda?

– Zostałeś oskarżony o morderstwo. Jeśli chcesz znać moją

opinię, nigdzie się stąd nie ruszysz aż do zakończenia procesu.

– Za to pan wróci do swojego szpanerskiego mieszkanca i zostawi mnie tu na kolejną noc, co? Ja tego nie zrobiłem.

– Takie są przepisy, Ronnie. Nie ja je ustalałem. – Joe podniósł długopis i wymownym gestem wcisnął jego końcówkę. – No więc, dlaczego ludzie myślą, że to zrobiłeś?

– Pewnie dlatego, że jestem oczywistym podejrzanym. Nie rozumiem tylko, skąd w ogóle pomysł, że chodzi o morderstwo, jeśli nie ma ciała? Żeby było morderstwo, muszą być zwłoki, tak czy nie?

Joe pokręcił głową.

– Nie, nie muszą. A teraz opowiedz mi swoją historię. Chcę ją poznać całą i ze szczegółami.

Rozdział 9

To jakiś kłopot, że musiałbyś szpiegować brata? – zapytała Evans.

Sam z trudem powstrzymał śmiech. Tak, to był kłopot. Poprawił okulary, nasadzając je wyżej na nos.

– Wiem, że to, czym brat się zajmuje, może się nie podobać, bo pomaga przestępcom – odrzekł. – Ale żebym miał podstępem wyciągać od niego informacje? Cóż, to chyba nie byłoby w porządku.

– Ja ci powiem, co nie jest w porządku, Sam. Mianowicie, że ludzie tacy jak Ronnie Bagley unikają kary za zabicie dziewczyny i dziecka. A dlaczego mogą jej uniknąć? Bo tacy jak twój brat poświęcą życie, żeby na przykład taki Bagley uniknął sprawiedliwości.

Sam rozumiał Evans. O to samo kłócił się z Joem, ale Joe był jego bratem i nie zamierzał się po nim przejeżdżać przed obcymi.

– To jego życie, nie moje. Rozmawialiśmy na ten temat, ale Joe jest dumny z tego, co robi. I ja też na swój sposób jestem z niego dumny. Joe dobrze ułożył sobie życie.

– Ale?

– Nie rozumiem, co masz na myśli?

– Wyczuwam jakieś „ale”.

Sam przez chwilę się zastanawiał, potem rzekł: – Jestem dumny z brata. Wolałbym tylko, żeby jako prawnik wybrał inną drogę kariery.

Mógł zostać prokuratorem lub kimś takim.

– A więc ty starasz się ich wsadzać do więzienia, a on ich próbuje stamtąd wyciągać.

– Coś w tym stylu.

– Chcę to zmienić – oznajmiła Evans. – Nieraz miałam do czynienia z twoim bratem, i możesz sobie być wobec niego lojalny, jeśli chcesz, ale on uważa, że podlega innym zasadom. – Widząc, że Sam chce coś wtrącić, Evans powstrzymała go, unosząc dłoń. – Wiem, wszyscy obrońcy są tacy, ale twój brat posuwa się dalej niż inni.

– Tylko co to ma wspólnego ze mną?

Evans nachyliła się do niego.

– Ronnie Bagley jest zabójcą. Zabił swoją dziewczynę i dziecko. Zrobił to w mieszkaniu, a potem w jakiś sposób pozbył się ciała. Nie możemy ich znaleźć. Córkę zabił pewnie po to, żeby wyglądało, że jego dziewczyna uciekła z dzieckiem. Nakłoniliśmy prokuratorę, żeby postawiła mu zarzuty, ale, tak jak my, prokuratorzy też wiedzą, że byłoby o wiele prościej, gdybyśmy znaleźli ciała.

– Macie sprawę o morderstwo bez ciała?

– Tak, więc sam widzisz, że to bardzo ważne, żebyśmy je odnaleźli. Chyba nie chcesz, żeby Ronnie uniknął więzienia tylko dlatego, że dobrze ukrył zwłoki?

Sam na chwilę przymknął oczy; z wolna rosło w nim uczucie zawodu. Sprawa nie miała związku z nim, tylko z Joem.

– I co chcielibyście, żebym zrobił? – spytał, siląc się na spokój. Wiedział, do czego to wszystko prowadzi, i wcale mu się to nie podobało.

– Myśleliśmy, że Bagleya reprezentuje ktoś z Mahones – wyjaśniała Evans. – Ale dzisiaj w roli reprezentanta w sądzie pojawił się twój brat.

– Skąd o tym wiecie?
– Byliśmy tam. A twój brat jest teraz z Bagleyem w więzieniu.

Sam mocno ucisnął skronie palcami. Uczucie zawodu zastąpił gniew. To dlatego Joe nie mógł pójść na cmentarz, bo musiał odwiedzić mordercę.

– Możemy polepszyć naszą sytuację, Sam. Dzięki tobie, bo przez ciebie mamy dostęp do prawnika Bagleya. Musimy odnaleźć ciała.

Sam pokręcił głową.

– Joe nic nie powie.

– A więc chodzi o jego skrupuły, nie twoje?

– Nie rozumiem.

– Powiedziałaś, że Joe nic nie powie, a sądziłam, że mówiłaś, że to ty nie chcesz go o nic pytać.

– Takie postawienie sprawy jest nie w porządku.

– Podobnie jak to, że zginęła niewinna dziewczyna i jej dziecko. Na pewno potrafisz zmusić brata do zwierzeń. Może tyłdo dotąd nie zadawałaś właściwych pytań.

– Ale to przecież zwykle szpiegowanie. A tu chodzi o mojego brata.

– Prawnicy mają zwyczaj dużo gadać. Chętnie się przechwalają swoimi wyczynami, zwłaszcza przed innymi prawnikami albo przed gliniarzami – kontynuowała Evans. – Nie mają oporów. Uważają, że to normalne, że dzielą się anegdotkami z pola walki. Myślą, że wszyscy tak robią. – Kiedy Sam opuścił wzrok na podłogę, znowu się do niego nachyliła i już łagodniejszym głosem dodała: – Wiem, że to trudne, ale nie zapominaj, gdzie pracujesz.

Uważasz, że powinienes być bardziej lojalny wobec klienta brata, czy wobec swojego zawodu?

Wobec ofiar?

Sam podniósł wzrok.

– A więc tylko po to mnie tu ściągnęliście, tak? Chodziło o prośbę o szpiegowanie?

– Teraz to ja nie rozumiem.

– Myślałem, że włączycie mnie do zespołu, że załatwicie mi przeniesienie do tego wydziału.

– A chciałbyś tego?

– Zawsze chciałem. Ale nie w ten sposób.

Evans odchyliła się na oparcie krzesła. Zmrużywszy oczy, chwilę myślała, potem powiedziała: – Nie możemy cię oficjalnie włączyć do sprawy.

– Dlaczego nie? Co stoi na przeszkodzie?

– No, zastanów się. Co będzie, jeśli Ronnie Bagley okaże się niewinny, i wyjdzie na jaw, że brat jego obrońcy był w zespole dochodzeniowym? Ukrzyżowałiby nas jak nic.

– Więc kim będę w tej sprawie?

– Po prostu detektywem, który chętnie przekaże wszystko, cokolwiek gdzieś usłyszy. – Evans z górnej kieszeni kurtki wyciągnęła małe srebrne pudełko. Otworzyła je i ze środka wyjęła wizytówkę. Podała ją Samowi. – Zadzwoń do mnie, jeśli coś usłyszysz. Interesuje mnie wszystko, co twój brat powie o Bagleyu. Nawet najmniejszy szczegół.

Sam przekręcił wizytówkę na drugą stronę.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Cóż, zarobisz czarny punkt w aktach, ale nie rób sobie tego, Sam. Pomyśl o swojej karierze.

Sam popatrzył na Evans z niedowierzaniem, po czym wstał.

– Mogę już odejść? – spytał, kontrolując gniew w głosie.

– Pod warunkiem, że się dobrze zrozumieliśmy.

Kiwnął głową.

– Owszem, zrozumieliśmy się.

Po tych słowach wyszedł z pokoju i ruszył do wyjścia, po drodze zerkając w stronę otwartych drzwi centrum dowodzenia. Nikt na niego nie spojrzał. Nie należał do tego świata.

Odwrócił się i poczerwieniały z gniewu, szybko opuścił komendę.

Rozdział 10

Connie Bagley spojrzał na swoje ręce, na kciuk pocierający

dłoń. Potem podniósł wzrok i powiedział: – Nie wiadomo, czy ona nie żyje. Nikt tego nie wie na pewno. Chodzi mi o to, że wcale nie muszę być winny, nawet jeśli policja twierdzi, że jestem mordercą.

Joe wydał usta. W oskarżeniu o morderstwo brak ciała to żadna przeszkoda, choć w takiej sytuacji winę o wiele trudniej udowodnić.

– Sędziowie lubią zagadkowe przypadki, zwłaszcza morderstwa – powiedział. – To dla nich szansa na zabawę w detektywa i na rozwikłanie sprawy. Tyle że tutaj nie chodzi o włamanie ani o bójkę w pubie. Prokuratura uważa, że ktoś zginął. Jeśli sędziowie podzielą zdanie prokuratury, będą chcieli ująć zabójcę. Pójdiesz siedzieć, jeśli nie zdołam udowodnić, że nim nie jesteś.

– Sądziłem, że człowiek jest niewinny, dopóki mu się nie udowodni winy.

– Nie mówimy o teorii, a o tym, jak w rzeczywistości rozumują sędziowie. To zwykli ludzie, jak ty i ja, i na pewno nie są za tym, żeby morderstwo uszło komuś na sucho. W twoim przypadku, żebyś usłyszał werdykt uniewinniający, trzeba się będzie mocno napocić. Więc opowiadaj. Zaczynij od ostatniego dnia, kiedy widziałeś Carrie żywą.

Joe zerknął na Monicę. Siedziała pochylona do przodu i wyglądała na rozentuzjasmowaną swoim uczestnictwem w pierwszej dla niej poważnej sprawie.

– Carrie się na mnie darła – zaczął Ronnie, wycierając oczy. – Często na mnie krzyczała.

Mieszkamy w mieszkaniu na parterze, w strasznie podłej dziurze. Pracowałem, jednak trudno nam było związać koniec z końcem. A Carrie ostro piła. Naprawdę ostro, chociaż było dziecko.

– Było?

– Słucham?

– Czas przeszedł, Ronnie. Chyba chciałeś powiedzieć „jest dziecko”.

– Przecież wie pan, co miałem na myśli – burknął Ronnie,

czerwieniąc się.

– Ława przysięgłych też będzie wiedziała, bo oskarżyciel będzie do tego wracał przez cały dzień. Wykorzysta to w mowie końcowej, żeby przysięgli nie zapomnieli. Sąd uzna, że to, iż mówisz w czasie przeszłym, oznacza, że wiesz, iż Carrie i Grace nie żyją. Takie drobne szczegóły i przejęzyczenia mogą cię kosztować więzienie do końca życia.

Ronnie kiwnął głową na znak, że rozumie, i powrócił do opowieści.

– Nasze wspólne życie to była niekończąca się kłótnia. Zostaliśmy ze sobą ze względu na Grace. Carrie mnie nie kochała, dobrze o tym wiedziałem.

– „Dobrze o tym wiem”, Ronnie, a nie „wiedziałem”.

Ronnie się skrzywił.

– A ty ją kochasz? – zapytał Joe.

– Bardziej niż da się wyrazić słowami. – Głos mu się załamał. Wierzchem dłoni otarł łzy z oczu. – Nie skrzywdziłbym jej. Ona jest dla mnie wszystkim. Jest ładna, zabawna i cóż, no wie pan... – Ile ma lat?

– Trzydzieści.

– Dobrze, opowiedz o kłótni.

– Chodziło o pieniądze, wie pan, jak to jest. Carrie miała...

– Ronnie przerwał, żeby się poprawić. – Carrie ma fioła na punkcie kasy. Gdzie tylko może, bierze karty kredytowe i potem kupuje śmieci, ciuchy, buty i wszystko inne, żeby tylko ludzie zwracali na nią uwagę. No więc, mieliśmy do spłaty te karty kredytowe, musieliśmy kupić jakieś jedzenie, zapłacić czynsz. I tamtego dnia się okazało, że karta jest pusta, i Carrie krzyczała, że się do niczego nie nadaje, że to przeze mnie niczego nie mamy. Ale to ona przez cały czas piła. Doszło do tego, że wstawiała i od razu robiła sobie drinka. Ładnie się ubierała, ale sama wyglądała okropnie.

– Za bardzo to ty jej nie lubisz, a co?

– Dlaczego pan tak twierdzi?

– Kochasz ją, ale nie jestem pewien, czy ją lubisz. Może nawet jej nienawidzisz.

– Ale nie aż tak, żeby zabić.

Joe zapisał coś w notesie.

– Przeglądałem akta i czytałem streszczenie. Jakiś Terry Day opowiadał policji o awanturach. Kim on jest?

– Właścicielem budynku, w którym mieszkamy. Mieszka na ostatnim piętrze. Przerażający sukinsyn. Zawsze się kręcił przed wejściem na klatkę, obserwował ulicę. Nie mógł się doczekać, kiedy zezna policji, że się kłóciliśmy.

– Nie nazywaj go sukinsynem na rozprawie – upomniał Ronniego Joe. – Nie możesz wyjść na mściwą osobę. Masz odgrywać niewinną ofiarę pomyłki.

Ronnie pokiwał głową.

– Trochę na siebie powrzeszczeliśmy, a potem wyszedłem do pracy.

– Gdzie wtedy pracowałeś?

– Dlaczego tego wszystkiego nie wiecie? – Ronnie spojrzął najpierw na Monicę, potem na Joego. – Ci z Mahones wam nie powiedzieli?

– Chcę, żebyś sam mi o wszystkim opowiedział. Kiedy będziesz zeznawał, nie będzie mnie obok i nie będę mógł cię trzymać za rączkę. Musisz odbębnić swoją część roboty.

– Próbuje mnie pan na czymś przyłapać.

– Jeszcze mało widziałeś, Ronnie. Zaczekaj, aż trafisz na salę sądową i dobierze się do ciebie oskarżyciel. Dlatego zapomnij o uzalaniu się nad sobą i opowiadaj.

Ronnie splótł ręce na piersiach.

– I tak wiem, że mi pan nie wierzy. – Odwrócił się do Moniki. – A pani? Uważa pani, że mógłbym kogoś zabić?

Zanim Monica zdążyła odpowiedzieć, Joe nachylił się nad stołem i zniżając głos, rzekł: – To bez znaczenia, w co wierzymy, Ronnie. Nawet gdybym uważał, że jesteś najgorszym sukinsynem na świecie, i tak bym robił to, co do mnie należy. Moim zadaniem nie jest poprawianie ci nastroju, tylko wygranie twojej sprawy.

– To samo mówił facet z Mahones.

Joe zrozumiał aluzję – ten, kto ostatni tak mówił, utracił

prawo do prowadzenia sprawy.

Podniósł się.

– Czas się zbierać – zwrócił się do Moniki, która też się podniosła.

– A wy dokąd? – zdziwił się Ronnie, wybałuszając oczy.

– Jeśli zależy ci tylko na kimś, kto cię potrzyzyma za rękę i się nad tobą użali, to musisz sobie znaleźć kogoś innego. Prawdopodobnie potem będziesz miał dużo czasu, żeby żałować tej decyzji.

– Zaczekajcie! – zawołał Ronnie.

– Tylko nie błagaj nas znowu, żebyśmy ci uwierzyli. Interesuje mnie wyłącznie obrona twojej sprawy, nic więcej. – Gestem dłoni Joe pokazał Monice, że wychodzą.

Jednak zanim to uczynili, Ronnie złapał róg aktówki, którą trzymał Joe.

– Zostańcie... proszę.

Joe się zatrzymał. Zablefował i wygrał.

– Dobrze, ale pod warunkiem, że będziesz słuchał moich rad – rzekł. – Jestem prawnikiem, a nie głosem twojego sumienia.

Ronnie przez kilka sekund był nadęty, potem jednak cicho powiedział: – W porządku. I przepraszam. Pracowałem tam gdzie zawsze, w fabryce opakowań, na linii produkcyjnej. Pensja nie była duża, dlatego mieszkaliśmy w tej norze.

Joe popatrzył na Ronniego, potem usiadł.

– Kontynuuj.

Ronnie zacisnął usta i przez chwilę pustym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń. Potem szybko rzekł: – Tamtego dnia kierownik ze zmiany mówił, że sprawiam wrażenie rozkojarzonego.

– A byłeś rozkojarzony?

– W pewnym sensie.

Joe odchylił się na oparcie i rzucił długopis na stół.

– Teraz też nie wydajesz się najprzyczemniejszy. O co chodzi z tym „w pewnym sensie”?

– Mówi pan jak oni.

– Oni?

– Policjanci – wyjaśnił Ronnie. – Po prostu ciągle mi coś wypadło z rąk, nie nadażalem z wkładaniem pudełek na taśmociąg, więc musieli go wyłączać. Nie wyrobiliśmy się z zamówieniem i kierownik się wkurzył.

– To nie brzmi najlepiej. Policja zbiera fakty pomocne dla prokuratury, jak ten, że byłeś rozkojarzony.

– Bo byłem przybity po kłótni z Carrie.

– Sądziłem, że się do nich przyzwyczaiłeś. Mówiłeś, że ciągle się kłóciliście, więc czym się ta kłótnia różniła od poprzednich?

Ronnie opuścił wzrok na stół i zaczął trzeć ręce. Jego zuchwa mocno pracowała. W końcu podniósł oczy i powiedział.

– Krzyczałem, że chciałbym, żeby zdechła, i, no... uderzyłem ją. – Zerknął na Monicę, a potem, poczerwieniały ze wstydu, szybko odwrócił wzrok.

Joe na moment zamknął oczy. Ronnie zmienił obrońcę, bo prawnik z Mahones powiedział mu to, co i Joe miał ochotę powiedzieć – że prokuratura ma dużo atutów w ręku i że najlepiej by było, gdyby Ronnie ujawnił, gdzie zakopał zwłoki, a potem spróbował uzyskać oskarżenie o nieumyślne spowodowanie śmierci.

– A więc to było coś więcej niż zwykła kłótnia? – mruknął, otwierając oczy.

– Tak, ale daję wam słowo, że wcześniej nigdy jej nie uderzyłem – ciągnął Ronnie, którego spojrzenie biegło od Moniki do Joego i z powrotem. – Wyzwałem ją, powiedziałem nawet, że mógłbym ją zabić, ale to były tylko słowa. To nie znaczy, że ją zabiłem.

– Opowiedz o tym, jak ją uderzyłeś.

– Puściły mi nerwy, tylko tyle mogę powiedzieć. Darła się na mnie, więc jej przyłożyłem w nos. Krew trysnęła na wszystkie strony. Poleciała na ścianę. Na kominek i na podłogę, tam gdzie upadła.

– Starłeś ją?

– Tak. Musiałem już wychodzić do pracy, ale ją starłem. Wstydziłem się tego, co zrobiłem.

Kiedy wróciłem do domu, Carrie w nim nie było.

– Nie zostawiła liściku, jakiejś wiadomości?

– Nie.

– Czy w waszym bloku ktoś jeszcze mieszka?

– Nie, tylko właściciel. Na najwyższym piętrze. Mieszkanie pośrodku stoi puste.

– Co zrobiłeś, gdy po powrocie zobaczyłeś, że Carrie nie ma?

– Na początku nic. Wstydziłem się. Ale czas mijał i zacząłem się martwić. Nie mogłem jej znaleźć. Obdzwoniłem jej znajomych, dzwoniłem do jej matki.

– Kiedy to było?

– Trzy tygodnie po tym, jak zniknęła. Zabrała ze sobą Grace i nie wiedziałem, czy sobie z nią poradzi. Wpadłem w panikę, a kiedy tak się dzieje, przestaję jasno myśleć. Zaczynam sobie wyobrażać i wmawiać różne straszne rzeczy. I wtedy też zacząłem się zastanawiać... – Ronnie zamilkł, żeby zaczerpnąć powietrza. – Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem jednak czegoś złego nie zrobiłem, może wcześniej niż zwykle wyszedłem z pracy i ją zabiłem.

– Skąd takie myślenie? – zdziwił się Joe. – Zdarza ci się mieć momenty zapomnienia?

Miewałeś zaniki pamięci?

– Miewałem. Tak się dzieje, kiedy wpadam w panikę. Mam wtedy luki w pamięci.

– A czy kiedykolwiek byłeś agresywny podczas tych zaników?

– Nie sądzę, a już na pewno nikogo nie zabiłem, choć z drugiej strony mogłem to zupełnie wyprzeć. Dlatego bałem się o Grace, o to, gdzie ona jest. Więc zrobiłem coś głupiego.

– Odnoszę wrażenie, że mi się to nie spodoba.

– Poszedłem na policję i powiedziałem, że zabiłem Carrie.

Joe nie potrafił ukryć zaskoczenia w głosie.

– Co zrobiłeś?

– Nie myślałem jasno, już mówiłem. Nie wiedziałem, czy to zrobiłem, czy nie. To wszystko było takie... – Ronnie potrząsnął głową.

– Pamiętasz, co dokładnie powiedziałeś?

Ronnie głośno wypuścił powietrze.

– Nie bardzo. Coś, że mogłem zabić swoją dziewczynę.

Joe usiadł prosto.

– A więc przeciwko tobie przemawia to, że z rana darłeś się na Carrie, że życzyłeś jej śmierci. Że zostawiłeś resztki jej krwi w mieszkaniu i dziwnie się zachowywałeś w pracy. Na początku nic nie zrobiłeś, a potem poszedłeś na policję i przyznałeś się do morderstwa. – Joe wyciągnął ręce. – Dobrze wszystko uchwyciłem?

– Tak, mnie więcej.

– Tyle mi wystarczy – oświadczył Joe.

– Jak to? Nie będzie mnie pan bronił?

– Tego nie powiedziałem. Po prostu muszę mieć czas na uważne przeczytanie akt.

– Potrzebuję pana – rzekł Ronnie błagalnym tonem. – Nikogo nie zabiłem. Teraz już to wiem na pewno. Wiem, że to źle wygląda, ale musi mi pan pomóc. Sądziłem, że wytrzymam w więzieniu, ale to nieprawda. Nie wyrobię tu.

– Zobaczmy się jutro w sądzie – obiecał Joe. – A na razie poradzę ci tylko, żebyś się nie wychylał. Chodź z głową nisko spuszczoną.

W korytarzu między rzędami boksów pojawił się strażnik. Ronnie powoli się podniósł. Po policzku płynęła mu łza. Wyrzuty sumienia albo rozpacz – Joe zdawał sobie sprawę, że minie sporo czasu, zanim będzie umiał to ocenić.

Ronnie przed wyjściem jeszcze się do niego odwrócił.

– Pan mnie nie pamięta, prawda?

Joe, zaskoczony, przystanął w miejscu.

– Nie, nie pamiętam. A powinienem?

Ronnie wzruszył ramionami.

– Raczej nie. – I już go nie było.

Rozdział 11

Sam nie wiedział, jak i kiedy znalazł się pod komisariatem, w którym pracował. Długi ceglany budynek był nowocześniejszy niż ten, w którym mieścił się wydział zabójstw, a jego niebieskie framugi i tego samego koloru wysokie ogrodzenie, zakończone ostrymi szpicami – przeszkoda dla tych, którym mogła się marzyć zemsta – aż krzyczały, że tu oto stacjonują służby policyjne. Budynek stał przy jednej z dróg wyjazdowych z Manchesteru, a naprzeciwko rozciągał się duży, porośnięty trawą otwarty teren, zdominowany przez sylwetkę szarego kamiennego kościółka. Za nim na horyzoncie, psując widok, majaczyły zarysy wysokich bloków.

Sam postanowił, że wpadnie do biura. Wizyta w wydziale zabójstw wprawiła go w nastrój do pracy, chociaż, gdy już był w środku, dotarło do niego, że wciąż jest wściekły oraz zawstydzony faktem, iż ci z kryminalnego potrzebowali go tylko ze względu na brata.

Jego małe biuro znajdowało się na środkowym piętrze, upchnięte między pokojami protokolantów. Z okna miał widok na parking na zapleczu. Wspinając się po schodach na górę, przez wysokie, sięgające sufitu okna klatki schodowej widział, że na drodze na zewnątrz jest pusto. Za godzinę widok zupełnie się zmieni – na szosie pojawi się sznur wolno jadących samochodów, ludzie będą wracali do domów położonych we wschodniej części Manchesteru.

Z powodu zaduchu okno w biurze było otwarte, a białe wertykalne żaluzje, poruszane lekką bryzą, obijały się o szybę z cichym stukotem. Sam zapukał paznokciami w uchylone drzwi.

Helen, jedna z detektywów finansowych, podniosła na niego oczy. W zsuniętych w dół okularach, które ciągle musiała poprawiać, ślęczała nad jakimiś wykresami. Patrząc na nią i na biuro, Sam nagle uzmysłowił sobie, co tak naprawdę widzi: azyl kujona nieudacznika.

Helen była zaskoczona.

– Myślałam, że masz wolne.

– Bo mam – odrzekł. Zamierzał opowiedzieć o spotkaniu z inspektorem Evans, ale nagle zmienił zdanie. Nie było o czym opowiadać. – Ale przejeżdżałem obok i mi się przypomniało, że coś mi nie gra w tej sprawie z przedsiębiorstwem autobusowym.

– To aż takie ważne? Nie może poczekać?

– Pewnie może – odrzekł i podszedł do biurka. Popatrzył na przedmioty, które na nim leżały. Kubek z długopisami. Oprawione w ramki zdjęcie żony i dwóch córek. Porządek i ład.

– No i jak, wiesz już, co ci nie grało? – zapytała Helen.

– Wiem – mruknął. – Ale to w sumie nic istotnego.

Nie odwrócił się, żeby spojrzeć na akta ustawione w równym rzędzie na regale za nim.

Przyszedł do biura, żeby sobie przypomnieć, jak wygląda jego praca. Był dobry w tym, co robił, wiedział o tym, ale zawsze dostawał sprawy, których nikt inny nie chciał. Mantra większości policjantów brzmiała: nie ma krwi, nie ma zabawy, dlatego wszystko, co miało jakiś związek z rachunkami, fakturami i tropami finansowymi w dokumentacji lądowało na jego biurku. Tak jak ta sprawa z autobusami – nudna, w której chodziło o nieuczciwie wyliczoną sumę zwrotu podatku za paliwo dla firmy autobusowej, której właściciel zaważył przebieg kilometrów.

Dochodzenie polegało na przekopaniu się przez całe stopy faktur i rachunków, a potem na wysledzeniu kasy, żeby można ją było odzyskać, gdyby przedsiębiorca został skazany.

Jedyną pozytywną stroną tej pracy było to, że miał do dyspozycji własne biurko, przestrzeń, gdzie mógł trzymać swoje rzeczy, ale przecież nie wstąpił do policji po to, żeby śledzić nielegalne operacje finansowe.

Spojrzał na Helen i nagle ujrzał siebie takim, jakim go widzieli inni: spokojny mól książkowy. Im dłużej będzie pracował w tym miejscu, tym większa szansa, że skończy tam, gdzie Helen. A przecież nie tego chciał.

Poczuł, że narasta w nim silne postanowienie. Po to właśnie wybrał pracę w biurze: żeby sprawdzić, czy woli nudną

papierkową robotę, czy może chce czegoś więcej, nawet jeśli musiałby robić to, o co go poprosiła inspektor Evans.

– Zmieniłem zdanie – oświadczył i wstał.

– Mówisz o sprawie przedsiębiorstwa autobusowego?

– Tak, zajmę się tym kiedy indziej. A dzisiaj są urodziny mojego brata. Powinienem do niego wpaść, żeby w taki dzień nie siedział sam.

Potem z uśmiechem na ustach przeszedł do drzwi i kiedy te się za nim zamknęły, pomyślał, że to moment symboliczny, świetnie oddający to, co się działo w jego życiu zawodowym – że ruszył z miejsca, postanowił się rozwijać. Na dół schodził już o wiele zwawszym krokiem i gdy wypadł na parking, czuł, że przepełnia go determinacja. Postanowił, że zrobi wszystko, co trzeba, żeby zaimponować Evans, bo to w wydziale zabójstw od zawsze chciał pracować.

To był jego czas.

Rozdział 12

Joe, wchodząc na teren parku koło biura, myślał o Ronniem Bagleyu. Dowodów uzasadniających zatrzymanie było wystarczająco wiele. Ich liczba wystarczała też, żeby przekonać prokuraturę o konieczności postawienia zarzutu popełnienia morderstwa. A także, żeby sędzia zatrzymał Bagleya w areszcie do czasu rozprawy.

Joego zalała fala z wątplenia, niewiary w siebie. Wiedział, że to zły dzień na sprawę taką jak sprawa Ronniego, ponieważ w rocznicę śmierci Ellie zawsze dużo myślał o ludziach, których życie zbyt szybko się zakończyło. Starał się otrząsnąć z tych myśli. Ronniemu przysługiwało prawo do obrony. Tak go uczono na studiach i taką zawarł ze sobą umowę – że będzie pomagał, nie osądzał.

Żeby się oderwać od ponurych myśli, zerknął na kroczącą obok Monicę.

– To wcale nie takie fascynujące, jak się może wydawać – rzucił i widząc, że Monica nie zrozumiała, co miał na myśli, dodał:

– Wiem, to było tylko kilka korytarzy, ale widziałem twoją minę,

gdy przez nie przechodziliśmy.

– Mówisz o więzieniu? – spytała i parsknęła śmiechem. – Nie uważam, że jest fascynujące.

Po prostu to coś nowego.

– Mnie początkowo ekscytowało; miałem wrażenie, że jestem na ostrym końcu tej całej przepychanki, że ogrywam policję.

– A teraz jak jest?

– Teraz widzę tylko wielki budynek, w którym pełno pogubionych ludzi. Być może niektórzy otrzymali ostrzejsze wyroki niż na to zasługiwali, niektórzy może nawet są niewinni, ale dam sobie rękę odciąć, że większości dużo uszło płazem, jeśli brać pod uwagę czyny, za które zostali skazani.

Policzki Moniki pokryły się rumieńcem.

– Mówisz tak, jakbyś uważał, że jestem bardzo naiwna.

– Wcale tak nie uważam, ale pamiętaj, że pochodzisz z innego środowiska niż skazańcy.

Dlatego mogą ci się wydawać ekscytujący, tylko że to, co się wydaje fascynujące za kratkami, na wolności oznacza zbrodnię.

– Czy Ronniego wypuszczą?

– Prawdopodobnie nie.

Minęli klomby i siedzących na ławkach ludzi, pochłaniających spóźniony lunch. Kiedy przechodzili przez ulicę, żeby dotrzeć do biura, Joe zapytał: – Co o nim sądzisz?

– Sama nie wiem. Nie robi wrażenia groźnego ani kogoś, kto zrobił coś złego, co mnie zaskoczyło. Raczej wzbudza litość.

– Ludzie wzbudzający litość też mogą być mordercami.

– Jasne. Domyślam się. – Monica się uśmiechnęła. – Dobrze, teraz ty powiedz, co ci się rzuciło w oczy.

– Grace – odparł.

– Córnica? Jak to? Co masz na myśli?

– Prawie o niej nie mówił – wyjaśnił. – Jeśli się zastanowić, to do wyboru mamy tylko dwie opcje. Ronnie albo zabił Carrie, albo tego nie zrobił. Jeśli zrobił, to musiał też zabić Grace, bo sama by nie przeżyła. Więc wyobraź sobie, jak musi się czuć, jeśli jej nie zabił. Jego wiedza sprowadza się do tego, że nie wiadomo, gdzie

jest Carrie i Grace. Nie wydaje ci się, że powinien być trochę bardziej przejęty? Zniknęło jego dziecko; może już więcej go nie zobaczy.

Ale nie dało się tego odczuć. Widzieliśmy tylko uzalenie się nad sobą i dezorientację.

Monica chwilę milczała, po czym zapytała: – Więc myślisz, że to zrobił?

– Nie ma znaczenia, co myśle.

– Jak to nie? Oczywiście, że ma.

– Tak uważasz? Myślisz, że sprawiedliwość ma coś wspólnego z prawdą? – Joe pokręcił głową. – Sprawiedliwość to rezultat, nic więcej, i ja muszę myśleć tylko o tym, co w rezultacie mogę zapewnić Ronniemu. Właśnie taką umowę zawierasz ze sobą, kiedy zostajesz karnistą.

Pomogasz złym ludziom uniknąć kary za straszne rzeczy, które zrobili.

Monica nic na to nie odpowiedziała, Joe zaś pomyślał, że jego zawód ze swymi ciemnymi stronami każdego dnia coraz bardziej obdiera go z człowieczeństwa. I że praca stała się dla niego w pewnym sensie wyzwaniem, sposobem na testowanie systemu, który, przynajmniej w jego przypadku, zawiódł jego i jego rodzinę. A przede wszystkim Ellie.

– Ronnie chyba uważa, że powinieneś go pamiętać – zauważyła Monica.

– Miałem wielu klientów. Jakoś przeboleje, że nie utkwił mi w pamięci.

– Nie chodzi tylko o to.

– A o co jeszcze?

– Cóż, wiem, gdzie mieszkasz, i twoje mieszkanie rzeczywiście jest szpanerskie.

– I co z tego?

– A to, że Ronnie o tym wiedział. Mówił, że wrócisz dzisiaj do swojego szpanerskiego mieszkanka.

Joe chwilę się zastanawiał, potem pokręcił głową.

– Zwyczajnie zgadł, to wszystko – mruknął, chociaż

pomyślał, że może faktycznie coś przeoczył.

Do budynku weszli bocznym wejściem. Firma specjalizowała się w prawie handlowym i rodzinnym, ale dział karny również prowadziła, trzymając go z nawyku. Klienci prywatni korzystali z wejścia od frontu, gdzie między białymi kolumnami znajdowały się podwójne dębowe drzwi, a za nimi recepcja wyłożona biało-czarną terakotą. Wybudowano ją na czasy świetności. Nie nadawała się na codzienny młyn, jaki zwykle panuje w firmach prawniczych w centrum miasta. Z tym że główne wejście i tak nie było przeznaczone dla klienteli Joego. Dział karny zawsze występował w roli ubogiego krewnego i musiał się zadowolić bocznym wejściem, tak żeby złodzieje i seksualni zwyrodnialcy nie dzielili głównego holu z biznesmenami i pochlipującymi rozwodnikami.

– Czy coś mnie ominęło? – zapytał recepcjonistkę Marion, kobietę w eleganckiej garsonce, o ciętym języku, pilnującą, żeby klienci pojawiający się w gmachu nie przekraczali akceptowalnych granic zachowania. Nikt nie był wpuszczany do budynku, jeśli Marion nie chciała go w nim widzieć.

– Nie, nic się nie działo – odparła, a gdy Joe ruszył do schodów, dodała: – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, panie Parker. – Joe się odwrócił. Marion uśmiechnęła się i nawet lekko zarumieniła. – Przecież pan wie, że zawsze pamiętam.

Joe odwzajemnił uśmiech, po czym szybko wspiął się schodami na pierwsze piętro.

Znajdowało się tu wiele małych biur, pozostałość po czasach, gdy budynki takie jak ten miały imponować wielkością i przepychem. Kancelaria Honeywells zajmowała dwa takie – stojące obok siebie, wysokie na cztery piętra, połączone w jeden kompleks korytarzy i małych pokojów.

– Więc co teraz mam robić? – zapytała Monica.

– Pewnie jesteś głodna, ominął cię lunch. Zrób sobie przerwę.

Monica przybrała zawiedzioną minę, jakby chciała zostać, ale Joe się odwrócił. Potrzebował chwilę pobyć sam.

Po wyjściu Moniki usiadł w fotelu. Zielone skórzane obicie było wygodne i znajome. Przez moment siedział z przymkniętymi oczyma. Powinien namawiać Monicę, żeby zajęła się czymś innym. Już nikt nie wybierał prawa karnego. Przynajmniej nikt rozsądny. Wciąż można było na tym zarobić, jeśli człowiek dobrze wykuł przepisy i jeśli szczęście podsunęło mu klienta, którego stać na zapłatę za usługę, ale w większości przypadków prawo karne to była wyłącznie ciężka harówka bez żadnych bonusów. Powinien docenić entuzjazm Moniki, a potem odesłać ją gdzie indziej, dla jej własnego dobra.

Otworzył oczy, gdy do pokoju weszła Gina.

Jej biuro znajdowało się dwa piętra wyżej, na starym poddaszu o pochyłym dachu. Dzieliła je z asystentami, na których miała mieć oko, żeby potem zdać raport, kto jest naprawdę zainteresowany i ma predyspozycje, a kto tylko odbębnia szkolenie. Czasami najbardziej zauważalni byli ci hałaśliwi i z ciętym językiem, ale firma zatrzymywała tych, których praca przekładała się na konkretne finansowe zyski.

– I jak tam Ronnie Bagley? – zapytała Gina, opierając się o futrynę.

Joe przez chwilę bębnił palcami w stół, potem powiedział:
– Nie wiem.

– Sądziś, że może być niewinny?

– Zawsze zakładam, że tak może być.

– I to twoja słabość. Wciąż szukasz klientów, których mógłbyś uratować na dowód, że w tym systemie nie chodzi tylko o ludzi, którym się upiekło.

– A ty wciąż myślisz jak glina. – Joe westchnął. – Ale to wszystko i tak nie ma znaczenia, gdy się pomyśli o kasie, prawda? My zadecydujemy, co jest najlepsze dla Ronniego, i przy okazji na tym zarobimy.

– Na tym to polega, Joe. Sam mi to ciągle powtarzasz. Poza tym rozmawiałam z prokuraturą. Mają dla nas kolejną dokumentację. To, co dostałeś w sądzie, to było tylko streszczenie. Akta dostarczą kurierem, żebyś zdążył je przeczytać przed jutrem.

– Daj mi znać, kiedy przyjadą. Zapręgnę Monicę do pomocy.

– Tak myślałam.

– To znaczy?

Gina się roześmiała.

– No, nie udawaj, Joe. Widziałam, jak na nią patrzysz. I wcale ci się nie dziwię. Dziewczyna jest młoda i ładna.

– Wcale nie patrzę na nią jakoś specjalnie – obruszył się, chociaż na policzki wystąpił mu rumieniec.

– Jestem kobietą, Joe. Wiem, jak mężczyźni patrzą na inne kobiety. Tylko obiecaj mi jedno: nie zbłaźnij się. – I po tych słowach Gina wyszła.

Joe nic nie odpowiedział. Wpatrzony w wolno zamykające się drzwi, wsłuchiwał się w coraz cichsze kroki Giny na korytarzu.

Gdy już umilkły, wraz z fotelem odwrócił się do okna, żeby przez nie wyjrzeć. Monica siedziała na ławce z otwartą książką na kolanach i jadła jakąś sałatkę z plastikowego pudełka.

Jej dłoń, ilekroć pochylała głowę, żeby włożyć do ust porcję, nieustannie podnosiła się do włosów, żeby ich kosmyk założyć za ucho. Wyglądało to jak jakaś pętla w filmie: unoszący się do ust widelec, zaczesywanie włosów, które znowu opadały, gdy Monica spoglądała na pudełko.

Joe uśmiechnął się do siebie. Miło wspominał towarzystwo dziewczyny w ciągu dnia.

Zobaczył, że spojrzała w jego stronę, więc szybko odwrócił głowę, wystraszony, że mogła zauważyć, iż ją obserwuje, i wyciągnąć z tego błędne wnioski. Przymknął oczy. To było jego okno, z ładnym widokiem, więc wszystko jest w porządku.

Z powrotem się odwrócił, stwierdzając, że Monica już skończyła jeść i teraz szła z pudełkiem w stronę kosza na śmieci.

Chciał powrócić do pracy, ale coś przykuło jego uwagę. Przynurzył się bliżej do okna i omiół spojrzeniem cały park. Wtedy go dostrzegł. Mężczyznę siedzącego trochę dalej na ławce.

Wyglądał porządnie: niebieski sweter w serek, szare spodnie, staranna fryzura. Ale to nie ubranie zwróciło uwagę

Joego, tylko sposób, w jaki mężczyzna patrzył na Monicę.

Nie, to złe określenie. Facet nie patrzył, a raczej uważnie ją obserwował. Siedział wyprostowany, dłonie na kolanach, głowa zwrócona w jej stronę. Przyglądał się, jak wrzuca pudełko do śmietnika, a potem wraca do biura.

Joe nie spuszczał gościa z oka, dopóki Monica nie minęła furtki i nie przeszła przez ulicę.

Kiedy zaczęła się wspinać po schodach, głośno stukając po nich obcasami, co Joe słyszał przez otwarte okno, mężczyzna wstał i odszedł.

Rozdział 13

Joe zamknął drzwi swojego mieszkania i zwrócił uwagę na panującą w nim ciszę. Nie tykał zegar, nikt nie rozmawiał w pokoju obok. Słyszał tylko jakieś odgłosy dochodzące z budynku – szum telewizora w mieszkaniu powyżej i podniesione głosy w którymś z mieszkań na jego piętrze – ale u niego nic.

Przyniósł ze sobą pudło dokumentów: akta Ronniego, godzinę wcześniej podesłane przez prokuraturę. Nie tak powinien świętować swoje urodziny.

Przeszedł przez duży pokój i postawił karton na podłodze. Gdy rozchylił żaluzje, do środka wpadło światło zachodzącego słońca. Mieszkanie było eleganckie, urządzone w stylu minimalistycznym, chociaż bardziej przez przypadek niż z wyboru. Joe nie przepadał za dekoracyjnym chaosem. Kanapa. Telewizor. Komputer. Tyle mu wystarczyło, taki chciał zastać widok, gdy wracał.

Blok, w którym mieszkał, stał w starej dzielnicy Castelfields, niegdyś sercu rewolucji przemysłowej, ośrodka rozwoju Anglii, gdzie zbiegały się szlaki wodne i linie kolejowe. Tutaj kończył się pierwszy na świecie kanał przemysłowy, stacja przesiadkowa dla sprowadzanej z Dalekiego Południa bawełny, wypakowywanej w Liverpoolu i przesyłanej kanałami do miast z obszaru Gór Pennińskich, ciągnących się aż po Yorkshire. Tego Yorkshire, gdzie w zielonych kotlinach unosił się ciężki smog, a roślinność wrzosowisk zastąpiły, niczym głębokie rany wryte na

skórce okolicy, długie rzędy tarasowych zabudowań. Historia wykreowała na tym obszarze krajobraz zrehabilitowanych przybrzeżnych składów i fabryk. Niektóre były nowe i choć, aby wtopiły się w otoczenie, zaprojektowano je na wzór historycznych, i tak odnosiło się wrażenie, że zostały siłą upchnięte między starą zabudowę. A cała ta dość urokliwa zbitka wody, cegieł i stali zajmowała teren dawnej rzymskiej twierdzy, Mancunium. To wszystko, łącznie z zatłoczonymi ulicami, Joe miał tuż za swoim blokiem, ale okna jego pokoju wychodziły na spokojne wody kanału z pływającymi po nim stateczkami wycieczkowymi, i na dwie wierzby, których zwisające gałęzie delikatnie muskały lustro wody. Panującą tu ciszę zakłócało jedynie dudnienie tramwajów jeżdżących w tę i z powrotem po wiaduktach.

Manchester rozwinął się dzięki przemysłowi włókienniczemu, choć był to trudny okres w jego historii. Miasto zbyt szybko się rozrastało, co znaczyło, że ludzie musieli żyć w ścisku, jedna rodzina na pokój, czasami nawet dwie. I dlatego przez jakiś czas miasto dusiło się spalinami i odpadami, było niczym więcej jak siecią slumsów i fabryk. Ludzie umierali młodo, cholera dziesiątkowała populację. Ale Manchester to dumne miasto. Nędza doprowadziła do powstania ruchów robotniczych, mieszkańcy, dzielnie broniąc swoich przekonań, byli bliscy zagłodzenia się na śmierć, gdy poparli blokadę bawełny, do której doszło w południowych stanach Ameryki podczas wojny secesyjnej. Teraz po ówczesnych fabrykach i zakładach prawie nie został ślad, a te nieliczne, które się ostały, były tylko ceglanymi skorupami – artyści urządzali w nich swoje studia i targi sztuki. Niemniej właśnie tamta robotnicza mentalność sprzed lat stanowiła tło życia Joego, gdy dorastał.

A co do mieszkania, to do jego zakupu skusiła go bliskość kanału. Bardzo lubił spędzać wieczory na swoim małym balkonie, obserwując, jak promienie zachodzącego słońca tańczą i pobłyskują na ciemnej wodzie.

Otworzył lodówkę, w której znalazł butelkę sauvignon blanc, produkt internetowego klubu wina, do którego zapisał się

kilka miesięcy temu i z którego nie miał czasu się wypisać.

Otworzył drzwi balkonowe, wpuszczając do mieszkania dźwięki wczesnego wieczoru. Stukot kieliszków i wybuchy śmiechu dochodzące z restauracji na świeżym powietrzu na Skwerze Katalońskim mieszały się ze zgrzytaniem i piskiem kół tramwajów.

Nalał sobie wina i wrócił po akta Ronniego. Przeniósł je na balkon, postawił na podłodze i sięgnął po kieliszek, żeby wznieść nim toast.

– Wszystkiego najlepszego – mruknął i biorąc łyk, usiadł.

Pozwolił sobie na krótką chwilę rozkoszowania się ciepłem wieczoru, wiedząc, że już wkrótce nie będzie go zauważał, bo gdy zabierze się za czytanie, ono go całkowicie pochłonie.

Tak było zawsze, gdy prowadził jakąś sprawę – nie myślał o niczym innym, tylko o wygranej.

Rodzaj sprawy nie miał znaczenia, mogło chodzić o bójkę lub o morderstwo, jak w tym przypadku. Liczył się tylko wynik.

Zabrzączał dzwonek domofonu. Nikogo się nie spodziewał, więc pomyślał, że nie otworzy, ale ciekawość wzięła górę. Wrócił do mieszkania i kiedy nacisnął przycisk przy domofonie, usłyszał głos brata.

– Joe, to ja. Nie możesz sam obchodzić urodzin.

Joe zastanawiał się, czy odpowiedzieć. Zgadywał, że wizyta Sama nie ma nic wspólnego z urodzinami; chodziło o to, co się wydarzyło wcześniej – że nie poszedł na grób Ellie. W końcu jednak uznał, że mimo wszystko miło będzie pogadać z kimś z rodziny, więc nacisnął guzik w domofonie i otworzył drzwi mieszkania.

Potem wrócił na balkon, na którym po chwili zjawił się uśmiechnięty Sam ze zgrzewką piwa w rękę.

– Wszystkiego najlepszego. Ponownie.

– Zwykle nie robisz aż tyle szumu z okazji moich urodzin.

– Rozstaliśmy się skłóceniu – odparł Sam. – Uznałem, że dobrze byłoby się pogodzić.

Po tych słowach wyciągnął puszkę ze zgrzewki i podał ją

Joemu, ale Joe podniósł swój kieliszek.

– Mam już to – mruknął.

– Sądziłem, że jesteś piwoshem – rzucił Sam, spoglądając na puszkę w swojej dłoni, a potem na kieliszek z winem.

– Bo jestem, ale czasami lubię też napić się wina.

Sam usiadł na krześle naprzeciwko i odstawił piwo na podłogę. Zaczął wtykać puszkę z powrotem do zgrzewki, a Joe przyglądał mu się z rozbawieniem. Gdy już piwo wróciło na miejsce, marszcząc czoło, Sam rzucił krótko: – Zmieniasz się.

– Tak to już z ludźmi bywa.

Sam popatrzył na widok za balkonem, potem znowu na kieliszek z winem.

– Nie przerobisz się na kogoś innego, Joe.

Joe wziął głęboki wdech.

– O czym ty mówisz?

– O tym – odparł Sam. – O apartamencie przy kanale, winie, jakbyś był jakimś wielkomięjskim snobem. Jesteś taki jak ja, pochodzisz z tej samej podłej części miasta, naszego rodzinnego śmietnika. To do ciebie nie pasuje.

– Z tego, jaki alkohol preferuję, robisz wojnę klasową – burknął Joe. – A to wcale nie jest tak.

– Na pewno? – prychnął powątpiewająco Sam. – To dlatego nie poszedłeś dzisiaj na cmentarz? Robisz karierę, pniesz się w górę, a nas zostawiasz z tyłu.

– Nie bądź głupi – zbeształ go Joe. Już się nie uśmiechał, za to czuł, że czepia się go jakaś ciemność. Ellie. Leśna ścieżka.

– Po prostu uważam, że powinieneś przykładać większą wagę do rodziny – oznajmił Sam.

– I przykładam, tylko że... – Joe zamilkł. Zbyt wiele było tego, co mu ciążyło na sercu... i ten sekret, którym nie mógł się podzielić z bratem. – Musiałem gdzieś być. Taką mam pracę, Sam. Tym się zajmuje i tak zarabiam na utrzymanie.

Sam westchnął.

– Martwię się o mamę. I o Ruby. Mama nie daje sobie z nią rady. Ruby ciągle gdzieś łązi, nie odrabia lekcji, a mama to

ignoruje, bo boi się klótni.

– Może powinniśmy z nią porozmawiać? – zaproponował Joe. – Nastolatki zostawione same sobie wpadają w tarapaty. Nie chciałbym jeździć po Ruby na komisariat.

– Tak, chyba powinniśmy.

Joe w milczeniu przyglądał się bratu, który zapatrzył się na wodę. Widać było, że coś go gryzie. W końcu powiedział: – Rozmowa z Ruby to pewnie będzie pestka w porównaniu z rozmową z mordercą. Po tym, co się stało z Ellie, musi ci być trudno.

Joe znowu upił wina. Teraz już było jasne, co sprowadziło do niego Sama.

– Powiedziałaś „z mordercą”?

– Tak, tak powiedziałem.

– Masz na myśli Ronniego Bagleya?

– No cóż, owszem. – Sam odchylił się na oparcie. – Dlaczego był dzisiaj ważniejszy od rodziny, tak że aż musiałaś wcisnąć nas przed wizytą w więzieniu?

– To nie są zawody, Sam – mruknął Joe i odstawił kieliszek.

– Skąd wiesz, że jestem zaangażowany w sprawę Ronniego?

Sam wyglądał na zaskoczonego pytaniem.

– No cóż, przecież jesteś, prawda?

– Od dzisiaj, ale skąd o tym wiesz?

Sam zwlekał z odpowiedzią, jednak Joe czekał, wiedząc, że brat długo nie zniesie ciszy.

– Ktoś o tym wspominał w pracy – rzekł w końcu. – Pytali mnie, o co chodzi.

– I co odpowiedziałaś?

– Nic. Co miałem odpowiedzieć? Przecież nic nie wiem na temat spraw, które prowadzisz.

– Kto cię o to pytał i jak do tego doszło? O ile wiem, siedzisz w wydziale oszust finansowych i przerzucasz papierki. Więc co to było? Email, ktoś zadzwonił? A może słyszałeś plotki w kantynie?

– To nie tak.

– Nie jestem głupi, Sam. Miałem tylko jedno przesłuchanie w sądzie i jedną wizytę w więzieniu, a ty już o wszystkim wiesz, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego miałbyś wiedzieć.

Więc mi wyjaśnij. Twoi koledzy denerwują się, że to ja zostałem obrońcą, bo jestem skuteczny?

– Nie bądź takim cholernym zarozumialcem.

– A może w sprawie jest coś, co wolelibyście, żeby nie wyszło na jaw?

– No, teraz to już naprawdę palnąłeś. Ktoś tylko wspomniał, że wziąłeś tę sprawę, to wszystko. Dlatego, że jesteś moim bratem, tak w ramach rozmowy na korytarzu.

Joe nie odpowiedział. Domyślał się, że nie usłyszy prawdy.

– Tak czy inaczej, nie rozumiem, jak możesz to robić – dodał Sam.

– Jeśli masz na myśli to, o czym ja myślę, to już kiedyś tę rozmowę prowadziliśmy.

– Ale nie wyczerpaliśmy tematu. Bronisz morderców i gwałcicieli, złodziei i oszustów. Jak możesz to robić? Jak możesz zasypiać wieczorem, wiedząc, że ludzie, którym pomagasz, chodzą wolno po ulicach?

Joe zamknął oczy i wziął głęboki wdech.

Takie pytania go nużyły. Padały pod adresem wszystkich obrońców, zwłaszcza z ust policjantów. Odpowiedź, jakiej udzielał, różniła się w zależności od tego, kto pytał. Czasami odpowiadał zgodnie z prawdą, że uważa, iż to oznaka ucywilizowania, że ludzie mogą liczyć na uczciwy proces bez względu na to, co zrobili. I że policja musi przestrzegać zasad, jak wszyscy, a zasady nadają światu porządek. W innych przypadkach wybierał opcję szokującą i mówił, że ma wszystko w nosie, że lubi potrząsnąć systemem, chociaż w rzeczywistości wcale tego nie lubił. No i czasami rzeczywiście się zdarzało, że przez sprawy, w których uczestniczył, nie mógł zasnąć, zwłaszcza gdy musiał przejść obok rodziny ofiary, której zabójca wychodził na wolność. Ale to były wyjątki. Mimo jego usilnych starań większość jego klientów trafiała za kratki, i to na długo, często na całe życie.

Jednak teraz pytanie zadał Sam.

– Masz na myśli, jak mogę to zrobić po Ellie? – upewnił się i w tej samej chwili cofnął się w czasie o piętnaście lat i zobaczył siebie siedzącego w otoczeniu kartek urodzinowych w salonie, przez środek którego przeciągnięty był napis „Dzisiaj 18-tka”. Dom był wypełniony funkcjonariuszami policji i głośnym płaczem matki.

– On wciąż tam gdzieś jest – rzekł Sam, rytmicznie bębniąc palcami w blat stolika; znak, że był wzburzony. – A kiedy go złapią, dostanie kogoś takiego jak ty, kto mu pomoże wyjść z tego bezkarnie.

Z początku Joe nie odpowiedział. Od piętnastu lat ukrywał tajemnicę i teraz było za późno, żeby mógł coś w tej sprawie zmienić.

Ponownie upił wina, tyle że tym razem łyk był większy.

– Nie muszę się przed nikim z niczego tłumaczyć – mruknął. – Mam gdzieś te zarzuty. Ja tylko pomagam ludziom i na tym koniec.

– A co twoim zdaniem powiedziała by tata, gdyby wiedział?

Joe odwrócił się do Sama, w jego oczach zabłysnął gniew.

– To cios poniżej pasa, i dobrze o tym wiesz. – Widząc, że Sam w odpowiedzi jedynie spuścił wzrok, ostrym tonem dodał: – Chyba już na ciebie czas.

– Co, nie napijemy się razem w twoje urodziny?

– Nie po to tu przyszedłeś.

Sam popatrzył na Joego; twarz miał ściągniętą gniewem.

– Skoro tak chcesz.

Gdy się podnosił, Joe miał wzrok wbity w wody kanału.

– Nie zostawiaj rodziny za sobą – rzucił Sam i wyszedł.

Kiedy już jego kroki w mieszkaniu ucichły i trzasnęły za nim drzwi, Joe sięgnął po piwo ze zgrzewki. Otworzył je i podniósł do góry.

– Wszystkiego najlepszego, Joe Parkerze.

Resztę wieczoru poświęcił na czytanie dokumentacji i była już prawie jedenasta, gdy w końcu wrócił z aktami do mieszkania.

Piwo się skończyło, wino też wypił, a jego chwiejny krok powiedział mu, że rano będzie musiał pobiegać, żeby oczyścić głowę przed wizytą w sądzie.

Sprawa przedstawiała się tak, jak się domyślał, gdy rozmawiał z Ronniem – opierała się na domysłach i przypuszczeniach, bo nie znaleziono ciał Carrie i Grace – jednak dowody były mocniejsze, niż Ronnie sądził.

On i Carrie mieszkali na parterze wysokiego wiktoriańskiego budynku o oknach w wykuszu i z witrażowym świetlikiem wokół drzwi wejściowych. Na zdjęciach z miejsca zbrodni mieszkanie wyglądało na ponure i ciasne, miało tylko jedną sypialnię z łóżeczkiem Grace wciśniętym w róg obok podwójnego łóżka rodziców. Drugim głównym pomieszczeniem był pokój dzienny, za którym znajdowała się kuchnia, a za nią mała łazienka. U dołu poczerniały od brudu białych drzwi z prostej płyty złaziła farba.

Pokój dzienny sprawiał wrażenie obskurnego, wszystko w nim miało odcień brązu. Światła dostarczało pokojowi usytuowane naprzeciwko kominka okno, które o dziwo wyglądało, jakby niedawno ktoś je umył, bo kurz i pajęczyny widać było tylko z zewnątrz. Na brązowym wypłowiałym dywanie przy drzwiach widniały wytarte plamy. Wazon z kwiatami stojący na starej komodzie o popękanej politurze świadczył o tym, że Carrie próbowała jakoś upiększyć mieszkanie. Obok wazonu stała fotografia Grace, ale zdjęcie zdążyło poszarzeć od dymu tytoniowego, mimo że Grace miała dopiero dwa lata. W popielniczkach leżała sterta starych niedopałków, a z kosza w rogu pokoju wystawała szyjka od butelki po wódce.

Ekipa techników kryminalistycznych wykonała swoją pracę skrupulatnie. Płaskie powierzchnie drzwi stanowiły doskonały obszar do zbierania odcisków palców, świetnie też było na nich widać ślady po krwi. Bójka rozpoczęła się w drzwiach do sypialni, bo zostały na nich plamy, jakby ktoś niezbyt starannie wytarł krew. Podobnie było z kominkiem, gdzie wykryto kilka większych plam i kilka rozbryzgów, w miejscu, gdzie głowa Carrie uderzyła o granit.

Opis awantury podany przez właściciela budynku był bardzo plastyczny. Wynikało z niego, że tym razem para klóciła się ostrzej niż zwykle. Prokuratura wyciągnęła z tego prosty wniosek: Ronnie zabił Carrie, a potem wyniósł jej zwłoki i gdzieś porzucił. Nie wiadomo było tylko gdzie.

To samo zrobił z ciałem Grace, które prawdopodobnie zakopał obok zwłok matki.

Była jeszcze wizyta Ronniego na policji, kiedy to wszedł na komisariat i oświadczył, że zabił swoją dziewczynę. Tym zeznaniem narobił sobie kłopotów. Wystarczyło, żeby sędziowie uwierzyli, że zabił Carrie. Brak zwłok stanowił problem, ale sędziowie nie lubią wypuszczać zabójców.

Joe zasunął drzwi balkonu, odcinając się w ten sposób od cichego szumu wieczornego ruchu ulicznego. W mieszkaniu słychać było teraz tylko szum wentylatora w komputerze.

Przeszedł do biurka i ruchem myszki powiększył obraz na pulpicie. Przedstawiał jego ulubione zdjęcie rodzinne zrobione podczas wakacji w Portugalii. Byli na nim wszyscy; w krótkich spodenkach i letnich podkoszulkach stali na plaży, a za ich plecami majaczyły miękkie piaskowce klifów Algarve. Rodzice, uśmiechając się do aparatu, obejmują Ellie, po bokach on i Sam. Zdjęcie sprawiło, że Joe na chwilę przystanął. Mimo że patrzył na zdjęcie, zawsze gdy zaglądał do komputera, rozmowa z Samem przywołała wspomnienie tamtych wakacji. Ellie zginęła w niecały rok później.

Wziął głęboki oddech i kliknął ikonę przeglądarki. Wiedział, co robi. Na trzeźwo nigdy tam nie zaglądał, ale kiedy trochę sobie wypił, zachciewało mu się towarzystwa.

Internetowe randki. Zarejestrował się w portalu, ale próśby o spotkania ignorował.

Wystarczał mu sam fakt, że jest członkiem portalu – to mu dawało wrażenie, że wrócił do gry – jednak angażować się nie miał ochoty. Zaczął przeglądać strony i czytać profile, wyobrażając sobie, co by było, gdyby nawiązał kontakt. Robił to tylko po to, żeby poczuć to mrowienie oczekiwania, które już tak dawno nie

było jego udziałem.

Wstał, żeby zaciągnąć zasłony, ale przy oknie na moment zastygł. Po drugiej stronie kanału dostrzegł jakiś błysk, jakby światła latarni wzdłuż brzegu pochwyciły lśnienie czegoś metalowego. Przypomniawszy mu się mężczyzna, którego widział przed swoim biurem. Wyłączył światło, żeby lepiej widzieć, co się dzieje za oknem, i przycisnął twarz do szyby. Zauważył jakiś ruch – kogoś szybko idącego.

Odsunął się od okna. Ktoś go obserwował.

Rozdział 14

Jego łkanie zagłuszało odgłosy poranka. Nie słyszał śpiewu ptaków, echa rozmów, szumu ruchu ulicznego. Do jego uszu docierało tylko własne nieustające zawodzenie. Zakrywał ramionami głowę, próbując odciąć się od hałasu wspomnień. Dręczyły go całą noc, napływały falami krzyków i płaczu, nie pozwalały zasnąć. Czy tak już będzie zawsze? Nigdy nie zapomni?

Czy chciał za wiele, oczekując, że zdoła usunąć z pamięci to, co się wydarzyło, żeby nie musiały go torturować obrazy ich ostatnich chwil? Strach w ich oczach, dezorientacja. Za każdym razem chciał je przeproszać, tłumaczyć, że nie tak miało być, ale w tych ostatnich kilku sekundach to już było bez znaczenia.

Więc zżerała go tęsknota za ciszą, która nie nadchodziła.

I nie tylko tych wspomnień się bał. Przerażało go też, że kiedy się w nich pogrążał, dostawał wzwołu. Podniecenie rosło stopniowo przez całą noc. Ale nie powinien tak myśleć, bo odbierał sobie nawet tę resztkę przyjemności. Tylko że to było złe. Zbyt wiele się wydarzyło. Jakim potworem się stał?

Próbował dać sobie z tym radę, zakorzeniając wszystko w przyjemności, ale te kilka minut w pułapce fantazji stanowiło wyjątek, na koniec zawsze pojawiał się wstyd i wstręt. Nazywał to fazą końcową, gdy namiętność się rozpraszala, a on zostawał ze strachem, że go nakryją, lub zalewem wyrzutów sumienia.

Zamiast więc ulec podnieceniu, przyglądał się, jak światło dnia powoli obejmuje posadzkę, zimną i chropowatą, niczym pełzające ramię sprawiedliwości. Naciągnął na siebie koc i zwinął

się w kłębek, myśląc, że może zdoła zasnąć, przynajmniej na chwilę, choć czuł, że szansa na sen bezpowrotnie minęła.

Wiedział, że to, co robi, jest złe, dlatego miał nadzieję, że wystarczą mu same wspomnienia, ale wspomnienia to nie to samo co doświadczenie na żywo, zwłaszcza gdy gnała go potrzeba znalezienia kogoś nowego.

Zamknął oczy, czując pod powiekami pieczenie łez. Policzki miał rozognione. Znowu to samo; powróciły wyrzuty sumienia, jak mroczny cień zakradający się do jego myśli i niszczący przyjemność. Wraz ze wspomnieniem dotyku jedwabistych włosów pojawiała się wspomnienie krzyków – pełnych strachu lub paniki. Szamotanina ze sznurami, przerażenie z powodu opaski na oczach, aż w końcu przychodziły te ostatnie zduszone chwile, ostatnie wierzgnięcie nogami, a potem znieruchomienie. Obrazy powracały, a on zaciskał zęby. To nie o to chodziło, nigdy o to nie chodziło, ale jak mógł pozwolić im odejść, skoro wtedy wszystko musiałyby się skończyć?

Na koniec i tak dopadłaby go samotność. Nie byłoby nikogo, kto by mu ulżył w bólu, kto by go pocieszył, tak żeby potem mógł normalnie funkcjonować. A wszystko przez piękną, czułą, namiętą miłość. Czy to nie jest jakieś wytłumaczenie, że nie chodziło wyłącznie o niego samego?

Usiadł, zrzucając koc na podłogę. Musi się wziąć w garść. To przecież miał być nowy początek.

Ale wiedział, że to pusta gadanina. Nie był wystarczająco silny.

Znów spojrzał na pas światła na podłodze i zacisnąwszy powieki, objął głowę ramionami. Żle to wszystko obmyślił. Pomylił się. Nie wytrzyma tego.

Rozdział 15

Sama obudziło brzęczenie komórki, która leżała na małej komódce obok łóżka. Uniósł głowę i zerknął na zegar. Piąta trzydzieści. Przetarł oczy. Za wcześnie, żeby wstawać.

Sięgnął po telefon. Zamierzał wcisnąć guzik połączenia, ale zobaczył, że to znowu ktoś z zastrzeżonym numerem. Podciągnął

się w górę; komórka wibrowała mu w dłoni. Śpiąca obok Alice niespokojnie się poruszyła. Komórka nadal wibrowała, aż w końcu, gdy wiadomość została przekazana do skrzynki, znieruchomiała.

Sam się położył. Usiłował zapomnieć o telefonie. Wiadomość nie zniknie, odsłucha ją, kiedy wstanie. Zresztą mogło chodzić o coś innego. Jakiś handlowiec chce mu zaproponować kupno polisy ubezpieczeniowej lub podróbki programu antywirusowego. Jednak wciąż nie mógł zapomnieć o wiadomości w skrzynce; myśl o niej drażniła go jak swędząca wysypka. Im bardziej starał się ją odeprzeć, tym trudniej mu było ją zignorować. Przyglądając się, jak za zasłonami dzień staje się coraz jaśniejszy, z każdą minutą coraz bardziej się rozbudzał. Obok niego Alice oddychała równo i głęboko, on zaś walczył z chęcią zajrzenia do telefonu, żeby sprawdzić, czy to ta sama wiadomość co zawsze.

Przekręcił się na brzuch i ubił poduszkę, chciał wrócić do snu, ale jego myśli powędrowały do wieczora poprzedniego dnia. Zakończenie nie było najmiłsze, ale Sam nie potrafił trwać w gniewie. Joe był jego bratem. A to coś znaczy.

Alice znów zaczęła się wiercić.

– Co się dzieje? – zapytała zaspąnym głosem.

Miał ochotę zignorować pytanie, ale widząc, że Alice podpira się na łokciu, zrozumiał, że żona mu nie odpuści.

– Nic. Takie tam sprawy z pracy.

Alice przez chwilę milczała, potem zapytała: – Mają jakiś związek z Joem?

– Dlaczego tak sądzisz?

– Wczoraj wróciłeś z pracy rozkojarzony, a przecież nie byłeś tam długo. Sądziłam, że otrząśniesz się u Joego, ale wróciłeś w jeszcze gorszym nastroju. Prawie się do mnie nie odzywałeś i nawet z dziewczynkami bawiłeś się tak, jakbyś nie miał na to ochoty. To do ciebie niepodobne.

Sam nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć. Emily, trzylatka, same loczki i mnóstwo radości, akurat się kąpała. Amy, która dopiero zaczynała raczkować, bawiła się w pokoju obok.

Zwykle to była jego ulubiona cześć dnia – zabawa z córkami. Ale teraz nawet nie mógł sobie przypomnieć, jak się czuł minionego wieczoru.

– Nie jestem w zespole, ale inspektor w ramach pomocy poprosiła mnie o coś, co mi się nie spodobało. Chciała, żebym go szpiegował.

– Kogo? Joego? – Alice usiadła. – Dlaczego? Co on takiego zrobił?

– Chodzi o jednego z jego klientów. Został oskarżony o morderstwo. Zabił dziewczynę i córkę, ale nie możemy znaleźć ciała.

Alice była zdumiona.

– To możecie oskarżyć kogoś o morderstwo mimo braku ciała?

– Tak, pod warunkiem, że mamy pewność, że ofiary nie żyją.

– A czego wydział chce od Joego?

– Liczyli, że puści parę, zdradzi klienta, tylko dlatego, że jestem jego bratem. Nie zrobił tego, o czym powinienem był wiedzieć. Gdyby wyszło, że przekazał mi tajemnice klienta, usunęliby go z palestry.

– Więc co zrobisz?

– Powiem inspektor Evans, że Joe nie chciał mówić, że jest porządniejszym człowiekiem, niż zakładała. A potem wrócę do swojego małego biura.

Alice przełożyła mu rękę przez pierś; na boku poczuł jej ciepłe ciało.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Samie Parkerze.

Leżeli tak przez kilka minut. Alice oddychała coraz wolniej, aż w końcu znowu zasnęła.

Sam starał się pójść w ślady żony, ale ilekroć spoglądał na zegar, tylekroć w oczy rzucało mu się migające w komórce zielone światełko. Wiadomość głosowa.

Ciekawość nie odpuszczała, więc po kolejnych pięciu minutach ziewania i wiercenia się, przesunął się na brzeg łóżka,

spuścił nogi na podłogę i najpierw sięgnął po ubranie, potem po telefon.

Zszedł na dół do komputera. Stał w pokoju jadalnym, upchnięty w róg, żeby mogli udawać, że go tam nie ma. Alice wykorzystywała go do robienia zakupów przez internet i do oglądania wystawianych na sprzedaż zagranicznych domów; marzyła, że kiedyś taki kupią, chociaż wiedziała, że nigdy nie będzie ich na to stać. Komputer startował, a Sam szukał kabla do podłączenia telefonu. Wszystkie kable miał pochowane w oddzielne torebki, tak żeby się nie plątały, ale kilka pojedynczych sztuk leżało jeszcze w puszcze po ciastkach. Na jej dnie znalazł właściwy kabel z małymi czarnymi wtyczkami typu jack.

Odszukał na obudowie wejście na mikrofon i wetknął w nie wtyczkę. Przewinął listę z programami, aż znalazł ten do nagrywania, i zmienił ustawienia tak, żeby sygnał wejściowy był jak najlepszy. Był gotowy.

Zadzwoił na skrzynkę, żeby się upewnić, że znajdzie na niej to, czego oczekiwał; natychmiast, gdy usłyszał krzyki, a potem błaganie, poczuł szarpnięcie w piersi. Wsunął wtyczkę do właściwego otworu w telefonie, przycisnął guzik nagrywania na komputerze, a potem odegrał wiadomość. Patrzył, jak migające paski licznika rosną i opadają. Świeciły się głównie na zielono, ale chwilami osiągały poziom, przy którym kolor zmieniał się na czerwony.

Wtedy czuł ucisk w żołądku. W końcu ruch pasków stał się wolniejszy. Sam liczył mijające sekundy. Dwadzieścia. Trzydzieści. Zwykle po tym czasie kończył połączenie. Po pięćdziesięciu sekundach licznik znieruchomiał, więc zatrzymał nagrywanie.

Odłączył telefon i przystawił do ucha. Automat w poczcie głosowej odtwarzał opcje. Zapisał plik z nagraniem. Cokolwiek zawierała wiadomość, miał to teraz na komputerze.

Był zmęczony, ale choć wiedział, że byłoby miło przytulić się do ciepłego ciała żony, nie wrócił do łóżka. Był za bardzo roztrzęsiony. Usłyszał kliknięcie włączającego się centralnego

ogrzewania i szum wlewającej się do grzejników wody; mimo lata z rana w domu bywało zimno.

Na zewnątrz słychać było śpiew ptaków, radośnie witających nowy dzień, ale Sam był skoncentrowany tylko na buczeniu komputerowego wentylatora.

Znalazł słuchawki, założył je, potem przeszukał folder dźwiękowy. Jego palce na sekundę znieruchomiały nad klawiszem myszki. W końcu, gdy poczuł, że jest gotowy, najechał myszką na przycisk „play”. Zamknął oczy, żeby się odciąć od wszystkiego poza nagraniem. Chciał go wysłuchać jak najdokładniej.

Najpierw usłyszał płacz, ale nie rozpaczy. Raczej wyrażający bezradność, w połowie błagalny, w połowie przepełniony przerażeniem. Potem rozległ się pierwszy krzyk. Wzdrygnął się. Krzyk nagle ustał, jakby ktoś został zakneblowany. Teraz słyszał stłumioną szamotaninę. A potem znowu krzyk, tym razem głośniejszy, wyższy, bardziej rozpaczliwy.

Rzucił słuchawki na biurko. Ręce mu się trzęsły. Na czoło wystąpił pot i poczuł, że na całym ciele ma gęsią skórę. Krzyki były prawdziwe, był tego pewien. To nie była ścieżka dźwiękowa z jakiegoś filmu, bo wtedy krzyk byłby tylko głośnym hałasem, o jednolitym natężeniu. Nie da się wiernie odtworzyć takiego przerażenia, bo wypływa z samych trzewi, niekontrolowanie.

Jednak nie mógł tego unikać. Musiał jeszcze raz odsłuchać nagranie. Jeśli było prawdziwe, ktoś mu je przysłał celowo. Jest glina, to prawda, ale zajmuje się oszustwami finansowymi i lewymi kontami. A tu chodziło o coś innego, o przemoc.

Znowu założył słuchawki, mówiąc sobie, że tym razem musi się bardziej skupić na samym nagraniu. Wcisnął guzik odtwarzania i opuścił głowę. Usłyszał to samo co wcześniej – pierwszy krzyk wstrząsnął nim, jakby przeszył go prąd. Zaciśnął zęby i słuchał dalej. Znowu odgłos kneblowania, zduszone sapanie, ale usłyszał coś więcej, chyba głos kogoś jeszcze i ciche szuranie, jakby ktoś się z kimś mocował; potem w uszy uderzył go drugi krzyk. Sprawił, że gwałtownie się wyprostował i szeroko otworzył

oczy, jakby to on sam był przerażony, jakby przeniosło go z rogu pokoju tam, gdzie toczyła się walka.

Gdzieś w tle coś zahuczało, jakby jakiś silnik. Czyżby miejsce znajdowało się w pobliżu drogi? Ale pojazd poruszał się wolno. I towarzyszył temu dziwny hałas. Regularne brzęczenie.

Nagranie się skończyło i Sam odłożył słuchawki na stolik. Jego klatka piersiowa poruszała się ciężko w górę i w dół, usta miał wyschnięte. Wiadomość miała jakieś znaczenie i była skierowana do niego.

Wiedział, że nadchodzący dzień nie będzie dobry.

Rozdział 16

Joe przytknął dłonie do ust i dmuchnął. Przetrawiony alkohol. Pod oczami miał wory i był otepiał. Przesadził z piciem, ale przecież to były jego urodziny. Jednak teraz, przed przesłuchaniem w sądzie musi się wziąć w garść. Sędziowie są w stanie tolerować słabych adwokatów, ale nieprzygotowanych nie trawia. Więc musi się postarać i wypaść błyskotliwie.

Ostry stukot obcasów Moniki i donośny furkot ulicznej zamiatarki, czyszczącej chodnik przed Szwajcarską Restauracją, przeszywały mu czaszkę, gdy maszerowali przez Crown Square. Nie zatrzymując się, Joe obejrzał się za siebie, ale nic podejrzanego nie rzuciło mu się w oczy. Sami odpicowani prawnicy, którzy w ramach śniadania popijali kawę z piankowych kubków, i jacyś ludzie przed wejściem do sądu, skurczeni i zdenerwowani – rodziny i pełnomocnicy oraz łatwi do rozpoznania pozwani w kiepsko skrojonych garniturach, nerwowo ćmiący papierosy.

– Co się dzieje? – zainteresowała się Monica. Kiedy Joe na nią spojrział, poczerwieniała. – Nie chcę się wtrącać w nie swoje sprawy, ale wyglądasz, jakby coś cię gryzło.

Potrząsnął głową.

– Nie, wszystko jest okej – zapewnił i posłał jej uspokajający uśmiech, chociaż ciągle nie mógł zapomnieć o mężczyźnie przed biurem i o przeczuciu z zeszłego wieczoru, że ktoś go obserwuje.

Celem ich wyprawy był Sąd Koronny. Stał blisko Sądu Pokoju, ale to był zupełnie inny świat.

W Sądzie Pokoju zawsze panował chaos, sprawy, zwykle o mniejsze wykroczenia, rozpatrywano w zgiełku kłótni przekrzykujących się stron, a pozwani, dla których wezwanie do stawienia się stanowiło co najwyżej irytujące zawracanie głowy, chodzili po gmachu zupełnie zrelaksowani. Natomiast Sąd Koronny był miejscem poważnym. Adwokaci nosili peruki i togi, ludzi wysyłano tu do więzienia na długi czas. Nawet stali gracze denerwowali się, gdy przekraczali progi tego sądu.

Z zewnątrz budynek wyglądał nowocześnie, miał oprawę z lat siedemdziesiątych z mnóstwem betonu i oszklonym frontem, tak że z ulicy widać było osoby stojące na korytarzach.

Wejścia do sal były mniej widoczne, niemniej o poczuciu prywatności trudno tu było mówić. Ale już wystrój samych sal, pozbawionych okien i wyłożonych drewnianymi panelami, był jak najbardziej tradycyjny.

Joe udał się prosto do terminalu, żeby zapisać się na rozprawę Ronniego.

– Kto reprezentuje stronę oskarżenia? – zainteresowała się Monica. – Muszę zacząć poznawać tych ludzi.

Zerknął na ekran.

– Kim Reader, jak wczoraj – mruknął i mimowolnie się uśmiechnął.

– Znasz ją?

– Tak, to stara znajoma. To ona prowadzi tę sprawę z ramienia prokuratury.

– To dla nas dobrze?

– Nie. W tym gmachu nie robimy sobie przysług. Kim to ostra zawodniczka, więc nie daj się zwieść jej serdeczności. Jest ambitna i dobra w tym, co robi, i jeśli to pomoże jej sprawie, bez skrupułów ośmieszycie ją przed sądem.

– Miałeś już takie doświadczenie?

– O tak. I szybko się nauczyłem, żeby nie dawać się zwodzić jej miłej powierzchowności.

Kim gra uczciwie, ale nie łudź się, że ci czegoś oszczędzi, jeśli wypatrzy twój słaby punkt.

– Mówisz, jakbyś ją dobrze znał.

Joe, odpowiadając, starał się nie pokazać, że rzeczywiście dobrze znał Kim.

– Studiowaliśmy razem, to wszystko, chociaż Kim ustawiła sobie poprzeczkę wyżej niż ja.

– To znaczy?

– Wciąż masz głowę nabitą prawem, to widać. Też taki byłem. I choć teraz twoja praca wygląda tak, jak wygląda, to gdy już skończysz aplikację, twoim zadaniem będzie wyrobienie zysków dla firmy. Tak już po prostu jest. Ale Kim Reader to inna para kaloszy. Jest prokuratorem, więc spokojnie może się bawić w bycie prawnikiem. Ale ona też ma słabe punkty.

– Czyli?

Joe się uśmiechnął.

– Lubi mieć kontrolę. Będzie chciała sama prowadzić proces.

– To możliwe?

– Tak, chociaż wystąpi tylko w roli młodszego prokuratora. Strategię określi starszy prokurator, ale Kim w razie czego nie cofnie się przed niczym. Poza tym ta cała sprawa z kontrolą oznacza coś jeszcze: Kim nie lubi przegrywać. Będzie twardo walczyła, lecz jeśli uzna, że sprawa jest przegrana, wycofa się. Nie wszyscy prokuratorzy są tacy. Niektórzy czepiają się najmniejszej nadziei na wygraną i czasami ma to sens, chociaż na ogół nie.

– A ty? – pytała dalej Monica. – Też sam poprowadzisz tę sprawę?

Joe pokręcił głową.

– W zeszłym roku uzyskałem prawo do występowania w sądach wyższej instancji, ale za mało rozpraw mam na koncie, żeby występować w procesie o morderstwo. To poważna sprawa, a nie okazja, żeby się lansować. Chodź, poszukamy Kim.

Poszli do sądowej poczekalni, jednego z wielu pokojów na korytarzu. Drzwi, jak wszystkie inne, były zwyczajne, chociaż

zaopatrzone w cyfrowy panel. Joe przed wejściem na chwilę przystanął. To tutaj wygrywało się najtrudniejsze bitwy, podczas których odpowiednie nastawienie mogło uratować ugodę. To była też arena odwiecznej walki klasowej – adwokaci z mniejszymi uprawnieniami powoli, acz sukcesywnie przejmowali terytorium od obrońców sądowych, do niedawna posiadających wyłączne prawo do prowadzenia spraw w sądach wyższej instancji. Dlatego stara wiara, z jej poszarzałymi od dymu cygar perukami i wypłowiałymi czarnymi togami, żeby się bronić, zaczęła tworzyć kliki – brud i obszarpanie jako symbole honoru przeciwko nieskazitelnym garniturkom adwokatów niższego szczebla. A to wszystko znaczyło, że Sąd Koronny zyskiwał uliczny sznyt, zarazem tracąc jednak część wyrafinowania.

Kiedy otworzył drzwi, ludzie wewnątrz spojrzeli w jego stronę. Większość zaraz odwróciła głowy. Nie przejął się tym. Tego się spodziewał.

Pokój był długi i wąski, z szafkami po jednej stronie i regałami zastawionymi prawniczymi księgami po drugiej. Na środku stały biurka, w większości zajęte i zavalone dokumentami.

Siedzieli przy nich obrońcy wraz ze swoimi doradcami prawnymi, nastawieni do nich obronnie, ale też próbujący ich nie wkurzać, gdyż często byli zależni od ich porad. Ale Joe wiedział swoje. Słyszał rozmowy obrońców, kiedy im się wydawało, że są tylko w swoim gronie. Słyszał, jak narzekali, że tacy ludzie jak on, to zbyt tchelnymi intruzi, zwykli pośrednicy, bez doświadczenia i sprytu, jakie do sprawy wnosili oni, oficjalni obrońcy. Była w tym jakaś prawda – dobry obrońca wart jest każdych pieniędzy – ale Joe widział zbyt wiele przegranych spraw z winy obrońcy, który uważał, że w procesie chodzi o honorarium, i dlatego po prostu odbębniał swoją robotę. Joe był zawsze przygotowany na walkę i nigdy nie brał pod uwagę opcji, że może się poddać. Z prostej przyczyny: to on na co dzień musiał wysłuchiwać narzekań klientów na opóźnienia albo na inne, pozornie mało znaczące rzeczy, na przykład na więzienny wikt.

Rzucił torbę na krzesło i wyciągnął wykrochmalony biały

kołnierzyk. Kiedy go przypinał złotą zapinką do białej gładkiej koszuli, popatrzył na pokój i zawołał: – Ktoś widział Kim Reader?

Rozległ się szelest podnoszonych głów, które natychmiast z powrotem pochyliły się nad dokumentami. W końcu ktoś odpowiedział z przeciwległego rogu: – Poszła na salę.

Joe włożył czarną tokę i ruszył do drzwi, kiwając na Monicę.

Nie czuł się swobodnie w todze; pierwszą dekadę swojej praktyki spędził, krążąc po korytarzach Sądu Pokoju w tanim garniturku. Archaiczny i formalny strój wymagany w Sądzie Koronnym był niewygodny. Dusił się w nim. Na szczęście nie musiał nosić peruki. Jednak, gdy wyszedł na korytarz, zauważył, że inni młodzi prawnicy nie cierpią tak jak on. Chociaż togi, ciężko zwisały na ich ramionach, żwawo kroczyli korytarzem, połyskując białą dokumentów zwiniętych w rulon i wetkniętych pod pachy. Starsi prawnicy już się tak nie spieszyli; byli jak powolniejsza, bardziej zaniedbana wersja tych młodszych.

Kim Reader stała w głębi korytarza, pogrążona w rozmowie z dwoma mężczyznami w garniturach. Policyjnymi detektywami, chociaż nie tymi samymi co dzień wcześniej. Wyglądała bardzo elegancko w ciemnej garsonce i lakierowanych pantoflach na obcasie, jej jasna peruka ostro się odcinała od opadających na ramiona ciemnych włosów.

Joe zwolnił, żeby wrzucić do ust miętówkę, potem odwrócił się do Moniki.

– Skontaktowałaś się z matką Ronniego?

– Tak, powiedziała, że przyjdzie – potwierdziła Monica i wskazała na siedzącą samotnie kobietę z torebką na kolanach i w obszernym brązowym palcie, mimo że na zewnątrz było ciepło. – To pewnie ona.

Starsza pani spojrzała w ich stronę, więc Joe do niej podszedł.

– Pani Bagley?

Kobieta kiwnęła głową.

– Reprezentujemy Ronniego. – Ponieważ kobieta nie

odpowiedziała, zapytał: – Czy Ronnie będzie mógł się u pani zatrzymać?

– A myśli pan, że go wypuszczą?

– Zapewne nie – odparł. – Ale na wszelki wypadek wolę wiedzieć.

Kobieta popatrzyła mu w oczy, potem spojrzała na Monicę.

– Tak – mruknęła niepewnie. – W porządku, niech będzie. I mam na imię Winnie.

– Dobrze, Winnie, dziękuję – rzekł Joe i odszedł do Kim.

Kiedy go zauważyła, uśmiechnęła się i przełożyła papiery do drugiej ręki, żeby nie tworzyły między nimi bariery.

– No, Joe, wciąż nie wiem, jak ci się udało wycyckać Mahones z tej sprawy.

– Preferencje klienta – odparł, kiwając głową w stronę dwóch mężczyzn w garniturach. Nie doczekał się odpowiedzi. – Jestem tylko na usługach Ronniego. Ciekawe, czy dzisiaj wyjdzie?

Kim krótko się zaśmiała.

– Dobrze wiesz, że morderców nie wypuszcza się z aresztu.

– Jej słowa wywołały uśmiech na twarzach detektywów.

– Może sędzia będzie chciał się wykazać kreatywnością – mruknął i pchnął drzwi prowadzące na salę sądową. Musi wymyślić jakąś linię obrony, choćby tylko na pokaz. Klienci oczekiwali, że ich obrońcy będą walili pięściami w stół, nawet jeśli to bezcelowe.

Monica weszła na salę za nim i odprowadziła Winnie Bagley na galerię dla publiczności. Joe nie chciał, żeby Kim się domyśliła, jakie ma plany, dlatego szybko przymknął drzwi.

Potrzebował zostać sam; musiał się jeszcze czegoś dowiedzieć.

Rozdział 17

Sam Parker wszedł do centrum operacyjnego z oczami szczypiącymi z powodu niewyspania. Inspektor Evans stała w rogu pokoju i rozmawiała z dwoma mężczyznami w ciemnych garniturach. To byli ci sami, których Sam widział poprzedniego dnia. Sądząc po ich zadbanym wyglądzie, kontrastującym z

podwiniętymi rękawami koszul reszty załogi, domyślał się, że są detektywami w stopniu sierżanta. Evans usłyszała, że Sam wszedł, i obejrzała się w jego stronę, a potem coś szepnęła do swoich rozmówców. Obaj mężczyźni odwrócili się, żeby spojrzeć na Sama.

– I jak tam pogaduszki z bratem? – spytała Evans. – Dowiedziałeś się czegoś pożytecznego o Ronniem Bagleyu?

– Nie, przykro mi – odparł, kręcąc głową. – Joe nie opowiada o swoich klientach, tak jak się zresztą domyślałem. Wspomniałem w rozmowie, że doszły mnie słuchy, że reprezentuje Bagleya, ale on to po prostu przemilczał. Ten temat był dla niego zamknięty.

– Prawnik przestrzegający etyki? – zakpiła Evans, choć zaraz dodała: – Godne szacunku.

Tak czy inaczej, warto było spróbować. – Ponieważ Sam milczał, bo nie wiedział, co ma odpowiedzieć, Evans, zerknąwszy na sierżantów, zaproponowała: – Przejdźmy do mnie, dobrze?

Poszedł za policjantką do małego biura, które już znał. Panował tam jeszcze większy bałagan niż poprzedniego dnia: oprócz sterty dokumentów na biurku leżały opakowania po jakichś daniach na wynos i dwa kubki po kawie. Evans wskazała mu krzesło, a gdy usiadł, powiedziała: – Wiesz, dlaczego chciałam, żebyś przyszedł i powiedział mi to osobiście?

– Zastanawiałem się – przyznał. – I doszedłem do wniosku, że patrząc mi w oczy, chcesz sprawdzić, jak dalece byłem lojalny wobec brata.

– A byłeś?

– Nie, nie sądzę – odrzekł. – Poza tym ta prośba nie powinna była paść, pani inspektor.

Evans odchyliła się na oparcie krzesła i wyduła usta, a Sam, chociaż nie czuł się swobodnie, wytrzymał spojrzenie policjantki. W końcu ta znów się odezwała: – Masz rację. Nie powinnam była cię stawiać w takiej sytuacji. To była taka szarada, próba sprawdzenia cię. Okazja się trafiła, kiedy twój brat przejął Ronniego. – Evans znów się pochyliła i położyła ręce na biurku. –

Jednak prawdziwy powód, dla którego cię wezwałam, był inny. Chodziło o Bena Granta.

Sam był zaskoczony.

– Co? O tego Bena Granta?

– A jest inny? A ponieważ to był twój moment chwały, to na pewno świetnie pamiętasz sprawę.

Sam głośno wypuścił powietrze.

– Nie miałem szansy zapomnieć – odrzekł, wracając pamięcią do nocnej zmiany sprzed ośmiu lat i rutynowego patrolu w oznakowanym wozie. Całą policję postawiono wtedy w stan czujności po tym, jak w parkach na terenie Manchesteru znaleziono zwłoki trzech dziewczynek, dwie miały po dziesięć lat, jedna dziewięć. Wszystkie porwano, uduszono i zgwałcono. Rozebrane i zakrwawione morderca porzucał w krzakach jak śmieci. Oprócz zamordowanych dziewcząt zniknęły jeszcze inne dzieciaki, jednak ich ciał nie odnaleziono, dlatego atmosfera w mieście była bardzo napięta.

Sam przejeżdżał obok parku, jadąc z centrum na południe, gdy nagle dostrzegł jakiś ruch w zaroślach u podnóża nasypu kolejowego. Nie było to nic specjalnego, zaledwie błysk czegoś jasnego i poruszające się gałęzie, on to jednak zauważył.

Mogło chodzić o coś nieszkodliwego, może ktoś potrzebował się załatwić, ale instynkt mu podpowiadał, że sytuacja jest poważniejsza. Wyskoczył z samochodu i pobiegł do krzaków, wrzeszcząc do krótkofalówki. Kiedy się zbliżył, z zarośli wolno wyłonił się Ben Grant z rękoma w górze, całkiem uległy, i Sam pomyślał, że coś jest nie tak, bo Grant nie próbował uciekać ani się bronić. Po prostu odwrócił się, ostatni raz spojrzął w stronę krzaków, a potem wolno podszedł.

Sam przyszykował gaz pieprzowy i warknął, żeby Grant się pochylił. Sądził, że Grant rzuci się do ucieczki przez park, ale on opadł na kolana i wystawił ręce, żeby go zakuć. Samowi wydawało się, że usłyszał jakiś odgłos przy nasypie, że kątem oka dostrzegł jakiś ruch, ale musiał całą uwagę skupić na Grancie.

Kiedy już go zakuł, poświecił w stronę krzaków latarką,

która niemal wypadła mu z dłoni, gdy światło odbiło się od czegoś jasnego.

Były to nogi martwej, nagiej dziewczyny; jej ubrania leżały obok, upchnięte w plastikowej torbie. To były pierwsze zwłoki, z jakimi miał do czynienia, i chociaż usiłował zachować spokój, ręce mu się trzęsły, a po twarzy spływał pot. Grant za to był dziwnie opanowany, a nawet sprawiał wrażenie zadowolonego.

Dziewczyna była czwartą z kolei ofiarą, którą Grant, zwabiwszy do swojej furgonetki, udusił, zgwałcił, a potem zamordował. Z prostego robotnika stał się najbardziej nienawidzoną postacią brukowców. Jednak jego zła sława nie opierała się jedynie na przestępstwach, które popełnił, chociaż były straszne. Chodziło też o to, jak uwielbiał skupiać na sobie uwagę, jak się szczyrzył i machał do dziennikarzy, gdy ci filmowali jego krótkie przejście do więziennej furgonetki, i jak wykorzystał proces do opisania ze szczegółami tego, w jaki sposób porwał ofiary i je mordował. Nie miał obrońcy. Zależało mu jedynie, żeby wszyscy wysłuchali jego przechwałek.

Sam dostał pochwałę, ale nie był z siebie dumny – jego zdaniem nic, co w jakiś sposób przypominało morderstwo popełnione na jego siostrze, nie było warte świętowania.

Spojrzał na Evans.

– Dlaczego Ben Grant? Przecież siedzi.

– Widziałeś te młode dziewczyny na plakatach?

– Te plakaty wiszą we wszystkich komisariatach – odparł, przypominając sobie te, którym się przyglądał poprzedniego dnia w centrum operacyjnym. Pomyślał też o odezwach i próbach odtworzenia wydarzeń podawanych przez różne stacje telewizyjne.

– Wszystkie cztery zagięły, prawdopodobnie nie żyją – kontynuowała Evans. – Po pierwszych dwóch zaginięciach uważaliśmy, że nic ich nie łączy, że nawet jeśli dziewczyny porwała ta sama osoba, to był to przypadek, ale teraz mamy inne zdanie, bo ofiary jednak coś łączy. Powiem ci, o co chodzi, ale to musi zostać w tych ścianach. Jeszcze tego nie upubliczniliśmy. Sprawa ma związek z tobą.

Sam szeroko otworzył oczy.

– Ze mną? Cóż, no tak, pewnie zaraz zrozumiem.

Evans zniżyła głos i powiedziała: – Wszystkie ofiary mają związek z osobami zaangażowanymi w sprawę Bena Granta.

– Związek? To znaczy?

Evans sięgnęła po jeden z plakatów leżących na podłodze obok jej biurka. Pokazała palcem na ładną, uśmiechniętą rudowłosą dziewczynę.

– Samantha Crane. Pierwsza zaginiona. Jednym z detektywów, który prowadził dochodzenie w sprawie Granta, był Jimmy Crane. Kiedy Samantha zniknęła, o istnieniu Granta nie mieliśmy jeszcze pojęcia. Ale Samantha zniknęła z domu jednego z naszych i tylko to się liczyło. – Evans pokazała na młodą jasnowłosą dziewczynę w balowej jaskrawoniebieskiej sukni. – Potem zniknęła Gilly Henderson. Jednym z mecenasów prokuratury był Bill Henderson.

Wciąż nie kojarzyliśmy. Sprawa Bena Granta nie była jedyną, przy której Crane i Henderson pracowali razem, a zresztą, z jakiego powodu mielibyśmy myśleć o Grancie? Siedzi za kratkami i prawdopodobnie nigdy nie wyjdzie na wolność.

– Więc co sprawiło, że zmieniliście zdanie?

– Emily Brooker – odrzekła Evans, pokazując na czarnoskórą dziewczynkę na plakacie; długie, kręcone włosy, śnieżnobiałe zęby, wesółą twarz, zalotny uśmiech. – To córka jednej z techników kryminalistycznych. To wtedy zaczęliśmy rozpracowywać powiązania. Wiedzieliśmy, że chodzi o coś, co ma związek z policją, więc zrobiliśmy listę wszystkich spraw, przy których matka Emily i ojciec Samantha pracowali razem. Daliśmy listę ojcu Gilly, prawnikowi, i gdy ten przejrzał faktury, jedyną osobą, która pasowała, był Ben Grant. Znaleźliśmy ogniwo łączące.

Sam przez chwilę myślał, potem zapytał: – Rozmawialiście z nim?

– Próbowaliśmy, ale nie chce z nami gadać. Nie możemy go zmusić, bo nie wiemy, czy coś wie. – Evans gorzko się

roześmiała. – I oczywiście, nie możemy go aresztować. Ma dość mocne alibi, skoro siedzi w pierdlu.

– Co z czwartą ofiarą, tą Hinduską?

– Arshafi Devi – mruknęła Evans. – Nawet jeśli wcześniej mieliśmy jeszcze jakieś wątpliwości, to Arshafi wszystkie rozwiązała. Jej ojciec był jednym z sędziów, którzy skazali Granta. Córka sędziego... To już coś więcej niż tylko ogniwo.

– Kiedy zaginęła ostatnia ofiara, ta Arshafi?

– Dwa miesiące temu – odpowiedziała Evans. – Jak w przypadku pozostałych, śledztwo utknęło w martwym punkcie. Wiemy tylko, że dziewczyna nie wróciła do domu, i nie wiemy, dokąd poszła tamtego wieczoru. Ale potem coś się zmieniło, i dlatego chciałam cię sprawdzić, popatrzeć sobie na ciebie.

– Mów – zachęcił ostrożnie Sam.

– Wczoraj mieliśmy telefon. Z więzienia. Grant zmienił zdanie. Zgodził się rozmawiać, ale postawił warunek.

– Co go zmusiło do zmiany zdania?

– Nie wiemy – przyznała Evans. – Mamy nadzieję, że ty się tego dowiesz.

Sam poczuł zakłopotanie.

– Nie rozumiem.

– Grant powiedział, że będzie rozmawiał, ale tylko z tobą.

Rozdział 18

Joe siedział na sali sądowej, ręce trzymał na stole. Robił wrażenie spokojnego, ale jego stopy pod stołem wybijały szybki rytm. Monica siedziała tuż za nim, obserwując, ucząc się.

Dochodziła dziesiąta. W sali panowała dziwna cisza. Woźny sądowy nie zwracał na Joego najmniejszej uwagi, za to protokolantka, ilekroć zerkał w jej stronę, błyskała ku niemu białą koronką eleganckiej bluzki. Kim siedziała z przodu w pierwszym rzędzie ławek i odczytywała coś z telefonu. Wiedział, dlaczego tak się zachowuje – żeby policja nie zarzuciła jej, że zbyt się brata z obroną. Gdy w pobliżu był ktoś, kto mógł na nią donieść, stawała się niedostępna.

Salę zapępniały długie rzędy drewnianych stołów i

składanych krzesel. Z tyłu było miejsce dla oskarżonych, a za nim galeria dla publiczności, składająca się z dwóch szeregów krzesel obitych czerwonym pluszem. Siedziała tam matka Ronniego, która patrzyła przed siebie otepiałym wzrokiem, jakby nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje. Joe odwrócił się do niej i kiwnąwszy głową, uśmiechnął się pokrępijając, ale kobieta nie zareagowała.

Przeniósł więc spojrzenie na zamontowany na ścianie monitor. Na wstępnych rozprawach, prowadzonych tylko przez sędziego, zdarza się, że więźniowie odpowiadają na pytania przez video, chociaż w tej akurat chwili na ekranie widać było tylko szarą kurtynę i stojącą przed nią tablicę z napisem HMP Manchester – oficjalną nazwą zakładu karnego Strangeways. Wreszcie po kilku minutach kompletnej ciszy na ekranie pojawił się Ronnie. Był ubrany w szarą bluzę i wytrzeszczając zaczerwienione oczy, patrzył prosto w kamerę. Obraz w obrazie na monitorze pokazywał, że wszystko, co Ronnie widział, to tylko pusty fotel sędziego.

Joe znowu rozejrzał się po sali. Jej wygląd stanowił wyraz tego, jak żalosne było życie Ronniego. Joe widywał już prawdziwe emocje w Sądzie Koronnym, gdy drzwi strzegli uzbrojeni po zęby policjanci, a wszyscy inni z zapartym tchem wyczekiwali pojawienia się zatwardziałego zabójcy lub ataku zemsty. Ronniego czekało więzienie, a mimo to jedynymi osobami obserwującymi jego pierwsze kroki na drodze za kraty były tylko matka, dwóch prawników, aplikantka i dwóch urzędników sądowych.

W pewnej chwili ciszę przerwał hałas. Joe się odwrócił. Do sali wszedł jakiś mężczyzna, który skierował się do krzesel dla publiczności. Mężczyzna usiadł w rogu, jakby nie chciał się rzucić w oczy, ale popatrzył na Joego, gdy już było oczywiste, że ten go zauważył. Joego zalała fala zaskoczenia. Rozpoznawał nieznajomego. To był ten sam gość, który poprzedniego dnia sterczał na ulicy przed jego biurem i patrzył w okna.

– Znasz tamtego mężczyznę? – zapytał. Kiedy Kim podniosła wzrok, kiwnął brodą, wskazując na tył sali. – Tego tam

w rogu.

Kim odwróciła się i pokręciła głową.

– Nie. To coś ważnego?

Joe chwilę się zastanawiał, po czym też pokręcił głową.

– Nie, wszystko w porządku.

Kim pokazała na ekran monitora.

– Nigdy nie wyglądają tak, jak się człowiek spodziewa – mruknęła. Wiedziała, że Ronnie nie może ich usłyszeć. Na mikrofonie świeciła się lampka wyciszenia.

– Kto, zabójcy? – upewnił się Joe, odwracając się, żeby też popatrzeć na Ronniego. – Ten jeszcze nim nie jest.

– Daj spokój z tymi gierkami, Joe. Możesz ostro walczyć, kiedy Ronnie cię słyszy, ale teraz rozmawiamy bez świadków, więc bądźmy realistami. Udowodnienie winy to nie to samo, co udowodnienie niewinności, dobrze o tym wiesz. Tyle że zawsze myślałam, że wina będzie wyraźnie widoczna, trochę jak plama na ubraniu lub coś w tym stylu.

Joe się uśmiechnął; czuł, że wraca mu przynajmniej część pewności siebie. Jego rozmowa z Kim była zwyczajową przedprocesową potyczką.

– Zabójcy nie noszą plaketek – rzucił. – Ale są wśród nas, mieszkają w bloku obok, mijamy ich na ulicy. Już tak jest. Jednak rozpoznać się ich nie da.

– No ale żeby zabić własne dziecko? Wyobrażasz sobie, jak bardzo trzeba być bezdusznym?

– Jesteś naiwna, Kim, a przynajmniej takie sprawiasz wrażenie. Żaden morderca, z jakim miałem do czynienia, nie powiedział mi całej prawdy. Można zebrać dowody, można przesłuchać świadków. Ale co naprawdę się wydarzyło, wiedzą tylko dwie osoby, i jednej z nich tu nie ma.

Zanim Kim zdążyła odpowiedzieć, zapytał: – Więc jakich argumentów użyjesz, żeby go zatrzymać w areszcie?

Kim drwiąco prychnęła.

– Uchylenie aresztu? Żartujesz? – Pochyliła się do niego jeszcze bardziej. – To pieprzony morderca, Joe, a ich się nie

wypuszcza.

Joe musiał ukryć uśmiech. Rozśmieszyło go przekleństwo, wypowiedziane z wyrafinowanym akcentem kosztownej uczelni.

– W porządku – mruknął. – Skoro tak, to wypuści go sędzia, bo jeśli nie zgodzisz się na wyjście za poręczeniem, doprowadzę do tego, że sąd odrzuci wniosek prokuratury.

– Chrzanisz. Nie masz podstaw, żeby się o to ubiegać.

– Wiem i wiem też, że będę zakrzywany, ale mogę wbić sędziemu do głowy, że macie bardzo słabe argumenty. Sama wiesz, jak sędzia potrafi zszargać sprawę. Jeśli uzna ją za wątpliwą, rozłoży ją na części składowe, kawałek po kawałku, aż nie zostanie nic, co można by przedstawić przysięgłym. Skończy się tak, że przegracie, a wszystko przez to, co powiem tu i teraz.

Rozdymające się płatki nosa i skrzywione usta powiedziały Joemu, że Kim intensywnie myśli. Starła się ustalić, co będzie dla niej gorsze – to, że Ronnie wyjdzie z aresztu za jej zgodą, czy że sędzia ustawi się negatywnie do zarzutów prokuratury.

– Dobrze wiesz, że w sprawie o morderstwo musisz podać jakieś argumenty za uchyleniem aresztu.

– Żaden problem. Podstawy oskarżenia są słabe i tak pozostanie, dopóki nie znajdziecie ciał.

– I bez nich mamy tyle, ile potrzeba.

– Czyżby? Znaczy, że nie spodziewacie się znaleźć więcej dowodów?

– Zaczniemy od tego, że dodatkowe dowody nie oznaczają, że sprawa od początku była słaba.

– Nie oznaczają – zgodził się – ale to, co macie, to jakaś składanka. Straciecie jeden element i zabraknie wam podstaw, żeby dokończyć proces. Choćby ta krew. To tylko jedna część układanki, a Ronnie ma na to wytłumaczenie.

– Założę się, że ma, Joe. Tylko niby kiedy tak mu się pamięć odświeżyła? Akurat, gdy przejąłeś jego reprezentację? Dlaczego nie podał tych wyjaśnień policji?

– O to pytaj ludzi z Mahones – odciął się. – Nie możesz karać człowieka za to, że miał złego pełnomocnika.

Kim chwilę milczała, potem zapytała: – Więc jak brzmi to wyjaśnienie w kwestii krwi?

Joe pokręcił głową.

– Jeszcze nie teraz, ale zgadzasz się, że jeśli Ronnie ma wytłumaczenie, to tracicie grunt pod nogami? – Próbował przekonać Kim, że nie ma szans na wygraną. Wiedział, że ona jeszcze nie odpuści, ale uważał, że jeśli od początku wzbudzi w niej wątpliwości, łatwiej ją będzie później namówić do odstąpienia od sprawy. Pokazał na monitor. – Mówiłaś o plamach. Sądzisz, że ten człowiek mógłby zabić własne dziecko? Naprawdę tak myślisz?

– Sam dwie minuty temu twierdziłeś, że oni bardzo różnie wyglądają.

– Ale zamordowanie własnego dziecka to coś innego. Od mordercy musiałby bić jakiś mrok.

W Ronniem nic takiego nie ma. Jest przerażony sytuacją, tą rozprawą, ale nie wygląda, jakby coś go dręczyło.

Kim nie miała czasu odpowiedzieć, bo drzwi za stołem na podniesieniu stanęły otworem i do sali sądowej wkroczył sędzia w peruce z końskiego włosia i z czerwoną szarfą przepasującą jedwabny strój. To był naczelny sędzia okręgowy, najstarszy służbą, nadzorujący sprawy najpoważniejsze. Joe zapisał sobie w pamięci, że musi używać formułki „milordzie”, a nie „wysoki sędzie”. Te formułki wchodziły w krew, zapełniały dziury w przemowie, jednak błędnie użyte mogły sprowadzić na człowieka deszcz kpin.

Wszyscy na sali wstali, czekając na znak, że można usiąść. Joe zapiął marynarkę. Powinna być zapięta, ale on zawsze robił z zapinania spektakl, żeby sędzia dostrzegł jego szacunek.

Potyczki wygrywa się małymi rzeczami. Po zajęciu miejsca sędzia spojrzał na niego spode łba.

Szybko załatwili formalności wstępne. Nazwisko oskarżonego. Zarzuty. Wniosek Ronniego o uznanie go za niewinnego. Joe wybrał świadków. Kiedy przyszło do ustalania terminu, musieli wiedzieć, czy Ronnie zostanie w areszcie. Gdyby

pozostał za kratkami, rozprawa odbyłaby się szybciej. Sędzia gestem nakazał Kim, żeby nie wstawała.

– Ma pan wniosek, panie Parker?

Joe zrozumiał przesłanie. Niech pan nie marnuje mojego czasu wnioskiem o uchylenie aresztu. Ale Joego bardziej interesowały uczucia Ronniego.

Poderwał się na równe nogi.

– Mam, milordzie.

Sędzia uniósł brwi, gęste i siwe, ocienione peruką.

– Czytałem akta.

– Cieszy mnie to, milordzie, ponieważ błędy w zarzutach oskarżenia są oczywiste.

Sędzia, wyraźnie rozbawiony, odchylił się na oparcie.

– Proszę mnie zatem oświecić, mecenasie.

Joe zerknął na monitor. Ronnie siedział wychylony do przodu, twarz miał napiętą.

Detektywi sprawiali wrażenie rozluźnionych, lekko się uśmiechali, uważali, że sędzia jest po ich stronie. Ale nie wiedzieli, że Joe był pierwszy na sali i jeden ciepły uśmiech z jego strony wystarczył, żeby protokolantce wymusnęło się, iż sędzia nie jest zachwycony sprawą. Może nie aż tak, żeby wypuścić Ronniego, jednak Joe uważał, że warto wykorzystać szansę.

– Oskarżenie postawiło zarzut w oparciu o trzy elementy – zaczął. – Krew, kłótnia i zeznanie podejrzanego.

– I dwie zaginione osoby.

– To słowo jest najistotniejsze, milordzie. Zaginione, a nie martwe. Co będzie, jeśli mój klient spędzi w więzieniu wiele miesięcy, a potem rzekoma zmarła pojawi się w sądzie z dzieckiem w wózku? Krew? Mamy tylko rozmazane plamy, nic więcej. Brakuje analizy próbek, a pamiętajmy, że partnerka mojego klienta od dawna mieszkała w tym mieszkaniu. Pokłócili się, ale to nie był pierwszy raz. Dlatego uważam za wielką przesadę twierdzenie, że mój klient na pewno zabił swoją dziewczynę i córkę.

– A zeznanie? – zapytał sędzia. – Podejrzany pojawił się na komisariacie policji i oznajmił, że zabił swoją konkubinę.

– To zależy, które zeznanie ma sąd na myśli – odparł Joe. – Ja się doliczyłem co najmniej trzech. Więc o które chodzi? „Zabiłem ją”? „Myślę, że ją zabiłem”? Czy: „To moja wina, zabiłem ją”? Chyba nie zależy nam na powtórzeniu sytuacji ze sprawy Dereka Bentleya, nie chcemy, żeby ludzie tracili wszystko przez drobny szczegół. Czy prokuratora posiada nagranie tego zeznania?

Sędzia zwrócił się do Kim.

– Pani Reader?

Kim wstała i Joe ustąpił jej miejsca.

– Jeśli Waszej Lordowskiej Mości chodzi o to, czy zostały utrwalone na nagraniu z kamer, to odpowiedź brzmi „nie”.

– Ale aż trzy relacje? – rzucił powątpiewająco sędzia.

– Jedna pochodzi od osoby, która słyszała zeznanie na własne uszy, a pozostałe dwie od osób, którym pierwsza osoba o tym opowiedziała. Te osoby mogą się mylić we wspomnieniach, ale mamy zeznanie osoby, która słyszała, jak podejrzany się przyznał.

– Która, jak słyszę, mogła go jednak źle zrozumieć.

Kim nie odpowiedziała.

– A krew? – kontynuował sędzia. – Możecie udowodnić, że to świeże ślady?

– Poinformowano mnie, że da się ustalić, jak stara była krew. Będziemy się o to starali, ale na tym etapie jest za wcześnie, żebyśmy dysponowali tego typu analizami.

– Więc w tym momencie nie jesteście w stanie określić czasu, kiedy te plamy powstały?

Kim potrząsnęła głową.

– Nie, milordzie. – Policzki Kim poczerwieniały.

– A więc nie możemy być pewni, co podejrzany zeznał, ani od jak dawna ta krew tam była?

– Nie możemy, milordzie – przyznała Kim, teraz już ciszej.

– Więc macie tylko kłótnię i dwie zaginione osoby?

Joe ujrzał cień nadziei, że sprawa może się obrócić na jego korzyść. Sędzia, nic nie mówiąc popatrzył na monitor i na

pochylnego do kamery Ronniego.

Joe napisał coś na strzępku papieru i podsunął go Kim.

Kim popatrzyła w dół. Zgódź się na uchylenie aresztu, a nie powiem nic więcej na temat dowodów. Niech dojdzie do rozprawy. Zacerpnąwszy kilka głębszych oddechów, Kim obejrzała się za siebie, na detektywów wychylających się przez mosiężną poręcz publicznej galerii. Potem spojrzała na Joego, który do niej mrugnął. Joe wiedział, że w umyśle Kim wciąż krążą jego słowa o tym, że jest w stanie zniechęcić sąd do sprawy już na samym początku.

– Milordzie, oskarżenie nie wносиło o umieszczenie podejrzanego w areszcie – oświadczyła.

Mówiła cicho i gwałtownie zamrugła, gdy usłyszała, że dwójka detektywów podnosi się i wychodzi z sali. – Uchylenie aresztu byłoby właściwe, jednak pod pewnymi warunkami, jeśli Wasza Lordowska Mość je zaakceptuje.

– Czy podejrzanym był kiedyś karany.

– Kilka lat temu, za drobne pobicie.

– A czy ma gdzie mieszkać?

Joe wstał.

– Może się zatrzymać u matki, w Marton. Matka siedzi z tyłu.

Sędzia pokiwał głową z zastanowieniem.

– Niech więc tak będzie – rzekł w końcu. Kiedy Joe się uklonił, wyrażając tym swoją wdzięczność, sędzia dodał: – Mam nadzieję, że partnerka tego człowieka wkrótce się zjawi w jakimś komisariacie, ale jeśli wcześniej znajdą się ciała, prokuratura na pewno zadba o odwołanie uchylenia aresztu.

Joe znowu wyraził wdzięczność ukłonem.

– Zrozumiałem, milordzie.

Odwrócił się do Moniki, która, uśmiechnięta, patrzyła na niego z podziwem. A gdy spojrzał na Ronniego, stwierdził, że jego usta są szeroko otwarte, a na twarzy maluje się wyraz krańcowego zaskoczenia. Ronnie wychodził na wolność.

Joe rozejrzał się dokoła, potem jego spojrzenie

powędrowało na tył sali. Nieznajomy mężczyzna, kimkolwiek był, zniknął.

Rozdział 19

Sam nic nie rozumiał.

– Ben Grant chce rozmawiać ze mną? – powtórzył po Evans. – Dlaczego akurat ze mną?

– Domyślam się, że pewnie dlatego, że to ty go ująłeś – odparła policjantka. – Wie, kim jesteś i jaką rolę odegrałeś w sprawie, choć może myśleć, że wciąż jesteś zwykłym funkcjonariuszem i że będziesz łatwym celem, że łatwo cię naciągnie. Ben Grant to jedno wielkie ego.

– Jeśli o mnie chodzi, mogę z nim pogadać – zgodził się Sam, kiwając głową.

– To dobrze. Cieszę się, że to słyszę. Ale nie będziemy się spieszyli, bo to, czego Grant najbardziej nienawidzi, to gdy się go ignoruje. Może kiedy będzie zdesperowany, powie nam więcej. A ty teraz zapoznaj się ze sprawami tych czterech zaginionych dziewcząt. Dowiedz się o nich wszystkiego, przeczytaj, co tylko znajdziesz, i zapamiętaj każdy fakt. – Evans postukała się palcem w głowę. – Miejsca, daty, tak żebyś mógł się zorientować, które informacje Grand przekazuje tylko po to, żeby dodać sobie blasku, a które są naprawdę ważne i prawdziwe.

Istnieje możliwość, że powie nam coś, czego jeszcze nie wiemy.

– Myślę, że sobie z tym poradzę – mruknął.

– Tylko nic mu nie mów. Nie idziesz do niego, żeby dać mu pokarm dla jego chorych fantazji, które snuje w celi. Przepływy informacji ma się odbywać tylko w jedną stronę.

– Rozumiem, chociaż jednego nie łapię.

– Czego?

– Chodzi o zbieg okoliczności. Ściągnęliście mnie w związku z Ronniem Bagleyem, bo mój brat go broni, a teraz Ben Grant też chce mnie widzieć. Nie rozumiem, skąd ta moja nagła popularność.

Evans kilka sekund bębniła palcami po stole, potem

westchnęła.

– To nie jest zbieg okoliczności.

– To znaczy?

– Istnieje związek ze sprawą Ronniego Bagleya, chociaż niezbyt oczywisty – przyznała się Evans. – Bagley zabił Carrie Smith, swoją dziewczynę, i ich wspólne dziecko. To akurat nasza działka, ale Carrie jest też powiązana z Benem Grantem. Jej imię coś ci mówi?

Sam, wykrzywiwszy usta, przez moment się zastanawiał.

– Nie, nic.

– Carrie pracowała z Grantem – wyjaśniła Evans. – Jej imię kilkakrotnie wypłynęło w jego sprawie, bo krążyły plotki, że miał dziewczynę, chociaż sam tego nie potwierdził.

– I te plotki wskazywały na Carrie?

– Tak, i wiesz, co jeszcze: w ostatnich pięciu latach Carrie odwiedzała Granta w więzieniu.

Była jedyną osobą, której pozwolił się odwiedzić.

Sam był zaskoczony.

– Kto chciałby odwiedzać Bena Granta i po co? Może i była jego dziewczyną, ale, na litość boską, facet gwałcił i mordował dzieci.

– Nie wiem, o co chodziło, i już się tego nie dowiemy, bo Ronnie ją zabił, ale tak czy inaczej, Carrie to kolejne ogniwo prowadzące do Bena Granta, a my jeszcze nie znaleźliśmy jej ciała.

– Ale jeśli jest kolejną zaginioną kobietą i ma powiązania z Grantem, to czy nie może być ofiarą tej samej osoby, która doprowadziła do zaginięcia pozostałych dziewcząt?

– Wszystko możliwe, ale nie wydaje nam się. Carrie to inny rodzaj ofiary. Przede wszystkim była dużo starsza od reszty. No i mamy dowody, które wskazują, że zabójcą jest Ronnie. Krew. Zeznanie. Groźby. Carrie różni się od reszty także tym, że znała Granta, miała z nim kontakt. Inne zaginione są tylko powiązane z osobami, które doprowadziły do jego zamknięcia. Prawnik. Detektyw. Technik kryminalistyki. Członek ławy przysięgłych. Zabójstwo Carrie wygląda inaczej.

– No, ale co takiego Grant może wiedzieć? I kto miałby działać w jego imieniu?

– Sam, wróć pamięcią do tej nocy, gdy przydybałeś go w krzakach. Tylko ty możesz znać odpowiedź na moje pytanie, bo byłeś sam, kiedy go ująłeś.

– Okej.

– W raporcie napisałeś, że byłeś całkowicie skoncentrowany na Grancie.

– Tak było. Po prostu czułem, że dzieje się coś złego, więc skupiłem na nim całą uwagę.

Przyznaję, że się bałem.

Evans popatrzyła mu w oczy.

– Zastanów się dobrze, Sam. Czy w krzakach mógł być ktoś jeszcze?

Pytanie go zaskoczyło, ale ponownie odtworzył w pamięci wydarzenia tamtej nocy. Ciemne zarośla i tylko jedna latarka, którą mógł rozproszyć mroki miejsca. Nie spuszczał jej z Granta.

Coś usłyszał, cichy szelest.

– Coś słyszałem, ale nie głosy. Nikt nie krzyczał, nikt nie uciekał. Tylko jakieś poruszenie, szelest. Sądzisz, że mógł mieć współnika?

– Możliwe. Te cztery zaginione dziewczyny to nie taka sama sytuacja, bo ich ciała się nie odnalazły, ale związek istnieje. Wszystkie posiadały bliskich powiązanych ze sprawą Bena Granta. A teraz osoba, która najczęściej go odwiedzała, również zaginęła i prawdopodobnie nie żyje.

– Więcej niż prawdopodobnie – mruknął Sam. – Ktoś został oskarżony o jej zamordowanie.

– Ponieważ Evans nie odpowiedziała, zapytał: – Sądzicie, że współnikiem Granta był Ronnie Bagley?

– To możliwe.

Sam pograżył się w rozmyślaniach. Śledził sprawę Granta ze względu na swój w niej udział, ale nigdy nie słyszał o Ronniem Bagleyu.

– Tylko... jeśli nawet Ronnie wykonywał jakąś misję

zemsty za Granta, po co miałby zabijać Carrie? To jego dziewczyna, matka jego dziecka.

– Zadajemy sobie to samo pytanie. Może to tylko zbieg okoliczności. Przypadek Ronniego wygląda na zabójstwo domowe, atak nastąpił w mieszkaniu, i może to tylko przypadek, że jedyna osoba, która widywała Granta, została zamordowana w czasie, gdy zaczęły znikać te inne dziewczyny.

– Wierzysz w to? – zapytał Sam.

Evans pokręciła głową.

– Żaden dobry glina nie lubi zbiegów okoliczności. Co jest bardziej prawdopodobne, czysty przypadek, czy że te fakty coś znaczą? Carrie znała Granta. Była jego powierniczką. Czy dzięki tej znajomości poznała też Ronniego? Może chciała donieść, że Ronnie współpracował z Grantem? A może Grant powiedział jej coś, czego nikt inny nie wiedział? Czy Ronnie zszedł się z Carrie, żeby mieć przez nią łączność z Grantem? Istnieje tyle scenariuszy, że nie wiemy, od którego zacząć. Więc idź i zobacz się z Grantem; musisz sprawić, żeby koniecznie chciał się podzielić z tobą tym, co wie.

– Zrobię, co będę mógł – zapewnił Sam i choć Evans z aprobatą pokiwała głową, zastanawiał się, jak sobie poradzi podczas spotkania z kimś, kto zrobił to samo, co ktoś inny zrobił Ellie piętnaście lat wcześniej. Nie była to pociągająca wizja.

Evans się uśmiechnęła.

– Cieszę się, że dołączyłeś do zespołu.

Sam podziękował. To była jego szansa.

Rozdział 20

Joe czekał przy samochodzie zaparkowanym przed więzieniem Strangeways. Monica stała obok, a matka Ronniego siedziała w aucie. Z torebką na kolanach i oszołomieniem w oczach, jak w sądzie. Joe zaparkował w niedozwolonym miejscu, więc obserwując bramę więzienną, zarazem rozglądał się, czy gdzieś w pobliżu nie kręci się policja. Wolałby nie zarobić mandatu. Cała sytuacja stanowiła rzadkość w jego karierze. Odwożenie więźniów do domu nie wchodziło w skład jego

obowiązków, z drugiej strony Ronnie był podejrzany o morderstwo, więc należało mu się specjalne traktowanie.

– Mogę o coś zapytać? – odezwała się niepewnie Monica.

– Tak, pytaj o wszystko – zgodził się.

– Nie chcę być nieuprzejma i jeśli pomyślisz, że to, co powiem, jest niegrzeczne, to przepraszam. – Nerwowo się uśmiechnęła. – Ale, no cóż, lubię cię i wydaje mi się, że mogę z tobą rozmawiać szczerze.

Joe również się uśmiechnął.

– Po prostu powiedz, co ci leży na sercu. Nie obrażę się.

– Od wyjścia z sądu jesteś bardzo milczący. Sądziłam, że będziesz weselszy, w końcu dobrze się spisałeś. Wyciągnąłeś Ronniego z więzienia, a to nie każdemu by się udało. Martwisz się może, że popełniłeś błąd, bo Ronnie jest oskarżony o morderstwo? Pytam, bo muszę wiedzieć, jak mam w przyszłości postępować z ludźmi, którzy dopuścili się czegoś złego.

Joe był zaskoczony. Nie miał pojęcia, że sprawia wrażenie nieobecnego, chociaż w drodze faktycznie dał się ponieść ponurym myślom. Zdenerwował go ten nieznamy z końca sali sądowej, facet, który dzień wcześniej stał przed jego biurem. Nie lubił, kiedy działo się coś, nad czym nie miał kontroli.

Ale nie chciał o tym mówić Monice.

– To duża odpowiedzialność – rzekł. – Kiedy Ronnie wyjdzie, nie mamy żadnych gwarancji, że czegoś nie wywinie. Przyrzekł, że stawi się na rozprawie i że w nic się nie wpakuje, ale puste obietnice łatwo składać.

Przed dalszą rozmową ocalił go metaliczny zgrzyt zawiasów. Otworzyły się małe szare drzwi umieszczone obok dużej stalowej bramy, którą wjeżdżały furgonetki. Najpierw pojawił się w nich strażnik – wygolona głowa i śnieżnobiała koszula – potem na wolność wyszedł Ronnie.

Pierwsze, co uczynił, to zamrugał i przysłonił oczy dłonią, następnie się rozejrzył. Sprawiał wrażenie zaszokowanego, jakby się nie spodziewał, że ten dzień tak się skończy. Kiedy dostrzegł Joego, pomachał mu, choć uczynił to z niejakim wahaniem.

– Jak się czujesz? – zapytał Joe, kiedy Ronnie do niego podszedł.

Ronnie wziął głęboki oddech.

– Nie wiem. Chyba się cieszę, że stamtąd wyszedłem, ale to jeszcze nie koniec.

– Dlatego musisz robić wszystko, co powiem – upomniał go Joe. – Jeśli rozprawa pójdzie nie po naszej myśli, wrócisz tu, tyle że wtedy nie będzie żadnych przywilejów.

– Muszę się napić.

– Później się napijesz.

– Nie, teraz, tylko jedno piwo – upierał się Ronnie. – Miałem ciężką noc. Coś mocniejszego dobrze mi zrobi.

Joe westchnął. I tak miał porozmawiać z Ronniem. Sprowadzanie klientów na umówione spotkania wchodziło w skład wyzwań, jakie stawiała przed nim jego praca. Jego klienci prowadzili chaotyczny styl życia, nie mieli uporządkowanego dnia. W ich przypadku każdy był raczej walką o przetrwanie, więc spotkanie wyznaczone na za tydzień często w ich świadomości zapisywało się jako mało znaczący, irytujący szczegół. Joe miał nadzieję, że z Ronniem będzie inaczej, wołał jednak nie ryzykować.

– W porządku – mruknął. – Ale potem jedziemy prosto do twojej matki.

– Siedzi tam? – zapytał Ronnie, kiwając głową w stronę samochodu.

– Dzięki niej wyszedłeś – przypomniał Joe. – Gdyby dzisiaj nie przyszła, zostałbyś w więzieniu.

Winnie przycisnęła twarz do okna. Ronnie nie wykonał żadnego gestu, nie uśmiechnął się, nie pomachał. Obszedł auto i wszedł do środka, sadowiąc się obok matki. Ta się do niego odwróciła, żeby się przywitać, ale Ronnie w odpowiedzi tylko coś niewyraźnie wymamrotał. Joe również wszedł do samochodu i patrząc w lusterko wsteczne, zapytał: – To dokąd mam jechać, Ronnie?

– Możesz mnie zawieźć do Marton? – Gdy Joe się zgodził,

Ronnie mruknął: – Świetnie.

Gdzie dokładnie, powiem, kiedy będziemy na miejscu.

Joe i Monica wymienili się zaintrygowanymi spojrzeniami, ale to była wolność Ronniego, nie ich. Joe nie zamierzał wybierać Ronniemu miejsca, w którym wypije swoje pierwsze piwo po wyjściu z aresztu.

Marton było małym miasteczkiem, położonym za obwodnicą manchesterską. Stanowiło jeden z ostatnich przystanków przed rozległą krainą wrzosowisk, rozciągającą się u podnóża Pennin. Podróż rozpoczęli od przejazdu przez chaos starego miasta z jego sklepami dla dorosłych i tanimi sklepikami monopolowymi. Potem wyjechali na tereny podmiejskie, upstrzone bliźniakami, a jeszcze później przejechali przez małe miasteczka usytuowane tuż przy autostradzie okalającej Manchester. Podróż przebiegała spokojnie: matka Ronniego cały czas milczała, a sam Ronnie albo wyglądał przez okno, albo gapił się w telefon, którego nie wypuszczał z ręki od chwili wyjścia z więzienia.

Im byli bliżej Marton, tym wokół robiło się zieleniej, a ostatni odcinek drogi jechali szosą z obu stron porośniętą drzewami, których korony stykały się ze sobą nad drogą. Postukujące nad dachami pojazdów gałęzie rzucały cień na asfalt, w prześwitach między nimi co jakiś czas migały nagie szczyty okolicznych wzgórz.

Krajobraz się zmienił, gdy wjechali do miasta. Przeważały w nim budynki z szarego kamienia, a nie tak jak w Manchesterze z czerwonej cegły. Budynki miały małe otwory drzwiowe, ulice były o wiele bardziej strome niż w Manchesterze. Słońce, którego promienie odbijały się od wytartych schodów przed stojącymi w rzędach przy ulicy domkami jednorodzinnymi, czyniło próby nadania okolicy rustykalnego powabu, jednak ze słabym skutkiem. Na tych terenach zawsze ostro wiało i nawet w najcieplejsze dni szare chmury zdawały się czaić w pobliżu, gotowe zająć sobą niebo.

Joe zerknął w lusterko, żeby sprawdzić, co się dzieje na tylnym siedzeniu. Ronnie już nie wyglądał przez okno, tylko gapił

się na Monicę. Najwyraźniej zdudziło mu się podziwianie krajobrazów.

– To gdzie będziemy pili to piwo, Ronnie? – zapytał, gdy domy ustąpiły miejsca sklepom.

Ronnie nachylił się do przedniej szyby i pokazał palcem.

– Tam. W Britanii, koło stacji.

Joe podążył we wskazanym kierunku i przy głównej ulicy ujrzał pub ozdobiony flagami z krzyżem świętego Jerzego. Na chodniku stało kilka podłużnych ław. Miejsce nie wyglądało najciekawiej, ale skoro Ronnie je wybrał, Joe znalazł wolny skrawek przy chodniku i zaparkował samochód.

– Potrafisz prowadzić? – zwrócił się do Moniki.

Monica obrzuciła go zdumionym spojrzeniem.

– Potrafię.

– Świetnie – ucieszył się. – W takim razie odwieziesz panią Bagley i potem tu wrócisz.

Wysiadł z samochodu i wszedł na chodnik, gdzie dołączył do niego Ronnie. Kiedy Monica odjechała, odwrócił się i powiedział: – Muszę cię ostrzec, Ronnie, że nie będę latał do ciebie na każde twoje wezwanie.

– Ale przecież jest pan moim obrońcą.

– To nie znaczy, że będę cię niańczył. Ja tu jestem prawnikiem, nie ty, więc obowiązuje to, co powiem. Jeśli będę potrzebował od ciebie informacji, masz mi ich udzielać. Jeśli zadzwonię, masz przyjechać. Rozumiemy się?

Ronnie wzruszył ramionami. Był nadęty.

– Jeśli mnie nie złapiesz, dzwoń do Moniki Taylor.

– Tak się nazywa?

– Jest stażystką i wszystko mi przekaże. Tak będzie szybciej.

Kiedy weszli do pubu, Ronnie zdecydowanie się ożywił. Zaczął się rozglądać i głośno przełykać ślinę.

– Wyglądasz, jakbyś naprawdę potrzebował się napić – zauważył Joe.

– Bo potrzebuję. Ale może zajmiemy się już omawianiem

mojej sprawy?

– Czemu nie – zgodził się Joe, jednak gdy się rozejrzył, ściszym głosem dodał: – Lepiej zaczekajmy, aż wyjdziemy na zewnątrz.

W pubie panował półmrok. Na podłodze leżał ciemnoczerwony bieżnik, na ścianach wisiały jakieś obrazy. W powietrzu unosił się zapach jedzenia, takiego, jakie zwykle podają w pubach, i nawet było trochę gości. Jakiś starszy pan czytający gazetę. Grupa robotników w kamizelkach odblaskowych, przed którymi stały talerze zapakowane frytkami. Milcząca brunetka zapatrzona w drinka.

Joe złożył zamówienie i wyszedł za Ronniem na zewnątrz. Usiedli przy drewnianych ławach, Joe ze swoim sokiem pomarańczowym. Przyglądał się, jak Ronnie bierze długi łyk spienionego bittera.

– No to, Ronnie, opowiedz, jak ci minęła noc?

Ronnie przed odpowiedzią kilka sekund wpatrywał się w kufel.

– Myślałem, że dam radę, ale... – umilkł i pokręcił głową.

– Myśli pan czasami o klientach, którzy kończą w więzieniu?

Joe nie wiedział, jak na to odpowiedzieć. Prawda była taka, że i owszem, myślał. Fakt, że jego klient trafiał za kratki, traktował jako swoją porażkę, choć zarazem rozumiał, że system nie jest doskonały. Wprawdzie na dłuższą metę się sprawdzał, jednak trzeba się było naharować, żeby to udowodnić. Więzienie było częścią gry i kiedy odprowadzał wzrokiem więzienną furgonetkę, pocieszał się myślą, że sprawiedliwość obrała własny kurs.

– Tak, bez przerwy – powiedział na głos.

– Póki się samemu tego nie doświadczyło, człowiek nie może wiedzieć, jak to jest – stwierdził Ronnie, spuszcżając wzrok.

– Te hałasy, echa rozmów. Podłogi są takie twarde, i ściany też, dlatego odbija się od nich każdy dźwięk. Nie można się ukryć, ma się wrażenie, że wszystko do Ciebie wraca. – Wolno pokręcił głową. – Myślałem, że wytrzymam.

– Dlatego lepiej nie trać ze mną kontaktu – kolejny raz

przestrzegł Joe. – Jeśli nie chcesz tam wrócić, musimy starannie przygotować sprawę. A twoja matka wyglądała na zadowoloną, że ma cię z powrotem.

– Dobrze pan wie, że to kłamstwo. Zrobiła to tylko dlatego, bo pan poprosił. – Ronnie wziął kolejny łyk piwa. – To co teraz?

– Dzisiejszą noc spędzisz u matki. Jeśli będę musiał z tobą porozmawiać, zadzwonię, więc pilnuj, żeby telefon był naładowany. Nie wiem, kiedy znów będę cię potrzebował.

– Co pan zamierza?

– Zamierzam zebrać współpracowników i wspólnie z nimi ustalić plan działania.

– Muszę pana o jedno zapytać – oznajmił Ronnie i spojrzał Joemu prosto w oczy.

Joe wytrzymał spojrzenie. Wiedział, co się święci.

– Uważa pan, że to zrobiłem? Że zabiłem Carrie i córkę?

Joe się nie pomylił. Ronnie chciał się upewnić, że ktoś będzie o niego walczył.

– Nieważne, co uważam – odparł. – Chodzi o dowody, o to, czy powinieneś zostać skazany.

– Ale przecież mam prawo wiedzieć. Na pewno ma pan jakieś zdanie, i skoro tu chodzi o mnie, chyba powinienem je znać.

Joe zastanowił się, co odpowiedzieć, potem potrząsnął głową.

– Nie, nie uważam, że to zrobiłeś.

Potem odwrócił wzrok, gdyż rzeczywistość wyglądała tak, że nie wiedział, jak było naprawdę, i przerażało go, że jeśli Ronnie jednak zrobił coś strasznego, zabił własne dziecko, żeby zatuszować inną zbrodnię, brak wyrzutów sumienia w jego oczach czynił z niego bardzo niebezpieczną osobą.

Rozdział 21

Sam usiadł przy biurku pod oknem. Tylko ono było wolne, prawdopodobnie dlatego, że ostre światło sączące się przez pozbawione żaluzji okno bez przeszkód padało bezpośrednio na monitor komputera. Padało też na jego plecy, dlatego czuł, że koszula lepi mu się do ciała. Za to z miejsca, w którym siedział,

widział całe centrum dowodzenia, więc mógł, obserwując ludzi, wyedukować, kto w razie czego będzie chciał mu pomóc, a kto zrobi wszystko, żeby tylko mu tej pomocy nie udzielić. Zespoły, takie jak ten, najczęściej składały się z trzech rodzajów policjantów: znudzonych weteranów, barowych samochwał i tych z talentem, pnących się w górę po drabinie kariery. Barowych chwalipięt – takich, co to uważają, że kluczem do sukcesu jest bycie hałaśliwym, bratanie się ze wszystkimi i noszenie obcisłych pastelowych koszul – należało unikać.

Jeszcze przez kilka minut obserwował pokój, żeby ocenić, kto tu jest lubiany, a kto nie, potem zalogował się do policyjnego komputera. Odszukał opis każdej sprawy.

Nie wyglądały na jakieś wyjątkowe, podobnie jak i opisane w raportach ofiary. Wszystkie dziewczęta były nastolatkami w zbliżonym wieku. Już nie dzieci, ale też jeszcze nie kobiety.

Wszystkie zaginęły niespodziewanie i bez śladu. Jeśli ktoś je porwał, w grę musiała wchodzić jakaś broń, może nóż, no i groźby. Rejestry telefonów z powiadomieniami z dnia, w których dziewczęta zaginęły, scalono. Sam przeglądając je zauważył, że nie było zgłoszeń powiadamiających, że ktoś widział jakąś szamotaninę, nikt nie słyszał podejrzanych krzyków.

Ten fakt jeszcze bardziej potwierdzał tezę o związku między zaginięciami. Wspólnym ogniwem był nie tylko Ben Grant, ale też okoliczności towarzyszące zaginięciom.

Sam zdawał sobie sprawę, że ludzie znikają i że nie zawsze chodzi o przestępstwo, ale te przypadki wyglądały inaczej. Zwykle, gdy ktoś zaginie, można dopatrzeć się powodów. Istnieje jakaś historia ucieczek, zatargów z prawem. Jakieś narkotyki, niespełniona miłość lub nieodpowiedni krąg znajomych. Skoro nikt nie dzwonił ze zgłoszeniem bójki lub krzyków, dziewczyny były uciekinierkami lub poszły z porywaczem dobrowolnie. Jednak wydawało się, że w tych przypadkach ucieczka raczej nie wchodziła w grę. Nie wyglądało, żeby coś złego działało się w życiu dziewcząt. Nie pochodziły ze złych rodzin. Nie miały zatajonych problemów z narkotykami lub chłopakami, których rodziny by nie

akceptowały. Rodzice wiedzieli tylko to, że ich córki pewnego dnia wyszły z domu i już nie wróciły. Przez kilka dni wiadomość o zaginięciach pojawiała się w nagłówkach gazet, w mediach puszczano apele i odezwy bliskich, potem jednak sprawa ucichła, odświeżana tylko na krótko, gdy dochodziło do kolejnego zaginięcia.

Sam pamiętał, jak jego rodzina była osaczona po morderstwie Ellie, a przecież działo się to jeszcze, zanim norma stały się natychmiastowe powiadomienia w Internecie. Kamery przed furtką, dziennikarze dobijający się o komentarz, bardziej przejęci zdobyciem materiału niż rozpaczą rodziny. Tylko w jaki sposób w kilku słowach oddać to, co przeżywali? Ofiary ostatnich zaginięć nie były dziećmi, ale dwie pierwsze dziewczyny były ładne, rasy białej, więc nic dziwnego, że prasa się nimi interesowała.

Znowu pomyślał o Ellie. Jej śmierć ukształtowała całe jego dorosłe życie. Kiedy Ellie zginęła, studiował anglistykę na uniwersytecie, jednak odejście siostry wszystko zmieniło.

Rzucił studia i wrócił do domu, żeby jako najstarszy z rodzeństwa zaopiekować się rodzicami.

To był rok, w którym jego kariera uległa zmianie. Widział, ile policja zrobiła dla jego rodziny, i już po dwunastu miesiącach sam do niej wstąpił. Jeśli wyszło z tego coś dobrego, to chyba tyle, że czuł, iż uczynił słusznie, zmieniając kierunek kariery.

Z Joem było inaczej, zupełnie jakby śmierć Ellie była czymś, od czego chciał uciec. To zawsze Sam, a nie Joe, opiekował się rodzicami, to on trzymał ich za ręce w najtrudniejszych chwilach, to on pomagał im się pozbierać. Joe po prostu wyjechał na studia i wszystko zostawił.

Na początku Sam miał o to do brata pretensje, ale z upływem lat zrozumiał, że ludzie radzą sobie ze smutkiem w różny sposób. Zabójca Ellie robił z nią straszne rzeczy i Sam domyślał się, że postępowanie Joego po śmierci siostry to była walka, żeby się nie pogrążyć w tragicznych wspomnieniach.

Znowu skupił się na sprawie zaginionych. Cztery

atrakcyjne młode dziewczyny, o długich falujących włosach i promiennych uśmiechach, ale poza sprawą Bena Granta nic ich więcej nie łączyło. Pochodziły z różnych części Manchesteru, z różnych środowisk, nie znały się, nie przyjaźniły. Gdyby nie łącznik w postaci Granta, wyglądałoby to tak, jakby przez zupełny przypadek wszystkie cztery natknęły się na tę samą osobę, która je porwała. Żadna nie podała informacji, dokąd się wybiera. Dwie zwyczajnie wyszły z domu i nie wróciły. Jedna zaginęła w trakcie załatwiania jakiejś sprawy. Ostatnia oszukała rodziców w kwestii tego, dokąd idzie.

Ktoś zatrzymał się przy jego biurku. Podniósł wzrok. To był jeden z detektywów, na którego zwrócił uwagę już poprzedniego dnia. Był w samej koszuli, bardzo obcisłej, zwłaszcza w ramionach. W rękach trzymał tacę z kubkami.

– Cześć, nowy – rzucił.

Zaraz potem obejrzał się na kolegów, więc Sam domyślił się, że koleś będzie chciał sobie z niego zakpić.

– Nie „nowy” – burknął, wsuwając okulary głębiej na nos – tylko Sam Parker. A ty jak się nazywasz?

– Możesz mi mówić Ged – odparł detektyw i postawił tacę na biurku. – Przywilej świeżaków. Musisz zrobić kawę dla wszystkich.

Sam obejrzał się za siebie. Niektórzy przyglądali się scenie, czekając na jego reakcję.

Wiedział, że to test, że chcieli sprawdzić, czy do nich pasuje. Ale jego nie interesowała kantynowa polityka. Albo się nadawał do tego miejsca, albo nie.

– Coś ci powiem, waśniaku – zaczął. – Ponieważ wygląda, że jestem tu gościem, to może, jako dobry gospodarz, ty zrobisz kawę mnie. – Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, po czym ktoś cicho parsknął. Sam się uśmiechnął i powrócił wzrokiem do ekranu komputera. Przynajmniej jedna osoba miała ubaw.

Potem rozległ się trzask gwałtownie odłożonej słuchawki. Wszyscy się obejrzel. Inspektor Evans z całej siły zaciskała szczękę. Patrzyła na Sama, który gdy to zobaczył, zaczął się

zastanawiać, co złego zrobił.

– Wyszedł! – wrzasnęła Evans.

– Bagley? – zapytał ktoś.

– Tak, dzisiaj rano. Sędzia przeczołgał prokuratorkę, a ta ustąpiła i wypuściła kanalię. – Evans kopnęła nogę krzesła. Nikt się nie odzywał, chociaż oczy wszystkich skierowane były na Sama.

Sam chciał coś powiedzieć, ale zobaczył, że Evans kręci głową.

– Nie musisz. To nie twoja wina. – Wzięła kilka głębokich oddechów przez nos. Zamknęła oczy. – Kurwa mać!

Sam odwrócił się do monitora, bardziej w ramach ucieczki niż z obowiązku. Detektyw, który go wcześniej zaczepił, wciąż trzymając tacę z kubkami, intensywnie mu się przyglądał.

Sam poczuł, że jego podekscytowanie dochodzeniem słabnie, i że zamiast niego zaczyna czuć zniechęcenie. Pokręcił się nerwowo na krześle i poczerwieniał, ale nie ze wstydu. Z frustracji. Znowu jak zwykle chodziło nie o niego, a o jego brata.

Rozdział 22

Joe czekał w biurze na Ginę i Monicę.

Stał przy oknie i patrząc na park, zastanawiał się, jak poprowadzi sprawę Ronniego. Nagle coś mu się rzuciło w oczy. Na ławce w głębi parku ktoś siedział. To był ten sam mężczyzna co wcześniej, ten, który zjawił się w sądzie w szarym swetrze w serek. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, przodem do kwietnika, ale głowę wykręcał w stronę biura.

Za jego plecami rozległo się skrzypienie. Joe się odwrócił i zobaczył Ginę. Tuż za nią szła Monica, niosąc tacę z kubkami, od których bił silny aromat kawy.

Joe ponownie odwrócił się do okna. Chciał pokazać Ginie podejrzanego mężczyznę, ale ławka była pusta.

Gina tymczasem usiadła na krześle przy biurku i zapytała: – I jak ci poszło z Ronniem?

Chwilę się zastanawiał, potem, odbierając kawę, zwrócił się do Moniki: – Jak sądzisz, jak nam poszło?

– Myślałam, że bardziej się ucieszy, że wyszedł. Wprawdzie trochę się wyluzował po piwie, ale kiedy odwieźliśmy go do matki, wyglądał, no... – Jakby się wahał? – odpowiedział.

– No właśnie, zupełnie jakby wcale nie chciał tam wchodzić.

– Miałem takie samo wrażenie – potwierdził. Monica się zarumieniła, zadowolona, że poprawnie oceniła sytuację. – Musimy się o nim więcej dowiedzieć. Zajmiesz się tym, Gino?

Spróbuj coś wyciągnąć ze swoich policyjnych źródeł.

– Mogę to zrobić, ale sam wiesz, że prokuratura nie może nas niczym zaskakiwać – przypomniała Gina. – Muszą nam pokazać wszystko, co zamierzają wykorzystać.

– Wolę wiedzieć wcześniej, żebyśmy mieli czas przygotować się do odparcia ataku. Poza tym może znajdziemy coś, co nam pomoże, na przykład powód, dla którego Ronnie tak podejrzanie się zachowuje. Nie wygląda groźnie, ale cały czas sprawia wrażenie, jakby coś ukrywał. Musimy się pogodzić z myślą, że przysięgli nie zapalają do niego sympatią. Możemy go wpakować w garnitur, ale będzie się w nim źle czuł, a podczas zeznań musi wyglądać na pewnego siebie.

– Czy wiemy, dlaczego prawnik z Mahones kazał mu milczeć? – zaciekała się Gina. – To z miejsca stwarza wrażenie, że jest winny. A przecież wystarczyło, gdyby powiedział, że nie wie, gdzie Carry się ulotniła.

– Jeszcze na to za wcześnie – mruknął Joe. – Trzymajmy się tego, co Ronnie powiedział nam. Jeśli uczulimy prokuraturę, mogą coś zmienić w raportach, tak żeby ich oskarżenie wyglądało lepiej. Z tym tematem możemy wyjść tuż przed rozprawą.

– A jeśli Ronnie faktycznie zeznał, że zabił Carrie i córkę? – zapytała Monica.

– To powinniśmy się cieszyć, że ja jeszcze tego od niego nie usłyszałam.

Monica usiadła.

– Coś mi tu nie gra. Wierzę Ronniemu. Myślę, że wyglądałby inaczej, gdyby zabił córkę. To nie znaczy, że go lubię,

ale mu wierzę.

– Jeśli zostaniesz przy prawie karnym, klienci będą cię zaskakiwali do końca twojej kariery, nieważne, czy będziesz im wierzyła, czy nie – rzekł Joe. – Ale nawet jeśli będziesz, to nie wolno ci dopuścić, żeby twoje zdanie miało wpływ na to, co robisz. Jeśli ta myśl cię mierzi, to wybrałaś zły zawód. Będziesz uwalniała gwałcicieli i zabójców, tłumaczyła wszelkie ludzkie gnidy, mające w nosie krzywdy, jakie wyrządziły innym. To trudna działka. Ale właśnie taką umowę zawierasz ze sobą, biorąc się za ten fach.

– Możemy na chwilę porzucić tę filozoficzną debatę? – zaproponowała Gina zniecierpliwionym głosem. – Jakie jest nasze podejście do sprawy Ronniego?

– Musimy ją zdemontować – odparł Joe. – Dowody nie są oczywiste. Nie ma trupa w piwnicy, brakuje świadków. Prokuratura zbierała dowody pod kątem wersji wydarzeń, jaką sobie ustaliła. Musimy je obalić, bo na Ronniego nie możemy liczyć. Do czasu gdy stanie na miejscu dla świadka, jeśli na nim stanie, musimy zrobić co się da, bo gdy zacznie mówić, będzie tylko gorzej. Będzie się musiał przyznać do stosowania przemocy i wyjaśnić swoje zeznanie.

Więc musimy obalić dowody prokuratury, tak żeby sędzia odrzucił je, jeszcze zanim nadejdzie kolejka Ronniego.

– Więc jak to zrobimy? – zaciekała się Gina.

– Krew to pierwszy problem. Mamy same smugi, a nie ślady po rozbryzgu, tyle że to wygląda na próbę zatarcia dowodów. Policja znalazła w mieszkaniu kilka przedmiotów z ciemnymi plamami, które mogą się okazać krwią, wśród nich była piła. Jeśli to krew i jeśli należała do Carrie, mają podstawy twierdzić, że ciała zostały zlikwidowane.

– Może być gorzej – mruknęła cicho Monica. – Może się okazać, że to krew Grace.

Wszyscy zamilkli i dopiero po chwili Joe powiedział: – Więc miejmy nadzieję, że tak nie jest. Nie tylko ze względu na Ronniego, bo jeśli krew należała do Grace, to z miejsca go

zamkną, ale także ze względu na nas. O pewnych rzeczach wolę nawet nie myśleć. A na razie mamy bronić Ronniego. Jeśli krew okaże się krwią Carrie, będziemy to musieli wyjaśnić. Gino, chcę, żebyś porozmawiała o tym z Ronniem. Jeśli krew należała do Carrie, musimy mieć lepsze wytłumaczenie na to, że była na całym ostrzu piły.

Argumentacja prokuratury, że istnieje tylko jedno wytłumaczenie tej sytuacji, to czysta spekulacja. Musimy zaproponować inne.

– Ale te dowody, zebrane razem, dają taki obraz, jaki przedstawia prokuratura – zauważyła Gina.

– Wiem, jednak gdy obalimy każdy po kolei, wnioski mogą być inne. Naszym zadaniem jest wzbudzić wątpliwości, to wszystko.

Joe, rozmyślając nad sprawą, zaczął krążyć po biurze. Tę część lubił najbardziej: kiedy widział wyzwanie, kiedy miał dowody, które musiał podważyć.

– Monico?

Monica czujnie się wyprostowała.

– Przejrzyj wykaz biegłych – polecił nagłym tonem. – Znajdź kogoś, kto robi analizy krwi.

Dowiedz się, czy to może być stara krew. Nie musimy udowadniać, jak jest stara, wystarczy, że była tam dłużej, niż twierdzi oskarżenie. Musimy obalić ten dowód, żeby Ronnie nie musiał zeznawać.

Monica zaczęła notować, a Joe odwrócił się do Giny.

– Musimy odnaleźć Carrie. To jest najważniejsze. Jeśli udowodnimy, że żyje, sprawy nie ma. Policja już rozmawiała z jej rodziną i znajomymi. Pogadaj z ludźmi, którzy mogą chcieć unikać policji, może z kimś, z kim była w konflikcie. Pokręć się po ulicach. Zajrzyj do dzielnic rozpusty. Musimy sprawdzić, czy się tam nie zadekowała, żeby dorobić.

– A ty czym się zajmiesz? – zainteresowała się Gina.

– Jutro rozmawiam z właścicielem budynku. Poza propozycją prokuratury istnieją też inne ewentualności, na

przykład taka, że podejrzanych może być więcej niż tylko Ronnie.

Kamienicznik jest świadkiem, nie podejrzany, ale być może da się to zmienić. Możliwe też, że facet zna ludzi, którzy odwiedzali Carrie, pewnie w czasie, gdy Ronniego nie było w domu.

Carrie piła i nie miała kasy. Mogła sobie znaleźć jakiś sposób na dorobienie do pensji konkubenta.

– I policja by o tym nie wiedziała? – rzuciła powątpiewająco Monica.

– Niby powinna, ale oni szukają dowodów na potwierdzenie swojej teorii, a my na jej zaprzeczenie. Musimy być bardziej pomysłowi od nich.

– Tylko uważaj – upomniała go Gina. – Możesz zszargać reputację temu kamienicznikowi, jeśli ludzie zaczną myśleć, że to on był zabójcą.

– W tej chwili interesuje mnie reputacja Ronniego, a nie jakiegoś właściciela budynku.

– Dlaczego odkładasz tę rozmowę do jutra?

– Bo dzisiaj muszę się spotkać z kimś innym.

– W związku ze sprawą Ronniego?

Joe kiwnął głową.

– Coś mnie dręczy. Chodzi o poranne zachowanie prokurator.

– To znaczy?

– Zbyt łatwo się poddała, a to niepodobne do Kim.

Wyciągnął telefon i wyszukał numer, który, choć go rzadko używał, miał zapisany w książce adresowej. Nacisnął guzik wybierania i czekał. Kiedy usłyszał głos Kim, z trudem udało mu się powstrzymać uśmiech.

– Kim, to ja, Joe Parker. Masz ochotę wstąpić gdzieś na drinka?

Gdy usłyszał potwierdzenie, zaproponował miejsce, a potem się rozłączył. Dręczyły go pewne pytania i chciał, żeby Kim mu na nie odpowiedziała. Postukał się telefonem w brodę. Coś mu mówiło, że dopiero teraz ten dzień zrobi się naprawdę interesujący.

Rozdział 23

Joe lubił pub City Arms z jego typowym dla Manchesteru, wyłożonym zielonymi kafelkami barem i piwem z beczki. Gdy wszedł, w środku grała muzyka, słychać było gwar rozmów i dzwonienie szkła. Długie drewniane stoły były czyste; tłumek popołudniowych gości wylewał się na chodnik.

Zerknął na zegarek. Kim Reader się spóźniała, ale ona już tak miała.

Ktoś wszedł, więc z nadzieją spojrział w stronę drzwi, ale to nie była Kim. Upił kolejny łyk piwa, ciepłego bittera. Na szklance widniały białe pierścienie, każdy oznaczał moment, w którym coraz bardziej się rozluźniał, jakby stopniowo popuszczał pasek w spodniach.

Właśnie sprawdzał wiadomości w telefonie, przekonany, że Kim wystawiła go do wiatru, gdy zobaczył, że wchodzi. Była zdyszana, jakby drogę z położonego kilka ulic dalej biura pokonała biegiem.

Wstał, chcąc zamówić piwo, ale Kim machnęła, żeby usiadł. Kiedy podeszła, w rękach trzymała dwie szklanki. Mały lager dla niej i dla niego następny bitter.

– To żaden wstyd, gdybym ci postawił drinka – rzucił z uśmiechem.

Kim, siadając, potrząsnęła głową.

– Wiadomo, zwykły gest uprzejmości, tylko że mnie nie wolno nic przyjmować od prawnika obrony. Za to, kiedy ja stawiam, to jest to tylko spotkanie dwójki przyjaciół przy drinku.

Joe się uśmiechnął, dopił piwo do końca i sięgnął po drugie.

– Dzięki, że przyszłaś. Doceniam twoje poświęcenie.

Kim się rozejrzała.

– Nie ma sprawy, chociaż myślałam, że spotkamy się w jakimś przyjemniejszym miejscu.

– A co ci się tu nie podoba? Lubię ten pub.

– Bo lubisz piwo, a ja szukam odrobiny luksusu.

– W pubach można spotkać interesujących ludzi. Zresztą

pomyślałem, że będziesz wolała miejsce, gdzie jest półmrok, w razie gdyby ktoś miał cię zobaczyć.

– Kto na przykład?

– Może twoi szefowie. Albo narzeczony. – Joe, obserwując reakcję Kim, podniósł szklankę do ust. Po rumieńcu, jaki wypląnął na jej policzki, zorientował się, że to narzeczony mógł stanowić problem. – Ale jak sama stwierdziłaś, jesteśmy tylko dwójką starych znajomych, którzy umówili się na drinka.

– To nie tak – odrzekła, usiłując zapanować nad rumieńcem. – Po prostu bardzo się ucieszyłam, kiedy cię dzisiaj zobaczyłam – To tak jak i ja.

– No, a co słyhać w pracy?

– Dobrze i pewnie tak pozostanie, jeśli tylko nie zrezygnujesz ze skarżenia ludzi.

– Nie mam takich planów.

Joe oparł plecy o tył obitej starą skórą ławy.

– Lepiej powiedz, co słyhać u twojego chłopaka? Ma na imię Sean, tak?

Kim zajrzała do środka swojej szklanki. Kiedy podniosła wzrok, jej oczy już się tak nie błyszczały.

– Czasami przechodzimy przez prawdziwe piekło.

Joe, śmiejąc się, wywrócił oczyma.

– Chyba nie poczęstujesz mnie opowieścią pod tytułem „mój partner mnie nie rozumie”?

Takie gadki to chyba domena mężczyzn.

– Dobrze wiesz, że gdybym chciała się skarżyć, byłabym bardziej bezpośrednia – odparła Kim, spoglądając mu prosto w oczy. Miała rozszerzone źrenice, tak że prawie nie było widać jej nakrapianych jaśniejszymi plamkami, zielonych tęczówek.

Na kilka chwil pani prokurator w ciemnej garsonce i z wymanikiurowanymi paznokciami zniknęła, a na jej miejsce powróciła studentka, którą Joe pamiętał z przeszłości, ta radosna młoda kobieta, w którą się wpatrywał przez długość sali wykładowej, zawsze w luźnych dzinsach i szerokiej starej bluzie. Starał się nie myśleć o tym, w jakich jeszcze sytuacjach widywał

Kim – jej ubrania na podłodze, zamknięte oczy, dwójka młodych ludzi w łóżku. Te wspomnienia były przyćmione oparami alkoholu, bo jakoś tak to się działo, że kiedy szli się napić, często wracali do domu razem. Bywało też tak, że gdy Kim za dużo wypila, Joe ją tylko odprowadzał i układał do snu na materacu w jej śmierdzącym marihuaną pokoju studenckim.

– Wiesz, wcale się nie zmieniałaś – zauważył. – No, może oprócz momentów, kiedy jesteś w sądzie.

– Jak to? Co przez to rozumiesz?

Żeby uniknąć odpowiedzi, sięgnął po piwo, ale widząc, że Kim wysoko uniosła brwi, mimo wszystko dokończył: – W sądzie jesteś ostrzejsza, jakbyś prowadziła jakąś krucjatę. Ale pamiętam cię z czasów studiów i to musiała być twoja prawdziwa twarz, bo przecież wtedy nikogo nie musiałaś udawać.

– A może właśnie teraz jestem prawdziwa, tylko potrzebowałam pracy, żeby to ze mnie wyszło?

– Fakt, robimy to, chcieliśmy, ale nasza praca to nie my. W domu też jesteś taka twarda?

Kim spuściła wzrok. Joe zorientował się, że poruszył czułą strunę.

– Czasami trudno mi się wyłączyć – przyznała. – Podejmuję decyzje, które rujną ludziom życie, nieważne, w którą stronę te decyzje pójdą. To mi ciąży, ale Sean oczekuje, że po powrocie do domu będę ucieleśnieniem słodyczy, jakąś boginią domowego ogniska, a ja po prostu przez większość czasu jestem zmęczona. – Kim wzięła głęboki oddech i podniosła szklankę. – Za bardzo tego potrzebuję, wiem, ale wiem też, jak to będzie, kiedy wrócę do domu. – Po upiciu łyka dodała: – Za to ty się zmieniłaś.

– Pod jakim względem?

– Chyba jesteś dojrzalszy. Poważniejszy. Nie żartujesz tyle co kiedyś.

– Bo życie nie jest już takie wesołe – odparł i zdjął kurtkę, którą przewiesił przez oparcie.

– No dobra. Przejdźmy do konkretów – zaproponowała Kim. – Domyślałam się, że nie zaprosiłaś mnie, żeby narzekać na

życie, więc wyłóżmy karty na stół. Chodzi o Ronniego Bagleya?

– Dlaczego tak uważasz?

– Wcale nie tak rzadko się spotykamy, a jednak zwykle nie zapraszasz mnie na drinka.

Czym ten dzień różni się od innych?

Joe chciał zaprzeczyć, ale zrezygnował. Było jasne, po co zadzwonił do Kim.

– Okej, faktycznie chodzi o Ronniego – przyznał.

– Rozmawiamy nieoficjalnie, czy mam to zgłosić?

– To tylko rozmowa – uprzedził.

– Jeśli cokolwiek z tego, co tu powiem, wykorzystasz w sprawie, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

– Wiesz, że gram ostro, ale nigdy nie oszukuję.

Kim przez chwilę milczała, jakby rozważała jego słowa, w końcu powiedziała: – Okej, mów, co cię interesuje?

– Chodzi o dzisiejszy poranek – zaczął.

– Masz na myśli sąd?

– Tak.

– I co ci się nie podobało?

– Tak naprawdę chodzi mi o ciebie. Wiem, że od skończenia aplikacji pracujesz jako prokurator, i wiem też, bo cię znam, że jesteś wojownikiem.

Kim przez kilka sekund wpatrywała się w piwo w szklance, którą lekko potrząsała.

– Niektórych spraw nie da się wygrać.

– Nie, to nie tak. Ronnie Bagley jest oskarżony o morderstwo. Dałem w sądzie pokaz, zrobiłem dużo hałasu, działałem na korzyść Ronniego. Ale nie spodziewałem się, że tak szybko dasz za wygraną.

– Nie dałam.

– Dałaś. Wyczułaś, że tracisz sędziego, i nie próbowałaś go przekonać, tylko się poddałaś. A wiem, że nie wypuściłabyś na wolność faceta, który twoim zdaniem zabił dziewczynę i dziecko, tylko z powodu strachu, że możesz przegrać sprawę. To do ciebie niepodobne, Kim. Mogłaś walczyć. Gdybyś naprawdę wierzyła, że

wasze stanowisko jest słuszne, przekabaciłabyś sędziego na swoją stronę lepiej niż ja.

– Co próbujesz powiedzieć?

– Że chodziło o coś jeszcze, i to mnie gryzie przez cały dzień.

– Na przykład o co?

– Są tylko dwie możliwości. Albo myślisz, że Ronnie tego nie zrobił, i ogarnęły cię chwilowe wyrzuty sumienia. Dlatego nie walczyłaś. Tylko że widziałem dowody i one są w porządku.

– Więc jaki może być inny powód?

– Że chciałaś, żeby Ronnie wyszedł, chociaż wiesz, że jest winny.

– Dlaczego mielibyśmy tego chcieć?

– A więc teraz to „my”?

– Już w ogóle nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Nie sądzę, żeby dzisiaj rano decyzję podejmowała Kim prawniczka – oświadczył. – Zrobiła to Kim, która współpracuje z policją, bo decyzja nie była prawnie uzasadniona.

Odpuściłaś, żeby pomóc w dochodzeniu, ponieważ uważasz, że ten, kto zatrzymał Ronniego, pospieszył się. Pozwoliłaś, żebym myślał, że to moja zasługa, że udało mi się przekonać sędziego, ale wy chcecie znaleźć ciała, bo jeśli je znajdziecie, będzie wam łatwiej skazać Ronniego. Chcecie mieć go na wolności, żeby zaprowadził was do zwłok.

Kim opróżniła szklankę. Jej oczy już tak nie błyszczały, wyraz twarzy stwardniał.

– Nie mogę rozmawiać o takich rzeczach – rzuciła.

– Zatem najwyraźniej mam rację.

– Może po prostu podałeś dobre argumenty, Joe. Może choć raz chodziło o ciebie. – Kim wstała i sięgnęła po torebkę. – Muszę lecieć.

– Sądziłem, że posiedzimy trochę dłużej – rzekł, dotykając jej ręki.

Kim smutno się uśmiechnęła.

– Zostałabym, gdybyś chciał pogadać o prywatnych

sprawach, może nawet o starych czasach. Ale na te tematy nie mogę rozmawiać. – Cmoknęła go w policzek zimnymi od piwa ustami. – Do zobaczenia, Joe.

Joe, wciąż czując na policzku chłód pocałunku, odprowadził Kim wzrokiem, a kiedy stracił ją z oczu, opadł bezwładnie na siedzenie. Czuł pustkę. Był przyzwyczajony, że kobiety od niego odchodziły, żałował tylko, że nie potrafi znaleźć w sobie siłę, żeby je zatrzymać. Podniósł piwo i mruknął: – Taa..., do zobaczenia. – Ale piwo już mu tak nie smakowało.

Rozdział 24

Zamknął oczy i położył głowę. Wygodnie się wyciągnął. Wziął długi, głęboki oddech, w płuca wpłynęło chłodne powietrze nocy; słońce już zaszło, teraz otaczał go sinawy mrok wczesnego letniego wieczoru. Po hałaśliwym dniu delectował się ciszą.

Wrócił do miejsca, do którego należał. To była jego przestrzeń, jego świat. Szum miasta, niezbyt odległy, samochody, tramwaje, czasami trzask rozbijanej butelki i przekleństwa pijaków. To wszystko działo się gdzie indziej. Tu za wysokimi murami było bezpiecznie. Tam niczego nie kontrolował. Tutaj było inaczej. To była jego przestrzeń, tu znał wszystkie cienie, odwiedził każdy mroczny kąt, przełamując jego ciszę echem własnych kroków.

Przychodził tu, żeby być z nimi – na długie noce ze wspomnieniami – tak jakby to, że tu był, oznaczało, że tak naprawdę nie zginęły, że jego obecność w jakiś sposób utrzymywała je przy życiu. Był ich strażnikiem, pilnował ich do chwili, aż natura je odbierała, obracając w proch.

Powietrze smakowało cudownie znajomo. Zimna stal, zardzewiałe żelazo, mokre cegły, słodki zapach wyrastających z pęknięć w betonie paproci. Zapach, który mu przypominał te wszystkie noce, które spędził tu samotnie, krążąc, zaznaczając teren. Czasami podskakiwał wystraszony nagłym hałasem, rozlegającym się gdzieś w mrocznych cieniach, które trzymały go na nogach aż do chwili, gdy powoli budził się dzień. Pod naporem blasku słońca dręczące go lęki cofały się, jednak wieczorem znowu wracały, coraz odważniejsze i śmielsze.

Ale to było coś więcej niż tylko te noce – nie każda była długa i samotna, i nie zawsze do rana dotrzymywały mu towarzystwa ciemność i wytwory jego wyobraźni. Były też inne noce.

Krzyki. Pogoń. Walka. Drgające w jego rękach ciała, drżące powieki, wspomnienia jak światła stroboskopowe.

Otworzył oczy. W dziurach w dachu świeciły gwiazdy, kropki na czarnym tle, poprzecinanym zarysem poszarpanych brzegów metalu, pomarszczone pasy żelastwa, miejscami zniszczone przez wandalów lub po prostu rozkładające się ze starości. Tego miejsca, w którym stał, od sześćdziesięciu lat nic nie zakłócało, oprócz upływu czasu, którego działanie zwracało je naturze. Ilekroć je odwiedzał, zawsze zbierał go podziw; że ono wciąż istnieje w samym sercu miasta, martwe, zatrzymane w czasie, czekające, aż ktoś się nim zainteresuje.

Jego wymowa była symboliczna; to miejsce mówiło, że za nowością i nowoczesnością kryją się choroba i rozkład, że niegdysiejsze cuda zapomnienie obraca w pył.

Jednak nie było mu łatwo tu przebywać. Prześladowały go cienie i dziwne światło księżyca, plamami rozlewające się po posadzce. Niektóre obszary przed nim wyglądały jak poruszające się szare wzory, inne jak czarna otchłań studni.

Znowu zamknął oczy. Chciał odgłosów. Odgłosy ożywiały to miejsce. Niektóre były rzeczywiste, inne pochodziły z daleka. Czasami było to delikatne skrobanie, pazury na cemencie, szybkie drobinie, kończące się przy rosnących gdzieniegdzie kępach wysokiej trawy. Albo szum trzepoczących skrzydeł – ptaki leciały do gniazd uwitych na dachu – ostry dźwięk nad jego głową pojawiający się tak nagle, że musiał szybko się okręcić, żeby się zorientować, skąd nadciąga, i żeby się przygotować, że za chwilę o jego włosy otrą się brudne pióra.

Na myśl o tym wzdrygnął się ze wstętem i zaraz potem pomyślał o tych innych dźwiękach, słabo słyszalnych, nigdy na tyle głośnych, żeby mogły zakłócić nieustający hałas dochodzący zza muru, ale on je słyszał. To były duchy przeszłości,

wspomnienia wyryte w murach. Nieustający pomruk ludzkich kroków. Tętnienie na cementcie, krzyki, zgrzyt okręcających się wielkich kół, świsty przypominające pisk.

Zrobił krok, żeby usłyszeć trzeszczenie żwiru pod butami, żeby przerwać te rozmyślania.

Wiedział, dokąd one go prowadzą, czuł swędzenie palców – wracał do wspomnień. Ale nie mógł tam jeszcze podążyć. Jeszcze nie przerwał zaklęcia.

Usłyszał trzepot skrzydeł, ptaki wymieniały się miejscami na krokwiach. Szybko się odwrócił i poświecił latarką w górę. Serce biło mu mocno. Aż podrygiwał od tego walenia.

Roześmiał się i unióśł szeroko rozpostarte ramiona, biorąc w posiadanie to królestwo, tę oazę nicości.

Przydryfował ku niemu odgłos strachu. Cichy jęk zduszony kneblem. Obejrzał się.

Siedziała w snopie promieni księżycy przeświecających przez dach, prawie jak w srebrzystej łunie reflektora, włosy spływały jej na plecy, światło odbijało się od nich jak od lustra wody. Przełknął ślinę. Tkwiła tam od prawie godziny, jej krzyki z czasem zamieniły się w łkanie strachu. Chciał od tego uciec, ale gdy się obejrzał, zrozumiał, że go tam ciągnie. Huśtała się na krześle, drewniane nogi waliły szybko w beton.

Spojrzał w dół na własne stopy. Zniszczone, stare, zwykle brązowe buty o miękkich podeszwach, niewyraźne na tle szarej posadzki. Wiedział, co się zaraz wydarzy.

Jego stopy nie wydawały żadnego dźwięku, kiedy się zbliżał. Stał lekko, wolno, nie chcąc jej wystraszyć. Latarkę wyłączył. To niewiedza najbardziej je przerażała. Oczy miała zasłonięte czarnym kawałkiem materiału. Był związany w mocny węzeł z tyłu głowy, wrzynał się w skórę, mokry w miejscu, gdzie roniła łzy strachu. Za knebel służył kawał gałgana. Tkwił między zębami, zabezpieczony otaczającą głowę i wrzynającą się w policzki długą szmatą.

Ale jego, gdy się zbliżał, ciągnęło do niej coś innego. Nie chodziło o knebel ani o piersi, które się unosiły i opadały, gdy jej

pluca próbowały dotrzymać tempa oddechowi paniki. Przyciągały go włosy. Długie, ciemne, gęste, spływające na plecy czarną kaskadą.

Przysunął twarz. Musiała wyczuć jego oddech, bo drgnęła i się skuliła, a potem jej głowa zaczęła się okręcać – próbowała go zobaczyć przez ciasno związaną opaskę. Wyciągnął rękę.

Gdy włosy spłynęły między palcami, poczuł strzelanie ładunków elektrycznych, część włosów uniosła się w górę. Zobaczył, że na ramionach dostała gęsiej skórki. Zauważył lśnienie potu.

Zaczęła kwilić, szamotać się, stukot uderzających w beton nóg krzesła stał się szybszy.

Przystawił usta do jej ucha i szepnął: – Chcesz wrócić do domu? – Jego głos brzmiał bardziej jak syczenie.

Najpierw głośno pisnęła, zaraz jednak, gdy słowa do niej dotarły, pokiwała głową, z początku niepewnie, potem z większą desperacją, wydając przez knebel potwierdzające stęknienia.

Spojrzał ponad nią na postać pod ścianą. Gdy otrzymał zgodę wyrażoną skinieniem głowy, jego ręka sięgnęła do kieszeni po nóż. Ostrze było ostre. Przystawił nóż do sznura, którym miała przywiązane ręce do krzesła, i go przeciął. Rozluźniła mięśnie dotąd mocno naciągniętych ramion, chociaż dłonie wciąż miała związane na plecach. Ukląkł i rozciął sznur na kostkach.

Natychmiast zerwała się z krzesła. Miała związane ręce, opaskę na oczach i knebel w ustach.

– Leć, ptaszyno – zachęcił.

Kiedy odsunął się od krzesła, milknąc, żeby nie wiedziała, gdzie stoi, jeszcze raz się obejrzał, czekając na pozwolenie. Otrzymał je. W postaci uśmiechu.

Nadeszła pora, żeby się zabawić.

Rozdział 25

Gdy usłyszał dzwonek telefonu, Sam Parker szybko otworzył oczy. Spojrzał na Alice, która przed przekręceniem się na bok cicho jęknęła. Zegar pokazywał szóstą trzydzieści.

Miał ochotę nie odbierać. Podejrzewał, że to znowu ktoś z

zastrzeżonego numeru, że znowu usłyszy tę samą lawinę okrzyków bólu. Jednak wiedział, że musi odebrać – chęć sprawdzenia, kto dzwonił, i tak sprawi, że wstanie. Zaczął szperać w stercie ubrań z poprzedniego dnia, aż znalazł telefon. Zanim się połączył, opadł z powrotem na poduszkę.

– Halo? – Głos miał mocno zaspany.

– Tu Mary Evans. – Sam natychmiast oprzytomniał i szybko usiadł. – Zaginęła kolejna osoba – usłyszał. – Następna dziewczyna. Musisz przyjechać. – I telefon umilkł.

Przetarł oczy. Zeszłej nocy mało spał, myślał o zaginionych dziewczynach. Wszystkie długowłose, z niewinnymi uśmiechami. Tylko że takie rozmyślania nie były dobre; skończy się tym, że zacznie myśleć o Ellie albo o tym, jak sam by się czuł, gdyby zaginęła któraś z jego córek. Nie tak powinien podchodzić do tego dochodzenia. Powinien jechać do pracy i postarać się jak najlepiej wypełniać swoje obowiązki, tak żeby wszyscy byli z niego zadowoleni. Bolesne wspomnienia i lęk tylko zaciemniłyby jego ogład.

Alice się przekręciła i położyła mu rękę na piersi.

– Nie mów – wymamrotała. – Musisz jechać do pracy.

– Przykro mi – szepnęła i pocałował żonę w czubek głowy. – Zniknęła następna dziewczynka.

Alice zabrała rękę i oparła się na łokciu. Zauważył, że зерka w stronę drzwi sypialni córek.

– Jesteś w stanie zajmować się tą sprawą? – zapytała.

– Oczywiście – odparł i ześliznął się z łóżka, a potem przeciągnął. – Właśnie po to wstąpiłem do policji.

– Ciągle to powtarzasz, ale jakoś wcale mnie nie przekonujesz, Sam.

Nie odpowiedział, zajęty szykowaniem się. Zamierzał wziąć szybki prysznic i wyjść bez śniadania. Inspektor Evans wezwała go tak wcześnie, bo go potrzebuje. Jeśli będzie się gudzrał, pomyśli, że mu nie zależy na dochodzeniu.

Ponieważ godziny szczytu jeszcze się nie rozpoczęły, dojechał na miejsce w krótszym czasie niż zwykle. Kiedy wszedł

do budynku komendy, w środku wyczuł atmosferę narastającego napięcia. Poprzedniego dnia też panował tu duży ruch, ale dzisiaj było inaczej.

Na korytarzu, pogrążeni w cichej rozmowie, stali funkcjonariusze odziani w granatowe kombinezony i wysokie czarne buty z cholewkami. Ekipy poszukiwawcze. W pokoju dowodzenia grupka starszych rangą detektywów rozmawiała przy oknie.

Sam zwrócił się do najbliższej osoby, Geda, detektywa, który poprzedniego dnia chciał, żeby zrobił dla wszystkich kawy.

– Co się dzieje? – zapytał. – Znaleźliście zwłoki?

– Nie. Mamy tylko zaginięcie, ale spodziewamy się najgorszego.

– Są jakieś powiązania z poprzednimi zaginięciami?

Ged wyglądał, jakby nie zamierzał odpowiedzieć, wciąż był najeżony po tym, jak Sam mu się postawił, jednak po kilku sekundach potwierdził: – Tak. Dziewczyna nazywa się Julie McGovern. Jej ojciec jest miejscowym radnym, wchodził w skład ławy przysięgłych, którzy wysłali Bena Granta za kratki. I wygląda, jakby ktoś dał cynk prasie, bo reporterzy już się zbierają na zewnątrz. – Ged potrząsnął głową. – To nam się wymknęło spod kontroli.

Ged przeszedł do komputera. Sam poszedł za nim i stanąwszy za jego plecami, spojrzał na monitor. Rozpoznał niebieski banner Facebooka. Profilowe zdjęcie przedstawiało atrakcyjną brunetkę, w szerokim uśmiechu odsłaniającą równe białe zęby. Na ramiona spływały długie i gęste włosy. Sam popatrzył niżej, na zdjęcia grupy obejmujących się dziewcząt i widniejące pod nim komentarze.

– Ładna dziewczyna – mruknął.

– Przeglądam jej stronę, bo chcę sprawdzić, czy ktoś napisał coś, o czym nie wiemy – wyjaśnił Ged i popatrzył w górę.

– Co do wczoraj, to chyba rozumiesz, że tylko cię podpuszczałem. Wiesz, jak to jest.

– Wiem, chociaż tu nie chodzi o nas, a o nie – odparł Sam i

zanim Ged zdążył odpowiedzieć, oddalił się w stronę Evans, która porządkowała jakieś dokumenty. Przed nią leżała mapa, więc domyślił się, że układa plan działania dla ekip poszukiwawczych.

Kiedy zobaczyła, że Sam się zbliża, zerknęła w jego stronę, ale potem podniosła rękę.

Zatrzymał się. Evans była zajęta i nie chciała, żeby jej przeszkadzano, więc się odwrócił i przeszedł do swojego biurka. Pamiętał, co Evans powiedziała dzień wcześniej o tym, że musi dokładnie zapoznać się ze sprawą. Zabrał się więc za wyszukiwanie raportów z zeszłej nocy.

Czynność przerwał dopiero, gdy usłyszał za plecami czyjeś kroki. Odwrócił się. To była Evans.

– Musisz się zapoznać ze sprawą Julie – oznajmiła. – Dzisiaj z samego rana znowu byliśmy w więzieniu. Nie mamy czasu czekać na Granta. Zniknięcie Julie McGovern zmusza nas do przyspieszenia działań.

– A co właściwie się wydarzyło?

– Julie powiedziała, że idzie się spotkać z koleżanką, ale skłamała. Rozmawialiśmy z tą dziewczyną i żadnego spotkania nie było.

– Ma chłopaka? – zapytał.

– Nie, nikogo na stałe. Jest dobrą uczennicą, miłym dzieciakiem, jeśli wierzyć temu, co o niej mówią. Dużo się uczy, słucha muzyki, normalka.

Sam spojrzął na porozwieszane w pokoju zdjęcia zaginionych. Miłe dziewczyny z dobrych rodzin.

– Może było inaczej. Może jednak ma chłopaka, tylko nikt o nim nie wie. A koleżankę wykorzystała jako alibi – zasugerował.

– Rodziny to skomplikowane środowisko. Może dziewczyna się zapomniała i została gdzieś dłużej niż planowała, a teraz boi się wrócić do domu, bo ojciec, ważna szycha, jest surowy. Może razem z chłopakiem siedzą teraz i się zastanawiają, co zrobić.

Inspektor Evans zmarszczyła czoło.

– Już rozważaliśmy ten scenariusz, i mam nadzieję, że masz rację, jednak coś mi mówi, że się mylisz. Powiązanie ze sprawą

Bena Granta jest zbyt duże. – Wycelowała ręką w stronę tłoczących się w pokoju ekip poszukiwawczych w granatowych kombinezonach. – Może to przedwczesne, ale obrzucą mnie błotem, jeśli niczego nie zrobię. – Zmierzyła Sama wzrokiem od góry do dołu. – Twój szef wie, że zostajesz dzisiaj u nas?

– Wie.

– Dobrze. W takim razie zostaniesz. Przyda nam się dodatkowa para rąk do pomocy.

– Dziękuję. Chętnie pomogę.

– Na początek posadzę cię przy telefonach. Mogłabym wyznaczyć kogoś innego, ale być może później będziesz mi potrzebny. Chcę, żebyś spotkał się dzisiaj z Benem Grantem, więc musisz dowiedzieć się wszystkiego o sprawie. Czekamy tylko na sygnał z więzienia.

Szybkim krokiem odeszła do grupy funkcjonariuszy w kombinezonach. Sam pozwolił sobie na lekki uśmiezek. Wprawdzie jego zadaniem było tylko odbierania telefonów, ale to i tak lepsze od powolnego przekopywania się przez zeznania finansowe.

Poranek był pogodny, słońce wstało tuż po czwartej. Dzień wolno podążał ku godzinom szczytu, miasto za murami stopniowo się budziło. Jego pierś ciężko falowała, miał za sobą długie i ekscytujące godziny, tylko że teraz adrenalina odpłynęła i musiał walczyć ze wstydem, kurczowo uczepony wspomnień o tym, co się wydarzyło w momencie największego uniesienia.

Zwłoki leżały na posadzce, dziwnie poskręcane. Biała bluzka była brudna i podarta, na łokciach i z przodu widniały plamy krwi. Dżinsy były mokre w miejscu, gdzie dziewczyna się posikała, włosy zmatowiały od potu i kurzu, od biegania dokoła, od ucieczki, od pościgu. Teraz była nieruchoma, leżała bez życia, włosy miała brudne, już nie lśniły. Skołtunione, zasłaniały twarz. A jeszcze tak niedawno wyglądała zupełnie inaczej. Kiedy kurczowo trzymała się ostatnich strzępów życia.

Nachylił się do niej, żeby odsunąć włosy z twarzy. Był delikatny, kiedy je odlepił od głębokiej rany, którą sobie zrobiła,

gdy wpadła na starą połamaną rurę o poszarpanym końcu.

Krzycząc i jęcząc z bólu, padła wtedy na ziemię. Krew już nie ciekła, rana zasychała. Oczyszczył ją pękiem włosów. Ciało powinno zachować jakąś godność po śmierci.

Wziął głęboki oddech i się wyprostował. Przeciągnął dłońmi po twarzy, wycierając z niej pot. Wszystko wyglądało tak inaczej w świetle rozpoczynającego się dnia. Tak surowo, realnie.

– Jesteś za miękki.

Spojrzał w górę, mrużąc oczy przed słońcem.

– Tak, wiem – przyznał i popatrzył na napuchniętą kostkę martwej dziewczyny. Spadła cztery stopy w dół z jednej z platform. Przeniósł wzrok na rozcięcie na czole, wynik zderzenia z kolumną, na dłonie z czerwonymi rysami, pokiereszowane od czołgania się po odłamkach szkła.

Dostrzegł jasną plamę skóry na piersi, widoczną w rozdarciu w bluzce. Odwrócił wzrok. Nie o to mu chodziło. Z żadną nie o to chodziło.

– No, zbieraj się, musimy się jej pozbyć.

Wstał, gramoląc się z ziemi, potem znowu sięgnął do jej włosów. Tym razem zebrał je w kucyk i zrobił z nich węzeł, żeby wyglądały porządnie. Z kieszeni wyjął nożyczki. Były małe i ostre. Kiedy ciął włosy, uśmiechał się. W dłoniach zostało mu długie pasmo. Było jedwabiste w dotyku.

– Do ziemi z nią.

– Okej, okej – mruknął, po czym chwycił ją za ręce i przeciągnął do dziury, którą wykopał wcześniej. Miała spocząć obok innych. Przeciągnął ciało jeszcze bliżej, tak żeby samo ześliznęło się do otworu. Potem wziął szpadel i zaczął zasypywać dziurę. Kiedy skończył, uklepał pagórek butem i odsunął się. Zielsko szybko porośnie ziemię. Natura tak działa. Czyści, robiąc miejsce na nowy początek.

– Chciałem od tego uciec – poskarżył się.

– Dzisiaj zrobimy to powtórnie.

– To się miało skończyć, obiecywałaś.

– To się nigdy nie skończy.

Zacisnął zęby. Wiedział, że to prawda.

– Jak chcesz, możesz dzisiaj sam wybrać.

Wybałuszył oczy.

– Mogę?

– Tak. Dzisiejsza noc jest dla ciebie.

To go ucieszyło.

– Dobrze, dzięki.

– Wiesz, kto to będzie?

– Tak, wiem. – Poczul ucisk w klatce piersiowej.

Ekscytację. – Wiem doskonale.

Rozdział 26

Joe zajechał na ulicę, przy której mieszkał Ronnie Bagley, na miejsce, które prokuratura nazwała miejscem zbrodni. Ulica była długa, budynki miały wiktoriańskie okna. Na jezdni błyszcząły wytarte kamienie brukowca. Z jednej strony ulica graniczyła z inną ruchliwą ulicą, z drugiej była nieprzejezdna. Kończyła się stromym, porośniętym trawą zboczem, opadającym do rozpościerającej się w dole fabryki, której karbowany dach tworzył szarą plamę między szczytami zielonych wzgórz. Na placu przed fabryką panował poranny spokój, zmacony jedynie warkotem jeżdżącego w tę i z powrotem wózka widłowego.

Joe poczuł to samo zdumienie, jakie go zawsze ogarniało na miejscu przestępstwa. Ulica wyglądała bardzo zwyczajnie, a on się spodziewał jakiegoś znaku, czegoś niby cień unoszący się nad budynkiem. W końcu było to miejsce cierpienia, to za jednym z tych okien ktoś stracił życie. Przypomniała mu się ścieżka, na której zamordowano Ellie. Ilekroć koło niej przechodził, zawsze miał wrażenie, że jest mroczniejsza od reszty okolicy, choć oczywiście rozumiał, że to złudzenie. Ulica Ronniego Bagleya też niczym się nie różniła od innych zwyczajnych ulic.

Joe pominął zawodową etykietę i nie powiadomił prokuratury o odwiedzinach. Nie była to zasada, której należało kategorycznie przestrzegać, jemu zaś zależało na szczerej reakcji świadka, a nie na przygotowanych odpowiedziach, jakie otrzymałby, gdyby zapowiedział wizytę. Oczywiście nie chciał

umyślnie psuć sobie reputacji, jednak zbyt się tym nie przejmował. Wprawdzie istniało ryzyko, że świadek naopowiada o nim kłamstw, oskarży o próbę zastraszenia, ale byłoby to słowo przeciwko słowu i prawdopodobnie i tak nic złego by z tego nie wynikło. Zresztą uważał, że reputację buduje się na wynikach. Gdy się ich nie osiąga, znaczy to, że adwokat nie dba o klienta.

Dom, w którym Ronnie mieszkał z Carrie, był trzypiętrowym budynkiem z pociemniałego kamienia. Miał duże wykuszowe okna otoczone białymi framugami, pokrytymi brudem i pajęczynami. Za szybami wisiały pożółkłe firanki.

Joe podszedł do dużych drewnianych drzwi wejściowych, pomalowanych na niebiesko. Już chciał zapukać, gdy w ostatnim momencie zauważył trzy dzwonki. Przy dwóch dolnych nie było nazwisk, ale przy najwyższym widniał napis: Terry Day.

Przycisnął dzwonek i czekając, aż ktoś otworzy, odwrócił się w stronę ulicy. Panował na niej spokój. Na poboczu stały samochody, ale na samej jezdni nic się nie działo. Okolica nie należała do bogatych, choć też nie były to slumsy. Większość aut należała do typu rodzinnych, prawie nowe fiesty i nissany; w niektórych oknach stały kwiaty.

Odwrócił się do drzwi, bo usłyszał, że cicho skrzypnęły. Ujrzał przygarbionego mężczyznę o rzadziejących siwych włosach, gładko zaczesanych na kościstej czaszce; oczy przysłaniały wąskie okulary w drucianej oprawce. Mężczyzna zmierzył go zdziwionym spojrzeniem i wykonał gest, jakby chciał zamknąć drzwi. Joe wyciągnął rękę.

– Terry Day?

Mężczyzna zawahał się i rozejrzał po ulicy.

– Tak?

– Nazywam się Joe Parker. Chciałbym porozmawiać o Ronniem Bagleyu. Jestem jego adwokatem.

Mrugnięcie, a potem: – I co z tego?

– Wpuści mnie pan, żebyśmy porozmawiali?

Mężczyzna nie odpowiedział.

Joe liczył się z tym, że Terry może mu zatrzaskać drzwi

przed nosem, ale ta sytuacja była jeszcze bardziej frustrująca. Włączył dyktafon, który wcześniej ukrył w kieszeni. Jeśli miałoby dojść do skargi, chciał posiadać dowód prawdziwego przebiegu wizyty.

– Mam przyjemność z Terryem Dayem? – Wyciągnął rękę z wizytówką. Mężczyzna odebrał ją, nawet na nią nie spojrzawszy.

Potem z zaciśniętymi ustami znów wyrzwał na ulicę.

– Tak, nazywam się Terry Day. Czego pan chce? – Facet mówił spokojnym głosem, choć dziwnie przeciągle, jakby starał się każdą spółgłoskę wymawiać z wielką precyzją.

– Porozmawiać.

– Policja wie, że pan tu jest?

– Nie, nie wie.

– Mogę się nie zgodzić na rozmowę?

Joe się zawahał. Zdążył zamienić z Dayem tylko kilka słów, ale już w tej chwili wiedział, że to koniec wizyty.

– Oczywiście, może pan – potwierdził i uśmiechnął się, żeby uspokoić Terry’ego. – Nie przyszedłem narobić panu kłopotów. Chciałbym tylko zadać kilka pytań.

– A jeśli odmówię?

– Zadzwoń na policję i poproszę o pozwolenie, żebym mógł tu wrócić. – Joe dał krok w przód. – Więc może miejmy to z głowy. Chce pan, żeby policja znowu się w to zaangażowała?

Terry chwilę mu się przyglądał, po czym mruknął: – Zaczekam. – I trzasnął drzwiami.

Joe stał przed nimi jakiś czas, prawie oparty o nie nosem. Zeznania Terry’ego Daya wyglądały dobrze na papierze, ale wydawało się, że Terry nie wypadnie równie przekonująco na miejscu dla świadków. Należało to wykorzystać.

Odwrócił się i zszedł po kamiennych schodkach na chodnik, po drodze wyłączając dyktafon.

Kiedy wracał do samochodu, minął młodą kobietę szamoczącą się z dzieckiem, które próbowała usadzić w małym wózku spacerowym. Gdy Joe się zbliżył, spojrzała najpierw na niego, potem na dom Terry’ego Daya.

– Pan z rady miasta? – zapytała.

– Nie – zaprzeczył i wcisnął pilota, żeby otworzyć drzwiczki samochodu. Potem coś go uderzyło: wrażenie, że pytanie było podyktowane czymś więcej niż zwykłą ciekawością. – A dlaczego pani pyta?

Kobieta znowu obejrzała się na dom.

– Jest pan znajomym pana Daya?

– Nie, nie jestem.

Kobieta przejechała po nim wzrokiem.

– Fakt, nie wygląda pan.

– A jak wyglądają znajomi pana Daya?

– Z tego, co zauważyłam, nie ma ich wielu – odparła kobieta, krzywiąc usta.

– Proszę mi o nim opowiedzieć.

– A co tu opowiadać? Nikt go nie lubi.

– Dlaczego?

– Przez to, jak się zachowuje.

Joe podążył wzrokiem za spojrzeniem rozmówczyni, która wciąż spoglądała na dom.

– Co pani ma na myśli?

– Niech pan zapyta każdego, kto tu mieszka. Wszyscy potwierdzą moje słowa. Ten facet zrobił z siebie jakiegoś zarządcę tej ulicy, mówi ludziom, co mają robić i czego im nie wolno, a jeśli mu się pan postawi, zaczyna być nieprzyjemny.

– To znaczy?

– Takie tam głupoty. Sterczy przed domem i zapisuje, co robimy, jakby chciał na nas donieść albo coś takiego, ale nie wiemy, co tam bazgrze, więc nic nie możemy mu zarzucić. Ale to trochę przerażające. – Kobieta przekrzywiła głowę. – No a pan? Kim pan jest?

– Adwokatem Ronniego Bagleya, faceta, który mieszka w tym budynku na pierwszym piętrze.

Kobieta poczerwieniała i ruszyła szybko chodnikiem; koła jej wózka głośno łomotały na nierównych płytach.

– Nie powinnam była z panem rozmawiać – rzuciła przez

ramię. – Powinien pan uprzedzić, kim jest.

– Dlaczego?

Kobieta nic więcej nie powiedziała. Zwyczajnie odeszła, a Joe, odprowadzając ją wzrokiem, uznał, że na ulicy Ronniego dzieją się rzeczy, które wymagają dokładniejszego zbadania.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na dom, i zerknął w górę na ostatnie piętro. W oknie zobaczył Terry’ego Daya, który na niego patrzył.

Joem wstrząsnął dreszcz niepokoju. Coś mu tu śmierdziało.

Rozdział 27

Sam popatrzył w dół, na coraz liczniejszą grupę reporterów zbierających się na ulicy przed komendą. Informacja o zaginięciu dopiero trafiła do lokalnych wiadomości i dziennikarze koniecznie chcieli zdobyć zdjęcie kolejnej zaginionej dziewczyny, żeby je opublikować. Jeden z fotografów spojrział w górę, więc Sam szybko odszedł od okna i zamiast gapić się na ulicę, przeczesał wzrokiem pokój, w którym się znajdował. Poprzedniego dnia ludzie jeszcze przerzucali się żartami, ale dzisiaj już nikt nie dowcipkował. Wszyscy siedzieli przed komputerami lub przy telefonach, niektórzy próbowali skontaktować się z osobami, których nazwiska widniały na stronie Julie McGovern na Facebooku. Wiele z tych osób dołączyło swój numer telefonu.

Sam otworzył notes, który znalazł na sąsiednim biurku. Nadał stronie numer, zapisał datę i podkreślił ją, używając do tego linijki. Potem powrócił do policyjnych rejestrów z pierwszymi zgłoszeniami telefonicznymi. Inspektor Evans chciała, żeby odbierał telefony, ale tych nie było wiele. Otworzył pierwszy raport. Rodzice Julie po obdzwonieniu wszystkich znajomych córki, gdy się przekonali, że nigdzie jej nie ma, o wpół do dwunastej w nocy zadzwonili na policję.

Ponieważ w wiadomościach głośno było o zaginięciach innych dziewcząt, obawiali się najgorszego. Julie wyszła z domu o wpół do dziewiątej, co znaczyło, że od jej wyjścia do telefonu rodziców minęły trzy godziny.

Zaraz po zgłoszeniu sprawy Julie nie potraktowano jako

priorytetowej, niemniej informacja poszła w obieg i policja zaczęła szukać dziewczyny. Tylko że opis jej wyglądu był bardzo nieprecyzyjny. Wzrost metr siedemdziesiąt jeden, zielone oczy, długie kasztanowe włosy, biała bluzka i dżinsy. Sam, przywoławszy w myślach mapę Manchesteru z jego publicznym transportem i drogami szybkiego ruchu, uznał, że Julie może być wszędzie. Ekipy poszukiwawcze miały znaczenie marginalne. Możliwe, że na coś wpadną, ale powołano je bardziej po to, żeby rodzina miała świadomość, że policja coś robi.

Jego uwagę rozproszył brzęczyk komórki, którą miał w kieszeni. Spojrzał na wyświetlacz.

Alice.

– Cześć, jestem zajęty – przywitał się szeptem. – Wszystko w porządku?

– Tak, przepraszam, że przeszkadzam, ale właśnie rozmawiałam z twoją matką. Możesz do niej wpaść wieczorem? Usłyszała w wiadomościach o tej dziewczynie, tej, co zaginęła. To jej przypomniało Ellie i bardzo się zdenerwowała. Chce, żeby Joe też przyjechał.

– Taa, nie ma problemu. Zaraz do niego zadzwonię. – Chwila zawahania. – Nie będziesz zła? Miałaś wyjść wieczorem.

– Miałam, ale lepiej jedź do matki.

– W porządku, dzięki.

I znowu to samo. Ellie zawsze mu towarzyszyła. Wkrótce prasa zacznie opisywać nową historię, o starej ludzkiej zapomną, ale dla rodzin to się nigdy nie kończyło.

Światelko w aparacie na biurku zamigotało na czerwono, na wyświetlaczu pokazał się numer.

– Sam Parker, Wydział ds. Ciężkich Przestępstw – rzekł do słuchawki i sięgnął po długopis.

Po drugiej stronie usłyszał jakiś szelest, potem chichoty, po czym ktoś o głosie nastolatka wyszeptał: – Mam ją tu, związaną. Jest taka ładniusia i gorąca. – I znowu chichot, potem połączenie się urwało.

Sam zanotował numer z wyświetlacza. Na wezwania policji

często odpowiadają bezmyślni idioci. Żartownisie nie zdają sobie sprawy, że jeśli policja przechwyci numer, mogą się spodziewać odwiedzin złożonych pod pretekstem śledzenia tropów, choć w rzeczywistości chodzi o postraszenie. Najczęściej tacy ludzie szybko sobie wtedy uświadamiają, że ich żart od początku nie był śmieszny.

Usłyszał, że ktoś go woła, więc podniósł wzrok. Inspektor Evans przechyliła głowę na bok na znak, żeby do niej dołączył. Inni detektywi udawali, że nie patrzą, gdy ich mijał, ale Sam czuł ich spojrzenia na plecach.

– Tak, pani inspektor?

Po tych słowach wetknął dłonie do kieszeni, ale zaraz szybko je wyjął i złączył przed sobą.

Evans zbliżyła się, rozejrzała, a potem ściszone głosem powiedziała: – Pamiętasz, co mówiłam, że chcę mieć cię dzisiaj przy sobie, bo jeśli Ben Grant zgodzi się na rozmowę, będziesz musiał do niego pojechać? Więc zbieraj się, jedziemy.

Sam był zaskoczony, ale jeśli chciał zostać w zespole, istniała tylko jedna odpowiedź.

– Rozumiem.

Evans ruszyła do wyjścia, Sam za nią. Przy drzwiach obejrzał się za siebie. Kilka osób odprowadzało go wzrokiem, łącznie z Gedeem, detektywem kulturystą, który wydawał się wściekły. Sam się zdziwił. Sądził, że się dogadali, najwyraźniej jednak dla detektywa było to tylko krótkotrwałe zawieszenie broni. Kiwnął mu głową. Nie zamierzał dać się zastraszyć i wywalić z zespołu.

Na korytarzu zapytał Evans, czy konferencja prasowa już się odbyła.

– Jeszcze nie. Najpierw chcę jeszcze raz porozmawiać z rodziną, żeby wykluczyć inne scenariusze. Co roku mamy stałą liczbę uciekinierów, więc musimy być pewni, że nie pospieszylismy się z wnioskami. Zwykle dziewczyny odnajdują się na Piccadilly, ubrane w krótkie spódniczki, choć raczej nie pochodzą z takich rodzin jak ta. Musimy też poinstruować bliskich,

co mogą mówić przed kamerami, żeby za wiele nie ujawnili.

– Czy ktoś z nimi teraz jest?

– Tak, funkcjonariuszka z Wydziału ds. Kontaktów z Rodziną. Zobaczymy, czy coś nam ciekawego powie.

Sam pokiwał głową. Funkcjonariuszy odpowiedzialnych za kontakt z rodziną postrzegano jako pocieszycieli, tych, którzy dodają otuchy bliskim ofiar, ale w rzeczywistości byli to doświadczeni detektywi, których zadaniem było towarzyszyć bliskim i ich obserwować. Do większości zabójstw dochodzi na łonie rodziny, więc policjanci wyspecjalizowani w kontaktach z rodzinami nie tylko wspierają, ale też zwracają uwagę na wszystko, co może być podejrzan.

Sam znał scenariusz działania. Detektywi dokładnie przetrząsną najpierw pokój Julii, a potem całe jej życie. Przesłuchają znajomych, odwiedzają szkołę, sprawdzą komputer. Na jaw wyjdą wszystkie intymne tajemnice.

– Czy wpadliście na jakieś tropy, kiedy przeszukiwaliście rzeczy innych zaginionych? – zapytał.

Evans pokręciła głową.

– Mieliśmy nadzieję, że komputery coś nam powiedzą, na przykład, że ktoś te dziewczyny prześladował, do czegoś namawiał, ale nic takiego nie znaleźliśmy.

– Więc jakie są pani wnioski, pani inspektor?

– Pytasz, co ja o tym myślę? – powtórzyła Evans. – Myślę, że dziewczyny ktoś porwał, chociaż dziwne jest to, że jeszcze nie znaleźliśmy zwłok. Zwykle dość szybko znajdujemy je w jakimś lesie lub w podobnych miejscach.

Sam, czując nagły przyływ rozpacz, mocno zacisnął zęby. To była zwykła rozmowa służbowa, a jednak od razu pomyślał o Ellie. Musi się nauczyć odsuwać od siebie te myśli, chociaż gdy to sobie powtarzał, zawsze miał wrażenie, że zdradza pamięć siostry.

Wyszedł za Evans na zaplecze komendy, gdzie na parkingu stała srebrna astra. Gdy do niej wsiedli, a potem ruszyli, Evans go przestrzegła: – Tylko nic nie mów. Musimy wyglądać na ponurych

i zdeterminowanych, kiedy będziemy mijali dziennikarzy.

Dlatego, gdy wyjechali na ulicę, od razu ruszył na pełnym gazie. Kilku reporterów obejrzało się za nimi, ale ponieważ nie jechali na syrenie i światłach, nikt się nie zainteresował.

– Ja zagadam rodzinę, a ty przeszukasz pokój Julie. Tylko zrób to dokładnie – poleciła Evans, gdy już byli w bezpiecznej odległości.

– Jeśli Julie nie żyje, jej pokój jest wszystkim, co im po niej pozostanie – zauważył.

– Dlatego niczego nie przestawiaj, ale zajrzyj w każdy kąt. Pod materac, do szuflad.

Szukaj pamiętnika, czegoś, co mogła ukrywać. Jakichś notatek. Przejrzyj komputer. Szukaj czegoś, co mogłoby wskazywać, że miała tajemnice.

Sam uśmiechnął się pod nosem. Znajdował się w samym sercu dochodzenia. Teraz tylko od niego zależało, jakie zrobi wrażenie i czy zdoła przekonać do siebie ewentualnych wrogów w zespole. Wiedział, że szukał pewnego rodzaju odkupienia za Ellie, że był starszym bratem, którego życie przebiegało w cieniu wyrzutów sumienia, poczucia winy, że nie zdołał ochronić siostry. Jednak jeśli nie dopuści, żeby następnemu mordercy jego czyn uszedł płazem, motywy, jakie nim kierowały, nie miały znaczenia. Liczyło się tylko to, żeby już nikt więcej nie zginął.

Rozdział 28

Joe wrócił do biura i od razu udał się na najwyższe piętro, gdzie w ciasnym pokoju o skośnym suficie pracowała Gina, za sąsiadów mając rezydujących w pokoju naprzeciwko, zajętych flirtowaniem i czasami również pracą, aplikantów oraz urzędników kancelarii.

Wszedł bez pukania, zdyszany po szybkiej wspinaczce, ale podniósł rękę na znak przeprosin, gdy zobaczył, że Gina rozmawia przez telefon.

Gina przysłoniła słuchawkę.

– Gdzie ty się podziewałeś?

– Byłem u świadka.

Gina podniosła dłoń, pokazując, że musi dokończyć rozmowę. Joe krążył po pokoju, kiedy się żegnała. Gdy się rozłączyła, oznajmiła: – Próbuję ustalić, kto będzie głównym prokuratorem na rozprawie. Wiem, że jest za wcześnie, ale jak mówiłeś, trzeba od początku nastraszyć przeciwnika.

Joe kiwnął głową z aprobatą.

– A teraz mów, dlaczego jesteś taki podekscytowany? – rzuciła Gina.

– Wymyśliłem plan zapasowy.

– To znaczy?

– Naszym głównym argumentem musi być to, że Carrie i Grace żyją. Na tym chcę się skoncentrować. Szukaj ich. Porozmawiaj z każdym, kto ją znał, i idź za tropami. Jeśli Carrie uciekła, bo Ronnie ją pobił, nie będzie chciała dać się znaleźć. Postaraj się o kasę na wywiadowcę, kogoś, kto będzie pilnował domu przez całą noc, w razie gdyby któryś z przyjaciół Carrie ją ukrywał.

– A jeśli ich nie znajdziemy? – spytała Gina.

– Zostanie nam ekspert od krwi, którego wyszuka Monica.

– Ale przecież Ronnie ma wytłumaczenie na krew?

– Tak, które brzmi jak wymówka – mruknął Joe. – Musimy zdeprecjonować dowody prokuratury, tak żeby Ronnie nie musiał się tłumaczyć. Musimy doprowadzić do odrzucenia oskarżenia prokuratury, a nie polegać na wyjaśnieniach, jakie poda Ronnie.

– Masz jakiś pomysł, do kogo powinniśmy się zwrócić w sprawie krwi?

Joe zaczął się zastanawiać.

– Wyszukajcie laboratorium, z którego jeszcze nie korzystaliśmy.

– Dlaczego? Mogą wydać ekspertyzę, która nam się nie spodoba.

– Nie zrobią tego, bo będą chcieli nas zadowolić, żebyśmy wynajmowali ich w przyszłości.

Laboratoria, z których już korzystamy, nie przejmą się, że wydadzą niekorzystną opinię, bo wydają też sporo korzystnych.

Ktoś nowy będzie chciał nam pokazać, co potrafi. Znajdź kogoś, kto działa indywidualnie, nie wchodzi w skład grupy badawczej lub dużej firmy konsultingowej.

Jeśli zleceniodawca nie potrzebuje naszych pieniędzy, nie da nam tego, czego potrzebujemy.

– Czasami przez tę robotę czuje się brudna.

– Pamiętaj, że już nie zajmujesz się odkrywaniem prawdy – przypomniał Joe. – Teraz działasz w biznesie nakierowanym na wzbudzanie wątpliwości. Prawda ma tu niewielkie znaczenie.

– A więc to jest ten twój plan zapasowy? Specjalista od krwi, który wyda podejrzaną opinię?

– Nie – zaprzeczył i zaraz szeroko się uśmiechnął. – Jak mówiłem, byłem w odwiedzinach.

– Mam wrażenie, że chyba nie spodoba mi się to, co zaraz usłyszę.

– Chcemy wykazać, że Carrie i Grace żyją, ale jeśli sędzia będzie zdania, że tak nie jest, musimy mu podsunąć inny scenariusz. Zabójcą nie musi być Ronnie. – Ponieważ Gina milczała, dodał: – Terry Day, właściciel domu.

Gina odchyliła się na oparcie krzesła i zmarszczyła czoło.

– Co ma oznaczać ten grymas dezaprobaty?

– Wprawdzie teraz pracuję dla ciebie, ale wcześniej trzydzieści lat byłem policjantką.

– No, dalej – rzucił Joe, przewracając oczyma. – Przejedź się po mnie, jaki to jestem zły.

– Nie w tym rzecz – burknęła. – Day to świadek. Nie wolno ci go nachodzić. – Widząc, że Joe sięga do kieszeni, Gina machnęła ręką. – Nie wyciągaj dyktafonu. Nie pokaże, jak się zachowywałeś, usłyszymy tylko, co mówiłeś. Ta maszynka wszystkiego nie załatwi.

– No, Gino, przyznaj się, że chodzi o coś więcej. Masz wyrzuty sumienia z powodu Daya, przecież widzę.

– No... może, ale to dlatego, że Day może być zupełnie niewinny, a z okresu, gdy pracowałam z ofiarami i świadkami, pamiętam, że skarżyli się, iż po procesie czuli się zbrukani, że

traktowano ich, jakby to oni zrobili coś złego.

– Jednym słowem przeszkadza ci, że dla zmyłki wrzucimy do sprawy kilka innych tematów?

– Tak, zawsze mi to przeszkadzało i dobrze o tym wiesz. Dla ciebie to tylko taktyka, okazja na wykorzystanie szansy. Dla Terry’ego Daya to plama, która będzie mu towarzyszyła do końca życia, i nawet jeśli Ronnie zostanie skazany, za dziesięć lat ktoś może wpaść na pomysł zaskarżenia wyroku i Terry Day znowu będzie ciągnany po sądach. – Gina ciężko westchnęła. – Przykro mi, Joe. Wiem, że powinnam myśleć inaczej, bo dla ciebie pracuję, ale widziałam, jak taktyka obrony wpływała na świadków i ofiary, i nie był to przyjemny obrazek.

– Nie przeprasza – rzekł Joe. – To bardzo ludzkie podejście i nie powinnaś go tracić, ale niestety mamy sprawę do wygrania i dlatego musimy to zrobić.

Na chwilę zapadła cisza, potem Gina zapytała: – Więc co z tym Dayem?

– Musimy się o nim dowiedzieć tyle, ile się da. Musimy poznać jego przeszłość, przebadać jego całe dorosłe życie. Jeśli istnieje coś – i mówię tu o czymkolwiek – co moglibyśmy wykorzystać, musimy o tym wiedzieć.

– Mamy już jego zeznania?

– Jeszcze na to za wcześnie. Najpierw musimy sami pogrzebać, a ty jesteś najlepsza do tej roboty. Użyj tego kojącego tonu, jakim się posługiwałaś, kiedy byłaś policjantką. Rozpytaj się.

Ludzie chętnie się przed tobą otwierają.

Gina potrząsnęła głową i głośno się roześmiała.

– Okej. Przynajmniej nie będę musiała tu siedzieć.

– Tylko pamiętaj, że już nie jesteś gliną. Ta robota jest jeszcze brudniejsza.

– A co z Monicą?

– Pozwolę jej pracować z Ronniem. Wydaje się, że ją polubił. – I po tych słowach Joe wyszedł.

Ale gdy kroczył ku klatce schodowej, poczuł, że już nie jest taki pewny siebie. Jego przekonania nie różniły się bardzo od

przekonań Giny. Po prostu wyćwiczył się, żeby nie słuchać podszeptów sumienia.

W kieszeni zabrzączał mu telefon. Wyciągnął go i na wyświetlaczu zobaczył nieznaną numer.

– Joe Parker – powiedział.

Usłyszał cichy chichot.

– Aleś ty oficjalny.

To była Kim Reader. Dźwięk jej głosu przywołał uśmiech na jego usta.

– Zaczekaj chwilę, aż dotrę do pokoju – rzucił i szybko przeszedł do biura, w którym mógł się zamknąć, tak żeby nikt go nie słyszał.

– Sorry, Kim. Mów, w czym ci mogę pomóc?

– Zadzwoiłam tylko, żeby przeprosić za wczoraj.

– Nie masz za co przepraszać.

– Mam. Od dawna się przyjaźnimy, kiedyś łączyło nas nawet coś więcej, i ja... no cóż, po prostu na drodze stanęła nam nasza praca.

– Ja to widzę odwrotnie. To nasza przyjaźń stanęła na drodze naszej pracy, i to ja powinienem przeproszać, nie ty.

– Hm, ciekawa optyka.

– Wiesz co, Kim, nie zmienimy przeszłości. Nie da się rozmawiać o pracy i udawać, że nic nas nie łączyło. Tak jest też i teraz. Nie możemy się spotykać ignorując sprawę Bagleya.

– Dlaczego nie? Powinniśmy umieć się spotkać jak dwójka starych znajomych, żeby pogadać o czymś, co nie ma związku z pracą.

W głosie Kim słychać było wahanie. Joe przez chwilę milczał, rozważając słowa, których Kim nie wypowiedziała, ale które wisiały w powietrzu. To było zaproszenie. Kim chciała, żeby się znowu spotkali.

– Bardzo chętnie się z tobą spotkam – rzekł, nim zdążył się porządnie zastanowić. – Dzisiaj wieczorem?

– Dobrze. Ja też mam ochotę cię znowu zobaczyć. Ale umówmy się w innym miejscu, nie tam, gdzie wczoraj.

Joe usłyszał nutę rozbawienia w głosie Kim.

– Co, nie jesteś koneserką piwa? Okej, w takim razie ty wybieraj.

– Może Duke 92?

Po drugiej stronie ulicy, przy której stał jego blok.

– Nie, tam nie – sprzeciwił się. – Spotkajmy się w Oxie i stamtąd dokądś pójdziemy.

– W porządku, to do wieczora – rzuciła Kim, zanim się rozłączyła.

Joe popatrzył na telefon. Wiedział, że pakuje się w coś złego, ale żadna część w nim nie chciała powiedzieć „nie”.

Rozdzwonił się telefon na jego biurku. Kiedy podniósł słuchawkę, usłyszał Marion z recepcji: – Jest tu pan Bagley.

– Przyślij go proszę na górę.

Rozdział 29

Sam szedł za inspektor Evans, która zbliżała się do drzwi domu, gdzie mieszkała Julie McGovern.

Dom z obelkowaną pierwszą kondygnacją był dużą willą; zamiast frontowego ogródka rozciągał się przed nim żwirowy podjazd. Przed furtką, blokując przejście, stała grupa reporterów; każdy, kto wchodził lub wychodził, musiał się przeciskać przez ten tłumek. Kiedy drzwi frontowe się otworzyły, natychmiast rozległ się trzask aparatów – reporterzy koniecznie chcieli uchwycić moment przekazywania złych wiadomości.

Drzwi otworzyła funkcjonariuszka z Wydziału ds. Kontaktów z Rodziną. Była to starsza kobieta, detektyw tuż przed emeryturą, ze względu na przepracowane lata ekspertka w swojej dziedzinie.

– I jak oni się czują? – zapytała Evans, gdy już weszli do środka.

– Matka Julie jest na górze. Siedzi w pokoju córki i płacze. Ojciec krąży po salonie. Stara się zachować spokój, ale widać, że jest coraz bardziej wściekły.

– Sprowadź matkę na dół. Musimy przeszukać pokój Julie.

Funkcjonariuszka odwróciła się i poszła na górę. Evans

przeszła do pokoju gościnnego. Sam wszedł tam za nią.

Wnętrze domu było urządzone w stylu rustykalnym. Drewniane podłogi, poczerniały kominek, żółte ściany i wiejskie wazony. Pokój wyglądał trochę jak kopia wnętrza z magazynów wnętrzarskich, wiejski styl w podmiejskiej scenerii.

Kiedy weszli, ojciec Julie odwrócił się do nich.

– Nie spieszyliście się – warknął; ręce opierał na biodrach, policzki miał purpurowe. Był w szarych spodniach i żółtym podkoszulku.

Evans nie odpowiedziała od razu, ale gdy się w końcu odezwała, jej głos brzmiał spokojnie: – Organizujemy grupy poszukiwawcze i rozmawiamy ze znajomymi córki.

– I co? Dowiedzieliście się czegoś nowego?

Evans znowu nie odpowiedziała od razu.

– Jeszcze nie.

Do pokoju weszła kobieta. Matka Julie. Była w szarym T-shirtcie i obwisłych spodniach dresowych. Twarz blada, oczy czerwone. Spojrzała na męża, ale ten się odwrócił, więc kobieta przeszła do kanapy i usiadła. Weszła funkcjonariuszka i kiwnęła głową w stronę schodów na znak, że można bezpiecznie zbadać pokój Julii.

– To detektyw Sam Parker – poinformowała Evans. – Przejrzy rzeczy państwa córki. – Sam skinął głową na przywitanie. – Nie macie państwo nic przeciwko?

Pani McGovern chciała coś powiedzieć, ale Sam ją uprzedził, zapewniając, że przeprowadzi oględziny z zachowaniem szacunku. Kobieta, której oczy zaszkliły się łzami, uśmiechnęła się do niego blado. Sam poszedł na górę.

Sypialnia Julie znajdowała się w głębi domu. Z okna widać było długi pas trawnika, na którego końcu stała szklarnia wypełniona rzędami kwitnących kwiatów. W pokoju znajdowała się dziwna mieszanka przedmiotów, zabawki z dzieciństwa stopniowo wypierane przez akcesoria dorastającej dziewczyny. Łóżko było zarzucone pluszowymi miškami, ale obok stojącej na toalecie statuetki tancerki leżała kosmetyczka i pudełko tamponów.

Sam najpierw podszedł do toaletki i ignorując ich zawartość, obmacał tył szuflad. Szukał czegoś niezwykłego – kartek, notesu. Nic takiego nie znalazł.

Z szufladami było podobnie. Koszulki, bluzy, dzinsy, szorty. Wyciągnął ostatnią, żeby obejrzyć przestrzeń przy podłodze, dobre miejsce na skrytkę, ale tam też niczego nie znalazł.

Wyprostował się i podszedł do łóżka, po drodze włączając komputer. Nad łóżkiem wisiała półka zastawiona książkami o Harrym Potterze i z serii Twilight. Wyciągnął każdą i przewertował, ale nic w nich nie było. Podniósł materac. Też nic.

Komputer Julie stał na biurku, na którym panował wręcz pedantyczny porządek. Zwykle stan biurek, jakie miał okazję widywać, wzbudzał w nim niepokój, bo najczęściej były zavalone papierami i przyborami do pisania. Biurko Julie wyglądało inaczej. Dokładnie na środku leżała podkładka do myszki. Obok dwa długopisy, niebieski i czarny. Dalej, równo z bokami biurka, notes. Sam nie był psychologiem, ale to nie wyglądało jak biurko osoby popędliwej, działającej impulsywnie. Julie lubiła życie uporządkowane, zaplanowane.

Biurko miało dwie szuflady. Żadna nie była zamknięta. Sam zajrzał do górnej. Leżały w niej z jednej strony piórniki, z drugiej notes na adresy.

Wyjął notes i odłożył na biurko. Zamierzał go przejrzeć na komendzie.

Komputer przestał rzeźcić i na ekranie pojawiło się zdjęcie pulpitarów trzech obejmujących się dziewcząt. Wszystkie uśmiechały się do aparatu, Julie stała pośrodku. Trzy szczęśliwe nastolatki z radością patrzące w przeszłość.

Najpierw otworzył program pocztowy. Przejrzał wiadomości, ale nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Szukał wpisów świadczących o tym, że Julie coś dokuczało, że była podłamana, oraz wpisów o spotkaniach zaplanowanych na miniony wieczór. Znalazł tylko rachunki za kilka zakupów dokonanych online i rutynową paplaninę między znajomymi. Przeskanował folder z dokumentami, ale nic nie rzuciło mu się w oczy jako niezwykłe.

Zajrzał do folderów komputerowych, żeby sprawdzić, czy tam Julie czegoś nie ukryła, ale tytuły folderów nic mu nie powiedziały.

Uruchomił przeglądarkę i sprawdził historię. Chciał zobaczyć, jakie strony Julie otwierała, czy odwiedzała strony z tematyką o samobójstwach lub podejrzane fora. A nawet czy próbowała szukać miejsc do zakwaterowania: hoteli, hosteli. Folder z historią był pusty, został wyczyszczony. To go zastanowiło. Wiedział, że to normalne, że nastolatki kryją się z tym, co robią w Internecie, ale w tym przypadku wydawało się, że Julie wyczyściła folder historii przed samym wyjściem. Nie wiedział, czy to ma jakieś znaczenie. Specjaliści przebadają twardy dysk i sprawdzą, czego Julie szukała na stronach lub z kim rozmawiała, jednak to potrwa.

Wyniki jego poszukiwań nie wróżyły niczego dobrego. Gdyby znalazł coś, co wskazywałoby na głębsze problemy, mogliby uznać, że Julie uciekła, że przechodzi trudny okres, ale żyje.

Jednak ta ewentualność raczej nie wchodziła w grę, a to oznaczało, że została tylko jedna: Julie ktoś porwał i zamordował.

Znieruchomiał, bo usłyszał, że z dołu ktoś go woła. Przeszedł do podestu i wyjrzał przez barierkę. Zobaczył inspektor Evans.

– Tak, pani inspektor?

Evans wspięła się na schody i szeptem powiedziała: – Właśnie dzwonił z więzienia. Ben Grant zgodził się na rozmowę. Trzeba do niego jechać.

Dasz radę?

– Tak, pani inspektor, może pani na mnie polegać. – I gdy dokończył zdanie, po raz pierwszy poczuł, że mówi szczerze.

Rozdział 30

Zapraszam, Ronnie – rzekł Joe, wskazując krzesło przed biurkiem.

Ronnie wszedł do biura, ale wyglądał na onieśmiałonego. Jego wzrok błądził po wiszących na biało-złoty ścianach rycinach, przedstawiających stary Manchester, i po regałach

zapełnionych książkami prawniczymi oraz zbiorem orzecznictwa Wielkiej Brytanii z wielu lat, który jednak stał tu jedynie w roli atrapy. Na co dzień Joe korzystał z komentarzy prawniczych dostępnych w Internecie.

Prawdą jednak było, że biuro zostało urządzone tak, aby robiło wrażenie. Klienci kryminalni nie szukają prawnika urzędującego nad biurkiem agenta nieruchomości. Chcą mieć pewność, że ich sprawą zajmuje się najlepszy adwokat z możliwych. O tym, że właśnie takiego wynajęli, miało ich między innymi przekonać to eleganckie biuro w imponującym gmachu, stojącym w samym centrum miasta. Ronnie wreszcie usiadł. Oddzielony od niego szerokością biurka Joe uczynił to samo. W niektórych kancelariach klientów sadzano na kanapach, żeby czuli się swobodniej. Ale Joe tego nie popierał. Uważał, że przyjemna atmosfera kłóci się z tym, z czym klienci spotykają się w sądzie podczas zeznań. Chciał, żeby już w jego biurze przyzwyczajali się do udzielania odpowiedzi pod presją.

Sięgnął po słuchawkę i wezwał Monicę.

– Napijesz się czegoś, Ronnie? Do wyboru kawa albo herbata.

Ronnie pokręcił głową.

– Mogę zapalić?

Joe chciał się sprzeciwić, ale przypomniało mu się, że Ronnie chętnie zmienia pełnomocników. Szkoda mu było tracić klienta z powodu strachu przed biernym paleniem, więc skinął głową na zgodę i przeszedł do okna, żeby je otworzyć. W tym czasie Ronnie przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu papierosów. Joe już miał podciągnąć okno w górę, gdy nagle coś przykuło jego uwagę. Na ławce w parku ktoś siedział. Ten sam facet co zwykle. Ten z sądu.

Patrzył w górę i gdy spostrzegł, że Joe mu się przygląda, poderwał się z ławki i szybko odszedł.

– Zaczekaj, Ronnie – rzucił Joe i wybiegł z biura, kierując się ku schodom. Po wyjściu na ulicę rozejrzał się na boki. Nikogo nie zauważył. Ruszył w stronę parku, do ławki, na której siedział

podejrzany mężczyzna. Ławka była pusta.

Joe w geście sfrustrowania oparł ręce na biodrach. Ktoś znowu go obserwował.

Zniechęcony, przeciął ulicę i wrócił do biura. Ronnie nadal siedział na tym samym krześle, ale Joe zauważył, że żaluzje są przekrzywione, jakby ktoś wyglądał przez okno. Monica też już była. Siedziała z boku z otwartym notesem, który trzymała na kolanach.

– O co chodziło? Co pan zobaczył? – zapytał Ronnie.

Joe wciąż ciężko dyszał po szybkiej wspinaczce po schodach.

– Eee, nic takiego. Tylko klienta, z którym chciałem zamienić słówko. Nieważne.

Ronnie się wyprostował.

– No to co, zaczynamy, tak? Co pan myśli o mojej sprawie?

Joe popatrzył na stos dokumentów na brzegu biurka.

– Tak, zaczynamy. – Starał się skupić myśli na sprawie Ronniego. – Jak się czujesz, Ronnie? Chyba rozumiesz, że przed tobą długa droga.

– Jestem zmęczony – odrzekł Ronnie, zaskakując Joego tą odpowiedzią. Ronnie nie wyglądał, jakby się cieszył, że wyszedł na wolność, mimo że w przypadku takim jak jego ludzie zwykle zostawali w areszcie aż do rozprawy. Jednak Ronnie traktował swój pobyt w więzieniu raczej jak przejściową niedogodność.

– Więc jak będzie wyglądała linia naszej obrony? – ponowił pytanie.

– Jeśli nie zabiłeś Carrie i Grace... – Nie zabiłem – przerwał.

Joe uniósł dłoń.

– Jeśli ich nie zabiłeś, to na obronę mamy fakt, że one wciąż żyją.

– A jest pan to w stanie udowodnić?

– Jeszcze nie – odparł Joe. – Ale spróbujemy tego dokonać.

Ronnie spuścił wzrok.

– O co chodzi, Ronnie? – zaniepokoił się Joe. – One żyją,

prawda?

– Cóż, ja ich nie zabiłem – mruknął Ronnie i obejrzał się na Monicę. – Wierzysz mi, prawda?

Monica zerknęła na Joego, po czym powiedziała: – Naszym zadaniem jest cię bronić i to właśnie będziemy się starali czynić.

– Tyle że musimy się przygotować na najgorsze – dodał Joe. – Na przykład na to, że Carrie i Grace jednak nie żyją. Tak mogą myśleć przysięgli, dlatego powinniśmy się rozejrzeć za innymi podejrzanymi. Opowiedz mi o właścicielu domu, w którym mieszkasz, Ronnie. O tym Terry Dayu.

– Nie.

Joe był zaskoczony.

– Jak to „nie”?

– Po prostu – odburknął Ronnie i zacisnął usta. – Nie chcę, żeby Terry był wmieszany w tę sprawę.

– Prokuratura ma wystarczająco silne argumenty, żeby przekonać sąd, iż Carrie i Grace nie żyją – zaczął tłumaczyć Joe. – Jeśli nie ty je zabiłeś, musiał to zrobić ktoś inny. Choćby samotnik z ostatniego piętra, podsłuchujący sąsiadów i ich kłótnie. Może zszedł na dół, żeby pocieszyć Carrie, bo się o nią martwił, i sprawy wymknęły się spod kontroli? Może się do niej przystawiał? Albo Carrie do niego?

– Nie, Carrie na pewno by na niego nie poleciała. – W głosie Ronniego pojawiły się nuty gniewu.

– Skąd taka pewność? Całymi dniami jesteś w pracy. Carrie pewnie czuje się osamotniona, nie jest jej łatwo. Macie małe dziecko i między wami się nie układa. Może Carrie brakowało czułości albo męskiego wsparcia? Może dobierała się do Daya, a on ją odepchnął. Tak mocno, że upadła i rozbiła sobie głowę?

– Nie!

– A może Terry od dawna wiedział, że Carrie jest samotna? Usłyszał, że się kłócicie, i uznał, że to szansa dla niego. Zszedł do was, zaczął pocieszać Carrie, ale posunął się za daleko.

Wywiązała się szamotanina i Terry przypadkowo zabił Carrie. Potem pozbył się jej ciała, jeszcze przed twoim powrotem.

Ronnie gwałtownie kręcił głową.

– Nie, nie – powtarzał, grożąc Joemu palcem. – A co z Grace, co z moją córką? Jak do tej wersji pasuje jej zniknięcie?

– Tak samo jak do wersji prokuratury, tej, w której dowodzą, że to ty byłeś mordercą, Ronnie. Ludzie wpadają w panikę. Jeśli Day zabił Carrie, nie mógł zostawić Grace. Musiał upozorować sytuację tak, żeby wyglądało, że Carrie od ciebie odeszła. Potem ty się zgłosiłeś na policję i Day odetchnął z ulgą. Ktoś inny miał ponieść winę za to, co zrobił.

Ronnie odchylił się na oparcie krzesła i spuściwszy wzrok, wetknął dłonie pod uda.

– Nie możemy tego zrobić. Nie możemy oczernić Terry’ego.

– To będzie tylko hipoteza – zauważył Joe. – Nie musi odzwierciedlać prawdy, chociaż może.

– Ja się na taką hipotezę nie zgadzam – warknął Ronnie. – Zostawcie Terry’ego Daya w spokoju.

Joe przez chwilę milczał. To on był prawnikiem i to on podejmował decyzje, ale nie mógł ignorować zdania klienta.

– Zatem skoro mamy nie ruszać Daya, zostaje nam tylko podważenie argumentacji prokuratury, tyle że to dość sensowna argumentacja. Bez Terry’ego Daya nasza pozycja jest o wiele słabsza.

Ronnie wzruszył ramionami.

– W porządku – rzucił Joe. – Przyjrzyjmy się wszystkiemu po kolei. Najpierw krew. Jak mocno uderzyłeś Carrie?

– Nie wiem. Zresztą, co to znaczy „jak mocno”? Przyłożyłem jej. Nie wiem, jak mocno.

– Uderzyłeś, ale Carrie się nie przewróciła?

Ronnie chwilę się zastanawiał.

– Nie wiem.

– Jak możesz nie wiedzieć? Podobno nigdy wcześniej jej nie biłeś.

– Po prostu nie wiem i już.

Joe wałnął dłonią w blat biurka, sprawiając, że Ronnie się

wzdrygnął.

– „Nie wiem” nie wystarczy, Ronnie. – Joe był naprawdę zły. – Carrie zaginęła. Tak samo Grace. Krew Carrie była na drzwiach i na ścianach. Zostały plamy, bo sam tę krew wycierałeś.

Przysięgli uznają, że ślady po krwi, to ślady powstałe w chwili, gdy zamordowałeś Carrie. Jeśli nie wymyślimy alternatywnej teorii, jesteśmy skończeni.

Ronnie spojrzął na sufit i zamknął oczy. Tak mocno zaciskał powieki, że wydawało się, iż powstrzymuje łzy, jednak gdy znowu spojrzął na Joego, oczy miał suche.

– Uderzyłem ją i na tym koniec – rzekł spokojnie.

– Dlaczego ją uderzyłeś? – pytał dalej Joe. – Co takiego zrobiła, że musiałeś ją uderzyć?

– Ona... no... – Ronnie pokręcił głową. – Odkryłem, że kiedy ja pracowałem, ona przyjmowała w domu facetów. Żeby, no wiecie, im dogodzić. Właśnie o to się kłóciliśmy, kiedy podsłuchał nas Terry Day.

– Carrie była prostytutką?

Ronnie wolno skinął głową.

Joe zapisał coś w notesie.

– Kim byli jej klienci?

– A skąd mam wiedzieć? Nie byłem jej alfonsem, tylko durniem, który wychodził do pracy, a ona wtedy pieprzyła się z facetami w naszym łóżku, żeby sobie zarobić na alkohol.

– To kto był jej alfonsem? Kto to organizował?

– Nie mówiła. Kłótnia była ostra, nie rozmawialiśmy o takich szczegółach.

– I w końcu ją uderzyłeś?

– Tak. Nie jestem z tego dumny, ale ona mnie podpuściła. Straciłem panowanie. Wyobraża pan sobie, jakie to uczucie, dowiedzieć się o czymś takim?

Joe, pogrążony w myślach, wolno obrócił się wraz z fotelem w stronę okna. Wiedział, jak smakuje zdrada, jednak nie na taką skalę, o jakiej mówił Ronnie. Kontrolnie przemknął wzrokiem po terenie parku, ale nikogo podejrzanego nie dostrzegł.

Z powrotem odwrócił się do Ronniego.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że twoja opowieść może mieć dwojaki skutek?

– To znaczy?

– Zaraz zobaczysz. Najpierw odpowiedz, czy chciałeś, żeby Carrie przestała się puszczać.

– No jasne. Kto by nie chciał? Przyjmowała klientów w naszym mieszkaniu, w obecności Grace. To ohydne.

– I prosiłeś ją, żeby więcej tego nie robiła?

– Zakazałem jej to robić.

– Więc może Carrie, że tak powiem, faktycznie złożyła wypowiedzenie? – dywagował Joe.

– To by nam dało nowe wyjaśnienie sprawy. Mianowicie, że Carrie zginęła z ręki alfonsa albo któregoś z jego ludzi. Doszło do tego przez przypadek, gdy alfons lub ktoś od niego dawał Carrie wycisk za to, że chciała odejść. Tylko coś mi w tej wersji nie pasuje.

– Niby co? – zapytał Ronnie, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby.

– Ano to, że ten, kto zabił Carrie, musiał również zabić Grace.

Ronnie głęboko zaczerpnął powietrza.

– Rozumiem.

– Poza tym ta wersja może prowadzić do jeszcze innego wniosku – dodał Joe.

– Jakiego?

– Mogłeś tak się wściec na Carrie za to, że się puszczała, że ją zabiłeś. Chyba przyznasz, że z tej wersji, gdybyśmy ją przyjęli, jasno wynika, że miałeś motyw.

– Ale to by znaczyło, że zabiłem też córkę. – Ronnie z wściekłą miną wyprostował się i splótł ręce na piersiach. – Za kogo pan mnie ma? Za jakiegoś psychopatę?

– Jak długo Carrie zajmowała się prostytutką, Ronnie?

Ronnie skrzywił się i wolno pokręcił głową.

– Niedługo. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Żeby uprawiać ten zawód, nie trzeba się zgłaszać do biura pracy. A skoro prowadziła interes w domu, znaczy, że знаła się na rzeczy. Mogło tak być, że Grace nie jest twoja – rzucił Joe, przyglądając się uważnie Ronniemu, którego twarz nabiegła krwią.

– Tak było? Kłóciliście się, ona cię podjudzała, aż w końcu wyszło, że Grace to dziecko któregoś z jej klientów. Ty się wściekłeś i odbiłeś sobie gniew na Grace, słodkiej, bezbronnej małej dziewczynce.

– Ty sukinsynu!

– Nie, Ronnie, nie jestem sukinsynem. Po prostu chcę, żebyś miał posmak tego, jak będzie wyglądała rozprawa, jeśli podeprzemy się tą teorią. Wprawdzie podważa ona argumentację oskarżenia, ale też sugeruje, że miałeś motyw. I to cholernie istotny.

Ronnie nie odpowiedział.

Joe pochylił głowę, żeby mu zajrzeć w oczy.

– Ronnie?

Chłopak podniósł głowę.

Joe zmiękł.

– Widzę, że nie powiedziałem nic, o czym sam już nie myślałeś, prawda?

Ronnie się skrzywił.

– To co zrobimy?

– Zbierzemy więcej informacji na temat Carrie. Dowiemy się, jak działała i kto jej podsylał klientów. Jeśli znajdziemy ludzi, którzy potwierdzą, że obracała się w niebezpiecznych kręgach, obierzemy ten tok obrony.

Na twarzy Ronniego pojawił się cień nadziei.

– Tylko pamiętaj, że to nie jest łatwe. Żadna prostytutka nie zezna chętnie, że któryś z alfonsów jest brutalny, żadna nie będzie chciała pomagać dziewczynie, której nie zna, która pracowała w ciepłym mieszkanku, a nie na ulicy, jak one.

– No, ale mamy tylko to – zauważył Ronnie.

– Tak, mamy tylko to.

Rozdział 31

Sam wziął głęboki oddech. Stał przed salą, w której czekał na niego Ben Grant, i powtarzał w myśli instrukcję, jaką otrzymał od inspektora Evans: to Grant ma mówić, ty się z niczym nie zdradzaj. Grant go potrzebował, jednak Sam nie zamierzał dostarczać łajdakowi pożywki dla jego fantazji. Niech się masturbuje, wspominając słowa kogoś innego.

Ostatni raz widział Granta na rozprawie sądowej. W swoim galowym mundurze stał na miejscu dla świadków, a Grant patrzył na niego z ławy oskarżonych. Sam nie czuł, żeby Grant go nienawidził, żeby żywił do niego niechęć. Grant sprawiał raczej wrażenie rozbawionego procesem i szumem, jaki wokół niego powstał. Wydawało się, że cieszy go chwilowa sława i to, że stał się antybohaterem tabloidów, przez co zresztą zachowywał się jeszcze bardziej arogancko. Chyba bardziej niż wyrok skazujący zabolaloby go, gdyby na scenie pojawił się przestępca brutalniejszy od niego, odbierając mu zainteresowanie mediów.

Strażnik otworzył drzwi i Sam wszedł do sali. Ben Grant stał przy oknie. Oparty dłońmi o parapet, przyglądał się niebu i wolno przesuwającym się po nim chmurom.

Sam położył notes na biurku i odsunął krzesło. Grant wiedział, że nie jest już sam, ale udawał, że tego nie zauważył. Grał, jak zwykle. Odwrócił się dopiero, gdy Sam usiadł.

Najpierw popatrzył na Sama, potem na notes, i w końcu na twarz wypłynął mu powolny uśmiezek.

– Miło cię znowu widzieć po tych wszystkich latach. – Przekrzywił głowę. – Poprosiłem, żeby przysłali cię, bo wiedziałem, że kobiety nie przysłą. Im się wydaje, że mają nade mną kontrolę, kiedy nie zgadzają się na moje żądania. To taka ich gra.

– Nie zawsze chodzi o ciebie – zauważył Sam, po czym, udając obojętność, zapisał w notesie datę i godzinę. – Przyszedłem, bo tego chciałeś, ale za wiele sobie nie wyobrażaj. – Widząc, że Grant wydał usta, Sam się uśmiechnął. – No właśnie, nie jesteś już taki ważny.

Grant, zacisnąwszy zęby, splótł ręce na piersiach i oparł się

o ścianę.

Sam przyjrzał mu się, ciekawy, czy Grant się postarzał. Wprawdzie wciąż można było rozpoznać w nim osobę ze sławnych zdjęć policyjnych, mężczyznę o okrągłej chłopięcej twarzy, o ciemnych dość długich włosach i osłoniętych okularami w czarnej oprawce, małych oczkach, ale zmiany były wyraźne. Grant stracił na wadze, a we włosach, teraz krótko obciętych, widniały siwe pasma. Nie nosił już też okularów. Generalnie wyglądał mniej groźnie, choć Sam wiedział, że wygląd zewnętrzny może być mylący.

Grant skierował dłoń w stronę okna.

– Kiedy tu wszedłeś i zobaczyłeś mnie przy oknie, pewnie pomyślałeś, że stoję tam i marzę o wolności? To ci pozwala spać spokojnie, co? Świadomość, że takie potwory jak ja są odizolowane od świata? – Jak zawsze, największym zaskoczeniem dla Sama był głos Granta: stonowany, miękki, brzmiący prawie jak szept, lekko sepleniący; ale jego spojrzenie pozostało twarde i niewzruszone.

– Kiedy tu wchodziłem, nie myślałem o niczym.

– Nie wierzę ci – oznajmił Grant, kręcąc głową. – Dla ciebie te kraty są pewnie symbolem bezpieczeństwa, może nawet zemsty. Ale ja ich tak nie postrzegam. Dla mnie są przypomnieniem, ilu z nas jest jeszcze tam, na zewnątrz.

– Z nas?

– Potworów – wyjaśnił Grant ze złośliwym uśmiechem. – Domyślam się, że pewnie tak o mnie mówisz. Żebyś mógł nie widzieć we mnie człowieka, kogoś podobnego do siebie.

– Nie porównuj mnie ze sobą – ostrzegł Sam. Starał się zatuszować wrogość w głosie, ale było to trudne; wciąż nachodziły go myśli o Ellie, ofierze kogoś takiego jak Grant. – I proszę, żebyś usiadł.

Grant jeszcze chwilę postął, w końcu jednak ustąpił i usiadł. Ale siedział sztywno wyprostowany, trzymając ręce na kolanach.

– Więc co chcesz wiedzieć, Sam? Mam nadzieję, że nie

przeszkadza ci, że zwracam się do ciebie po imieniu? Ty też możesz tak do mnie mówić.

Sam przez chwilę milczał, zastanawiając się, co powie dzieć w sprawie zaginionych dziewcząt, potem jednak postanowił obrać inną taktykę.

– Co wiesz o Carrie Smith?

Grant gwałtownie zamrugał powiekami.

– O Carrie?

– Tak, o Carrie. Tej, która cię odwiedzała. Jak widzisz, w tym miejscu nie ma tajemnic.

Carrie zaginęła.

– Przecież twierdzicie, że nie żyje – zauważył Grant i szybko zwilżył wargi językiem. – Czytam prasę. Wiem, że oskarżenie padło na Ronniego. Uważacie, że zabił Carrie i Grace.

Biedactwo, nie zdążyła dożyć do wieku, w którym byłaby najśłodsza.

– Znasz Ronniego? – zapytał Sam, ignorując fakt, że Grant próbował wytrącić go z równowagi.

Grant przez chwilę nie odpowiadał. Huśtając się na krześle, gapił się na Sama przymrużonymi oczami, w kącikach jego ust czaił się uśmiezek.

– Nalegałeś, żebym to ja z tobą rozmawiał – przypomniał Sam. – Jestem tu, więc mów. Co wiesz o tej sprawie?

– Jeszcze do tego dojdziemy – zapewnił Grant. – Ale najpierw opowiem ci pewną historię.

– Nie przyszedłem, żeby wysłuchiwać twoich wspomnień – rzucił ostro Sam. – Jeśli nie masz dla mnie żadnych informacji, wychodzę. Nie po to tu jestem, żebyś mógł sobie podreperować ego. Rozmawiam z tobą tylko z obowiązku, żeby zrobić notatkę z tej rozmowy, pod warunkiem oczywiście, że choć raz powiesz coś, co będzie warte przelania na papier.

Oczy Granta zapłonęły nagłą wściekłością.

– Skończ z tym pieprzeniem, szanowny panie detektywie. Przyszedłeś, bo tego zażądałem, i jeśli nie będziesz mnie traktował z szacunkiem, nie pisnę słowa. I lepiej pamiętaj, że zadaniem

policji nie jest tylko wylapywanie i zamykanie przestępców, ale też słuchanie. Więc jeszcze raz powtarzam, traktuj mnie z szacunkiem. Dobrze wiesz, że należy mi się poważanie.

– Poważanie? – powtórzył Sam.

– Tak, poważanie – warknął Grant. – Już widzę, jaki byleś podniecony, kiedy się dowiedziałeś, że znowu odwiedzisz mój świat. Wieczorem wrócisz do domu i powiesz: „Zgadnij, z kim dzisiaj rozmawiałem”, a ta twoja ładna żoneczka będzie zaszokowana, gdy się dowie, że chodzi o Bena Granta. Właśnie dlatego opowiesz jej o tej wizycie, będziesz chciał jej zaimponować. A ona będzie cię o mnie wypytywała. Jaki jestem? Czy się mnie bałeś? – Grant szybko zastukał palcami w stół. – I w końcu te opowieści ją podniecą, i kiedy w nocy położy się do łóżka, po raz pierwszy od jakiegoś czasu napalona na seks, nie będzie myślała o tobie.

Będzie myślała o tym spotkaniu, o mnie, będzie się zastanawiała, jak by to było, gdyby była tu ze mną, w tym pokoju. Więc skorzystaj z okazji, detektywie, i dobrze się zabaw.

Sam, zacisnąwszy dłonie w pięści, pochylił się nad stołem.

– A może raczej, gdy wrócę do domu, popatrzę na moje córki i podziękuję Bogu, że siedzisz za kratkami i im nie zagrażasz.

Gdy tylko skończył, uświadomił sobie, że powiedział za wiele. Grant przymrużył oczy, a na policzki wypełził mu rumieniec.

– Jakie one są, te twoje córuchy? – zapytał, rozciągając zaciśnięte wargi w obleśnym uśmiechu. – Spodobałyby mi się?

Sam wziął kilka głębokich oddechów. Zachowaj spokój, upominał się w duchu.

– Nic dla mnie nie masz, Grant – mruknął i zatrzasnął notes. – Wygląda na to, że Carrie pozostanie na liście osób zaginionych. Trudno. Ja stąd znikam, a ty znajdź sobie innego rozmówcę.

Wstał i przeszedł do drzwi, ale zatrzymał się przy nich, bo Grant zawołał za nim: – Wiem, że sytuacja się zmieniła.

Sam się odwrócił.

– Co masz na myśli?

– Wiem, że zaginęła kolejna dziewczyna. Ładna. Długie ciemne włosy. Lubi jeździć konno.

Pochodzi z dobrej rodziny.

Sam czekał.

– Nie udawaj, że przyszedłeś rozmawiać o Carrie – ciągnął Grant. – Chodzi ci o te zaginięcia.

– Skąd wiesz o rodzinie zaginionej dziewczyny?

– Oglądałem wiadomości. Mam w celi telewizor.

– Przekazaliśmy mediom tylko nazwisko zaginionej oraz jej zdjęcie. Skąd znasz resztę faktów?

– Znałem ojca tej dziewczyny – mruknął Grant. – Jest radnym i zasiada w ławie przysięgłych. Jeśli wyjdiesz, na pewno poskarży się na ciebie do twoich przełożonych. – Grant zachichotał. – Więc wracaj tu i zabawiaj mnie, jeśli chcesz odnaleźć tę dziewczuszkę. Możliwe, że jeszcze żyje, chociaż długo to nie potrwa. Chyba nie chcesz być tym, który schrzani sprawę.

Sam wiedział, że Grant się z nim droczy, że tylko udaje, że coś wie na temat zaginięcia Julie McGovern. Formalna konferencja prasowa jeszcze się nie odbyła. Media otrzymały tylko zdjęcie zaginionej oraz znały jej nazwisko i miejsce ostatniego pobytu. Policja przekazała te dane, licząc na informacje od osób postronnych oraz na wywołanie szumu wokół sprawy, tak żeby wieść o niej się rozniosła.

Wrócił do biurka i znowu przy nim usiadł.

– Lepiej, żeby to było coś interesującego.

– Będzie – zapewnił Grant. Było widać, że świetnie się bawi.

Rozdział 32

Joe musiał sobie zrobić przerwę od sprawy Ronniego, bo zaczynał przez nią wariować.

Już tysiąc razy przejrzał dokumentację, licząc, że natknie się w niej na coś pomocnego, ale tak się nie stało. Lektura upewniła go tylko w tym, co wiedział od samego początku: że sprawa jest poszlakowa i że prokuratura ma mocne argumenty. Do wygrania sprawy stronie skarżącej brakowało jedynie dwóch

trupów. Odwrotnie niż jemu. Żeby mógł doprowadzić do odrzucenia zarzutów, musiał mieć dwójkę żywych osób.

Opuścił głowę na ręce i zamknął oczy. W wyobraźni ujrzał twarz Ellie. Znowu do niego wróciła. Jak zawsze w najmniej oczekiwanym momencie. Kładła się cieniem na jego życie, budziła wyrzuty sumienia, które, gdyby ich nie kontrolował, na pewno by go przygniotły.

Pomyślał o tym dniu sprzed piętnastu lat i znowu ją zobaczył – Ellie ze słuchawkami na uszach, zupełnie nieświadoma otoczenia. W pewnym momencie skręciła z głównej alejki w zalesioną zwirową ścieżkę wiodącą do ich domu. Joe szedł daleko z tyłu, jednak widział siostrę.

Widział też jakiegoś mężczyznę – niebieskie przymrużone oczy, wystająca spod kaptura jasna grzywka. Potem ta twarz miała mu się wyryć w pamięci na wieki. Widział, że mężczyzna skręca za Ellie. W pamięci utkwiła mu nie tylko postać mężczyzny, ale również jego własna słabość, to, że widział, że ktoś idzie za Ellie, i że niczego nie zrobił. To był ten wstydlivy fakt, który ukrywał przed światem. Jego tragiczna tajemnica.

Wzdrygnął się i otworzył oczy. Na czole czuł pot. Wszystko przez te wspomnienia, ciągle tak samo żywe, przez tę duszącą falę ciemności, która go zalewała, ilekroć zapomniał się przed nią osłonić. Mógł powstrzymać zabójcę. Mógł uratować Ellie.

Próbując uspokoić oddech, powrócił myślami do sprawy Ronniego.

Zadaniem odwiezienia go do domu obarczył Monicę. Gina też z nimi pojechała, żeby w drodze powrotnej wspólnie z Monicą porozmawiać z sąsiadami Terry'ego Daya. Sąsiedzi zawsze dużo wiedzą. Możliwe, że w dniu zaginięcia Carrie ktoś coś widział. Na przykład, że ktoś wynosi zwłoki Carrie. Co ważniejsze, Joe chciał sprawdzić, co sąsiedzi będą opowiadali policji, jeśli ta zdecyduje się ich przesłuchać. A poza tym, wbrew temu, co mówił Ronnie, jeszcze nie zamierzał zrezygnować z teorii o Terry'm Dayu.

Informacja, jaką otrzymał od Ronniego, o tym, że Carrie się

sprzedawała, zmusiła go do spojrzenia na sprawę pod nowym kątem. Uznał, że musi zdobyć więcej faktów. W myślach przejrzał akta aktualnych spraw, zastanawiając się, czy któryś z jego klientów mógłby mu pomóc nawiązać kontakty z półświatkiem. Uśmiechnął się. Znał kogoś takiego.

Podszedł do regału i wyciągnął akta, o które mu chodziło. Sprawa dotyczyła napaści. Ofiara skontaktowała się z nim dwa tygodnie wcześniej, oznajmiając, że chce wycofać oskarżenie.

Tylko że to nie było takie proste. Prokuratura, gdyby ktoś dał jej cynk, że ofiara jest niechętnie nastawiona do rozprawy, mogłaby zmusić pokrzywdzonego do kontynuowania przewodu. Joe, obawiając się podstępu, nie przeprowadził rozmowy z pokrzywdzonym, jednak opowiedział o sytuacji klientowi, a ten poprosił, żeby Joe zaaranżował spotkanie. Sprawa o napaść to rutyna, niemniej klient Joego poruszał się w odpowiednich kręgach i na pewno dobrze się orientował, co się dzieje w świecie prostytutek. Gdyby Joe doprowadził do spotkania, na którym łatwiej omówić różne opcje, jego klient miałby wobec niego dług wdzięczności.

Wyszukał w aktach numer telefonu pokrzywdzonego i od razu go wykręcił. Kiedy usłyszał głos w słuchawce, powiedział: – Daniel? Tu Joe Parker z Honeywells. Dzwoniłeś do mnie niedawno. Rozmawiałem z klientem i zgodził się ciebie wysłuchać. Możesz teraz przyjechać do miasta? – Kiedy Daniel potwierdził, Joe podał namiary: – Pojedź do kawiarni Acropolis na tyłach Bridge Street.

Rozłączył się i wykręcił numer klienta, żeby mu powiedzieć, dokąd ma się udać. Wcześniej, kiedy rozmawiali o sytuacji, Joe odradzał klientowi spotkanie, uważając, że ryzyko jest zbyt duże. Teraz jednak przyświecały mu inne priorytety.

Do spotkania miał jeszcze kilkanaście minut, więc postanowił zająć się pracą, jednak nie mógł się skoncentrować. Bębniąc palcami w blat biurka, zaczął rozpamiętywać miniony wieczór.

Myślał o Kim i ich bliskiej znajomości na studiach, i o tym,

jak ta znajomość się rozpadła, gdy oboje rozpoczęli pracę. Od tamtej pory, stojąc po przeciwnych stronach barykady, najczęściej już się tylko kłócili. Oczywiście zdarzało im też wspólnie wpaść na kawę lub na przyjęcie w Izbie Adwokackiej, poza tym mnóstwo czasu spędzali razem w sądzie, walcząc ze sobą na sali i gawędząc między rozprawami, ale zeszły wieczór po raz pierwszy od czasów studiów był poświęcony tylko Kim. Czyżby spotkanie rozbudziło w nim stare uczucia, czy chodziło o coś innego? Ta sfera jego życia była tak zaniedbana, że ostatnio zaczął przeglądać strony dla singli.

Popatrzył na telefon. Miał ochotę zadzwonić do Kim tylko po to, żeby się upewnić, że wciąż są umówieni na wieczór, że nic się nie zmieniło, ale zrezygnował. Na co on liczy? Że Kim zmieni zdanie, a wtedy on znowu sobie uświadomi, że romanse nie są dla niego? Zresztą pewnie wcale nie chodzi o Kim. A jednak, kiedy o niej myślał, czuł w żołądku znajome mrowienie. Obrazy z Kim z sali sądowej mieszały się w jego głowie ze wspomnieniami z dawnych czasów – przypominał sobie jej ciężki oddech, gdy się kochali, zadowolenie, jakie odczuwał po spełnionym akcie, widział ją nagą w swoich ramionach.

Potem uświadomił sobie coś jeszcze – że w chwilach, gdy myślał o Kim, ciemność, która nad nim wisiała, przynajmniej w części się rozwiewała.

Rozdział 33

Jam otworzył notes i gestem dał znak, żeby Grant kontynuował. Grant, odsłaniając rząd równych białych zębów, uśmiechnął się szeroko, a gdy zauważył błysk zaskoczenia w oczach Sama, powiedział: – Ładne, co? Mówię o zębach. Prawdziwe się psuły i były brzydkie. To źle działało na moje poczucie wartości i na proces rehabilitacji. Podobnie było z okularami. Nie chciałem ich nosić.

Zrobili mi laserową korektę. Teraz wyglądam całkiem, całkiem. No i czuję się bardziej jak człowiek. A tego mi nie mogą odmówić. Mam prawo do godności jak każdy. – Sam się wzdygnął, co widząc, Grant dodał: – Właśnie o to w tym chodziło. Prasa była zachwycona.

Potwór Grant przechodzi odnowę wizerunku. Warto było się pomęczyć, choćby dla tych nagłówków. Czy oni się nigdy nie nauczą?

– Mów, co miałeś powiedzieć – rzucił Sam, próbując wrócić do tematu. Zastukał długopisem w kartkę w notesie. Dobrze wiedział, że Grant się z nim droczy.

Grant wciąż szeroko się uśmiechał.

– Opowiem ci historię o tym, jak się rodzi potwór. Każdy z nas ma takiego w środku.

Wszyscy mamy jakieś odchyły. Ja na przykład lubię małe dziewczynki. Ale są też inne zboczenia.

– Zdaje się, że niepotrzebnie zostałem, Grant.

– Włosy – szybko rzucił Grant, zerkając nerwowo na notes. Już się nie uśmiechał. Widząc, że Sam przestaje się zbierać, dokończył: – Znam historię o włosach i o tym, jak włosy mogą z kogoś zrobić potwora. To chciałeś wiedzieć, prawda?

Sam przyjrzał się Grantowi. Mimo że ciągle kpił, widać było, że chce mówić.

– Słucham cię.

– Wyobraź sobie, że to ty masz świra na punkcie włosów – zaczął. – Że chcesz ich dotykać, czuć między palcami. Z czasem zapragnąłbyś mieć je na własność, bo samo dotykanie już by ci nie wystarczało. Więc chciałbyś mieć przynajmniej pasemko, tylko dla siebie. Ty byłbyś jego właścicielem. Ale co potem? – Grant nachylił się i dalej mówił szeptem: – Chciałbyś mieć całość.

Ponieważ Sam milczał, Grant kontynuował.

– Czujesz to, prawda?

– Nie, nie czuję.

– No, Sam, nie wstydz się. Przecież wiesz, jak to jest, kiedy się chce więcej. Mam uwierzyć, że nigdy nie patrzyłeś na kobietę i nie zastanawiałeś się, jak wyglądałaby nago? – Oczy Granta zaszyły ciemną mgłą. W jego głosie pojawiły się szydercze nuty. – Na pewno miałeś takie myśli i na pewno chciałeś czegoś więcej, tylko zabrakło ci odwagi, żeby coś z tym zrobić. Mnie nie zabrakło. Ja, Ben Grant, wykazałem się odwagą. Więc okaż mi choć trochę

szacunku.

Sam ciężko przełknął ślinę. Przyszedł do więzienia, żeby sprawdzić, czy Grant coś wie. To było jego pierwsze prawdziwe zlecenie w ramach pracy dla wydziału zabójstw, wydawało się jednak, że rozmowa z Grantem mija się z celem. Grant to arogancki pyszałek, w oczach miał ten sam jad, który zakończył życie Ellie. Jednak Sam musiał to zignorować. Nie mógł zmarnować szansy i dlatego na chwilę przymknął oczy i w duchu przeprosił Ellie, że nie rzuci się na Granta, żeby go udusić. Ale nawet gdyby to uczynił, nie oznaczałoby to, że jest tak samo zły jak on. Grant powinien zginąć, żeby świat był lepszym miejscem.

Otworzył oczy.

– To nie jest tak, że ponieważ niektóre nasze pragnienia są normalne, to wszystkie inne też do takich należą. Gdzieś trzeba postawić granicę.

Grant wyraźnie się ucieszył.

– Widzę, że chcesz podyskutować. Miło mi, tylko że się mylisz. To, co mówisz, to jakieś wydumane bzdury. Można mordować w imię polityki, można zabijać na wojnie, a dla przyjemności nie? Co ty wiesz, człowieku?

Grant podniósł ręce i wyciągnął je przed siebie. Kiedy się znowu odezwał, mówił ledwie słyszalnym szeptem.

– To wyjątkowa chwila, gdy życie się kończy, gdy z gardła, na którym zaciskasz ręce, wydobywa się ostatni charczący oddech. Konający odczuwa starach, ale też ulgę, bo po tym wszystkim, czego doznał, śmierć jest wybawieniem. Piękną, radosną podróżą do zaświatów, ucieczką od tego, co ją poprzedzało. Bardzo za tym tęsknię, detektywie. Widzisz, niektórzy starają się przekonać społeczeństwo, że są wyleczeni i że można ich bezpiecznie wypuścić na wolność. Ale nie mnie. Mnie musicie trzymać pod kluczem, bo gdybym wyszedł, znów bym zabijał. Wiem, że by tak było, bo mi się to śni. Ta błogość, drzenie w palcach, mrowienie w kroczu, wszystko jest takie wyraźne. Ale od czegoś to się musiało zacząć.

– Czyżby? – mruknął Sam, krzywiąc się z odrazą. – A może

to tylko wrodzona wada? Może bez względu na okoliczności i tak skończyłbyś tak, jak skończyłeś?

Grant potrząsnął głową.

– Nie, zawsze jest jakiś wyzwalacz. – Jego wzrok przez chwilę był nieobecny, jakby utknął we wspomnieniach. – Sally była trochę starsza ode mnie. Pięć lat. Ja miałem jedenaście, ona szesnaście. To wtedy pierwszy raz zwróciłem uwagę na jej włosy. Była jak wszystkie dziewczyny w jej wieku, kusząca, flirtująca, ale nie wiedziała, jak to wykorzystać. Miała długie ciemne włosy i ciągle nimi potrząsała albo się nimi bawiła, zwijała w palcach. Ja byłem ostrzyżony na krótko, ale i tak włosy sterczały mi na wszystkie strony. Zawsze były brudne.

Czasami matka łąpała mnie i myła mi głowę. To było bardzo nieprzyjemne. Nie mieliśmy prysznic, więc matka myła mi głowę w zlewie, polewając włosy wodą z kubka. Zalewała mi całą szyję, którą mocno ścisnęła, mydło włożyło mi do oczu. – Grant przełknął ślinę i nerwowo oblizwał wargi. – Ale któregoś dnia niechcący podejrziałem Sally.

– Muszę tego słuchać? – przerwał mu Sam.

– Martwisz się, że będziemy tu długo siedzieli? – zakpił Grant. – Niepotrzebnie. Mam mnóstwo czasu. I tak, uważam, że powinieneś usłyszeć tę historię.

Sam odchylił się na oparcie krzesła. Zauważył, że Grant zaczął szybciej oddychać.

– No więc niechcący podejrziałem Sally – powrócił do opowieści. – Siedziała w wannie, zupełnie naga, i myła włosy, i to wyglądało zupełnie inaczej niż w moim przypadku. Myła je wolno, z namaszczeniem. Na początku nie zorientowała się, że jestem w łazience, ale ja i tak nie mogłem się ruszyć. Utknąłem tam, byłem jak sparaliżowany.

– Ale przecież to była twoja siostra, na litość boską.

– I co z tego? To twój problem, detektywie, że widzisz granice tam, gdzie ja widzę okazję.

Dla mnie Sally była kobietą. Wtedy jeszcze chudą, ale już nabierała kształtów. Miała małą wystającą pupkę i sterczące

cycuszki. – Grant wyszczerzył zęby. – Twoja siostra była prawie w jej wieku, kiedy zginęła.

Sam znieruchomiał. Miał wrażenie, że w pokoju nagle zabrakło powietrza. Poczul ucisk w klatce piersiowej, w ustach mu wyschło. Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Nie mógł nic powiedzieć.

– Tak, wiem, co się przytrafiło twojej siostrze – ciągnął Grant. – Wiem wszystko o swoich wrogach. Ale powiedz, myślisz o niej czasem? Nie mówię o rodzinnych sprawach, nie pytam, czy oglądasz stare fotografie. Pytam, czy zastanawiasz się, jak się czuła tam, gdy była zupełnie sama.

Sam głośno wypuścił powietrze.

– Dobrze się bawisz? – zapytał ochryple. – Bo jeśli się popisujesz, żeby wywołać we mnie odrazę, to się nie wysilaj. Od początku się tobą brzydziłem.

– No, coś podobnego. – Grant się uśmiechnął. – Ale wróćmy do mojej siostry, dużej Sally.

Widzisz, detektywie, wyzwalaczem były jej włosy. Uważam, że dobrze, żebyś to wiedział, bo to ci pomoże w sprawie tych zaginionych dziewcząt. Wszystko się od czegoś zaczyna, a w moim przypadku, cóż... początkiem była Sally. Miała ładne ciało. Jej skóra, jasna, bez skazy, w wodzie zrobiła się czerwona i rozgrzana. Patrzyłem na nią, bo nie mogłem się opanować.

Patrzyłem na jej piersi. Były małe, ale nie płaskie. Były przysłonięte opadającymi w dół włosami.

– W porządku, dołączę do tej twojej chorej gry – rzekł ponuro Sam. – Co się wydarzyło, kiedy cię zauważyła?

– Podskoczyła. Była zaskoczona, ale ja zapytałem, czy mogę jej umyć włosy.

– I zgodziła się?

Grant przełknął ślinę.

– Tak. Uklękała w wannie, a ja stanąłem nad nią i polewałem jej głowę wodą, patrzyłem, jak z powrotem spływa po włosach do wanny. Nie mogłem złapać oddechu, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, dlaczego tak reaguję. Czułem tylko jej włosy między

palcami. I ścisnęło mnie w żołądku, kiedy patrzyłem na jej zaróżowioną skórę. Miałem dopiero jedenaście lat. Nie rozumiałem, co się ze mną dzieje.

– I co się potem wydarzyło?

– A więc jednak cię zainteresowałem, detektywie – rzucił Grant z błyskiem w oczach. – Wiedziałem, że tak będzie.

– Nie, nie zainteresowałeś. Ciągnę tę rozmowę, bo czekam, aż powiesz coś istotnego.

– Cóż, jakoś przeżyję, że cię nudzę – mruknął Grant. – To długa historia, bo to trochę trwało. Weszło nam w krew. Mnie i Sally. Sally lubiła, kiedy myłem jej głowę. Udawała, że jest u fryzjera, na którego rodziców nie było stać. Mieszkaliśmy w małym szeregowcu z drzwiami frontowymi otwierającymi się na pokój dzienny i tylko dwiema sypialniami na piętrze. Sally dwa razy w miesiącu pozwalała, żebym mył jej włosy. Robiliśmy to, kiedy nikogo nie było w domu, i świetnie się bawiliśmy. Sally mogła udawać, że jest u fryzjera, a ja mogłem patrzeć na jej włosy i ich dotykać.

– Więc chcesz powiedzieć, że robiłeś to, co robiłeś, bo w dzieciństwie wdałeś się w niewinną zabawę z siostrą?

Grand pokręcił głową.

– Zabawa przestała być niewinna, kiedy dotknąłem Sally.

Sam na chwilę zamknął oczy. Trudno mu było znieść odgłos przyspieszonego oddechu Granta.

– Dotknąłeś? – zapytał, przerywając milczenie.

– Tak, dotknąłem. Nie mogłem się powstrzymać. Byłem za mały, żeby się opanować. I wiesz, jak zareagowała?

– Przypuszczam, że i tak zaraz usłyszysz.

– Masz rację, usłyszysz – zgodził się Grant. – Zaczęła chichotać.

Sam odchylił się na oparcie i splótł ręce na piersiach, ale Grantowi to nie przeszkadzało.

Mówił dalej: – Kiedy myłem jej włosy, siedziała z głową odchyloną do tyłu. Robiłem tak jak w salonie fryzjerskim: szczytyłem włosy z głowy i je myłem. I przy okazji mogłem

patrzeć na jej ciało.

Widziałem piersi, brzuch, ale kiedy spojrzałem niżej i zobaczyłem włosy między nogami, zamurowało mnie. Rozdziawiłem usta, poczerwieniałem. Sally otworzyła oczy, żeby sprawdzić, co się dzieje. Kiedy zobaczyła, na co patrzę, powiedziała, że mogę jej dotknąć. Więc to zrobiłem. Dotknąłem ją, a raczej tylko lekko musnąłem palcami. Sally się zarumieniła. Chciałem dalej dotykać, ale mi zabroniła.

– Pewnie zdała sobie sprawę, że robicie coś złego.

– A może za bardzo jej się to podobało. Już mówiłem, ludzie stawiają sobie granice. Ale nie ja. Ja zamiast ograniczeń widzę okazję, cel. Więc dokończyłem mycie włosów i to był koniec, ostatni raz. Po tym wydarzeniu Sally już mnie nie wpuszczała do łazienki. Zostało mi tylko patrzeć na nią, gdy rozczesywała włosy przed pójściem spać. Dzieliliśmy jeden pokój i czasami światło dobiegające od latarni na ulicy przeświecało przez jej koszulę nocną. Wtedy mogłem dostrzec pod koszulą jej długie nogi i zarys piersi.

– Oboje byliście dziećmi, a dzieci eksperymentują. To normalne – zauważył Sam. – Nie możesz tego, co robiłeś później, tłumaczyć dziecięcą ciekawością. Chełpisz się, że jesteś odważny, ale wygląda na to, że chcesz się ukryć za tą swoją opowieścią.

– Możliwe – zgodził się Grant. – Mimo wszystko odrzucenie boli. Miałem czternaście lat, kiedy Sally wyprowadziła się z domu. Zaszła w ciążę z facetem, którego poznała w pracy, i zamieszkała z nim w mieszkanku nad małym sklepem. Nigdy nie mówiła o tym, co kiedyś robiliśmy, chyba traktowała to jak nasz wspólny, wstydlivy sekret. Ja też nic nie mówiłem, ale nie zapomniałem tamtych dni w łazience i dotyku jej miękkich, mokrych włosów.

– Więc zabijałeś młode dziewczęta, dlatego że siostra cię odrzuciła i się wyprowadziła?

Grant wybuchnął śmiechem i potrząsnął głową.

– Nic nie kapujesz, co?

– Czego nie kapuje?

– Ona była pierwsza. Była moją dziewiczą ofiarą.

Rozdział 34

Joe czekał w kawiarni, jednej z najstarszych w mieście, w której stary Grek serwował kawę z mlekiem, na długo zanim ktoś wpadł na pomysł, żeby taką kawę nazwać „latté”.

Siedzenia były obite jasnozielonym plastikiem, na fornirowanych blatach stołów niczym zmarszczki na twarzy widniały okrągłe ciemne plamy po kawie, cukier podawano w szklanych słoiczkach, a wszystko to w oprawie mozaiki z niebieskiej glazury na ścianach. Knajpka, której właściciel nazywał się Andreas, znana była z tego, że robotnicy mogli tu zjeść obfite śniadanie za naprawdę niewygórowaną cenę, inteligencja zaś, której się wydawało, że tłuste sztuce przybliżą ją do pospólstwa, ściałała tu na omletry.

W przypadku Joego sytuacja wyglądała jeszcze inaczej, prościej. Za zgodą Andreeasa jego klienci mogli korzystać z tylnego wejścia. W ten sposób Andreas odwdzięczał się Joemu za to, że kilka lat wcześniej Joe pomógł mu uniknąć utraty prawa jazdy za mandaty za zbyt szybką jazdę. Dzięki temu Andreas mógł dalej bez przeszkód prowadzić swój biznes. Na tym właśnie polega moja praca, myślał Joe. Ludziom, którzy się potknęli, pomagam się podnieść, żeby wrócili do życia. A w ramach zapłaty mam choćby to – zaciszny kąt, w którym mogę się spotkać z klientami, którzy wolą się nie pokazywać w bardziej ruchliwych miejscach.

Usłyszał, że ktoś stanął za jego plecami. To był sam Andreas, który z wciąż dość wyraźnym obcym akcentem zapytał: – No i kiedy przychodzi ten twój chłopak?

Joe zerknął na zegarek i zabębnił palcami w blat.

– Mam nadzieję, że niedługo – odparł i zaraz potem się obejrzał, bo usłyszał dźwięk dzwonka przy drzwiach. Do kawiarni wszedł młody mężczyzna, który szybko rozejrzał się po lokalu. Joe rozpoznał chłopaka; widział go na zdjęciach dowodowych prokuratury.

– Idealne wycucie czasu – mruknął do Andreeasa, a ten uśmiechnął się pod siwym wąsem, lekko zbrązowiałym od dymu

cygar, które w wolnych chwilach ćmił na zapleczu. – Poproszę jeszcze jedną kawę.

Młody chłopak był ubrany w bawełniane spodnie i bluzę z kapturem. Wyglądał na zadbanego, ciemne włosy miał czyste i lśniące, cerę zdrową, zdradzającą dobre pochodzenie.

Twarz nie była wychudzona i stwardniała, jak u innych klientów Joego, tych, co przychodzili do jego biura z aktem oskarżenia w kieszeni.

– Panie Parker – przywitał się chłopak, siadając.

– Witam, Danielu – odparł Joe. – Mogę tak do ciebie mówić?

Chłopak skinął głową i nerwowo się uśmiechnął. Dobrze wychowany, ale wystraszony.

– No to świetnie – rzucił Joe. – I od razu zaznaczę, że to ty chciałeś ze mną porozmawiać.

– Ale nie w takim miejscu.

– Miejsce jest w sam raz. Nikt nie widział, że tu wchodziłem, nikt nie zobaczy, gdy będę wychodził, więc w razie czego mogę się wyprzeć, że rozmawialiśmy.

– To brzmi dość groźnie.

– Nie po to tak mówię, żeby cię nastraszyć – zapewnił Joe, który doskonale rozumiał, dlaczego chłopak jest spięty. Padł ofiarą jednego z lepszych klientów Joego, lokalnego zbira, któremu się wydawało, że skoro sprzedaje piguły clubbersom, to jest z niego wielki ważniak.

Facet nie zdawał sobie sprawy, że prowadził swój interes tylko dlatego, że tym prawdziwym ważniakom było na rękę, by ścierał na siebie uwagę policji, tym samym odciągając ją od nich.

– No więc mów, Danielu, o co chodzi?

Daniel, który splótłszy ręce na piersi, lekko się kołysał, spuścił wzrok.

– Chcę się z tego wypłatać – rzekł w końcu.

– Z czego, z procesu?

Daniel kiwnął głową.

– Dlaczego?

- Muszę podawać powody?
- Po prostu jestem ciekawy.
- Nie chcę się pokazywać w sądzie.
- Rozmawiałeś z policją?

– Próbowałem, ale nie byli zainteresowani. Mówili, że muszę się stawić na rozprawie, i że jeśli nie będę chciał, mogą mnie do tego zmusić. I starzy też mi ględzą, że powinienem to zrobić, bo sprawiedliwość to ważna sprawa. – Chłopak potrząsnął głową. – Ale ja nie chcę.

– Jeśli nie pójdziesz na rozprawę, winny nie poniesie kary – zauważył Joe. – Chyba to rozumiesz? Jesteś jedynym świadkiem.

– Tak, wiem.

Joe sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął kopertę. Położył ją na stole.

– Jeśli będziesz naciskał na policję i mówił, że nie stawisz się w sądzie, mogą ci wysłać oficjalnie wezwanie – wyjaśnił. – Jeśli je zignorujesz, dostaniesz nakaz. Posadzą cię w areszcie do czasu rozprawy, mimo że jesteś poszkodowanym.

Daniel pobladł.

– To co mam zrobić?

– Udawaj, że współpracujesz. Mów, że przyjdiesz na rozprawę, na której po prostu się nie zjawisz. Prokuratura poprosi o odroczenie procesu, żeby cię namierzyć, ale sąd odrzuci wniosek. Sądy mają swoje harmonogramy, odroczone sprawy psują im wyniki. Tak więc, ponieważ bez ciebie przedstawienie nie może się odbyć, przewód zostanie zamknięty. – Joe przesunął kopertę po stole. – Mój klient ma wyrzuty sumienia z powodu twojego nosa. Nie chciał ci go złamać, ale przecież wiesz, jak naprawdę było, prawda, Danielu?

Chłopak przymrużył oczy.

– Nie rozumiem.

– Piekliłeś się na towar, bo kupiłeś większą ilość z nadzieją, że uszczkniesz coś za friko dla siebie, ale byłeś tak nawalony, że pomieszały ci się kwoty. Zacząłeś się rzucać, więc dostałeś plombę. Policja myśli, że oberwałeś bez powodu, ale obaj wiemy,

że było inaczej. Dlatego nie chcesz rozprawy. Boisz się, co mogłoby wyjść, prawda?

Daniel poczerwieniał, co tylko utwierdziło Joego w przekonaniu, że jego domysły są słuszne.

Chłopak wyglądził swoją wersję, nie chciał, żeby rodzice dowiedzieli się, co się naprawdę dzieje.

– Jak już powiedziałem, jeśli brakuje świadka, to prokuratura ma związane ręce, i wszyscy są zadowoleni – powtórzył Joe. – Jeśli zdecydujesz, że nie stawisz się na rozprawie, mój klient zrekompensuje ci poniesione szkody. Więc weź kasę, dwa tysiące funtów, i zrób sobie wakacje.

Daniel przełknął ślinę.

– A jeśli jej nie wezmę?

– Nic się nie stanie. Nikt ci nic nie zrobi. Dla mojego klienta jesteś dzieciakiem, którego poniosło, ale ma zawiasy i nie chce trafić za kratki.

– Zawiasy?

– Wyrok w zawieszeniu. Za pobicia. Dlatego tak się przejmujesz sytuacją. Ale tobie nic nie grozi. Mój klient chce tylko zrobić to, co należy.

– A policja? Nie będą mnie zmuszali, żebym się stawiał na rozprawie?

– Wyjedź. Gdzieś, gdzie do ciebie nie dotrą. Masz jakiegoś znajomego, u którego mógłbyś się zatrzymać? Nie odbieraj telefonów, chyba że wiesz, kto dzwoni.

Daniel pokiwał głową i biorąc głęboki oddech, sięgnął po pieniądze.

– Dziękuję – rzekł, przyciągając do siebie kopertę. – Jestem wdzięczny za poradę. – Wstał i wetknął kopertę do kieszeni.

Zanim odszedł, Joe go przestrzegł: – Wziąłeś forszę i teraz należy do ciebie. Ale mój klient będzie chciał ją odzyskać, jeśli pojawisz się w sądzie, chyba rozumiesz?

– Tak, jasne.

Daniel wyszedł. Kiedy tylko drzwi się za nim zamknęły, Joe usłyszał za plecami jakiś szelest, a potem poczuł na ramionach

mocny uścisk czyichś dłoni. Należały do jego klienta, niskiego, żylastego faceta o wygolonej głowie, ubranego w czarną marynarkę.

– Dzięki, Joe. Doceniam twoją pomoc, zwłaszcza że sporo ryzykujesz.

– Nic nie ryzykuję. Pomogłem tylko chłopakowi, bo tego potrzebował. Jak się chce, zawsze można znaleźć jakieś rozwiązanie, tak żeby wszyscy byli zadowoleni. Ja je znalazłem.

– Bardzo mnie to cieszy. Ale co teraz?

– W przyszłym tygodniu stawisz się w sądzie, elegancki, w porządnym garniturze – wyjaśnił Joe. – Zrobisz zdziwioną minę, że świadek się nie pojawił, i wrócisz do domu. – Widząc, że klient kiwa głową, dodał: – A teraz twoja kolej na przysługę.

– Strzelaj. O co chodzi? Koka? Prochy?

– Nie, nic z tych rzeczy. Nie tykam tego świństwa. Chodzi o sprawę. Sprawę o morderstwo, tylko że nie jestem pewien, czy ofiara rzeczywiście nie żyje.

– No to kiepsko.

– Też tak uważam. Rzekoma ofiara to alkoholiczka i wydaje kasę, której nie ma. Chodzą słuchy, że sobie dorabia, sprzedając się w swoim mieszkaniu. Jeśli związała, a nie zginęła, będzie musiała się z czegoś utrzymać, a przypuszczam, że ma stałą bazę klientów.

– Chcesz, żebym się o nią rozpytał?

– Wiem, że korzystasz z usług panienek do rozprowadzania towaru. – Kiedy klient podniósł ręce na znak niewinności, Joe szybko go uspokoił: – Jestem adwokatem i nie oceniam moich klientów. Więc zapytaj dziewczyny, czy nie doszła im nowa koleżanka. Wysoka blondynka. Ma na imię Carrie. Będzie miała ze sobą małą dziewczynkę. Tu jest zdjęcie. – Joe podał klientowi fotografię wyciętą z gazety z poprzedniego dnia, w której sprawę Ronniego opisywano na jednej ze środkowych stron. – Jeśli się okaże, że ktoś ją zna, chętnie dowiedziałbym się też, jak się nazywa jej alfons.

Klient uśmiechnął się i schował wycinek ze zdjęciem do

kieszeni.

– Odezwe się – mruknął i opuścił kawiarnię. Jego energiczny krok, kiedy wychodził, powiedział Joemu, że dzień dla wszystkich zakończył się pomyślnie.

Rozdział 35

Sam krążył nerwowym krokiem po więziennym korytarzu. Zostawił Granta w pokoju przesłuchań i wyszedł zadzwonić do inspektor Evans, ale jej telefon był ciągle zajęty. Kiedy w końcu odebrała, powiedział: – Grant nic nie wie. Tylko się przechwala, szczęśliwy, że ma słuchacza.

– A czym się tak przechwala?

– Że zabił siostrę.

– Naprawdę? – zdziwiła się Evans. – Pierwszy raz słyszę. – Po chwili milczenia dodała: – A ty, co o tym sądzisz?

– Że zmyśla. Chce nas zwieść z tropu, ale nawet nie wiadomo, o co chodzi w tej jego wydumanej historyjce.

– Wysłuchaj go do końca – poleciła Evans. – Może jednak coś ciekawego powie. – I Evans się rozłączyła.

Na korytarzu znowu zrobiło się cicho. Sam głęboko odetchnął, zbierając siły na powrót do pokoju przesłuchań. Nie miał ochoty tam wchodzić, jednak musiał, bo musiał z czymś wrócić na komendę.

Wszedł do pokoju i z miejsca zapytał: – A więc twierdzisz, że zabiłeś siostrę?

– Nigdzie o tym nie czytałeś, co? – zakpił Grant i puścił do Sama oko. – Powinieneś zwracać większą uwagę na szczegóły, bo to w nich zawsze kryje się odpowiedź, w szczegółach.

– No to opowiedz mi o tej swojej siostrze.

– Sally wiedziała, że się jej przyglądam, kiedy leżałem w łóżku.

– Skąd mogła wiedzieć?

– Po tym, jak oddychałem.

– I nie kazała ci z tym skończyć?

Grant pokręcił głową.

– Dlatego ją zabiłeś?

– Nie, nie, nie. Myślisz, że to takie proste? Nauczyłem się wtedy być cierpliwym, to wszystko. Zaryzykowałem i ją dotknąłem, ale jej się to nie spodobało. Więc zostało mi patrzeć. Nauczyłem się, że lepiej się nie spieszyć, że podejmowanie ryzyka może się nieprzyjemnie skończyć. Ale Sally też nie miało łatwo. Zawsze byłem blisko, podglądałem ją, kiedy wychodziła z łazienki, kiedy się przebierała, kiedy odrabiała lekcje. Więc zrobiła coś najokrutniejszego.

– Czyli co?

Grant wyprostował się na krześle i założył ręce za głowę.

– Leżałem w łóżku. Sally się kąpała. Czułem się tak, jakby sobie ze mnie kpiła, bo przy każdym pluśnięciu wody przypominało mi się, jak się zawstydzilem, kiedy zobaczyłem jej piersi, jak wtedy zareagowałem, jak mnie odrzuciła. Uważałem, że zrobiłem coś złego, brudnego. Ale i tak zawsze gdy myślałem o Sally, bardzo się podniecałem, byłem w wieku, w którym w chłopcu odzywa się męskość. Kiedy Sally wyszła z łazienki, była owinięta ręcznikiem i pewnie dostrzegła coś w moim spojrzeniu, może to samo, co widziała w oczach innych facetów, bo od razu się zorientowała, jaką ma nade mną władzę. Więc puściła ręcznik. Patrzyłem jak się osuwa, patrzyłem na jej płaski brzuch. Sally nie okryła się, pozwoliła mi patrzeć.

– To wtedy ją zabiłeś?

Grant podniósł oczy na Sama i cmoknął z poirytowaniem.

– A ty ciągle to samo, znowu wrywasz do przodu. Nie, jeszcze wtedy jej nie zabiłem.

Zrobiłem coś o wiele prostszego. Dotknąłem się. Nie mogłem się powstrzymać, a Sally to zauważyła. Nie wiem, co zrobiłem, sapnąłem albo zadrzałem, albo coś jeszcze innego, ale Sally krzyknęła. Wcześniej się uśmiechała, chociaż to był paskudny, złośliwy uśmiech zwycięstwa, ale kiedy się okryła i wybiegła z sypialni, krzyczała tak, jakby była wściekła. Wrzeszczała do rodziców, że się obmacuję, kiedy na nią patrzę, i że jestem śmierdzącym małym zboczeńcem.

Grant, pogrążony we wspomnieniach, pokręcił głową.

– Nasza matka przyleciała na górę. Wyciągnęła mnie z łóżka, zaprowadziła do łazienki i wsadziła mi głowę pod kran. Zlała mi głowę zimną wodą. Jak sądzisz, jak się wtedy czułem?

– Pewnie ponizony – rzekł Sam. – I wściekły.

– Zaczynasz łapać. Potem to już zawsze czaiło się gdzieś w tle. Nasz mały, brudny rodzinny sekret. Ojciec próbował ratować sytuację, mówił, że to normalne, bo w tym wieku każdy się gubi, ale po tym, jak czasami na mnie patrzyli, i po tym jak Sally czasami prychała, wiedziałem, że nie zapomnieli. Oprócz tego Sally o wszystkim opowiedziała w szkole. Byłem cichym, spokojnym uczniem, ale starałem się dopasować. Byłem dobrym obserwatorem. Widziałem, jak niektórzy chłopcy się popisywali, kiedy w pobliżu były dziewczyny, i że niektórym dziewczynom te wygłupy się podobały. Więc też próbowałem żartować, dołączyć do nich, ale dziewczyny tylko dziwnie patrzyły po sobie, a koledzy się ze mnie nabijali, zawsze z tego samego powodu: że kiedy się ze sobą zabawiam, myślę o siostrze.

– Więc co zrobiłeś?

– Już mówiłem, że nauczyłem się cierpliwości. Sally się wyprowadziła, urodziła dziecko, ale ja spokojnie czekałem. Kiedy jej synek miał sześć miesięcy, chłopak Sally ją porzucił. Więc potem zawsze była sama, a ja wciąż ją obserwowałem. Naprzeciwko jej mieszkania był park.

Chodziłem tam wieczorami i ją podglądałem. Nie wiedziała, że to robię. – Grant przymrużył oczy. Jego oddech stał się urywany, Grant był wyraźnie podniecony. – Nie sądzisz, że to najlepsza część? Ta narastająca ekscytacja. To obserwowanie. Wiedziałem, co zrobię, jeszcze zanim to zrobiłem, ale nie próbowałem z tym walczyć, bo uważam, że nie wolno walczyć z pragnieniami. Właśnie to mnie odróżnia od reszty stada.

– Inni nazywają to stado społecznością – zauważył Sam. – Społecznością ludzi, w której obowiązuje zasada niekrzywdzenia, bo to... po prostu okrutne.

– Gówno prawda – rozjuszył się Grant, waląc dłońmi w stół, aż Sam podskoczył. – Nie krzywdzicie, bo się boicie

konsekwencji, to wszystko. Tam gdzie można, na przykład na wojnie, ludzie zabijają i gwałcą bez oporów. Więc nie sprzedawaj mi tych głodnych kawałków.

– No dobrze, mów dalej... opowiedz, jak ją zabiłeś. Tylko pamiętaj, że to sprawdzę i będę widział, czy marnowałem tu czas, bo zmyślałeś. Ale jeśli chodzi ci tylko o sławę, to zwróć się do któregoś z autorów kryminałów. Sporo ich na rynku i na pewno chętnie posłużą się twoim scenariuszem.

– Już mówiłem, że chodzi o tę zaginioną dziewczynę. Dlatego opowiadam o Sally. – Grant zniżył głos. – Aspektem, który wszystko przeważył, stała się pora roku, ta, którą lubię najbardziej, początek jesieni. Te szarpane wiatrem, zaplątane w szaliki wilgotne włosy. Latem włosy są sztuczne i brzydkie. Płowieją od słońca, wysychają, są wątłe. Ale wraz z końcem upałów znika też farba. Przychodzi jesień i wszędzie dokoła widzisz piękne młode kobiety, które wreszcie wyglądają, jak powinny. Tylko że w tamtym czasie Sally zawsze była gdzieś blisko. Przez to ciągle czułem wstyd. Musiałem więc coś z tym zrobić.

– Czyli?

– Stałem w parku. Było ciemno. Sally mnie nie widziała, ale ja ją tak. Tylko niewyraźny zarys sylwetki, ale to wystarczyło. Brała prysznic. Myła głowę. Widziałem, jak nakłada szampon, jak spłukuje włosy, wodząc po nich dłońmi. – Grant znowu zaczął stukać palcami w stół. – Drzwi były otwarte, więc cicho zakradłem się na górę. Sally nic nie słyszała. Pchnąłem drzwi od łazienki. Jej synek spał w pokoju obok, na brzuchu, w niebieskich śpioszkiach. – Grant się roześmiał. – Kiedy go zobaczyłem, byłem bliski wycofania się. Nawet ja mam słabości.

– Albo resztki ludzkich uczuć. Ten chłopiec to był twój siostrzeniec.

– Nie obchodziło mnie to. Słyszałem tylko szum wody. Tylko na tym się skupiałem. – Grant postukał się w skroń i zazgrzytał zębami. – Pchnąłem drzwi i ją zobaczyłem. Stała tyłem w wannie, z prysznicza lała się woda. Miała zaczerwienioną skórę. Utyła. Pupę miała większą, niż gdy mieszkała u rodziców, ale i tak

jej widok mnie podniecił.

Grant niespodziewanie klasnął w dłonie. Sam się wzdrygnął.

– Podbiegłem do niej. Chwyciłem za włosy i szarpnąłem. Sally krzyknęła, ale ja nie puściłem włosów. Przewróciła się do tyłu. Walnęła głową w bok wanny. Trzask był głośniejszy niż jej krzyk. Słuchać go było ponad piskiem, jakie wydawały jej ślizgające się po dnie wanny stopy.

Brzmiało to, jak trzask pękającego melona. Potem sapnęła i ucichła. Został tylko plusk wody skapującej na jej brzuch.

– Tak planowałeś ją zabić?

Grand się roześmiał.

– Nie. Chciałem ją udusić, bo właśnie taki obraz, gdy to sobie wyobrażałem, najbardziej mnie podniecał. Ale kiedy zobaczyłem różowe strużki w wannie, kiedy sprawdziłem puls i się okazało, że nie bije, pomyślałem, że sytuacja jest idealna. Ludzie uznają, że się pośliznęła. Nikt się nie domyśli, że to moja sprawka.

– Ile miałeś wtedy lat?

Grant przymknął oczy i kiwając głową, dokonał w myślach obliczeń.

– Szesnaście. Tak, szesnaście – odrzekł.

– Dlaczego mi o tym opowiedziałeś? – zapytał Sam po chwili milczenia. – Minęło tyle lat.

– Przeprowadź dochodzenie, detektywie, to będziesz wiedział dlaczego.

– Gdybyśmy znaleźli dowody, moglibyśmy postawić ci zarzuty.

– Byłbym wtedy jeszcze bardziej popularny.

– Popularny?

– O tak. Mam wielu fanów, którzy do mnie piszą. Młode kobiety, stare kobiety. Babki lubią niegrzecznych chłopców. Dostaję zdjęcia z golizną, prośby o spotkania. Piszą do mnie pogubieni młodzi mężczyźni, ludzie, którzy myślą tak jak ja. Chcą mnie poznać, jakbym był ich idolem.

Sam potrząsnął głową.

– Nudzi mnie już to twoje samouwielbienie. Możemy powrócić do tematu zaginionej dziewczyny?

Grant sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie, jakby odniósł zwycięstwo w potajemnie prowadzonej grze.

– Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia – oznajmił. – Odpowiedzi znajdziesz w mojej opowieści. Musisz się tylko zastanowić.

Sam zebrał notes i długopis. Krzesło z hukiem odsunęło się od stołu, kiedy się podnosił.

Pokazał palcem na okno.

– Spójrz tam, Grant. Zaparkowałem na ulicy, której się wcześniej przyglądałeś. Pójdę teraz do swojego samochodu, po drodze wdychając zapach wolności. Pomyśl sobie o tym, kiedy wrócisz do celi.

– A może zamiast o tym pomyślę o twojej siostrze.

Sam, żeby się opanować, na chwilę przymknął oczy. Mógł się spodziewać takiej zagrywki.

– Moją siostrę zostaw w spokoju.

– Dlaczego? Bo przeżyła to samo? – Grant odchylił się na oparcie krzesła i splótł ręce na brzuchu. I szeroko się uśmiechnął. – Spodobała się komuś takim jak ja. Tobie też się podobała? Podglądałaś ją, kiedy dorastała?

Sam przeszedł do drzwi i mocno w nie zabębnił. Musiał natychmiast opuścić to miejsce.

Grant parsknął śmiechem.

– A co z twoją drugą siostrzyczką?

Pytanie sprawiło, że Sam gwałtownie się odwrócił.

– Co mówiłeś?

– Pytałem o Ruby, tylko że ona już nie jest taka mała, co? Pewnie ma długie nogi i włosy.

Pewnie jest słodziutka.

Sam poczuł, że krew napływa mu do głowy. Zacisnął pięści, z trudem się powstrzymując, żeby nie rzucić się na Granta. Chciał zobaczyć strach w jego oczach, ból. Serce mu waliło, na czoło wystąpił pot.

Drzwi się otworzyły i Sam szybko wyszedł z pokoju. Ale jeszcze zanim drzwi się zamknęły, usłyszał wołającego za nim Granta: – Tylko nie zapomnij wspomnieć o mnie żonie. Zrobi ci dobrze, jak jeszcze nigdy.

Drzwi się zamknęły, a Sam szybko ruszył przed siebie. Chciał jak najprędzej uciec od goniącego za nim głośnego i szalonego śmiechu.

Rozdział 36

Joe wrócił do biura i zerknął na zegarek. Siedemnasta. Zaraz miał się spotkać z Kim.

Do biura wpadł tylko po to, żeby zostawić dyktafon, na którym na wszelki wypadek nagrywał przebieg spotkania w kawiarni. Przejrzał się w szybie obrazu. Pod oczami zobaczył ciemne podkowy, to go jednak nie zdziwiło. W końcu miał za sobą długie i męczące dzień.

Właśnie zmierzał ku drzwiom, gdy do biura jak burza wpadła Gina, a tuż za nią Monica.

Gina spojrzała na zegarek.

– Wcześniej dzisiaj wychodzisz, Joe.

– Bo jestem tak przepracowany, że nawet jak coś czytam, to nie rozumiem treści. Muszę odpocząć.

– Znalazłam eksperta od krwi – oznajmiła Gina. – Zwykle zajmuje się tylko analizą rozbryzgu, ale trochę zna się też na określaniu wieku krwi. Po kilku miesiącach brzegi plam ciemnieją. Im dłużej to trwa, tym ciemna obwódka robi się większa.

– Czyli że gdyby plamy znalezione w mieszkaniu miały te obwódki, oznaczałoby to, że krew pochodzi z wcześniejszego okresu, a tym samym, że Carrie i Grace prawdopodobnie żyją – dywagował na głos Joe.

– Dokładnie tak – przytaknęła Gina.

Joe wyszczerzył zęby w uśmiechu zadowolenia.

– Bardzo dobrze. – Odwrócił się do Moniki. – A co z sąsiadami Terry’ego?

– Cóż, wygląda, że niespecjalnie go lubią – odrzekła Monica.

– To znaczy? – zapytał. Wprawdzie sam doszedł do podobnych wniosków, ale nie znał szczegółów.

Monica otworzyła notes.

– Terry wyznaczył sobie rolę kogoś w rodzaju lokalnego strażnika. Oczywiście to nie jest jakaś oficjalna funkcja, poza tym trudno się dowiedzieć czegoś o jego przeszłości. Słyszałam same plotki. Sąsiedzi w większości dopiero niedawno sprowadzili się na tę ulicę. Dużo tam małych mieszkań do wynajęcia, więc lokatorzy wciąż się zmieniają. Ale podobno Terry mieszka w okolicy całe życie. Dom należał do jego rodziców. Po ich śmierci, ponieważ dom był dla niego za duży, wyprowadził się na najwyższe piętro, a resztę pomieszczeń zaczął wynajmować. Tyle że zdaje się nie był najlepszym właścicielem. Większość osób, które u niego mieszkały, skarżyła się na niego do sąsiadów.

– A na co dokładnie się skarżyli?

– Że jest dziwny. Rozmawiałam z kobietą, która wynajmuje mieszkanie po drugiej stronie ulicy, ale wcześniej wynajmowała pokój u Terry’ego. Wyprowadziła się, bo Terry ją przerażał.

Na początku wynajmował tylko pokoje, bez dostępu do kuchni. Ludzie gotowali na małych kuchenkach, w które wyposażył każdy pokój, a naczynia zmywali w łazience. Ta kobieta opowiadała, że miała wrażenie, że gdziekolwiek się obróciła, Terry zawsze tam był i ją obserwował. Później, ponieważ ludzie zaczęli się wyprowadzać, Terry połączył pokoje w mieszkania.

– A z czego się utrzymuje?

– Nie z pracy, bo nie pracuje. Ludzie mówią, że odziedziczył duży spadek. Często jeździ do centrum i wysiaduje po kafejkach i pubach. A gdy tego nie robi, nachodzi sąsiadów z różnymi pretensjami. Że ktoś zostawił rower na chodniku, że urządził za głośne przyjęcie. Tego typu rzeczy.

– Lokalny szajbus. Ale bycie dziwakiem to jeszcze nie zbrodnia – mruknął Joe, który krążył po pokoju, czując, że za osobą Terry’ego kryje się coś więcej.

– A co powiesz o oszustwach i mitomanii? – rzuciła Monica.

Joe zatrzymał się i szeroko otworzył oczy.

– Mów. Słucham cię.

– Terry cieszył się reputacją kogoś w rodzaju bohatera wojennego – zaczęła Monica. – Co roku w eleganckim swetrze i berecie chodził na marsze z okazji Dnia Pamięci. Sąsiedzi nie mieszkają na ulicy na tyle długo, żeby go pamiętać z młodości, więc myśleli, że jest weteranem wojen falklandzkich lub kimś takim. Ile on może mieć lat? Chyba coś pod pięćdziesiątkę. Więc facet kręcił się po okolicy i wszystkich ustawiał do pionu, ale ludzie to znosili ze względu na jego wojskową przeszłość.

Na usta Joego zaczął wpływać powolny uśmiezek. Już wiedział, do czego to wszystko zmierza.

– Masz rację, że się uśmiechasz, Joe – wtrąciła się Gina, przejmując opowieść. – Cała historia okazała się fikcją. Spotkałam kilku takich ludzi za moich policyjnych czasów. Takich, co składali fałszywe zeznania, tylko żeby zwrócić na siebie uwagę. Zamykaliśmy ich, ale po dwóch dniach, kiedy sprawdziliśmy, że nie mieli nic wspólnego z przestępstwem, wychodzili.

Kłopot w tym, że ci ludzie, znudzeni własnymi wymysłami, z czasem zaczynają mocno przesadzać. To właśnie miało miejsce z Terryem Dayem. Lubił odgrywać swoje fantazje, jednak po jakimś czasie zaczął się za bardzo przechwalać przygodami i nosić zbyt dużo medali. A żaden nie był prawdziwy. Terry miał tylko sweter i medale z drugiej ręki, ale ktoś zrobił mu zdjęcie i wysłał do gazety, żeby gazeta napisała o tym miejscowym bohaterze z piersią pełną odznaczeń. Przez kilka dni Terry był ulubionym weteranem całego sąsiedztwa, aż zobaczył go jakiś prawdziwy weteran i zorientował się, że Terry to oszust.

Gina spojrzała na Monicę, a ta w odpowiedzi z koperty, którą trzymała, wyciągnęła jakąś kartkę.

– Zajrzałyśmy do miejscowej biblioteki – wyjaśniła. – Pamiętali tam tę historię, bo w miasteczkach takich jak Morton pamięta się plotki. Obsługa odszukała stary artykuł i pozwoliła nam go skopiować.

Monica położyła kartkę na biurku.

Joe ją podniósł, żeby przeczytać artykuł.

Fotografia, która mu towarzyszyła, przedstawiała mężczyznę, którego Joe odwiedził wcześniej tego dnia, tyle że facet na zdjęciu był lepiej ubrany: w piaskowy beret z doczepionym na przodzie znacznikiem wojskowym i w elegancki granatowy sweter. Mina i wyraz oczu zasłoniętych okularami w ciemniej oprawce świadczyły o tym, że Terry jest bardzo z siebie dumny. Przy kieszonce swetra dyndał rządek medali. To robiło wrażenie, zwłaszcza że klapy stojących za Terryem starszych panów zdobiły tylko czerwone maki.

Pod zdjęciem zamieszczono opis odznaczeń, począwszy od Medalu Południowego Atlantyku, kończąc na Medalu NATO, oprócz tego były jeszcze medale za Wybitną Służbę, Chwalebną Służbę i wiele innych. W sumie było ich siedemnaście. Marton miało swojego wojennego bohatera.

– Te wszystkie medale to oszustwo – kończyła Monica. – Terry chciał zrobić wrażenie na jakiejś kobiecie z sąsiedztwa i zdaje się, że go poniosło, spodobało mu się, że jest w centrum uwagi. Przesiadywał w kawiarniach i pubach i opowiadał zmyślane historie wojenne, jednak gdy prawda wyszła na jaw, ludzie się od niego odwrócili. Wciąż chodzi do tych samych pubów, ale teraz siedzi tam sam.

– To bardzo dobra historia – oznajmił Joe.

– Ale przecież fakt, że jest oszustem, nie czyni z niego mordercy – zdziwiła się Gina.

– Nie, nie czyni – zgodził się Joe. – Za to na pewno podważa jego wiarygodność.

– Znaczy, że dalej sprawdzamy Terry’ego? – upewniła się Monica.

– Jak najbardziej. Musimy dowiedzieć się o nim wszystkiego, co się da – odrzekł Joe, z uśmiechem spoglądając na artykuł. Właśnie się okazało, że ich sytuacja nieco się polepszyła.

Rozdział 37

Joe, podjeżdżając pod pub, uważnie się rozglądał. Zwykle umawiał się w innych miejscach, ale tym razem nie chciał, żeby

ktos go rozpoznał. Gdyby spotkanie miało się odbyć gdzieś przy Deansgate, na pewno natknęłyby się tam na wielu prawników i księgowych, ale przy pubie Ox, w którego pobliżu znajdowało się tylko Muzeum Nauki, na ulicy głównie kręcili się turyści i grupy szkolne.

Kiedy wszedł do środka, Kim już czekała. Siedziała pod oknem, dostęp światła blokowały ciemne witraże, przez co pub tonął w mroku. Na zewnątrz stało kilka stolików, przy których siedziało sporo gości, ale wydawało się, że Kim myślała podobnie jak on – że lepiej, żeby nikt ich razem nie widział.

Zapatrzona w blat stołu, piła piwo z butelki. Kiedy przy wtórze trzeszczenia burgundowej skórzanej tapicerki usiadł obok, podniosła na niego oczy.

– Już myślałam, że mnie wystawisz do wiatru – rzuciła i się uśmiechnęła.

– Nie, no coś ty – odparł i też się uśmiechnął. – Zamówić ci jeszcze jedno piwo? Jak chcesz, możesz gdzieś zapisać, że ci je postawiłem.

Kim chwilę się zastanawiała, w końcu kiwnęła głową.

– Chętnie.

Joe poszedł do baru.

– I co słyhać? Jak ci minął dzień? – zapytał, gdy wrócił z dwiema butelkami piwa.

– Tak samo jak wszystkie inne – mruknęła Kim. – Tylko praca i praca, na nic innego nie starcza mi czasu.

Przez chwilę rozmawiali o dniu, który minął, każde unikało tematu Ronniego. Kim narzekała na stosunki w biurze. Że ktoś ją zdenerwował czymś trywialnym, że przełożeni gonili, mimo że personel ciągle się zmniejszał. Joe mówił o swoich lękach związanych z zawodem prawnika: że z każdym rokiem coraz trudniej jest się utrzymać na rynku.

Potem Kim zaproponowała: – Miejmy to już za sobą, co? Żebyśmy nie zepsuli sobie wieczoru jak wczoraj. Dlatego zajmijmy się tym od razu. Ronnie Bagley.

– O co ci chodzi?

– Wcześniej czy później jego nazwisko na pewno wypłynie, więc pogadajmy o nim teraz.

Potem już spokojnie się napijemy, jak dwójka starych przyjaciół. Tylko nic może nie wyjść poza ten lokal.

– Zależy, co powiesz – ostrzegł, ale gdy spostrzegł, że Kim marszczy czoło, szybko dodał: – Chyba się nie spodziewasz, że zachowam dla siebie coś, co mogłoby pomóc Ronniemu?

– Okej, rozumiem, chociaż niepotrzebnie się przejmujesz. Wiem tyle samo co ty.

– W takim razie zacznijmy może od tego: twoim zdaniem Ronnie jest winny?

– Nigdy nie prowadzę spraw przeciwko ludziom, których uważam za niewinnych.

Joe wysoko uniósł brwi.

– Nigdy?

Kim chwilę milczała, potem wyjaśniła: – Cóż, wszystko zależy od tego, na czym się opierasz, oceniając sprawę. Czasami trzeba zaufać zeznaniom świadków. Jeśli mówią prawdę, wtedy tak, dochodzę do wniosku, że oskarżony jest winny. Może ujmę to inaczej: nigdy nie pozwałam nikogo, kto moim zdaniem był niewinny.

– A jak to wygląda w trakcie procesu? Zdarzało mi się przegrywać sprawy, które w moim mniemaniu powinienem był wygrać.

– Mówisz o niewinności, nie o winie.

– Nie, to ty o tym mówisz – sprzeciwił się. – Ja nie użyłem słowa „niewinny”. Mówiłem o tym, czy twoim zdaniem można dowieść, że ktoś jest winny.

– Przemawia przez ciebie głos sumienia, Joe – odparła Kim. – W ten sposób racjonalizujesz to, czym się zajmujesz. Dla ciebie wina to idea, ogólne pojęcie. Uważasz, że jeśli nie da się komuś udowodnić, że zrobił coś złego, to znaczy, że mamy jakąś moralną próżnię, ale w realnym życiu jest inaczej. Wina to kwestia emocji, nie opinii.

– Więc oskarżasz ludzi, kierując się emocjami?

– Nie da się tego uniknąć. – Kim pochyliła się nad stołem, opierając na nim łokcie. – Pozwól, że powiem ci coś, o czym nie wiesz, bo tego nie widzisz. Nie masz pojęcia, ile razy jesteśmy zmuszeni odrzucać sprawy przeciwko naprawdę złym ludziom tylko dlatego, że wiemy, że nie utrzymają się w sądzie, bo świadkowie nie chcą zeznawać albo dlatego, że brakuje nam kasy na sporządzenie kluczowej analizy kryminalistycznej. To właśnie przez takie przypadki nie mogę spać, a nie przez Bagleyów tego świata. W jego przypadku przynajmniej zgłosiliśmy sprawę i postawiliśmy zarzuty. Sędziowie czasami się mylą. Tam do diabła, my też czasami popełniamy błędy, coś przeoczymy albo źle ocenimy taktykę obrony, ale przynajmniej próbujemy.

– Więc uważasz, że Ronnie jest winny?

– Oczywiście, i chodzi mi o to, że naprawdę zamordował, a nie, czy mamy pewność, że słusznie postawiliśmy go w stan oskarżenia. A ty jakie masz zdanie?

– Ale to pozostanie między nami?

– Jasne.

Joe się uśmiechnął.

– Wiem, że to zabrzmi, jakbym sobie upraszczał życie, ale naprawdę uważam, że Ronnie ich nie zabił. Nie widzę tego cienia wokół niego. Dowody wskazują na coś innego, ale czasami dowody zafałszowują rzeczywistość.

– Co masz na myśli?

Joe upił łyk piwa. Zastanawiał się, czy powinien wspominać o Terry'ego Daya. W pewnym momencie i tak będzie musiał ujawnić, czego się dowiedział, bo w prawie nie można już było stosować niezapowiedzianych ataków, ale czy pub to właściwe miejsce na odkrywanie kart?

Z drugiej strony miał okazję sprawdzić, czy Kim coś wie.

– Na przykład Terry'ego Daya – mruknął.

Kim milczała, chyba przeglądając w myślach listę świadków.

– Chodzi o tego kamienicznika? Co z nim?

– Skąd wiesz, że to nie on jest zabójcą? Całymi dniami

przesiaduje w domu. Byli sami, on i Carrie. Carrie dużo piła. Może to on ją zabił?

– Day jest czysty – odrzekła Kim. – Nie ma na koncie żadnych brudów. To porządny człowiek.

– Więc nie znaleźliście nic, co by świadczyło, że może być niewiarygodny? Facet, który mieszka na ostatnim piętrze rudery? Dziwak?

Kim się wyprostowała.

– Masz coś na poparcie swojej tezy?

Joe otrzymał swoją odpowiedź: Kim nic nie wiedziała o reputacji Daya. Mimo to nie zamierzał jej o niczym mówić. Nie zawiedzie klienta tylko dlatego, że jego była dziewczyna ma piękne oczy.

– Nie, nic, to tylko spekulacje – odparł, po czym, żeby zmienić temat, dodał: – Miło było się wczoraj spotkać.

– Taa... ja też przyjemnie wspominam wczorajszy wieczór.

Joe zobaczył, że Kim się czerwieni. W jej oczach dostrzegł jakiś ciemny błysk. Emocje.

– Tylko mam z tym pewien kłopot – dorzucił. – Nie lubię wchodzić nikomu w paradę, więc zwykle nie umawiam się z kobietami, które są zajęte.

– O co ci chodzi?

– O to, co powiedziałem.

Kim zastukała w butelkę paznokciem.

– Mogę mówić szczerze, Joe?

– Jak najbardziej.

– Z tobą zawsze jest ten sam problem: trudno się z tobą zgrać w czasie. Wiem, że to nasze chodzenie na studiach traktowałeś jak zabawę, ot, kilka razy się ze sobą przespaliliśmy, ale prawda jest taka, że ja tak łatwo nie włożę komuś do łóżka. Z tobą to zrobiłam, bo mi zależało.

Bardzo zależało. Mimo to ty nadal traktowałeś naszą znajomość bardzo lekko. Może i nawet pasowaliśmy do siebie, ale najwyraźniej wybraliśmy zły moment.

Joe był zaskoczony.

– Tak, możliwe – mruknął. – Ale nie wiedziałem, że tak się czułaś. Przykro mi.

– To, czy wiedziałeś, czy nie, nie ma znaczenia. Jeśli tego nie czułeś, nie było sensu niczego ci uświadamiać. – Kim poklepała go po ręce, potem sięgnęła po piwo. – Nie przejmuj się. Nie jestem namolna. Wiedziałaś, że każde z nas kogoś sobie znajdzie. Kiedy pojawiłeś się w Manchesterze, już kogoś miałam. Potem ty się z kimś spotykałeś, a ja byłam sama. Tak już bywa. Przynajmniej w naszym przypadku. Ale myślałam o tobie, może nawet częściej niż powinnam.

– Skąd wiesz, że ja o tobie nie myślałam?

Kim posłała mu wzgardliwe spojrzenie.

– Nie mówię o sytuacjach, kiedy człowiek jest sam i ma ochotę na seks. Miałam na myśli coś poważniejszego. Coś, co się gnieździ tutaj – i postukała się w pierś.

– Coś mi jednak nie pasuje – rzekł. – Mówisz o zranionych uczuciach, ale gdybyś była szczęśliwa z Seanem, to wszystko nie miałoby znaczenia.

– Skąd możesz wiedzieć, że nie jestem z nim szczęśliwa?

– Bo by cię tu nie było i nie rozmawialibyśmy na te tematy.

– Spotkałam się z tobą tylko dlatego, że bardzo rzadko się widzujemy – wyjaśniła i potrząsnęła głową. – Ale lepiej pogadajmy o czymś innym, bo przecież i tak nic się nie zmienia; dalej będziemy tylko przyjaciółmi, prawda?

– Na to wygląda.

– A gdybym nie była z Seanem?

– Nie obiecuj, że go zostawisz, tylko po to, żeby poprawić mi nastrój – ostrzegł. Patrząc na Kim, przypominał sobie ją z czasów studenckich. Jej pocałunki. Jaka była namiętna. – Ale gdybym się do ciebie zgłosił, nie odrzuciłabyś mnie, co?

– Nie, nie odrzuciłabym. Ani teraz, ani w przeszłości, Joe. Zawsze mogłeś na mnie liczyć.

Joe wstał. Musiał skorzystać z łazienki, a co ważniejsze, musiał się zastanowić nad tym, co się działo.

Toaleta była pusta. Tylko stara umywalka i rząd

popękanych porcelanowych pisuarów.

Stanął przed jednym z nich i zaczął analizować rozmowę, jaką właśnie przeprowadził z Kim.

Czuł jakiś niepokój w środku, jakby coś się zaraz miało wydarzyć, ale bał się w to wchodzić.

Kim była z kimś innym.

Nie zwrócił uwagi, kiedy drzwi za nim otworzyły się z lekkim skrzypieniem. Zapinając rozporek, za plecami słyszał ciche kroki. Kiedy się odwrócił do umywalki, kątem oka zauważył nagły ruch. Usłyszał szelest ubrania, pisk podeszew, potem stęknienie z wysiłku i na koniec poczuł, że głowa mu eksploduje.

Wszystko ucichło, świat się zachwiał, nogi odmówiły posłuszeństwa. Czuł, że leci, a gdy był już blisko ziemi, zdał sobie sprawę, że nie wyciągnął rąk i że to jego twarz pierwsza zetknie się z podłożem.

Potem była już tylko ciemność.

Rozdział 38

Gdy Sam wrócił do domu, córki już leżały w łóżkach. Alice była z nimi na górze. To się zbyt często ostatnio zdarzało. Sam słyszał, że Alice czyta dziewczynkom na dobranoc. Przez chwilę się przysłuchiwał. Bajka dla Emily, z książeczki Zielone jajka i szynka.

Pomyślał, że napije się piwa, ale wiedział, że piwo go nie uspokoi. Jego ojciec próbował tej drogi ucieczki, ale skończyło się na wylewie i grobie obok grobu Ellie. Rzucił kluczyki na kuchenny blat, a potem oparł głowę na rękach, przez chwilę napawając się ciszą. Po spotkaniu z Benem Grantem czuł się brudny, miał wrażenie, że Grant, mówiąc o Ellie, Ruby i o Alice, w jakiś sposób wdarł się do jego prywatnego życia.

Stał pod ścianą, opierając głowę o kafelki. Tego najbardziej nie lubił w swojej pracy – że przynosił ją do domu. Tak było, nawet gdy zajmował się przestępstwami finansowymi; zastanawiał się, czy czegoś nie przeoczył, jakiegoś tropu prowadzącego do konta z nieujawnionymi aktywami albo do willi w Hiszpanii, której istnienie właściciel trzymał w tajemnicy. I po co to wszystko? Żeby

potem szydził z niego jakiś psychol, jak ten Grant, podczas gdy jego dzieci szły do łóżka, nie widząc się z ojcem? To prawda, że chciał być dobrym człowiekiem, że chciał wykonywać zawód, z którego jego dzieci byłyby dumne i dzięki któremu czułyby się bezpieczne, ale to się wiązało z długimi godzinami pracy. Nie mógł wyjść w połowie dochodzenia, zwłaszcza że wielu kolegów zostawało po godzinach – czasami, żeby zwrócić na siebie uwagę, a czasami, bo naprawdę im zależało na tej robocie. Więc jego fach oznaczał, że zdarzały się wieczory takie jak ten, gdy wracał, kiedy dzieci już zasypiały.

Ale nie wolno mu tak myśleć. Takie myślenie działa destrukcyjnie, oznacza, że Ben Grant wygrywa. Usłyszał, że Alice wolno schodzi na dół. Zaraz potem rozległ się tupot małych stópek i pisk, gdy starsza z córek zobaczyła go w kuchni i podbiegła do niego w swojej różowej piżamce.

Sam przykląkł, żeby wziąć Emily na ręce. Pachniała płynem do kąpieli, talkiem i niewinnością. Objęła go za szyję i przytknąwszy policzek do jego policzka, mocno go uściśnęła.

Połąskotał ją, a ona zachichotała. Chciał zawtórować córce, ale był na to zbyt przygnębiony.

Alice cmoknęła go w policzek. Była w dresie i miała związane włosy. Wyglądała na zmęczoną.

– Emily cię usłyszała – wyjaśniła. – Nie zaśnie, dopóki się z tobą nie przywita.

Uśmiechnął się.

– Bardzo się cieszę – odparł. – Przepraszam, że tak późno wróciłem. Mamy kocioł w pracy.

– A co się takiego dzieje?

Chciał opowiedzieć, gdzie był po południu, że widział się z Benem Grantem. Chciał opowiedzieć, jaki to okrutny i straszny człowiek, ale przypomniał sobie wstrętne żarty Granta, o tym, że Alice będzie zachwycona, kiedy o nim usłyszy, że to ją podnieci.

– Nic specjalnego. Zwykłe rutynowe działania.

Alice zabrała Emily.

– W lodówce jest kolacja do odgrzania, jeśli jesteś głodny.

Tak właśnie wyglądało ich codzienne życie. On zarabiał na dom, Alice nim zarządzała. Nie zawsze był przekonany, że żonie odpowiada taki układ, jednak zarobki w policji były dobre, nie mógł z nich zrezygnować, zwłaszcza gdy pojawiła się pierwsza córka. Zdecydowali wtedy, że zamiast płacić za opiekunkę, Alice zostanie w domu. Tylko że ostatnio odnosił wrażenie, że żona się nudzi, że zbyt wiele czasu spędza, czekając na jego powrót.

A może to on był zmęczony. Żyli rutynowo, ale życie takie jest: długie okresy przyziemnej egzystencji przełamywane momentami szczęścia.

– Amy już śpi? – zapytał.

– Tak.

– Mimo to do niej pójde. Dam jej buziaka. – Wchodząc po schodach, rozplątywał krawat.

Wszedł do sypialni córki. Leżała na boku z podciągniętymi nóżkami, w pozycji embrionalnej.

Jasne włoski rozsypywały się na poduszce. Wzdłuż brzegu łóżka leżały miękkie pluszowe zabawki. Świat niewinności. Pogłaskał córkę po główce. Już się pochylał, żeby ją pocałować, gdy w kieszeni odezwał się jego telefon.

Zaklął i spojrzął na wyświetlacz. Dzwoniła matka. Przypomniał sobie, że obiecał, że ją odwiedzi. Wycofał się z pokoju, żeby odebrać.

– Cześć, mamó. Niedługo u ciebie będę.

Matka była zdenerwowana, krzyczała coś do słuchawki.

– Mamó, co się dzieje?

Matka umilkła, żeby zaczerpnąć powietrza, potem powiedziała: – Chodzi o Ruby.

Sama zmroziło.

– Ruby? Coś jej się stało?

– Powiedziała, że ktoś ją śledził. Jest wystraszona, Sam.

Sam przymknął oczy. Jego umysł przeniósł się do dnia sprzed piętnastu lat, dnia, w którym Ellie nie wróciła do domu, i ogarnęło to samo mdłe uczucie, świadomość, że niebezpieczeństwo czai się tuż za rogiem. Przypomniały mu się szyderstwa Granta.

– Zaraz u was jestem – obiecał i zbiegł na dół.

Monica siedziała na łóżku i przeglądała magazyn kobiecy. W telewizji leciał nudny reality show. W tygodniu właśnie tak wyglądały jej wieczory; skromna pensja stażystki nie starczała na luksusy. Jeszcze na studiach, gdy mieszkała przy Lower Broad Road, niegdyś ulicy z eleganckimi domami, która z czasem zamieniła się w ulicę kawalerek wynajmowanych głównie przez studentów, sądziła, że gdy zacznie pracować, przeniesie się do lepszego lokum.

Ale tak się nie stało. Zamieszkała w innej kawalerce, w której była tylko sypialnia i kuchnia.

Zadzwoił jej telefon, więc zerknęła na wyświetlacz. Nie rozpoznała numeru.

– Halo?

– Monica? Tu Ronnie.

Przez chwilę w głowie miała pustkę, dopiero po kilku sekundach, gdy jej umysł połączył prywatne życie z zawodowym, uświadomiła sobie, że zna tylko jednego Ronniego.

Przypomniała sobie, że podała mu swój numer, tak na wszelki wypadek, gdyby wydarzyło się coś ważnego. Zaczynała się już przyzwyczajać, że w prawie karnym pracuje się o najdziwniejszych porach. Przestępcy nie urzędują od dziewiątej do siedemnastej, i nawet nie robią sobie wakacji.

– O co chodzi, Ronnie?

– Muszę ci coś pokazać. To bardzo ważne, dotyczy Carrie. Wydaje mi się, że ją widziałem.

– Naprawdę? – Monica, nagle zaalarmowana, usiadła w łóżku.

– Tak, ale musisz tu zaraz przyjechać.

Popatrzyła w dół na pismo, potem spojrzała w okno, za którym na brukowanej tylnej uliczce obok niedziałającej latarni stały metalowe pojemniki na śmieci. Pomyślała, że i tak nie ma nic ciekawego do roboty. Poza tym Joe na pewno by chciał, żeby pojechała. Proponował, żeby po stażu u niego pracowała, a Monica, obawiając się, że może zmienić zdanie, starała się

wywrzeć na nim jak najlepsze wrażenie.

– Jesteś pewien, że to była Carrie? – zapytała.

– Stuprocentowo. Miała ze sobą Grace, tylko że nikt mi nie uwierzy. Ale tobie uwierzą.

To była słuszna uwaga. Monica nie miała żadnego interesu, żeby kłamać. Firma by na tym straciła, gdy sprawa zakończyła się wcześniej.

– Gdzie jesteś? Masz jakiś dziwny głos. Prawie cię nie słyszę.

– Przed dworcem Victoria. To tu ją widziałem. Wiem, dokąd mogła pójść, ale nie chcę tam iść sam, w razie gdybym się jednak pomylił.

Monica pomyślała o reszcie wieczoru, o tym, że jest zmęczona, ale przecież jej życie tak miało teraz wyglądać: będzie biegała po mieście na żądanie przestępców. W kancelarii pracowała dopiero od kilku miesięcy, ale już się zdążyła przyzwyczać, że często musi robić za taksówkę lub dostawcę papierosów. Poza tym na dworzec miała niedaleko.

– Będę za pięć minut. Czekać tam na mnie.

Wrzuciła do torebki dyktafon i notes, i już szła do drzwi, ale w ostatnim momencie pomyślała o aparacie fotograficznym. Dowody w postaci zdjęć będą jeszcze lepsze.

Na chwilę przystanęła. Czy dobrze robi? Wykręciła numer Joego. Chciała tylko sprawdzić, czy jest dostępny, niestety od razu połączyło ją ze skrzynką głosową. Musi jechać. To była szansa na zakończenie sprawy, na udowodnienie, że Carrie i Grace żyją. Przejrzała się w lustro, przesuwając wzrokiem po związanych w kucyk włosach, długiej czarnej bluzie i džinsach, potem podeszła do drzwi.

Wieczór wciąż był ciepły; idąc żwirową ścieżką w stronę chodnika przed blokiem musiała się opędzać od muszek. Nocami długi i stromy odcinek drogi przy jej bloku, łączący północny Manchester z Salford, zamieniał się w tor wyścigowy, ale dzisiaj było spokojniej niż zwykle.

Nikt jej nie zaczepiał.

Mimo to nie czuła się pewnie. Przez Ronniego. Kilka razy przylapała go, że się na nią gapił, ale nie tak normalnie, jak to robili inni mężczyźni, kiedy ją lustrowali. Spojrzenie Ronniego było intensywniejsze, patrzył jej prosto w oczy i nie spuszczał wzroku. I czasami stawał bardzo blisko, jakby chciał ją powąchać. Miała świadomość, że ryzykuje, ale widziała Ronniego i była przekonana, że sobie z nim poradzi.

Z kluczykami w rękę podeszła do zaparkowanego przy krawężniku samochodu. Wcisnęła przycisk pilota, ale światła nie zamigotały. Musiała zapomnieć uruchomić alarm. W myślach podziękowała Ronniemu. Gdyby się nie zorientowała, że samochód nie jest zamknięty, rano już by go nie zastała. W okolicy kręciło się sporo podejrzanych osób. Chodziły nawet słuchy, że gangi były się o ten teren, bo na podjazdach przed nowo wybudowanymi domami, wciśniętymi między stare nieczynne fabryki, często stały nawet po dwa samochody, każdy naszpikowany iPodami i nawigacją satelitarną. Jej mini morris nie przetrwałby do północy.

Usiadła za kierownicą i zamknęła drzwiczki, torbę położyła na siedzeniu pasażera. We wnętrzu samochodu czuła się bezpieczniej, groźny świat został za szybą. Obejrzała się w lusterku i poprawiła włosy. Wprawdzie była w prywatnych ciuchach, ale przecież reprezentowała firmę.

Wetknęła kluczyk do stacyjki i znieruchomiała. Za plecami usłyszała jakiś dźwięk. Szelest, jakby coś się poruszyło. Spojrzała na torebkę. Może się osunęła?

Ale szelest znowu się powtórzył. A potem ktoś zachichotał.

Monica wciągnęła powietrze w płuca. Chciała krzyknąć, ale w tym samym momencie na tylnym siedzeniu ktoś gwałtownie się poruszył.

Na szyi poczuła ucisk ramienia. Uścisk był mocny, czuła, że się dusi. Jej spojrzenie poleciało do lusterka. Dostrzegła tylko błysk zaciśniętych zębów. Przy uchu poczuła gorący oddech. Żeby się obronić, szybko sięgnęła za siebie, ale wtedy dostała czymś w skroń. Ogarnęła ją cisza i osunęła się na bok.

Rozdział 39

Joe wrócił do jako takiej formy dopiero u Giny. Pamiętał chłód łazienkowych kafelków pod policzkiem i że ktoś pomógł mu się podnieść, a potem podał to, co zostało z jego telefonu, który się roztrzaskał przy upadku. Nie wiedział, kto go wyprowadził do taksówki, ale właśnie w niej wylądował, obok Kim, z głową na jej ramieniu. Pamiętał, że Kim go pocieszała, mówiła, że wszystko będzie dobrze, i że się złościła, bo nie chciał, żeby go zawiozła do szpitala.

Powiedział jej, że się pośliznął, ale mu nie uwierzyła. Twierdziła, że widziała, jak ktoś szybko wybiegał z pubu. Namawiała go, żeby zawiadomił policję, ale Joe nie zamierzał tego zrobić. Kim nie chciała, żeby został sam, więc zadzwoniła do Giny. Miał rozciętą powiekę, która mocno spuchła. Z rany na tyle głowy sączyła się krew.

Gina usiadła obok i przytknęła mu do spuchniętego oka kawałek zmoczonej w zimnej wodzie szmatki. Kim już wyszła.

– To wcale nie było pośliznięcie, co? – zapytała miękko Gina.

Joe otworzył oczy. Wciąż nie widział wyraźnie, mówił z trudem, ale przynajmniej mógł już jaśniej myśleć.

– Nie. Ktoś mnie uderzył.

– Widziałeś, kto to był?

– Stałem przy pisuarze. Usłyszałem hałas, potem wokół mnie zaroilo się od ludzi.

– Chcesz, żebym zawiadomiła policję?

Pokręcił głową i się skrzywił.

– Nie. Już tłumaczyłem Kim, że nie chcę dać im tej satysfakcji. Mieliby ubaw... obrońca w roli ofiary.

– No tak, rozumiem – mruknęła Gina i zaraz niewinnie zapytała: – Ale przed tym wszystkim, jak ci poszło z Kim?

Joe się uśmiechnął, chociaż to bolało.

– Przecież wiesz, że jesteśmy tylko przyjaciółmi z dawnych czasów.

– To coś więcej, Joe. Widziałam to w jej oczach, kiedy cię

tu przywiozła. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie zabrała cię do siebie.

– Jej chłopakowi mogłoby się to nie spodobać.

Gina cmoknęła.

– W takiej sytuacji wcale się nie dziwię, że oberwałeś.

– To nie był zazdrosny chłopak. Nie było go tam. Myślę o czymś innym. Ostatnio pod biurem często sterczy jakiś podejrzaný facet.

– I nic nie mówiłeś?

– Gość przychodzi do parku. To miejsce publiczne. Miałem wszczynać panikę, bo ktoś się gapił w okna naszego biura?

– Skoro zwróciłeś na to uwagę. Od jak dawna to się dzieje?

– Od poniedziałku. A przynajmniej wtedy pierwszy raz zauważyłem tego faceta.

– W poniedziałek przyjąłeś sprawę Ronniego.

Joe przemyślał uwagę Giny, potem przypomniało mu się coś jeszcze.

– Ten facet był wczoraj w sądzie. Siedział z tyłu.

– Joe, dlaczego nic nie powiedziałeś?

– Bo takie sprawy jak Ronniego często przyciągają do sądu różnych świrów.

– Więc co zamierzasz?

– Dzisiaj już nic nie zrobię – odparł i potrząsnął głową. – Muszę poczekać, aż rany się zagoją, no i pamiętać, żeby się oglądać za siebie, kiedy sikam.

– Nie żartuj sobie. Mogło być niebezpiecznie. Poza tym następnym razem ten ktoś może zaatakować mnie. Albo Monicę.

Joe chciał się wyprostować, ale natychmiast głowę przeszył mu straszliwy ból, jakby ktoś go w nią kopnął.

– Uważaj, nie tak szybko – przestrzegła Gina.

Machnęła ręką na znak, żeby go zostawiła, i spróbowała jeszcze raz.

– Masz rację, przepraszam. Nie zgłoszę tego pobicia, ale ty i Monica zróbcie to, co uważacie za stosowne. Tylko bądźcie ostrożne. Przyjrzałem się temu facetowi, więc, jeśli go gdzieś

spotkam, na pewno rozpoznam. Wtedy sobie pogadamy.

Gina nie odpowiedziała, ale Joe wiedział, że nie popiera jego decyzji.

Udało mu się wreszcie usiąść prosto. Ciężko dysząc, rozejrzał się dokoła.

Pierwszy raz był u Giny. Jej mieszkanie było nowe, jasne i czyste. Jeden róg salonu zajmował stół, na którego środku stał kwiat wazonie. W drugim rogu stał telewizor. Część centralną pokoju stanowił kominek, na którego gzymsie płonęły świece. Regał pod ścianą zapełniały książki. Joe wyobraził sobie Ginę, jak z kieliszkiem wina w jednej ręce i książką w drugiej relaksuje się na kanapie.

– Ładnie tu – pochwalił.

– Dziękuję. – Gina też się rozejrzała. – Kiedyś było mi tu trochę samotnie, ale teraz już nie potrafię sobie wyobrazić, że ktoś ze mną mieszka. Ten dom to moje miejsce spokoju i odpoczynku od świata.

– Szczęściara – rzucił. – Zazdroszczę ci, że znalazłaś swoje miejsce.

– Powiedz lepiej, co o sprawie mówiła panna Reader?

– Niewiele. Uważa, że Terry Day to dobry świadek.

– Co, powiedziałaś jej, czego się dowiedzieliśmy? Że Terry to fantasta?

– Nie, nie jestem idiotą. Zasugerowałem tylko, że może być podejrzany. Kim raczej się nie przejęła.

– Wyciągnęłaś z niej coś ciekawego?

– Nie zdążyłem. Wcześniej dostałem w łeb. Zresztą nie spotkałem się z nią, żeby ciągnąć za język. Przyjaźnimy się, to wszystko.

– Wszystko?

Joe się uśmiechnął.

– No, coś tam kilka razy między nami było.

– Trochę mi trudno wyobrazić sobie Kim w związku.

– Prywatnie nie jest taka jak w pracy. Jest słodka.

– Słodka? – powtórzyła Gina i głośno się roześmiała. – To

uderzenie w głowę było chyba naprawdę bardzo mocne.

– Na szczęście nie aż tak – mruknął Joe, dodając: – Chyba już sobie pójdę.

– Nie, nie, zostań – szybko zaproponowała Gina, czerwieniąc się. – Dostałeś w głowę. Ktoś powinien przy tobie być, gdyby coś się zaczęło dziać.

– Dzięki, Gina – odparł i westchnął. – Chyba przydałby mi się jakiś drink.

Monica szamotała się z więzami.

Była przywiązana do metalowego krzesła, ale próbowała się uwolnić. Nogi krzesła waliły w posadzkę. Ręce miała skrupowane na plecach, nadgarstki ściśle obwiązane sznurem. Oczy zasłaniała śmierdząca potem i brudem opaska.

Ale to nie tylko z powodu krępujących ją więzów czuła na plecach lodowate mrowienie strachu. To był też szok. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało, że wieczór skończył się w tak zupełnie nieprzewidywalny sposób.

Czuła, że za nią ktoś stoi. Instynktownie, żeby wiedzieć, skąd nadejdzie atak, próbowała się odwrócić, ale nie mogła. Słyszała kroki, czyjś szybki i płytki oddech, docierał do niej smród potu i alkoholu.

Sama też zaczęła szybciej oddychać.

– Kto tam jest?

Nikt nie odpowiedział. Usłyszała tylko echo.

Była w jakimś dużym i pustym miejscu, ale gdzieś blisko była ulica, słyszała przejeżdżające samochody. Docierały też do niej urywki rozmów, jakieś okrzyki, muzyka. Gdzieś niedaleko toczyło się nocne życie. Potem usłyszała trudne do pomylenia z innymi dźwiękiem dudnienie pociągu oraz głos z megafonu zmieszany z furkotem i grzechotaniem torów, pisk kół.

Podskoczyła, gdy wyczuła zapach kogoś jeszcze. Nie był to zapach mężczyzny, czuła raczej słodkie perfumy, tyle że zwietrzałe. Przypomniała sobie ramię, które zamknęło się na jej szyi, gdy wsiadła do samochodu. Było szczupłe, delikatne, mimo że jego uścisk był silny. Męskie ramię byłoby bardziej szorstkie.

– Kim jesteście? – powtórzyła pytanie, ale tym razem łagodniej, prawie błagalnym tonem.

Wzdrygnęła się, gdy przy prawym uchu usłyszała przeszywający głos, a raczej szept. Głos należał do kobiety.

– Witaj, Monico – powiedział. Brzmiał lodowato, był przesączony nienawiścią i okrucieństwem.

Monica załkała ze strachu, nie mogła się powstrzymać. Zaraz jednak, zła na siebie, mocno szarpnęła związanymi rękami. Nie zamierzała ulec strachowi. Tylko że kobieta, kimkolwiek była, знаła jej imię. Porwanie nie było przypadkowe, a to jeszcze bardziej ją przerażało.

Przypomniała sobie telefon od Ronniego. Myślała, że to on, bo tak się przedstawił, ale jego głos brzmiał dziwnie.

Znowu, ciężko dysząc, zaczęła się szarpać. Płakała, opaska na jej oczach była mokra od łez.

– Dlaczego to robicie?

Usłyszała śmiech, głośny i ostry. Rozszedł się echem po pomieszczeniu, w którym ją trzymano. Zaczęła szybko kręcić głową, nie wiedząc, gdzie jest źródło zagrożenia. Nabrała kilka głębokich oddechów. Chciała nad sobą zapanować. Spuściła głowę, żeby się uspokoić.

Tylko jak miała sobie poradzić z tym, że najpierw została uderzona tak mocno, że prawie straciła przytomność, a potem wywleczono ją z jej własnego auta i przeniesiono na tył zaparkowanej za nim furgonetki? Próbowwała się bronić, ale oprawców było dwoje. Skrępowali ją, związali ręce i nogi, oczy przewiązali opaską. Potem przywiązali ją do krzesła i zostawili.

Siedziała tak, nie wiedząc, ile czasu upłynęło, zmrożona przerażeniem, czekając, aż ktoś się pojawi. A ponieważ miała zasłonięte oczy, podskakiwała na każdy dźwięk: furkot skrzydeł, plusk wody kapiącej na beton, skrzypienie i walenie metalowej furtki. Słyszała też szelest w trawie, pewnie jakieś gryzonie.

Spróbowała rozciągnąć sznur na rękach, ale był zbyt mocno zaciśnięty.

– Potrzebuję iść do toalety – powiedziała, ale kobieta za jej

plecami tylko się roześmiała.

Pewnie potraktowała jej prośbę jak żalostną próbę uwolnienia się z więzów.

– Nikt ci nie zabrania – warknęła kobieta szyderczo. – Jak chcesz, możesz się nawet zlać pod siebie, tylko że będzie ci ciężko.

– Jak to ciężko? Dlaczego ma być mi ciężko?

– Zaraz się przekonasz.

Monica krzyknęła, wzdrygając się, bo na karku poczuła ucisk ręki. Palce były bardziej szorstkie niż te, które dotykały ją wcześniej. Dłoń należała do mężczyzny. Twarda, sucha skóra ocierała się o jej mokrą od potu szyję. Próbowwała się odsunąć, przytknęła brodę do piersi, żeby ochronić gardło, ale nagle zdała sobie sprawę, że ręką przesuwają się nie na szyję, tylko ku włosom. Szorstki palec zmierzwił miękkie włoski na karku. Potem oprawca chwycił dłuższe pasmo i lekko za nie szarpiąc, przesunął po nim palcami. Dłoń zawisała w miejscu, gdzie pasmo się kończyło, nad biustem. Monica ze strachu głośno jęknęła.

W tym momencie rozległ się dziwny metaliczny trzask.

– Co to było? – krzyknęła, jeszcze bardziej wystraszona.

Poczuła, że ktoś mocno ściąga jej włosy razem. Sapnęła. Usłyszała młasnienie języka oblizującego wargi, trzask metalu, i ucisk włosów zelżał. Do jej uszu dotarło westchnienie satysfakcji, potem na czubku głowy poczuła gorący oddech; ktoś wciągał powietrze nosem. W nozdrza uderzył ją zapach kwaśnego potu. Była już pewna, że za nią stoi mężczyzna. Chciała odwrócić głowę, nie wiedząc, co się wydarzy, ale nic się nie wydarzyło. Mężczyzna nadal ją obwąchiwał.

Monica zamknęła oczy i zacisnęła zęby. Opaska na jej oczach przesiąkła łzami.

– Proszę, przestańcie – rzuciła błagalnie, z wyraźną desperacją. – Boję się. Zabawiliście się, a teraz mnie wypuśćcie. Błagam was.

– Zabawiliśmy? – To był głos kobiety, piskliwy i głośny. – Myślisz, że wystarczy nam, że cię związaliśmy? O nie, zabawa dopiero się zaczyna.

Ktoś przed nią ukląkł i szarpnął za sznur u nóg. Monica ze zdumieniem stwierdziła, że oprawcy uwolnili jej stopy, najpierw lewą, potem prawą.

Jej serce zatętniło nadzieją i strachem. Nie wiedziała, czy czeka ją coś gorszego, czy może będzie lepiej, może porywacze puszczą ją wolno.

Nagle poczuła kopnięcie wymierzone w klatkę piersiową; obuta stopa wbiła się mocno w jej pierś, sprawiając, że sapnęła z bólu i zaskoczenia. Skulona, poleciała w tył. Gdy krzesło upadło na beton, jej głowa walnęła w posadzkę z głośnym hukiem. Zamroczone, skrzywiła się z bólu.

Na tyle głowy czuła coś wilgotnego. Ktoś kopnięciem wyszarpnął spod niej krzesło. Leżała na ziemi, dysząc i krzywiąc się, ręce wciąż miała związane na plecach, opaska wciąż zasłaniała oczy. Instynktownie podkurczyła nogi, żeby się ochronić.

Ktoś przy niej ukląkł. Kobieta. Monica wyczuła jej perfumy.

– To jest twoja szansa na powrót do domu – oznajmiła kobieta miękkim głosem.

Z początku Monica nic na to nie odpowiedziała. Leżała i z trudem wciągała powietrze w płuca. Czuła, że ma mokre spodnie. Szok, jakiego doznała, gdy ją kopnięto, spowodował, że straciła kontrolę nad pęcherzem. Kobieta jej się przyglądała. Monica mogła to wywnioskować z jej wolnego i równomiernego oddechu.

– Nie rozumiem – wydusiła w końcu. – Dlaczego to robicie?

Śmiech.

– Nie musisz rozumieć. Wystarczy, że weźmiesz udział w grze.

– Grze? Jakiej grze? O czym ty mówisz?

– O grze. Naszej. Tej, którą zawsze sobie urządzamy.

– To nie jest żadna gra – wykrzyknęła, próbując zedrzyć sznury, ale bez skutku.

– Jest i polega na tym, że za pół godziny cię zabijemy. Możesz tego unikać tylko w jeden sposób: musisz uciec.

Monica zaczęła lkać, łzy przeciekały przez opaskę.

– Ale ja nie wiem, gdzie jestem. Nic nie widzę.

Znowu śmiech, a potem słowa wypowiedziane szeptem wprost do jej ucha: – I właśnie to, moja słodka, tak bardzo nam się podoba.

Rozdział 40

Sam zaklął, gdy światło na skrzyżowaniu blisko domu matki zmieniło się na czerwone.

Wyciągnął telefon i wykręcił numer Joego, ale brat miał wyłączoną komórkę.

– Joe, to ja – warknął, gdy go przekierowało do skrzynki głosowej. – Przyjedź jak najszybciej do matki. Chodzi o Ruby.

Światło zmieniło się na zielone, więc rzucił komórkę na siedzenie i ruszył. Przed sobą miał sznurek migających tylnymi światłami samochodów. Ulice w Manchesterze były za wąskie; jakkolwiek by się pojechało drogą, wszędzie trafiało się na korek.

Kiedy skręcił w ulicę, na której się wychował, w oknie dostrzegł sylwetkę matki. Nie zawracał sobie głowy zamykaniem samochodu, tylko szybko podszedł do drzwi wejściowych.

Matka już była w salonie. Siedziała na kanapie obok Ruby, trzymając ją za rękę. Ruby płakała.

– Co się stało? – zapytał. Ze zdenerwowania brakowało mu tchu.

Ruby spojrzała najpierw na niego, potem na matkę i powiedziała: – Chcę porozmawiać tylko z Samem.

Matka wyglądała na urażoną, mimo to podźwignęła się z kanapy. W końcu po to wezwała syna, żeby Ruby mu się zwierzyła. Sam zastępował jej ojca.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Sam zwrócił się do Ruby: – Mów.

Ruby się rozplakała.

– Ja nic złego nie zrobiłam.

– Wiem, ale jeśli nie powiesz, co się stało, nie będę mógł ci pomóc.

Ruby podciągnęła patykowate nogi na kanapę i otoczyła

kolana ramionami. Gdy łamiącym się głosem zaczęła opowiadać, z jej oczu polały się łzy.

– To się wydarzyło na ścieżce.

– Sama zmroziło. Usiadł na krześle naprzeciwko.

– Mówisz o tej ścieżce? – upewnił się, chociaż znał odpowiedź.

Ruby kiwnęła głową.

Sam zamknął oczy. Ścieżka, na której zginęła Ellie. Zalały go obrazy, na których widział siostrę. Tyle razy próbował sobie przypomnieć ten moment, gdy ostatni raz widział Ellie żywą.

Kiedy wychodziła do szkoły, zawsze była rozpromieniona i radosna. Wysoka i niezgrabna, jak teraz Ruby, z przewieszoną przez ramię materiałową torbą. Tą, która wylądowała w krzakach, tą, z której wypadły książki i zeszyty. Nie pamiętał, czy tamtego dnia Ellie była w dobrym nastroju – to był zwyczajny dzień, więc dlaczego miałby go zapamiętać – mimo to we wspomnieniach zawsze widział ją uśmiechniętą.

Podniósł powieki i spojrzał na Ruby, która przestała płakać i sponad kolan patrzyła na niego dużymi, załzawionymi oczyma zranionej sarny.

– Po co tamtędy szłaś? – zapytał spokojnie. – Tyle razy ci mówiliśmy.

– Myślisz, że zapomniałam? – odburknęła ze złością. – Przez całe życie ciągle tylko słyszę o Ellie, a przecież jej nie znałam. Chcę, żeby moje życie było moje własne, dlatego nie rozumiem, czemu miałabym tamtędy nie chodzić. To najkrótsza droga.

– Dlatego, że tam jest niebezpiecznie – warknął.

– Mnóstwo ludzi tamtędy chodzi!

– Ale nikt z powodu tej ścieżki nie musi co roku odwiedzać cmentarza! – wydarł się.

Ruby, wybuchając płaczem, wybiegła z pokoju. Sam, wsłuchując się w dudnienie jej stóp na schodach, głośno jęknął. Gdy trzasnęły drzwi sypialni, wiedział, że musi pójść do siostry.

Wspiał się na piętro i cicho zapukał do jej drzwi. Nie

słyszając odpowiedzi, lekko je pchnął.

Ruby leżała na łóżku, z twarzą w poduszce, głowę zasłaniała ramionami. Typowe teatralne zachowanie nastolatki. Mimo to Sam rozumiał frustrację siostry. Całe jej życie było uformowane tym, co się wydarzyło z Ellie, jakby Ruby była jedynie jej cieniem. Dzieckiem, które ją zastąpiło.

Poczuł, że mięknie mu serce.

– Nie przyjechałem, żeby skarcić cię za to, że chodzisz tą ścieżką – rzekł. – Mama mówiła, że ktoś cię śledził.

Ruby nawet nie drgnęła.

– Opowiedz mi, co się wydarzyło – poprosił. – Tak bardzo się o ciebie martwię.

Ruby podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć.

– A co ja cię obchodzę?

– Jesteś moją siostrą, Ruby, i od śmierci taty trochę ci go zastępuję. Dlatego tu teraz jestem.

Ruby wytarła oczy i usiadła.

– W porządku – mruknęła. – Wyszedłem ze szkoły tak jak zawsze, ale były korki, więc pomyślałam, że pójdę na skróty. Nie widziałam powodu, żeby tego nie robić. To był dzień jak co dzień, więc nie widziałam w tym żadnego problemu.

– Co? Chcesz powiedzieć, że często tamtędy chodzisz?

Ruby wzruszyła ramionami.

– Mów dalej.

– Wyglądało, że będzie padać, dlatego chciałam iść na skróty. Żeby nie zmoknąć.

– Kto cię śledził?

– Nie wiem, w tym cały kłopot. Nie przyjrzałam się. Skręciłam na ścieżkę i wiesz, jak tam jest spokojnie, bo ona zakręca i wszędzie rosną drzewa, więc słyszałam tylko własne kroki. Ale potem usłyszałam coś jeszcze. Szelest, jakby ktoś szybko szedł między drzewami.

Sam zacisnął pięści. Nie chciał pokazać, jak bardzo jest wściekły, także na Ruby, której tyle razy mówili, żeby nie chodziła niebezpieczną drogą.

– I co było dalej?

Ruby ciężko przełknęła ślinę, broda jej zdrzała.

– Zaczęłam się bać. Obejrzałam się, żeby sprawdzić, czy ktoś za mną idzie, ale nikogo nie zobaczyłam. Tylko że już nie widziałam początku ścieżki, bo minęłam zakręt. Ale nie chciałam się wracać, więc poszłam dalej. I rozglądałam się na boki, żeby zobaczyć, czy ktoś się czai między drzewami. Coś się tam w głębi poruszało. Rozpłakałam się, zaczęłam krzyczeć. Ten ktoś wciąż za mną szedł, więc gdy ujrzałam koniec ścieżki, rzuciłam się do ucieczki.

– Ten ktoś wybiegł za tobą na ulicę?

Ruby pokręciła głową.

– Potrafiłabyś opisać wygląd tej osoby?

Kolejny przeczący ruch głowy.

– Nie pamiętasz ani wzrostu, ani ubrania, ani koloru włosów?

– Nie. Już mówiłam, że widziałam tego kogoś z daleka, niewyraźnie.

Sam przez chwilę się zastanawiał. Ruby, żeby zwrócić na siebie uwagę, już nieraz dziwne się zachowywała. Oszukiwała, prowokowała kłótnie. Musiał mieć pewność, że tym razem mówi prawdę.

– Jesteś stuprocentowo pewna, że tam ktoś był?

– Co, nie wierzysz mi?

– Wiem, Ruby, że trudno żyć w czyimś cieniu, ale chyba rozumiesz, że nie musisz zmyślać, żebyśmy się tobą zainteresowali.

Znowu łązy.

– Jak tak, to się chrzań!

– Ruby!

– Nie, Sam, naprawdę się chrzań. Myślisz tylko o Ellie. Mama jest taka sama.

– To nieprawda, Ruby, jednak ludzie czasami coś takiego robią, żeby ściągnąć na siebie uwagę. Muszę być pewny, że nie o to chodzi w tym przypadku. Domyślam się, że jest ci ciężko bez

taty, ale przecież wiesz, że zawsze ci pomogę.

– Mówię prawdę – powtórzyła Ruby, tym razem spokojniej.
– Tam ktoś był.

Sam przyjrzał się siostrze. Jej pokój wciąż nosił cechy pokoju dziecięcego, choćby w postaci pluszowych zabawek na łóżku, mimo że Ruby stała się już młodą kobietą. Świadczyły o tym znajdujące się w pokoju przybory do makijażu, flakoniki z perfumami, suszarka oraz oparte o radio z budzikiem zdjęcie przystojnego i wysportowanego nastolatka. Pewnie to chłopak Ruby, pomyślał Sam.

– W porządku, zajmę się sprawą – obiecał, ciężko wzdychając. – Ale ty przyrzeknij, że już nigdy nie będziesz chodziła tą ścieżką?

– Nie mów mi, co mam robić.

– Ruby?

– Nie, skończ z tym. Nie możesz mi rozkazywać. Nie jesteś moim ojcem, bo jak sam stwierdziłeś, ja nie mam ojca. I to nie znaczy, że ty masz zająć jego miejsce.

Sam podszedł i cmoknął ją w czubek głowy.

– Jesteś sobą, nie Ellie, pamiętaj o tym. A także o tym, że nie znieśliśmy, gdybyśmy ciebie też stracili. Więc bądź ostrożna, ze względu na nas.

Opuścił pokój i zszedł do kuchni, gdzie matka wsypywała mąkę do miski. Zawsze piekła ciasto, gdy coś ją dręczyło. Sam otoczył ją ramieniem. Z góry przypląnęła głośna muzyka.

– Wszystko będzie dobrze – rzekł. – Spróbuj się nie przejmować.

Matka kiwnęła głową, ale się nie odezwała.

– Joe dzwonił?

Matka zaczęła szybciej rozrabiać mąkę. Sam domyślił się, co to oznacza.

– Porozmawiam z nim – obiecał.

Zobaczył, że matka podnosi na niego oczy.

– Wiesz, że on ciężko pracuje.

– Wszyscy ciężko pracujemy, mamo – zachnął się. –

Wszyscy, nie tylko Joe.

Rozdział 41

Monica, ciężko dysząc, próbowała otrząsnąć się z zamroczenia po upadku. Włosy miała mokre od krwi sączącej się z rany na potylicy. Gdzieś obok zaskrzypiały buty. Monica krzyknęła i mimo związanych rąk, zaczęła się czołgać. Skrzypiące buty podążały za nią.

Pomagając sobie nogami, jak wąż, przeczołgała się dalej, potem zwinęła w kłębek. Usłyszała śmiech, niski, szyderycy.

Opuściła głowę na zimny beton. Do czoła przykleił jej się żwir. Zaczęła trzeć głową o posadzkę, żeby się pozbyć opaski, ale była zbyt mocno przewiązana.

Była oszołomiona, zalewały ją emocje. Przerazenie. Ból. Niedowierzanie, że działo się to, co się działo. Chciała, żeby to się już skończyło, i była na siebie zła, że dopuszcza do siebie słabość. Zawsze miała się za osobę waleczną, ale teraz czuła, że odwaga ją opuściła.

– Dlaczego to robicie? – zapytała zrezygnowanym głosem.

– Po prostu mnie wypuście.

Proszę.

Wiedziała, jak to brzmi; chciała być silniejsza, odważniejsza, ale opanowana przerażeniem, czuła tylko strach. I była zagubiona, nie wiedziała, co się dzieje.

Buty znowu zaskrzypiały na betonie, blisko jej głowy. Ktoś wsunął palce w jej włosy, więc szarpnęła się i odsunęła głowę. Śmiech. Kobiety. Przypltywał z dalszej odległości. Monica domyślała się, że kobieta stoi z boku i się przygląda.

– Przynajmniej wyjaśnijcie, dlaczego to robicie – poprosiła.

Przez chwilę było cicho, potem usłyszała pytanie: – Byłaś kiedyś zakochana? – Nim zdążyła odpowiedzieć, kobieta dodała: – Nie mówię o trzymaniu się za rączki i wachaniu kwiatków. Nie chodzi mi o te bzdury z romansów. Mam na myśli prawdziwą miłość, taką, dla której człowiek robi wszystko. Kochałaś kiedyś kogoś w ten sposób?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – odparła zduszonym

głosem.

– Gdybyś tak kochała, wiedziałabyś, o czym mówię. Nie musiałabyś pytać.

– Ale co to wszystko ma wspólnego z miłością? – spytała, szarpiąc się z więzami u rąk.

– Nic więcej nie powiem, bo i tak nie zrozumiesz – odwarknęła kobieta. – Zresztą nikt tego nie rozumie. Wszyscy nas tylko potępiają. Lepiej myśl o tym, co zrobić, żebyś przeżyła, bo zegar tyka.

Monica wyczuła zmianę w głosie kobiety, który nagle stał się złowrogi, i zrozumiała, że szansę na wyproszenie sobie wolności utraciła, jeszcze zanim się zorientowała, że ją miała.

Niezdarnie podźwignęła się na nogi i czując, że się chwieje, żeby się nie przewrócić, szeroko je rozstawiła. Wyczuwając ziemię palcami stóp, szukając przeszkód, powoli się odwróciła.

Coś przeleciało obok jej głowy – ptak, nietoperz a może któryś z jej oprawców droczył się z nią, machając rękami. Szybko się cofnęła i drżąc na całym ciele, skuliła się w sobie. Ciemność ją przerażała. Mogła się kierować tylko dźwiękami, ale te w postaci czyjegoś oddechu lub szeptu przyływały wciąż z innego miejsca.

– Wypuście mnie, proszę – błagała. – Nikomu nic nie powiem.

Za plecami usłyszała śmiech mężczyzny, więc szybko się odwróciła, natychmiast tracąc orientację. Potem ktoś przy niej stanął. Poczula woń perfum. Podskoczyła, gdy usłyszała kobiecy głos.

– Nie zatrzymuj się, próbuj uciec – syknął jej głos do ucha.

– Dlaczego mnie po prostu nie wypuście?

– Bo to nie to samo.

Głos kobiety zdawał się wirować wokół niej. Monica słyszała szelest poruszających się stóp.

Próbowała odgadnąć, gdzie jest jej prześladowczyni, ale od tego tylko znowu zakręciło jej się w głowie, a nie mogła wysunąć ramion, żeby utrzymać równowagę.

Ktoś do niej podszedł tak blisko, że aż się wzdrygnęła. Na

przedramieniu poczuła ostry ukłucie i pieczenie, potem ręka zrobiła się wilgotna. Uczucie gorąca zastąpił przeszywający ból, jakby ktoś wbijał jej głęboko w skórę kawałki szkła. Krzyknęła. Oprawcy czymś rozcięli jej rękę.

Zacisnęła zęby, żeby nie czuć bólu, i zaczęła się wolno cofać.

– Co wy, kurwa, robicie?

– To była mała zachęta, żebyś zaczęła uciekać – wyjaśniła kobieta. – Nie ma sensu rezygnować z ucieczki na rzecz walki. Inne też próbowały, ale nigdy im się nie udało.

– Inne? – Monica usłyszała drzenie we własnym głosie.

Kobieta parsknęła śmiechem.

– Myślałaś, że jesteś wyjątkowa? Pierwsza? – Kobieta znowu się zbliżyła. – Nie, nie jesteś, ale możesz być tą pierwszą, która ucieknie. Więc spróbuj. Jeśli uciekniesz, będziesz wyjątkowa.

Monica poczuła, że opaska na jej oczach znowu nasiąkała łzami. Zrozumiała, że nie ma wyjścia. Skrzywiła się, gdy zimna bryza powietrza owiała ranę na jej ręce, wywołując pieczenie. Jeśli zostanie, zginie. Jeśli rzuci się do ucieczki, też zginie. Ale zawsze istniała szansa, że jej się poszczęści, że znajdzie sposób, żeby się pozbyć opaski i sznurów na rękach.

Gdyby nie one, walka byłaby wyrównana. Wiedziała, że gdyby miała wolne ręce, dałaby sobie radę.

Dlatego rzuciła się do biegu.

Była przekonana, że za chwilę na coś wpadnie, ale wołała to, niż stać w miejscu. Wiedziała, że nie biegnie wystarczająco szybko, ale szybciej się bała. Przed oczami miała tylko ciemność, dlatego biegła bokiem, żeby osłonić się ramieniem, w razie gdyby na coś wpadła. Za sobą słyszała kroki, głośne, wyraźne; ktoś, bawiąc się z nią, umyślnie tupał w beton.

Głośno i przeszywająco krzyknęła. Dźwięk odbił się od sufitu i powrócił do niej. Miała nadzieję, że ktoś ją usłyszy.

Kroki za nią przyspieszyły. Ktoś na nią wpadł, popychając ją do przodu. Ponieważ nie mogła wyciągnąć rąk, skuliła się w sobie, żeby w ten sposób ochronić się przed tym, na co leciała. Ale

to nie pomogło. Z hukiem walnęła głową w coś metalowego i zwała się na ziemię. Chciała zaczerpnąć powietrza, żeby oprzytomnieć, ale jej twarz była zdętwiała, nie mogła nią poruszyć. Wiedziała, że ma roztrzaskane kości policzkowe.

Mimo zamroczenia i bólu spróbowała podciągnąć się na kolana, a potem wstać. Ale gdy już stała, nie mogła utrzymać równowagi, tak bardzo kręciło jej się w głowie. Na twarzy czuła krew.

– Nie uciekam – wycharczała przez zaciśnięte zęby, plując krwią. Wciągnęła powietrze przez nos i opadła na kolana. – Nie będę brała udziału w tej waszej chorej grze.

Poczuła, że ktoś chwyta ją za głowę i wywołując falę bólu, zdiera jej opaskę z oczu. Kilka razy zamrugła, jakby porażona światłem, mimo że wokół panował mrok. Rozejrzała się i ujrzała wysokie pomieszczenie, miejscami dziurawe, podparte metalowymi kolumnami stojącymi wzdłuż długich betonowych peronów.

Dostrzegła jakiś ruch, więc wyteżyła wzrok. W oddali na tle światła księżyca majaczyły sylwetki dwójki ludzi.

– Kim wy jesteście? – zapytała.

Jedna z postaci dała krok do przodu. To była kobieta, sądząc po wąskich ramionach, chociaż Monica widziała tylko ich zarys.

– Proszę, pozwólcie mi odejść – powiedziała i opuściła głowę, krew i łzy skapywały na posadzkę.

Kobieta podeszła bliżej.

– Jesteś dla niego. W prezencie ode mnie. Nie mogę cię wypuścić, chyba że on tego chce. – Odwróciła się. – Chcesz?

Monica podniosła głowę i zobaczyła twarz kobiety. Ze zdumienia szeroko otworzyła usta, ale szybko je zamknęła, czując ukłucie straszliwego bólu w zuchwie. Kilka razy zamrugła, żeby pozbyć się jaskrawych plamek, które zawirowały jej przed oczyma. Kiedy znów była w stanie mówić, zapytała: – Dlaczego?

Mężczyzna też się zbliżył, ale stanął za plecami kobiety, więc nie widziała jego twarzy.

– Ona jest dla ciebie – powiedziała kobieta.

Monica zamknęła oczy. Usłyszała trzask rozpinanego paska. Zaczęła się cofać, ale mężczyzna chwycił ją za włosy i zatrzymał. Jego oddech był teraz szybszy. Monica wiedziała, co robił, ruch jego szybko się poruszającego ramienia wprawiał w drgania całe jej ciało.

– Przestań! – wrzasnęła z obrzydzeniem. Była przerażona, chciała cofnąć głowę, ale mężczyzna kontynuował, coraz silniej szarpiąc ją za włosy, jego ciało też się poruszało coraz szybciej. Monica popatrzyła na kobietę, która, przykucnąwszy, z uśmiechem przyglądała się scenie.

Wreszcie jej partner głośno jęknął i puścił włosy Moniki. Kobieta podbiegła do niej z plastikową torbą, którą zarzuciła jej na głowę i mocno zacisnęła.

Zupełnie zaskoczona, Monica wzięła głęboki oddech, zasysając torbę w usta. Torba oblepiła jej twarz niczym druga skóra. Wypuściła powietrze, żeby pozbyć się plastiku z ust, ale gdy znowu wzięła oddech, powietrze było cieplejsze, płuca zaprotestowały pierwszym ukłuciem bólu. Przez przezroczysty plastik widziała, co się dzieje wokół, widziała, jak mężczyzna, odchodząc, zapina rozporek.

Jej pole widzenia zajęła teraz twarz kobiety, jej wyszczerzone z wysiłku zęby i przepelnione szaleństwem oczy. Monica spróbowała znowu zaczerpnąć powietrza, ale było to coraz trudniejsze. Wiedziała, że zbliża się koniec. Chciała wszystkich przeprosić, wiedziała, że jej śmierć wywoła wiele bólu. Chciała przeprosić rodziców. Brata. Jej ciałem zaczęły wstrząsać drgawki. Płuca domagały się tlenu, lecz tego było coraz mniej.

Starła się nie zamykać oczu, nie chciała odchodzić z tego świata w ciemności, ale widziała tylko twarz kobiety, jej rozpalone szaleństwem, szeroko rozwarte oczy. Mimo że jej płuca nie mogły już nabrać powietrza, czuła, że ogarnia ją spokój. Kości policzkowe już nie bolały, obraz przed jej oczyma zaczął blednąć, jakby ktoś zmniejszył jaskrawość. Usłyszała czyjś śmiech, potem krzyk. I gdzieś niedaleko płacz dziecka. Kolejny zgrzyt kół na

szynach, odgłosy miasta, jednak podobnie jak obraz, również dźwięki stawały się coraz słabsze, i gdy w końcu jej wzrok zasnuł się bielą, Monica poczuła, że leci do tyłu. Ciężko upadła na beton, ciemność rozdarł głośny, przeciągły huk.

Rozdział 42

Joe obudził się rano wciąż obolały. Chciał usiąść, ale głowę przeszył mu ostry ból.

Ktoś położył mu rękę na ramieniu.

– Jeszcze nie wstawaj.

To była Gina i jej ciepły głos.

Spróbował skupić wzrok i gdy już widział trochę wyraźniej, zobaczył, że Gina siedzi przy nim na łóżku ze szklanką wody i tabletkami.

– Weź to – powiedziała. – Trochę pomogą.

Zrzucił kołdrę.

– O tej porze dnia nie wyglądam najlepiej – wymamrotał zaspanym głosem, potem kaszlnął, co tylko wzmogło klucie w głowie. Podziękował za tabletki i je połknął.

– Rano nikt dobrze nie wygląda – odparła Gina i wstała, żeby rozsunąć zasłony.

Joe, mrużąc oczy, powiódł za nią wzrokiem. Była w kremowej koszuli nocnej, krótkiej i seksownej. Kiedy wyciągnęła rękę, koszula się zadarła, odsłaniając białe majteczki. Mimo bólu, zachwyił się figurą Giny. Gdy się odwróciła, przeniósł wzrok gdzie indziej, ale uśmiech Giny powiedział mu, że zauważyła, że się jej przyglądał.

– Wygląda na to, że wracasz do formy – rzuciła, przechodząc do drzwi. – Śniadanie będzie gotowe za dziesięć minut. Czekam na ciebie w kuchni.

Joe uśmiechnął się pod nosem i przy wtórze trzeszczenia materaca zwlókł się z łóżka.

Spał w pokoju gościnnym, łóżko było małe, przeznaczone na sytuacje kryzysowe.

Przypomniał sobie miniony wieczór i się skrzywił. Gdy Gina uznała, że już nic mu nie grozi, otworzyła butelkę wina. Joe

wątpił, żeby jakiś lekarz zalecał alkohol na złagodzenie bólu, niemniej wino faktycznie trochę go uśmierzyło.

Powlókł się do łazienki. Lustro nie było dla niego łaskawe. Okolice oka miał opuchnięte i zasiniałe. Będzie musiał się tłumaczyć, ale nie było sensu się ukrywać. Krzywiąc się z bólu, spryskał twarz wodą i wrócił do pokoju gościnnego, żeby się ubrać. Założył ciuchy z poprzedniego dnia. Gina wyprała jego koszulę i rozwiesiła do wyschnięcia na drzwiach sypialni.

Plamy po krwi nie zeszły do końca, ale nie był to już tak przerażający widok jak wcześniej.

Zszedł do kuchni. Gina, już ubrana, szykowała jedzenie: jajka na bekonie i podsmażane kiełbaski.

Z grymasem bólu usiadł ostrożnie przy stole, a Gina nałożyła mu jedzenie na talerz.

– No i co zamierzasz? – zapytała. – Myślałeś o tym, żeby jednak zawiadomić policję?

– Już wczoraj mówiłem, że tego nie zrobię – przypomniał. – To tylko podbite oko i potłuczona głowa. Może zresztą dostałem zasłużenie. Nie wiem, kto na mnie napadł, ale wiem, że policja tylko pękałaby ze śmiechu, że przemądrzały adwokacina przybiega do nich, jak tylko stało się coś złego.

– Wcale nie musi tak być – zauważyła Gina. – Większość policjantów rozumie, na czym ta gra polega.

– Tylko że to nie ci robią najwięcej szumu.

– Tak czy inaczej, musimy się dowiedzieć, kto to był – upomniła go. – To ważne dla mnie, Moniki i każdego, kto ma jakiś związek ze sprawą Ronniego.

Joe się zachmurzył.

– Wiem, przepraszam. Ale zostaw to mnie, okej?

Zabrał się za jedzenie, przy okazji uzmysławiając sobie, że poprzedniego dnia nie zdążył zjeść kolacji. Ukroił kiełbaskę i w tej samej chwili odezwała się komórka Giny. Jej uśmiech powiedział mu, że telefon jest do niego. Jego komórka roztrzaskała się podczas napaści.

– Do ciebie – powiedziała szeptem Gina.

Odebrał aparat. Dzwoniła Kim.

– Jak się czujesz? – zapytała. Mówiła szeptem.

– Trochę jeszcze otumaniony, ale przeżyję. Gdzie jesteś?

– W domu. Sean się kąpie, dlatego dzwonię. Później nie miałabym okazji.

– Nie rób sobie kłopotów z mojego powodu.

– Przejęłam się tym, co się stało, Joe – powiedziała Kim głosem, w którym wyraźnie pobrzmiwało zatroskanie. – Ktoś na ciebie napadł.

Joe podniósł wzrok i zobaczył, że Gina się uśmiecha.

Odwrócił głowę.

– Nic mi nie jest, nie martw się już.

Zapadła chwila ciszy, po czym Kim rzuciła do słuchawki: – Joe, chciałabym się dzisiaj znowu z tobą spotkać. Będziesz miał czas?

– To ma być spotkanie prawników?

– Nie – zaprzeczyła. – Przyjaciół.

Przymknął oczy, bo powróciły wspomnienia. Głos Kim był ciepły i łagodny, zupełnie inny od oschłego tonu, jakim posługiwała się w sądzie. Przypomniała mu się Kim ze studiów, miękkie pomruki w ciemności, łagodne pojękiwanie i jej dłonie na jego plecach.

– Uważasz, że to dobry pomysł? Mam na myśli Seana – zapytał.

– A ty uważasz, że zły?

Znowu chwila ciszy.

– Cóż, chyba tak.

Kim odpowiedziała dopiero po kilku sekundach.

– Okej, w takim razie zapomnij o propozycji. Trzymaj się, Joe. – I się rozłączyła.

Joe przez moment przypatrywał się komórce, potem głośno westchnął.

– Spławiłeś panią Reader? – zapytała z ironią Gina. Ponieważ nie odpowiedział, dodała: – Ty się chyba boisz kobiet.

– Skąd taki wniosek?

– Bo zadajesz sobie wiele trudu, żeby z żadną nie nawiązać bliższej relacji.

Joe nie odpowiedział. Mógł się bronić, mógł wypełnić krępującą ciszę poruszającą przemową o tym, że jeszcze nie spotkał właściwej kobiety, tej jedynej, ale wiedział, że w słowach Giny kryje się dużo prawdy.

– Ona już kogoś ma – rzucił krótko.

– A jeśli nie jest z tym kimś szczęśliwa? Czy to nie ona powinna decydować, z kim chce być?

Joe potrząsnął głową.

– Tej granicy staram się nigdy nie przekraczać. Bo z tego są same problemy.

– Kim ci się podoba?

Nie odpowiedział. Zamiast tego skupił się na jedzeniu.

Gina chwyciła go ponad stołem za rękę.

– Jesteś lepszym facetem, niż ci się wydaje, Joe.

Uśmiechnął się. Właśnie ktoś mu powiedział komplement.

Sam przewracał się w łóżku. Nie mógł zasnąć, chociaż się starał. Chciał być wypoczęty następnego dnia. Jednak rewelacje Ruby skutecznie odpędzały od niego sen. Nie wierzył w historyjkę opowiedzianą przez siostrę. Ruby zbyt często kłamała lub robiła inne dziwne rzeczy, wszystko, żeby ściągnąć na siebie uwagę. Mimo to chciał mieć pewność. Wolał potem nie zadreć się wyrzutami sumienia, że nic nie zrobił, bo zawiodła go intuicja.

Dlatego udał się na ścieżkę, na której podobno ktoś śledził Ruby, żeby się przekonać, czy kręcą się tam podejrzani ludzie. Usiadł na ławce blisko końca ścieżki i przybrał zrelaksowaną pozę, jakby odpoczywał, a nie obserwował.

Leśna ścieżka łączyła dwie działki mieszkalne, z jednej strony stał dom jego matki, z drugiej nowoczesny blok z czerwonej cegły, postawiony w okresie gorączki modernizacji miasta na miejscu wcześniejszych szeregowców. Po bokach ścieżki rosły drzewa, płynął tam też mały strumień o wysokim brzegu, biegnący w stronę terenu, na którym stał dom matki. Z miejsca, w którym siedział, miał dobry widok na drzewa. Gdyby ktoś próbował się

między nimi ukryć, na pewno by to zauważył.

Powrócił myślami do Ellie, która za życia często korzystała ze ścieżki. Właśnie to ją zgubiło – fakt, że tak dobrze знаła tę drogę, że tak często nią chodziła. Na uszach miała słuchawki, więc nie słyszała kroków. Ścieżka się wiała, nie było jej widać w całości. Odgłosy tłumiły rosnące z boku kępy krzewów. To wśród nich znaleziono zwłoki Ellie, przeciągnięte przez cierniste zarośla i rzucone pod pnem drzewa. Majtki miała ściągnięte do kostek, koszulkę zdartą z ramion.

Sam zamknął oczy. Starał się nigdy o tym nie myśleć, ale opisano mu, jak wyglądało ciało Ellie, więc w umyśle stworzył swój własny obraz. Mógł go dzięki temu oglądać z bliska, widział zadrapania na bladej twarzy siostry, krew w miejscach, gdzie ją pobito. Wystarczył tylko jeden zły zakręt, nieposłuchanie ostrzeżeń i na zawsze stracił siostrę. Nie zamierzał znowu do tego dopuścić.

Zaraz za laskiem na chodnikach tłoczyły się dzieciaki w granatowych szkolnych mundurkach. Niektóre wybierały drogę przez las. Miał ochotę podejść i powiedzieć, żeby zawróciły, ale wiedział, że ktoś mógłby go zauważyć, samotnego mężczyznę zaczepiającego dzieci.

Wydało mu się, że coś usłyszał. Chrząst żwiru. Potem na widoku pojawiło się dwóch uczniów. Jeden palił papierosa.

Westchnął. Nie było sensu, żeby sterczał na tej ścieżce. Zwyklej, blisko szkoły, często wykorzystywanej jako skrót, chociaż Ruby wiedziała, że dla niego ta ścieżka znaczy o wiele więcej. Podniósł się z ławki. Był zły na Ruby. Wykorzystała pamięć Ellie, żeby ściągnąć na siebie jego uwagę.

Z rękami w kieszeniach ruszył do samochodu, gdy nagle usłyszał jakiś krzyk.

Szybko się odwrócił. Dwóch uczniów patrzyło w kierunku, skąd dochodziły wrzaski.

Rzucił się w tamtą stronę. Krzyczała jakaś kobieta, głośno i piskliwie. Dobiegł do pierwszego zakrętu, przed sobą miał jeszcze tylko jeden. W uszach słyszał tupot własnych stóp i brzęczenie kluczyków i monet w kieszeni spodni.

Po pokonaniu zakrętu zatrzymał się. Zobaczył dziewczynę i chłopaka. Chłopak trzymał dziewczynę w gorze, a ona darła się wniebogłosy i głośno się śmiała.

Sam wziął kilka głębokich oddechów, żeby pokonać zmęczenie. Uniósł dłonie na znak przeprosin, gdyż dwójka nastolatków go spostrzegła. Dziewczyna z zawstydzeniem obciągała spódniczkę. Para przeszła obok niego, a on odwrócił się za nimi, żeby odprowadzić ich wzrokiem, chociaż wiedział, że nie powinien tego robić.

Potem ruszył z powrotem ze zwieszoną głową, gdy nagle między drzewami po lewej coś usłyszał. Szybko spojrzał w tamtą stronę. Coś tam było. Coś się poruszało, szeleściło. Odnosił wrażenie, że widzi nawet zarys czyjejś sylwetki. Przed oczami mignęło mu coś zielonego. Nie wiedział, co to było, ale był pewien, że to widział. Ktoś uciekał.

Rzucił się za tym kimś w pogoń, potykając się o wystające z ziemi korzenie, jednak wydawało się, że ściga cień. Brakowało mu tchu, zbyt dużo czasu przesiedział przy biurku nad zeznaniami finansowymi, ale dobrze znał ten teren. Na szczycie pagórka była furtka prowadząca do małego parku dla dzieci, a za parkiem stał blok. Postanowił wspiać się na pagórek, żeby mieć lepszy widok, w razie gdyby uciekinier wypadł z lasu na otwartą przestrzeń.

Pomimo klucia w płucach pognął szybko na górę, ale nie patrzył pod nogi i w pewnym momencie potknął się o kamień. Runął na ziemię, lądując bokiem na ostrym korzeniu. Jęcząc z bólu, popatrzył przed siebie. Uciekinier, ktokolwiek to był, zniknął.

Sam wstał i tupnąwszy nogą w ziemię, głośno zaklął. Potem przypomniał sobie opowieść Ruby. Teraz już wiedział, że nie kłamała.

Ktoś podejrzany naprawdę kręcił się po okolicy.

Rozdział 43

Joe wrócił do domu, żeby się wykapać i przebrać, po czym wyszedł do pracy z nadzieją, że spacer dobrze mu zrobi i że pozbędzie się otumanienia. Osoba, która go poprzedniego dnia zaatakowała, musiała go trafić w specyficzne miejsce: gdy zbyt

szybko poruszał głową, jego wzrok reagował z opóźnieniem, zupełnie jak wolno się ładujące filmiki na YouTube.

Szedł swoją stałą trasą. Zaczynała się przy rzece i dwóch pochylonych nad wodą wierzbach – idylliczny wiejski krajobraz kłócący się z przemysłową scenerią w tle – potem wiodła przez długi metalowy most łączący bloki mieszkalne z ceglanymi wiaduktami, po których z hukiem przetaczały się pociągi.

Zwykle taki spacer sprawiał mu przyjemność, ale dzisiaj czuł się inaczej. Z podejrzliwością spoglądał w stronę wiaduktów z ich licznymi mrocznymi zakamarkami. Ten, kto na niego napadł, musiał go wcześniej obserwować, a to znaczyło, że mógł to robić również i teraz.

Obejrzał się za siebie i przyspieszył kroku. Łatwo mu było bagatelizować atak, gdy siedział w ciepłym domu Giny, ale teraz, gdy był sam, blisko miejsca, gdzie na niego napadnięto, odwaga nagle go opuściła. Zastąpił ją strach, od którego na plecach czuł lodowate dreszcze. W każdej chwili spodziewał się napaści, dlatego, zastanawiając się, czy tym razem nie oberwie czymś cięższym, nasłuchiwał wszelkich odgłosów za sobą.

Zmierzał ku ogrodom St Johns, gdzie normalnie sycił wzrok zielenią drzew i emanującym z nich spokojem. Przeszedł przez furtkę i stwierdził, że dokoła nikogo nie ma, śpiew ptaków zakłócał jedynie chrzęst jego własnych kroków. Każdego innego dnia byłby zadowolony, że w parku jest pusto, ale po wydarzeniach minionego wieczoru pustka dokoła budziła w nim lęk ciągle mu się wydawało, że ktoś czai się w zaroślach.

Dlatego w pewnym momencie postanowił zawrócić i dojść do pracy dłuższą trasą, wokół parku. Kiedy już wszedł do budynku, Marion, recepcjonistka, obrzuciła go zdumionym spojrzeniem, jednak o nic nie zapytała.

– Pośliznąłem się – wyjaśnił i przeszedł do schodów. Kiedy dotarł na ich szczyt, usłyszał klikanie klawiatury; jak nic Marion pisała do kogoś meil o jego podbitym oku.

Po wejściu do biura starannie zamknął za sobą drzwi. Gdyby tego nie uczynił, musiałby znosić wścibskie spojrzenia

przechodzących korytarzem kolegów. Uświadomił sobie, że ciężko oddycha, a kiedy spojrzął na ręce, zobaczył, że drżą. To tym bardziej utwierdziło go w przekonaniu, że w stanie, w jakim był, nie powinien się nikomu pokazywać.

Podszedł do okna. Z nawyku, ale też, żeby sprawdzić, czy ktoś nie obserwuje biura z ulicy.

Nikogo nie zauważył.

Wrócił do biurka. Musi zapomnieć o wczorajszym wieczorze. Próbował się przekonywać, że to była zwykła bijatyka w pubie, że dostał w szczękę być może od jakiegoś pijaczka lub kogoś, kogo zbyt mocno przyciskał w sądzie i kto wykorzystał okazję, żeby się zemścić. Takie rzeczy się zdarzają.

Ale wciąż w jego pamięci tkwił mężczyzna z sali sądowej, ten, który sterczał pod biurkiem. A ponieważ gość był w sądzie, musiało to mieć coś wspólnego ze sprawą Ronniego.

Usłyszał pukanie i do środka weszła Lisa, jego sekretarka. Niosła kawę, a gdy zobaczyła jego twarz, skrzywiła się.

– Dzięki – powiedział, odbierając filiżankę. – Pośliznąłem się.

– Słyszałam od Marion.

Zanim zdążył upić kawy, rozdzwonił się telefon na biurku. Dzwoniła Marion.

– Ktoś do pana przyszedł. Czeka w recepcji.

Joe zerknął na zegarek. Było dopiero kilka minut po dziewiątej.

– Monica nie może przyjąć tej osoby?

– Jeszcze nie przyszła.

To było dziwne.

– Kto to jest?

– Nie chce podać nazwiska. – Szepcząc do słuchawki, Marion dodała: – Facet twierdzi, że chodzi o wczoraj.

Joe chciał przetrzeć oczy, ale ponieważ tabletki przeciwbólowa przestawała działać, szybko odsunął rękę. Wolał się nie przekonywać, czy jego twarz wciąż jest tak samo obolała jak wcześniej.

– Powiedz temu komuś, żeby usiadł i zaczekał.

Po odłożeniu słuchawki ciężko westchnął. Nie miał ochoty rozmawiać o wypadkach z poprzedniego dnia, a tu się zjawiają ludzie, żeby zdać relację z tego, co się wydarzyło.

Wtedy przypomniał sobie o Kim. Jeśli widziano jego, to Kim też. Nie chciał, żeby zaczęto o nich plotkować.

Wyszedł na korytarz i skierował się ku schodom. Z ich szczytu widać było całą poczekalnię.

Zatrzymał się.

W poczekalni siedział wysoki mężczyzna w szarych spodniach i granatowej bluzie.

Joe szedł na dół i podszedł do nieznajomego. Kiedy mężczyzna go zauważył, zasłonił dłonią usta, a do oczu napłynęły mu łzy.

– Ja... ja przepraszam – zaczął zduszonym głosem.

Joe, zacisnąwszy zęby, podniósł rękę na znak, żeby mężczyzna zamilkł. To był facet, którego widział w parku i w sądzie.

– Zapraszam do siebie, tam porozmawiamy – rzucił oschle.

Kiedy dotarli do biura, otworzył drzwi i gestem zaprosił mężczyznę do środka. Ten, mijając go, któryś raz z kolei zerknął na jego twarz i szybko odwrócił głowę.

Joe wskazał krzesło i mężczyzna usiadł. Joe uczynił to samo, siadając na fotelu za biurkiem, które stanowiło naturalną ochronę przed ewentualnym atakiem.

Mężczyzna jakiś czas tylko się wiercił na krześle, które głośno pod nim skrzypiało. Joe nie przerywał ciszy; chciał, żeby to tamten rozpoczął rozmowę.

W końcu nieznajomy zwiesił ręce i powiedział: – Przepraszam, panie Parker, za oko. – Po policzku spłynęła mu łza, broda mu zadrgała.

Joe był zdezorientowany.

– Nie rozumiem.

– To ja pana uderzyłem. Przepraszam.

– To akurat zrozumiałem, tylko nie rozumiem, z jakiego

powodu. Dlaczego pan to zrobił, do cholery? – Mężczyzna nie odpowiedział, tylko cicho pochlipywał. Joe chwilę odczekał, ale w końcu zapytał: – Okej, zacznijmy od tego, jak się pan nazywa.

Mężczyzna spojrział na niego i wierzchem dłoni wytarł łzy.

– David Roberts.

– Nie kojarzę nazwiska – warknął, nie potrafiąc już ukryć zniecierpliwienia.

– Nat Roberts to mój syn.

Joe na chwilę przymknął oczy. Że też się nie domyślił. Dostawał pocztówki z opisem wydarzeń, jakie Nat Roberts mógłby przeżyć, gdyby jeden z klientów Joego nie zabił chłopaka w bezmyślnej bójce ulicznej, jeśli tylko to zdarzenie można było nazwać bójką. Nat znalazł się w złym miejscu i spojrział na nie tego gościa, co trzeba, a gość był zły, pijany i szukał zaczepki po tym, jak go wyrzucono z klubu. Nat przechodził obok faceta, usłyszał jakieś wyzwiska, zareagował i dostał w nos. Przewrócił się i rozbił głowę o róg krawężnika. Wykrwawił się na śmierć na tej bocznej uliczce, a jego zabójca przyznał się do nieumyślnego spowodowania śmierci. Dostał za to pięć lat odsiadki, po której odbyciu czekało go wiele lat życia na wolności – lat, na które Nat nie mógł liczyć.

I tak Joe dostawał w poczcie zdjęcia jego grobu, pocztówkę urodzinową przyslaną w dniu, w którym Nat skończyłby dwadzieścia lat, i fotografie jego siostrzenicy, której nie zdążył poznać.

– Nat w poniedziałek skończyłby dwadzieścia jeden lat – rzekł David. – Byłem tego dnia pod pańskim biurem. Chciałem panu powiedzieć o rocznicy urodzin syna, a raczej to wykrzyczeć, bo uważałem, że pan nie ma pojęcia, co czuję, jaki jestem wściekły, jaki się czuję oszukany. Ale nie byłem w stanie tego zrobić.

– Przykro mi z powodu Nata – powiedział cicho Joe. – Wiem, że mi pan nie uwierzy, ale zapewniam, że mimo zawodu, jakim się param, wciąż posiadam ludzkie odruchy.

– Śmierć Nata przedstawił pan jako coś nieważnego, jakby

to była zwykła bójka. I domagał się pan łagodnego potraktowania zabójcy.

Joe nie odpowiedział. Jego klient nie chciał zabić Nata. Uderzył chłopaka po pijaku, takie bójki są na porządku dziennym w sobotnie wieczory. David Roberts nie widział łez zabójcy, nie widział, jak unikał wzroku Joego, gdy omawiali okoliczności zdarzenia. Ale Joe miał świadomość, że ojciec Nata nie będzie chciał o tym słuchać. Przynajmniej jeszcze nie w tej chwili. Poza tym Joe wielokrotnie przeproszał Roberta w imieniu swojego klienta.

David spojrział na sufit i z jego oczu popłynęło jeszcze więcej łez.

– Teraz jestem taki jak on, ten sukinsyn, który zabił Nata. Byłem wściekły. Musiałem się na kimś wyładować. Wciąż nie potrafię się pogodzić z utratą Nata. Nigdy nie sądziłem, że przyjdzie mi chować własne dziecko. Zupełnie sobie z tym nie radzę i zżera mnie gniew.

Nienawidziłem pana, panie Parker, za to, że tak niesprawiedliwie nas pan potraktował.

Jakbyśmy się nie liczyli.

– I dlatego mnie pan szpiegował?

– Chciałem panu opowiedzieć, jak to wszystko wyglądało z mojej strony, żeby pan wiedział, co mi pan zrobił. Co on mnie zrobił, pański klient, mnie i matce Nata, i całej naszej rodzinie.

Wszyscy o nas zapomnieli. Czułem, że dłużej tego nie zniosę. Potem się dowiedziałem, że znowu pomaga pan komuś uniknąć kary za morderstwo. Więc się wściekłem.

– Ale dlaczego akurat wczoraj mnie pan zaatakował?

– Bo właśnie wczoraj chciałem do pana podejść, powiedzieć, co czuję, licząc, że może pan zrozumie. Ale zobaczyłem, że pan sobie radośnie popija piwko, jakby uwalnianie zabójców to była dla pana zwykła rzecz, nic specjalnego, jakby w ogóle nie myślał pan o tych po drugiej stronie, ludziach takich jak ja. Dlatego za panem poszedłem i uderzyłem, ale pan upadł na umywalkę. To był taki straszny huk. Przeraziłem się, tym bardziej,

że pan się nie ruszał.

– Więcej nie musi pan mówić – rzucił Joe, unosząc rękę.

– Nie, muszę, bo zrobiłem to samo, co ten łobuz z Natem.

Niczym się od niego nie różnię.

– Wszyscy jesteśmy tacy jak on, każdy czasami robi coś głupiego, coś, co się kończy gorzej, niż byśmy chcieli.

David wytarł oczy.

– Teraz to rozumiem i jest mi naprawdę przykro. Już nie będę przysyłał tych kartek i zgłoszę się na policję. Przyznam się do tego, co zrobiłem.

– Nie ma takiej potrzeby. Nie zawiadomiłem policji. – David wyglądał na zdezorientowanego, więc Joe wyjaśnił: – Jeśli tylko fakt, że mi pan przyłożył, pomógł panu lepiej zrozumieć sytuację i przynajmniej trochę ulżył w bólu, to się cieszę, że mnie pan uderzył.

Może szkoda, że tak mocno, ale dojdę do siebie.

David przelknął ślinę i kiwnął głową z wyraźną ulgą.

– Dziękuję.

Joe wstał i gestem wskazał drzwi na znak, że rozmowa się skończyła.

David już szedł do wyjścia, ale nagle się zatrzymał i powiedział: – Chyba powinien pan wiedzieć, że nie tylko ja pana obserwowałem.

– Jak to? O czym pan mówi?

– Z początku nie wydało mi się to ważne, ale wczoraj w parku widziałem jakiegoś faceta.

Szedł w stronę pana biura, potem jakby się rozmyślił. Był wyraźnie zdenerwowany. Krążył po parku i ciągle spoglądał w okno biura. Czułem, że coś jest nie tak.

– Jak ten człowiek wyglądał?

– Wysoki, szczupły, niedbale ubrany, tyle że na blezerze miał jakiś znaczek albo medal.

– Na blezerze?

– Blezer był znoszony, ale facet wyglądał, jakby był dumny, że go na sobie ma. Kojarzył się trochę z zaniedbanym

weteranem wojennym.

Opis był znajomy.

Joe zaczął grzebać w dokumentach, które poprzedniego dnia przyniosły Gina i Monica, i spomiędzy kartek wyciągnął wycinek z gazety, na którym widniała fotografia z obchodów dnia Marszu Pamięci, przedstawiająca Terry'ego Daya w berecie i z rządkiem medali na piersi.

– Czy to ten sam człowiek?

David zerknął na fotografię.

– Tak, to on. Na zdjęciu wygląda jak prawdziwy weteran, ale wczoraj tak nie wyglądał.

Joe podziękował, a gdy został sam, usiadł przy biurku i zaczął rozważać to, czego się właśnie dowiedział. Terry Day kręcił się przy biurze, a to mogło oznaczać, że chce porozmawiać. Tylko o czym? Wszystko wskazywało na to, że w miejsce jednej już rozwikłanej tajemnicy pojawiła się następna.

Rozdział 44

Sam wszedł do centrum operacyjnego, starając się nie patrzeć w stronę inspektora Evans. Wolał nie widzieć jej niezadowolonego spojrzenia. Widok rozrzuconych na biurkach zatłuszczonych papierowych torebek po kanapkach świadczył o tym, że przynajmniej niektórzy detektywi już od dłuższego czasu pełnili służbę. Sam szybko podszedł do biurka, które zajmował poprzedniego dnia, i zabrał się za logowanie do systemu, ale już po minucie poczuł na ramieniu czyjaś dłoń.

Podniósł wzrok.

– Opowiadaj, Sam – poleciła Evans spokojnym tonem, po czym, dając znak, żeby za nią poszedł, odwróciła się i odeszła.

Sam wstał i ruszył za przełożoną, zauważając, że nikt na niego nie patrzy. Inni policjanci unikali spoglądania mu w oczy, pewnie dlatego, że uważali, że dał ciała. W wydziale zabójstw od pracowników oczekuje się zaangażowania. Zagineła młoda dziewczyna, a on zjawia się na służbie po dziewiątej, jakby to był zwyczajny spokojny dzień.

Evans dotarła do swojego biurka i siadając za nim,

wymownie spojrzęła na zegarek.

– No to słucham. Wy tłumacz się.

Sam, zastanawiając się, co ma odpowiedzieć, patrzył w dół, jednak gdy już podjął decyzję, spojrzęł Evans prosto w oczy.

– Mam coś na swoje wytłumaczenie – zaczął. – Wczoraj byłem u Granta, jak kazałaś.

– I?

– Grant wspomniał o mojej siostrze, Ruby. – Sam wziął głęboki oddech. – Miałem jeszcze jedną siostrę, Ellie. Piętnaście lat temu została zamordowana.

Evans zrobiła minę, jakby chciała coś powiedzieć, ale po chwili wahania tylko się współczująco uśmiechnęła.

– Przykro mi. Nie wiedziałam.

– Ruby urodziła się dwa lata po śmierci Ellie. Grant o tym wiedział.

– Ale on siedzi i nigdy nie wyjdzie.

– Jasne – zgodził się Sam – ale, jak sama mówiłaś, te zaginięcia są z nim w jakiś sposób powiązane, a on w rozmowie ze mną napomknął o mojej siostrze. W dodatku Ruby wróciła wczoraj ze szkoły z wiadomością, że ktoś ją śledził.

Evans przechyliła głowę. Była zaskoczona, ale wreszcie opowieść Sama ją zainteresowała.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? Mogłeś zapytać kogoś o mój numer.

– Nie zadzwoniłem, bo Ruby mogła zmyślać. Ma żal o to, że żyje w cieniu Ellie i żeby ściągnąć na siebie uwagę, czasami robi dziwne rzeczy. Ponadto dwa dni temu była rocznica śmierci Ellie. Dlatego nie miałem pewności, że to coś poważnego.

– Ale zmieniłeś zdanie. Dlaczego? – dopytywała się Evans.

– Byłem dzisiaj w tym miejscu, o którym mówiła Ruby. To spokojna ścieżka, prowadząca ze szkoły, do której chodzi. To na niej zginęła Ellie.

– I mimo to twoja siostra tamtędy chodzi? – zdumiała się Evans, robiąc wielkie oczy.

– Ruby ma do tego inny stosunek niż reszta rodziny. Nie

znała Ellie. Tak czy inaczej, uważam, że nie zmyślała. Widziałem kogoś w zaroślach, tak jak mówiła.

– Kiedy dokładnie była śledzona?

– Wczoraj, koło szesnastej.

– Zadzwonię do szkoły i poproszę, żeby dyrekcja przypomniała uczniom, że nie powinni tamtędy chodzić – postanowiła Evans. – I kogoś tam wyślę, żeby się rozejrzył. Może chodzi tylko o miejscowego podglądacza. Ukryty w krzakach, ogląda sobie nogi nastolatek. Jednak bez względu na to, kto to jest, chcę go mieć tutaj, żeby się wytłumaczył.

Sam z aprobatą pokiwał głową.

– Dasz radę dalej pracować przy dochodzeniu? – zapytała Evans. – Przez brata łączysz sprawę Granta ze sprawą Ronniego Bagleya. Poza tym Grant chce rozmawiać tylko z tobą.

Sam ponownie kiwnął głową.

– Dam.

– Wracając do Granta – zmieniła temat Evans. – Powiedział coś użytecznego?

– Dla sprawy? Nie – zaprzeczył.

– Tylko się przechwalał? – domyśliła się Evans.

– Coś w tym stylu. Jak już mówiłem wczoraj przez telefon, twierdził, że zaczął zabijać, bo siostra pozwoliła, żeby mył jej włosy. I mył je, aż ją zamordował.

– Tylko marnował twój czas.

– Nie rozumiem.

– Sprawdziłam te rewelacje po twoim telefonie. Ben Grant nie miał żadnej siostry. Był jedynakiem. – Widząc, że Sam jest zdezorientowany, Evans dodała: – Zapomnij o nim. Nic dla nas nie ma. Jego osoba stanowi ogniwo łączące te sprawy zaginionych dziewcząt, ale wygląda, że Grant nic o nich nie wie.

Po tych słowach Evans odeszła, Sam zaś pogрузzył się w rozmyślaniach.

Może i Grant nie miał siostry, ale za jego opowieścią coś się kryło. Trzeba to koniecznie zbadać.

Rozdział 45

Joe siedział w swoim samochodzie i dzwonił do Moniki. W biurku znalazł stary telefon, do którego przełożył kartę Sim z aparatu, który się rozbił. Ponieważ Monica nie odbierała, wybrał numer Kim Reader. Liczył się z tym, że Kim jest w sądzie i może nie móc odebrać, jednak po kilku dzwonekach usłyszał jej głos.

– Joe, nie mogę teraz swobodnie rozmawiać. A już na pewno nie o tym, o czym mówiłam rano. Ale głupio mi za tamtą rozmowę, więc cię przepraszam.

W tle Joe usłyszał jakiś hałas, pogłos w telefonie świadczył o tym, że Kim stoi gdzieś na sądowym korytarzu. Wyobraził ją sobie w todzie ze śnieżnobiałym kołnierzykiem.

– Dzwonię z prośbą o przysługę – wyjaśnił. – W sprawie zawodowej.

– Znam twój urzędowy ton, więc się domyśliłam – mruknęła Kim głosem, w którym słychać było nutkę zawodu. – Mów, o co chodzi.

– O Terry’ego Daya. Chcę do niego wpaść.

Chwila milczenia, potem stanowcze: – Nie wolno ci. – Głos Kim już nie brzmiał ciepło. – Terry jest świadkiem oskarżenia.

– Dobrze wiesz, że świadkowie nie są niczyją własnością – przypomniał.

– A ty dobrze wiesz, że wcale nie o to mi chodzi.

– Dlatego dzwonię, chciałem cię uprzedzić.

– Joe, nie bądź dupkiem – warknęła Kim, już na serio rozżłoszczona.

Joe westchnął. Miał nadzieję, że rozmowa potoczy się inaczej, że Kim zbagatelizuje sprawę, ale Kim była na to zbyt dobrym prawnikiem.

– Staram się nie być – odparł, łagodząc ton. – Po wizycie, jeśli dowiem się czegoś, o czym powinnaś wiedzieć, zadzwonię.

– Joe!

– Nie martw się. Biorę ze sobą Ginę. Będzie świadkiem, żeby nie można mnie było o nic oskarżyć.

– Albo żebyście mogli uzgodnić wspólną wersję wydarzeń.

– Przecież mnie znasz i wiesz, że nie robię takich rzeczy –

rzekł i się rozłączył.

Potem, mocno zacisnąwszy palce na kierownicy, przez chwilę gapił się w szybę. Podpadł Kim i choć sprzeczka dotyczyła spraw zawodowych, bał się, że może się to przełożyć na ich relacje prywatne. Że ich stosunki ulegną ochłodzeniu.

– Coś mi się widzi, że to koniec romansu – odezwała się Gina.

Uśmiechała się, kiedy Joe na nią spojrział.

– Jestem mistrzem, jeśli chodzi o rozwalanie związków – mruknął, po czym wyciągnął rękę do klamki.

– Nie musiałaś jej mówić. Wcześniej tego nie robiłeś.

– Nie robiłem, ale ta wizyta może się różnić od innych.

Gdy wraz z Giną stanęli na chodniku, jeszcze raz przyjrzał się domowi Terry'ego Daya.

Gina, kołyszając biodrami, pierwsza wspięła się na schodki i nacisnęła dzwonek przy drzwiach.

Czekali kilka minut i już mieli odejść, gdy drzwi lekko się uchyliły i w szparze pojawiła się twarz Terry'ego.

Joe się uśmiechnął i powiedział: – Dzień dobry, panie Day.

Z początku Day wodził tylko spojrzeniem od niego do Giny i z powrotem. W otworze było widać jedynie kawałek jego twarzy. Potem, gdy Joe rzucił: „Chyba musimy porozmawiać, nie uważa pan?”, Terry się odsunął i otworzył drzwi na całą szerokość.

Zaraz potem odszedł w stronę klatki schodowej, więc Joe i Gina ruszyli za nim. Gdy mijali drzwi mieszkania Ronniego i Joe z wyciągniętą ręką chciał skrócić w ich stronę, Day wrzasnął: „Nie! Tam nie wolno!” Joe przystanął.

Terry Day przełknął ślinę i wyjaśnił: – Ci z policji mówili, żebym tam nikogo nie wpuszczał, przynajmniej dopóki proces się nie skończy.

– Bo co?

– Bo obrona mogłaby chcieć obejrzeć mieszkanie.

– Ja reprezentuję obronę.

– Im chodziło o biegłych, o ekspertów od krwi. Mówili, że jeśli nie będę pilnował miejsca zbrodni, obrona może to

wykorzystać, stwierdzić, że dowody są nieważne, bo miejsce zbrodni zostało naruszone.

Joe odsunął się od drzwi. Odpowiedź brzmiała sensownie. Gdy Day wszedł na schody, zapytał: – Więc został pan tu zupełnie sam?

– I bardzo mi to odpowiada – odburknął Day. – Żałuję, że potrzebuję kasy z wynajmu.

Joe jeszcze raz obejrzał się na drzwi pustego mieszkania, po czym poszedł za Dayem.

Pokoje mieszkania na pierwszym piętrze nie były połączone, każdy posiadał oddzielne drzwi wychodzące na korytarz. Day nie poczynił żadnych zmian, żeby przystosować dom pod wynajem.

Day wspinał się na następne piętro, Joe zaś, podążając krok za nim, coraz bardziej czuł się tak, jakby się znalazł w ciemnej studni. Światło wpadające przez szybę w drzwiach wejściowych nie docierało na wyższe piętra, a schody na górze było o wiele węższe niż te na dole. Drzwi prowadzące do mieszkania Terry'ego wyglądały jak jedna wielka prowizorka, jakby Terry sam je zamontował. Gdy przez nie przechodził, framuga się zatrzęsła.

Po wejściu do środka gestem dłoni zaprosił Joego i Ginę do salonu, pokoju po drugiej stronie podestu, mamrocząc, że pójdzie zrobić coś do picia. Joe i Gina weszli do wskazanego pokoju i usiedli na niskiej kanapie zakrytej niebieską narzutą. W pokoju, w którym było tylko jedno małe mansardowe okno, panował półmrok. Wrażenie ciemności pogłębiał ciemnobrazowy dywan i pozółkła od dymu tytoniowego tapeta.

– Mam gaz pieprzowy, w razie gdyby wrócił z piłą łańcuchową lub czymś takim – szeptem zażartowała Gina.

– Ja tam tylko wiem, że nie wypiję niczego, co przyniesie – odrzekł Joe.

Po kilku minutach Terry przyszedł do pokoju z tacą, na której stały trzy filiżanki i talerz z ciasteczkami. Joe sięgnął po filiżankę i od razu odstawił ją na podłogę. Gina zrobiła to samo.

Terry usiadł i wskazując palcem na oko Joego, zapytał: –

Co się stało?

– Nie wie pan?

Terry zrobił zdezorientowaną minę.

– Nie rozumiem.

– Przecież chodził pan za mną, szpiegował.

– Nie, nieprawda – szybko zaprzeczył Terry, choć przy okazji się zaczerwienił.

Joe wolno pokiwał głową.

– Chodził pan. Ktoś pana widział. Więc niech pan przynajmniej powie, dlaczego mnie pan szpiegował. Co chciał mi pan powiedzieć?

Terry spuścił oczy na filiżankę, którą ścisnął w dłoniach opartych na kolanach. Joe go nie ponaglał. W końcu po kilku minutach Terry podniósł głowę i oznajmił: – Miałem z panem nie rozmawiać. Zakazali mi.

– Kto?

– Policja.

– Jeśli wie pan coś, co mogłoby mi pomóc, mam prawo się tego dowiedzieć. – Joe sięgnął do kieszeni po dyktafon i pokazał go Terry'emu. – Proszę mówić.

Terry mocniej zacisnął palce na filiżance, ale wciąż milczał.

Gina nachyliła się do niego.

– Panie Day, jeśli pan coś wie, musi nam pan to powiedzieć.

Mężczyzna spojrzał najpierw na Ginę, potem na Joego, i na sam koniec wziął głęboki oddech.

– Dobrze, powiem. Chodzi o Carrie i dziewczynkę.

– Niech pan kontynuuje.

Terry przełknął ślinę, potem wyprostował plecy, jakby się zrywał na coś trudnego.

– One żyją – oznajmił.

Joe szeroko otworzył oczy.

– Żyją? Na jakiej podstawie pan tak twierdzi?

– Widziałem je.

Rozdział 46

Sama pozostawiono samemu sobie. Inni policjanci albo rozmawiali, albo zajmowali się papierkową robotą. Kilku siedziało przy telefonach. Trwała pogoń za informacjami, za czymś, co mogłyby się okazać użyteczne w sprawie, jednak większość rozmów najczęściej kończyła się tylko uprzejmym „dziękuję”. W tym momencie śledztwa chodziło głównie o ustalenie, kto ostatni widział Julie żywą, jednak wyglądało, że nikt nie wiedział, dokąd poszła po wyjściu z domu.

Sam postanowił jeszcze raz przejrzeć akta dotyczące wcześniejszych zaginięć. Chciał sprawdzić, czy znajdzie w nich relacje o podejrzanym podglądaczu. Miał nadzieję, że natknie się na coś, co będzie podobne do tego, o czym mówiła Ruby, do tego, co sam zaobserwował rano na ścieżce. Albo raczej miał nadzieję, że niczego takiego w aktach się nie dopatrzy, co by znaczyło, że Ruby, chcąc zwrócić na siebie uwagę, zwyczajnie zmyślała, a on ścigał po lesie niewinną osobę – prawdopodobnie jakiegoś dzieciaka.

Jednak z jakiegoś powodu cały czas powracał pamięcią do Julie i jej sypialni. Dziwiło go to, bo w pokoju był krótko, w zasadzie tylko zerknął do komputera. Mimo to coś nie dawało mu spokoju, jakiś głos w tyle głowy powtarzał, że czegoś nie zauważył, coś przeoczył.

Żeby odciąć się od otaczających go dźwięków: stukotu klawiatury i szumu rozmów, przymknął oczy i przywołał w wyobraźni obraz pokoju.

Po jego jednej stronie stało łóżko, nad którym na ścianie wisiały plakaty z jakimiś gwiazdkami popu i zwierzętami. Jeśli Julie się nie odnajdzie, pokój już na zawsze taki pozostanie – swoista kapsuła czasu.

Przeszedł w wyobraźni dalej, do następnego mebla, którym była toaletka zapełniona flakonikami perfum, cieniami do malowania, fotografiami i stojącą na środku figurką tancerki.

Potem był regał z książkami i wreszcie biurko z małym monitorem oraz obudową komputera na podłodze. Na blacie biurka leżały podręczniki, zeszyty i ćwiczenia z zagiętymi rogami. Z boku

MP-trójka.

Czy to ważne? Jeśli Julie nie miała przy sobie odtwarzacza i nie słuchała muzyki przez słuchawki, to raczej nikt jej nie zaskoczył. Tylko dlaczego nie było zgłoszeń, że ktoś krzyczał, że ktoś się z kimś szamotał?

Sam wziął głęboki oddech. Coś jeszcze go dręczyło.

Pamięć wciąż podsylała mu obraz monitora, ale nie chodziło o niego samego. Czytał maile w poczcie i nic specjalnego w nich nie znalazł. Nie, to coś na obudowie monitora.

Wstał i podszedł do młodej policjantki, która w rogu pokoju ewidencjonowała przedmioty zabrane z sypialni Julie. Jej nastoletnie życie zamieniło się w kolekcję rozłożonych na stole plastikowych torebek.

Młoda policjantka podniosła oczy. Była rasy mieszanej, jej egzotyczne, ciemne, kręcone włosy spływały na szary mundur. Kiedy spostrzegła Sama, uśmiechnęła się do niego.

– Cześć, nazywam się Charlotte. – Rozejrzawszy się, jakby sprawdzała, czy nikt ich nie słyszy, dodała: – Podobało mi się, jak wczoraj odgryzłeś się Gedowi z tą kawą – i pokazała na Geda, który stukając długopisem w biurko, gapił się w ekran monitora.

Po raz pierwszy, odkąd dołączył do wydziału, Sam poczuł przypływ pewności siebie.

– Po prostu nie lubię takiego dokuczania.

– Całkiem zrozumiałe – odparła policjantka i zapytała: – Pomóc ci w czymś?

Sam przyciągnął sobie krzesło od najbliższego biurka.

– Byłem wczoraj w domu Julie i oglądałem jej pokój. Coś w związku z nim nie daje mi spokoju. Mogę obejrzeć rzeczy, które z niego zabrałaś?

– Mam nadzieję, że wiesz, czego szukasz – policjantka pokazała na torebki na stole.

– Chodzi o coś, co stało przy monitorze. To on ciągle nasuwa mi się na myśl.

Charlotte nachyliła się nad stołem i spomiędzy torebek wybrała jedną i położyła ją przed Samem.

– Tu są rzeczy, które leżały przy monitorze – wyjaśniła i otworzyła torebkę, żeby wysypać jej zawartość na stół.

Sam przyjrzał się przedmiotom. Wszystkie były zapakowane w oddzielne przezroczyste torebki dowodowe. Głównie były to kartki, na niektórych widniały jakieś obliczenia, na innych dziewczęce rysunekzki: kwiatki i serduszka. I wtedy dostrzegł to, co go tak dręczyło.

Zdjęcie. Przed zabranie z pokoju wisiało na półce za monitorem. Przedstawiało młodego, przystojnego nastolatka. Ale przecież rodzice Julie twierdzili, że córka nie ma chłopaka.

Zdjęcie robiło wrażenie znajomego, chociaż Sam nie potrafił określić, z czym mu się ono kojarzy.

– Czy ten chłopak jest wśród jej znajomych na Facebooku?

Charlotte weszła w komputerze na profil Julie. Strona była stale otwarta, w razie gdyby ktoś napisał na niej coś ważnego. Charlotte otworzyła zakładkę „znajomi” i szukając chłopaka ze zdjęcia, przesunęła stronę w dół. Przy kilku zdjęciach się zatrzymała, jednak okazało się, że to nie to. Gdy dotarła do samego dołu, pokręciła głową.

– Nie ma go.

Sam podniósł zdjęcie.

– Muszę tam pojechać.

Charlotte popatrzyła na zdjęcie, potem na Sama, po czym, zarażona chyba determinacją w jego spojrzeniu, sięgnęła po kurtkę i oznajmiła: – Jadę z tobą.

– Gdzie pan je widział? – zapytał Joe.

– Nie wolno mi powiedzieć.

– Kto panu zabronił? Carrie? Bo nie chce, żeby Ronnie ją znalazł?

Terry pokręcił głową i spuścił wzrok.

– Nie mogę nic mówić.

– Musi pan, Terry, bo to i tak wyjdzie. Jeśli teraz pan nie powie, wyciągnę to z pana w sądzie.

Terry wolno pokiwał głową; widać było, że narasta w nim jakaś decyzja.

– To policja kazała mi milczeć.

Joe i Gina wymienili się spojrzeniami.

– Policja? Z jakiego powodu policja miałyby kazać panu milczeć?

– Powiedzieli, że jeśli nie zachowam tego dla siebie, Ronnie się wywinie.

– Wywinie od czego? Jeśli Carrie i Grace żyją, Ronnie nie ma się z czego wywijać.

– To samo im mówiłem, ale kazali mi się nie przejmować. Twierdzili, że wszystkim się zajmą i że wszystko dobrze się skończy.

Joe nie rozumiał. Wiedział, że policja ma obsesję na punkcie wyników, ale ukrywanie dowodów, dzięki którym niewinny człowiek mógłby odzyskać wolność, załatywało powrotem do lat siedemdziesiątych.

– Niech pan powie, co pan wie – poprosił, a gdy zobaczył, że Terry zaciska zęby, dodał: – Przecież chce pan to powiedzieć. Dlatego mnie pan obserwował, po to przychodził pod moje biuro i odchodził. Bo to panu ciąży i potrzebuje pan to z siebie wyrzucić.

Terry milczał.

– Terry, proszę mówić – powtórzył Joe. – To ważne.

Terry przełknął ślinę.

– W porządku, powiem.

– Gdzie je pan widział? – ponowił pytanie Joe.

– W centrum.

– Kiedy?

– W zeszłym tygodniu.

Joe wyciągnął dyktafon, włączył go i położył na stoliku. W dyktafonie zamigotało czerwone światełko.

– Będę to nagrywał. Proszę kontynuować.

Terry wziął głęboki oddech.

– Poszedłem do centrum. Chodzę tam czasem, żeby popatrzeć na ludzi. Nikt mnie tam nie zna, więc mogę być sobą.

Albo raczej podszywać się pod weterana wojennego, pomyślał Joe, ale nie powiedział tego na głos.

– Dojechałem pociągiem do stacji Victoria – kontynuował Terry. – Potem poszedłem tam, gdzie są sklepy, do tej nowej części, odbudowanej po wybuchu bomby podłożonej przez IRA, obok tego dużego szklanego budynku.

– Wiem. Mówi pan o Muzeum Futbolu przy Cathedral Gardens.

– Właśnie. No więc lubię to miejsce, bo dużo się tam dzieje, ale trochę dalej, przy katedrze i szkole dla dziewcząt jest całkiem spokojnie. Więc siedziałem tam i patrzyłem sobie na ludzi, aż nagle za sobą usłyszałem śmiech. To był śmiech dziecka. Tam jest fontanna i właśnie się uruchomiła, i to dziecko zaśmiało się, pewnie z zaskoczenia. Odwróciłem się i zobaczyłem Carrie, a obok niej Grace. Tylko Carrie wyglądała inaczej.

– To znaczy?

– Miała krótsze włosy. I ciemniejsze.

– To skąd pewność, że to była ona?

– Bo rozpoznałem Grace. To taka słodka dziewczynka. Aż trudno uwierzyć, że to dziecko tej pary pijaków. Ale Grace jest śliczna. Ma jasne kręcone włoski i uroczy uśmiech. Ronnie i Carrie jeszcze nie zdążyli jej zepsuć. Dlatego mała często się śmieje. Słyszę ją czasami, nawet przez ściany, jak śpiewa. – Terry zamilkł i pogрузzył się w miłych wspomnieniach, zaś Joe i Gina, robiąc wielkie oczy, popatrzyli na siebie ze zdumieniem.

– Jak daleko stały, kiedy je pan zauważył? – dociekał Joe.

– Na tyle blisko, żebym mógł je rozpoznać.

– To za mało. Proszę określić, ile to było w metrach albo krokach.

Terry się zamyślił.

– Były jakieś trzydzieści metrów ode mnie.

– A ludzie, dużo ich tam było?

– Ludzi było pełno, ale je zauważyłem. Stały po drugiej stronie fontanny.

– Więc dostrzegł pan Carrie i Grace z odległości trzydziestu metrów, w zatłoczonym miejscu, stojące po drugiej stronie fontanny, z której tryskała woda, tak? I twierdzi pan, że Carrie

miała inne uczesanie?

Terry się skrzywił.

– Detektyw, z którym rozmawiałem, zareagował tak samo jak pan, jakby mi nie wierzył.

Joe usiłował powstrzymać uśmiech. Wiedział, że pytanie, które zaraz zada, doprowadzi do przegranej prokuratury. Znał się na świadkach i wiedział, że jeśli im się wytknie, że mogą się mylić w kwestii własnych zeznań, uczynią wszystko, żeby usunąć wątpliwości. Świadkowie dlatego zgłaszają się do sądu, że chcą pomóc w rozwiązaniu sprawy. Joe zerknął na dyktafon, żeby się upewnić, iż nagrywanie wciąż jest włączone, po czym zapytał: – Ale jest pan pewien, że je widział?

Terry pochylił się do przodu, oczy zabłyśły mu determinacją.

– Stuprocentowo – rzekł i znowu się wyprostował, splatając ręce na piersiach.

Joe się uśmiechnął. No to po zawodach. Terry Day już nie wycofa swoich słów, a to znaczyło, że prokuratura nie będzie mogła wykorzystać argumentu o tym, że Ronnie w trakcie kłótni z Carrie groził jej śmiercią. Tylko teraz trzeba to dobrze rozegrać, bo jeśli prokuratura coś wywaha, będzie się starała ratować sytuację; zresztą pewnie nadal szukałaby ciała, kierując się założeniem, że Terry mógł się pomylić. Wykorzystanie go w roli świadka obrony raczej nie wchodziło w grę, bo Terry naopowiadał zbyt wiele złych rzeczy o Ronniem. Co do nagrania z zeznaniem, z jego ujawnieniem też należałoby chyba poczekać do czasu rozprawy, tylko że to ryzykowne, bo prokuratura mogłaby przekonać sąd, że Terry'emu coś się pomieszało. Wszyscy wiedzą, że świadkowie, mimo szczyrych intencji, często w kwestii identyfikacji osób popełniają pomyłki.

Mimo to Joe uważał, że sprawa Ronniego nie wygląda źle; w końcu chodziło tylko o wzbudzenie w sądzie wątpliwości. Tyle że pozostawienie sprawy samej sobie przypominało trochę planowanie z miesięcznym wyprzedzeniem przyjęcia na świeżym powietrzu, przy świadomości, że w Anglii latem pogoda jest

nieprzewidywalna.

Sięgnął po dyktafon, żeby go wyłączyć.

– Dziękuję, Terry, że zechciał pan z nami porozmawiać. Postaram się tym teraz zająć, a pan niech będzie spokojny, zrobił pan to, co należy.

Terry nie odpowiedział i nie ruszył się z miejsca, gdy Joe i Gina wychodzili. Oni zaś zeszli w milczeniu do samochodu i dopiero kiedy do niego wsiedli, wymienili się spostrzeżeniami.

– O co tu chodzi, do cholery jasnej? – zaczęła Gina.

Joe spojrział w górę, w okna mieszkania Terry’ego. Terry stał w jednym z nich.

– Nie wiem, ale ktoś będzie miał problemy z powodu nieprzekazania informacji. Jednym z głównych argumentów obrony jest to, że Carrie żyje, a tu proszę, najważniejszy świadek oskarżenia zgłasza, że tak w istocie jest.

– No, nie wiem – mruknęła powątpiewająco Gina.

– Czego nie wiesz?

– Czy zeznania Terry’ego o tym, że rozpoznał Carrie, przejdą w sądzie.

– Na pewno nikogo nie przekonają. Duża odległość, zmieniona fryzura, widok zasłaniała woda. Takie zeznania zawsze łatwo podważyć. Kilka właściwych pytań i można dowieść, że świadkowi się tylko wydawało. A jeszcze jak się go zapyta, czy kiedykolwiek mu się zdarzyło, że chciał do kogoś podejść, żeby się przywitać, jednak w ostatniej chwili zrezygnował, bo się zorientował, że wziął obcą osobę za kogoś znajomego, wtedy już w ogóle cała sprawa się wali.

Świadek oczywiście potwierdzi, że coś takiego miało miejsce. Wtedy zeznanie nabiera charakteru prawdopodobnej pomyłki, a jeśli zaprzeczy, przysięgli nie uwierzą, bo każdemu coś takiego się przydarza.

– Tylko że my nie chcemy nikogo przekonywać.

– Właśnie – przytaknął Joe. – Musimy tylko wzbudzić w przysięgłych wątpliwości. To wystarczy, żeby Ronnie nie trafił do więzienia.

– Istnieje jeszcze jeden sposób, w jaki możemy wykorzystać Terry’ego – rzekła Gina.

– Jaki?

– W trakcie mojej kariery policyjnej miałam wiele razy do czynienia z zabójcami. Ty z tyloma nie spotkasz się przez całe swoje zawodowe życie. Wiem, jak się zachowują, gdy się ich złapie. Terry kojarzy mi się z pewnym typem przestępcy, z takich, co to chcą być ważni.

Choćby te jego fałszywe medale. Jest osobą, która lubi być w centrum uwagi, ale prawdziwego Terry’ego Daya zobaczyliśmy, gdy opowiadał o Grace. Oczy mu błyszczały, ożywił się. To jasne, że obserwował tę dziewczynkę, a to trochę dziwne, nie uważasz?

Joe był zaskoczony.

– Myślałem, że jesteś przeciwna rzucaniu oskarżeń na Daya.

– Byłam, ale go poznałam i teraz wiem o nim więcej.

– Więc co, uważasz, że jednak powinniśmy wzbudzić w przysięgłych podejrzenie, że to on mógł być zabójcą?

– A dlaczego nie?

– Dlatego, że musimy mieć jakąś strategię, a nie błądzić po omacku, mnożąc podejrzenia.

Dla nas będzie lepiej, jeśli przekonamy przysięgłych, że Terry może mówić prawdę. Próba przekonania przysięgłych, że kłamie, bo jest zabójcą, to większe ryzyko. Na poparcie tej tezy mamy tylko twoje podejrzenia, biorące się stąd, że Terry uznał, iż córka Ronniego jest ślicznym dzieckiem. Nawet Ronnie by się ze mną zgodził w tym względzie.

– Więc co zrobimy?

– To proste. Najpierw dowiemy się, dlaczego ukryto przed nami tę informację. Wiem, jak się za to zabrać, i dla ciebie też mam zadanie. Sprawdź, co się dzieje z Monicą, bo się o nią martwię. Nie zgłaszała, że jest chora, a taka nieuzasadniona nieobecność to do niej niepodobne.

– Wiem, mnie też to martwi – zgodziła się Gina. – Coś jest nie tak.

Rozdział 47

W drodze do domu Julie McGovern Sam był milczący. Obok niego na miejscu pasażera siedziała Charlotte, młoda policjantka, i to ona w końcu przerwała krępującą ciszę.

– Słyszałam, że twój brat jest adwokatem – powiedziała.

– Zgadza się.

Charlotte czekała, sądząc, że Sam powie coś więcej, ale ponieważ znowu pogрузzył się w milczeniu, poddała się i zajęła wyglądaniem przez okno. Okolica, którą przejeżdżali, była dziwną mieszanką starego i nowego. Obok rozpadających się jednorodzinnych domów powstawały nowoczesne osiedla, wszędzie były place budów, spychacze czyściły stare brudy, żeby zrobić miejsce nowym. Przy brukowanych ulicach, wypierając szeregowce, powstawały otoczone szerokimi połączaniami przerezzonych trawników niskie bloki z czerwonej cegły.

Między nimi wiły się liczne alejki, świetne miejscówki dla handlarzy narkotyków. W najciemniejszych zakamarkach latarnie straszyły potłuczonym szkłem; drogę wskazywał bezzłociowy asfalt.

Jednak im byli bliżej celu podróży, tym ulice stawały się szersze; domy, jak to na podmiejskich terenach, nie stały tuż przy drodze, tylko nieco w głębi.

– Przepraszam, że się nie odzywam – rzucił w pewnej chwili Sam. – Ale jestem dzisiaj jakiś rozkojarzony. Wczoraj moja siostra przeżyła niemiły incydent i ciągle mi to chodzi po głowie. – Odwrócił się do Charlotty. – A co do mnie i brata, to raczej rzadko rozmawiamy na tematy zawodowe. Tym bardziej teraz, kiedy brat podjął się obrony Bagleya.

– Przeszkadza ci to?

– Powiem tylko, że mam już dosyć kłótni o to samo.

Charlotte chwilę się zastanawiała, potem zapytała: – Twój brat jest uczciwym adwokatem?

– Tak – potwierdził Sam bez cienia wahania. – Czasami gra nieczysto i chyba nie przestrzega wszystkich przepisów, ale uczciwy jest na pewno.

– To czy nie lepiej, że to on broni Bagleya, niż ktoś, kto oszukuje i namawia świadków do składania fałszywych zeznań, tylko po to, żeby wygrać? A tak przynajmniej wiadomo, że wszyscy grają fair i że wyrok w sprawie będzie sprawiedliwy, bez względu na to, która strona odniesie zwycięstwo.

Sam po chwili zastanowienia głośno się roześmiał.

– Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem.

– Zawsze można znaleźć jakiś inny punkt widzenia.

Uśmiech utrzymywał się na jego twarzy aż do chwili, gdy podjechali pod dom Julie. Gdy zaparkowali i wysiedli, zauważył brak dziennikarzy, nie licząc jednego kamerzysty, który natychmiast zaczął ich filmować.

Przy furtce natknęli się na funkcjonariusza policji, pilnującego, żeby do domu nie wchodził nikt poza policją i członkami rodziny. W drzwiach czekała już policjantka z Wydziału ds.

Kontaktów z Rodziną.

– Co słyszać? – zapytał Sam.

– Dzisiaj już nie są tacy nakręcenii – odparła kobieta.

Kiedy wszedł do środka, zrozumiał, co miała na myśli. Poprzedniego dnia w domu panowała atmosfera napięcia i chaosu, paniki i gniewu zmieszanego z rozpaczą. Teraz dom był pogrążony w ciszy; rodzice Julie siedzieli w salonie i pustym wzrokiem wpatrywali się w przestrzeń.

Czekali.

Na widok Sama w oczach obydwójga pojawił się lęk: bali się, że przyniósł złe wieści.

Pokręcił głową.

– Przykro mi, ale nic nowego nie wiem. – Wszyscy usiedli i Sam wyciągnął z kieszeni przezroczystą plastikową torebkę. W środku było zdjęcie. – Mówiliście państwo, że córka nie miała chłopaka.

Rodzice Julie popatrzyli na siebie. Sam uważnie ich obserwował, chciał się przekonać, czy któreś czegoś nie ukrywa, ale na twarzach małżonków zobaczył tylko dezorientację.

Pierwszy odezwał się mąż.

– Nigdy żadnego nie przyprowadziła do domu i nigdy nie wspominała, że się z kimś spotyka.

Sam podsunął mężczyźnie zdjęcie.

– Zna pan tego chłopca?

Dłonie ojca Julie trzęsły się, kiedy oglądał zdjęcie. Sam widział w jego spojrzeniu, że myśli o tym, że chłopak na fotografii mógł być osobą, która skrzywdziła jego córkę. Gdy przekazywał zdjęcie żonie, miał zaciśniętą szczękę. Żona od razu przecząco potrząsnęła głową.

– Nie, nigdy go nie widziałem – rzekł ojciec.

– Zdjęcie wisiało na półce za monitorem – wyjaśniła Charlotte. – A na karteczkach, które leżały na biurku państwa córki, były narysowane serduszka.

Odezwała się matka Julie.

– Córka jest nastolatką. To normalne, jeśli się w kimś zakochała. – Potem kobieta spochmurniała. – Ostatnio była dziwnie milcząca. Nawet zaczęliśmy się martwić, ale to nastolatka, a oni już tacy są, prawda? Humorzaści i małomówni. Ale o chłopaku nic nie wiedzieliśmy.

– Więc kto to jest, ten na zdjęciu? – dociekał ojciec. – Sądzicie, że ma coś wspólnego ze zniknięciem Julie?

Sam nie potrafił odpowiedzieć, prawdą bowiem było, że nie miał pojęcia, kim jest chłopak.

Jedyne, co wiedział, to że zdjęcie z jakiegoś powodu budziło jego niepokój.

– Czasami, żeby wiedzieć, co jest ważne, trzeba najpierw wykluczyć wszystkie inne opcje.

To właśnie próbuję zrobić, wyeliminować chłopaka ze zdjęcia.

Sam wstał, jakby się zbierał do wyjścia. Rodzice Julie pozostali na swoich miejscach. W oczach mieli znajomy wyraz. To było oczekiwanie. Oczekiwanie, którego będą się kurczowo trzymali, aż do chwili odnalezienia Julie. Będą czekali, będą się zastanawiali, liczyli na cud, będą marzyć i wyobrażać sobie

najgorsze, aż wreszcie dojdą do ostatecznego wniosku: muszą się pogodzić z tym, że ich córka już nigdy nie wróci do domu.

Joe chodził w tę i z powrotem przed drzwiami sali numer cztery. Gina pojechała szukać Moniki w jej mieszkaniu; on czekał na Kim Reader.

Na korytarzu sądowym było spokojnie. Zbliżała się pora lunchu i w sądzie zostali tylko ci z najniższych szczebli sądowej drabiny. Przez wysokie okno Joe miał widok na Crown Square: w skąpanej w promieniach słońca restauracji ze stekami tłoczyli się goście, podobnie sytuacja wyglądała na schodach przed sądem, na które wylegli jego pracownicy, żeby w ciepłe słońca spokojnie wypalić papierosa. Joe usłyszał za plecami jakieś głosy i trzaśnięcie drzwi. Odwrócił się i stwierdził, że z sali rozpraw wyszedł adwokat. Miał przekrzywioną perukę. Zaraz za nim kroczył klient. Był wyraźnie zadowolony z tego, co się wydarzyło na rozprawie. Joe wiedział, że za chwilę pojawi się Kim.

Nie pomylił się. Kim wyłoniła się z sali z małą aktówką na dokumenty w rękę. Kiedy mijała obrońcę i jego klienta, obaj mężczyźni zamilkli, a uśmiech pozwanego zmienił się w grymas niechęci. Kim dostrzegła Joego i pokazując spojrzeniem pozwanego, przewróciła oczyma.

– Udało mu się, co? – rzucił Joe, podążając za spojrzeniem Kim; pozwany ścisnął teraz jakąś młodą dziewczynę w hipsterskich dzinsach.

– Dostał ostatnią szansę – burknęła Kim. – Jeśli się dobrze przyjrzyj tej owiniętej wokół niego blondynce, zauważysz, że nad okiem ma bliznę. To on jej to zrobił, butelką. Napisała do sądu, wzięła na siebie część odpowiedzialności, a teraz znowu się kochają. Ale to długo nie potrwa i kto wie, co się stanie, gdy następnym razem facet po pijaku wpadnie w zły nastrój.

– Nie zmienimy ich życia, Kim. Pojawiamy się w nim na krótko, potem wracamy do swoich spraw. Nie możesz się tak przejmować. – Joe się uśmiechnął. – To co, widzę, że się nie obraziłaś?

– Za co? Że mnie splewiłeś, kiedy rano zadzwoniłam? Czy

chodzi o ten przekręt z Terryem Dayem? – Kim również się uśmiechnęła. – Moje serce jakoś przeżyje ból odrzucenia, Joe Parkerze, a co do Daya... już się przyzwyczaiłam do twoich zagrywek. Wolałabym tylko, żeby Joe adwokat bardziej przypomniął Joego... cóż, wiesz, co mam na myśli. – Zaczerwieniła się. – A skoro mowa o przemocy – kontynuowała, znowu zerkając na pogodzoną parę – twoje oko wcale nie wygląda dzisiaj lepiej.

– Wkrótce się zagoi. Poza tym wiem, kto mi to zrobił.

– Kto?

– Ojciec kogoś, kogo zabił jeden z moich klientów. Facet już raczej nie będzie więcej mnie atakował, ale to on mnie naprowadził na trop Terry'ego Daya.

– No to mów, co ci powiedział Day, chyba że przyszedłeś, żeby mnie zaprosić na lunch.

Joe się roześmiał.

– Przypuszczam, że zachowuję się trochę jak... jakiego by tu określenia użyć?

– Jak zakręcony?

– Tak, może być zakręcony. Rzecz w tym, że naprawdę muszę z tobą porozmawiać o Dayu.

– Nie mogłeś zadzwonić do biura?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo chciałem widzieć twoją minę, kiedy będziesz odpowiadała.

– Wiesz, że nie bawię się w te gierki. Sądziłam, że lepiej mnie znasz.

– Znam cię, Kim, a raczej znam Kim, którą jesteś, kiedy zdejmujesz ten prawniczy mundurek. Ale między dziewiątą a siedemnastą jesteś inną osobą.

Kim nie odpowiedziała; zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Potem w ich stronę ruszył pozwany ze swoją uwieszoną na jego ramieniu dziewczyną.

– Możemy zmienić miejsce? – rzuciła Kim i powiewając

połami togi, odeszła w przeciwną stronę. Joe podążył za nią i za falującym warkoczem jej peruki. Wylądowali w małej salce konsultacyjnej, tylko cztery krzesła i stół. Kiedy Joe zamknął drzwi, Kim ściągnęła perukę i odłożywszy ją na bok, przez chwilę poprawiała włosy.

– Nienawidzę tych peruk – burknęła ze złością. – Swędzi od nich skóra, a poza tym niepotrzebnie układam rano włosy. I tak po zdjęciu peruki mam na głowie siano.

– Wcale źle nie wyglądasz – pocieszył ją Joe.

W podziękcie otrzymał uśmiech.

– Rano wyrzucałam sobie, że zachowuję się, jakbym się za tobą uganiała – wyznała Kim.

– Czasami to fajnie, że się ktoś za człowiekiem ugania.

– Czasami?

– Wtedy, kiedy na horyzoncie nie ma narzeczonego.

Kim spojrzała na swoją rękę i na widniejący na palcu pierścionek zaręczynowy. Przekręciła go.

– No to mów, co jest takie pilne.

– Chcę cię zapytać, czy masz mi coś do powiedzenia na temat Terry’ego Daya.

– To znaczy?

– Waszym argumentem w sprawie jest to, że Carrie i Grace nie żyją.

– To sprawa o morderstwo. Nie wiem, jaki inny argument moglibyśmy wysunąć.

– To dlaczego nie powiedziano mi, że Terry Day widział wasze rzekomo martwe ofiary już po dacie ich rzekomej śmierci?

Kim otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała i tylko zmarszczyła czoło.

– O czym ty mówisz? – spytała w końcu zdeorientowanym tonem.

– Dokładnie o tym. Terry Day widział Carrie i Grace w Cathedral Gardens w zeszłym tygodniu. I nim mi zarzucisz, że kłamie, wiedz, że mam to nagrane. Poza tym Terry mówił o tym policji. A skoro tak, to ty też musiałaś coś słyszeć.

Kim lekko poczerwieniała i mocniej zacisnęła usta.

– Słyszę o tym po raz pierwszy w życiu.

– Zgodzisz się, że jeśli Terry mówi prawdę, a nawet jeśli tylko może mówić prawdę, to sprawę macie przegraną? Zostaje wam tylko kobieta, która uciekła od partnera pijaka i damskiego boksera.

Kim odsunęła krzesło i usiadła. Joe usiadł naprzeciwko.

– Skąd wiesz, że Terry nie kłamie? – zapytała.

– Nie ma znaczenia, czy kłamie, czy nie, nie sądzisz? Jeśli mówi prawdę, przegraliście. Jeśli kłamie, znaczy, że jest oszustem, chce ściągnąć na siebie uwagę. Na takim świadku nie można polegać.

– Nie wiedziałam o zeznaniu Daya. Gdybym wiedziała, znalazłoby się to w aktach, chyba mi wierzysz?

– Wierzę, tylko nie rozumiem, dlaczego policja nic ci nie powiedziała.

– Tego zamierzam się zaraz dowiedzieć – odparła Kim i sądząc po złowrogim błysku w jej oczach, Joe domyślił się, że ktoś niebawem otrzyma bardzo niemiły telefon.

Rozdział 48

Sam wysiadł z samochodu, Charlotte zaraz za nim. Wiał chłodny wiatr, więc Sam zapiął kurtkę. Byli na wrzosowiskach, górujących nad miastem na falujących nagich wzgórzach.

Przyjechali do domu Gilly Henderson, kolejnej zaginionej dziewczyny. Wcześniej odwiedzili domy trzech pozostałych dziewcząt, żeby pokazać rodzinom zdjęcie młodego chłopaka znalezione za monitorem Julie. W każdym z domów rodzice mieli w oczach ten sam wyraz: mieszanek strachu i nadziei. I tak samo reagowali – z ulgą, bo skoro Sam nie przynosił złych wieści, których w gruncie rzeczy się spodziewali, to wciąż mogli mieć nadzieję, choćby tę najbardziej nikłą.

Odpowiedzi też brzmiały jednakowo – nigdy nie widzieli chłopaka ze zdjęcia.

Charlotte dołączyła do Sama, który spoglądał w dół, na dom Gilly Henderson. Zaparkowali na wiejskiej drodze, dwóch

przecinających ciemną, suchą trawę koleinach. Na polu z boku pasły się owce, poniżej, tam gdzie teren się wyrównywał, stał dwupiętrowy dom z dachem pokrytym ciemnym łupkiem. Okna na przerobionym na sypialnie poddaszu były maleńkie.

– Jesteś pewna, że to właściwe miejsce? – zapytał powątpiewająco Sam. Dokoła były tylko ciemne, zielono-brązowe, porośnięte krzewinkami wrzосу i trawą pofałdowane wzniesienia, bez jednego drzewa, które zatrzymywałoby wiatr. Teren urozmaicały jedynie pasy kamiennych murków i połyskliwe oczka wodne – rezerwuary spływających z gór wód. Z jednej strony teren wznosił się i opadał ku Yorkshire. Z drugiej, na tle ponurych zarysów wzgórz, niczym brudna plama swą szarzyzną straszyla rozlana zabudowa Manchesteru.

– Już tu byłam – wyjaśniła Charlotte. – Ojciec dziewczyny to jeden z prokuratorów w sprawie Granta. Bill Henderson. Miły człowiek. Mówił, że mógłby już przejść na emeryturę, ale nie robi tego, bo nie byłoby go stać na zajmowanie się tą małą hodowlą owiec. Dla niego to odskocznia od codzienności.

Sam ponownie się rozejrzył i mruknął pod nosem: – Wcale mu się nie dziwię.

– Przyjedź tu w listopadzie, kiedy pada i wieje, to może zmienisz zdanie – rzekła Charlotte i dodała: – To co zrobimy, jeśli i tu niczego się nie dowiemy?

– Zgłosimy się do znajomych Julie – odparł. – Jeśli się okaże, że oni też nie znają chłopaka, wtedy to będzie naprawdę podejrzane.

– Może to tylko jakiś przystojniaczek, którego Julie wypatrzyła w sieci albo gdzieś indziej?

Dziewczyny tak mają.

– Może – zgodził się, ale intuicja podpowiadała mu, że chodzi o coś więcej.

Drogą prowadzącą w dół zeszli do domu, drzwi wejściowe otworzyły się, jeszcze zanim do nich dotarli.

Stała w nich matka Gilly. Kobieta położyła rękę na sercu i głęboko westchnęła.

– Przepraszam – powiedziała. – Ale przez chwilę myślałam, że... no, rozumiecie państwo – Rozumiemy – potwierdził ciepłym głosem Sam. – Przyszliśmy o coś zapytać. – Wyciągnął torebkę dowodową ze zdjęciem. – Zna pani tego chłopca?

Kobieta wzięła zdjęcie i przysuwając je bliżej oczu, uważnie mu się przyjrzała. Na koniec pokręciła głową.

– Nie, nie znam.

Za jej plecami rozległ się jakiś hałas, kroki na schodach. Sam ujrzał młodą kobietę, starszą wersję zaginionej dziewczyny. Siostra Gilly. Matka podała jej zdjęcie i zapytała: – Rachel, znasz tego chłopca?

Rachel podeszła do matki i sięgnęła po torebkę. Kiedy zobaczyła zdjęcie, wyraz zaciekawiania na jej twarzy zmienił się w grymas niechęci.

– Ten kretyn? Co z nim?

– Znasz go? – zapytał z nadzieją Sam.

– W zasadzie to nie, ale gość chciał mnie poznać – wyjaśniła dziewczyna.

– To znaczy?

– No, skontaktował się ze mną przez Internet, przez mój profil. Pisał, że mnie widział, że podoba mu się to, czym się zajmuję, jazda konna i tak dalej, ale mu nie uwierzyłam. Trochę to było dziwne. Wprawdzie na początku mi schlebowało, że się mną zainteresował, ale był okropnie namolny, jakby strasznie szybko chciał się zaprzyjaźnić.

– Kiedy to było?

Dziewczyna pomyślała, po czym odrzekła: – Jakiś rok temu. Wydaje mi się, że myślał, że jestem młodsza, bo miałam wtedy na profilu stare zdjęcie. Z dłuższymi włosami, wyglądałam jak Gilly. Może myślał, że ja to ona. – W tym momencie dziewczyna załapała, dlaczego Sam pyta o chłopaka. – Czy on ma coś wspólnego z Gilly? Uważacie, że coś wie o jej zniknięciu?

– Nie wiemy – odrzekł Sam. – Na razie tylko sprawdzamy. Zabrał zdjęcie.

– Pamiętasz jakieś szczegóły? Nazwisko? Skąd pochodzi?

– Chciał się ze mną umówić – przyznała się Rachel. Jej matka szeroko otworzyła oczy.

– Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś?

– A o czym miałam mówić? Że spodobałam się chłopakowi i że mnie zaprosił na randkę? To przecież normalka, a poza tym to było kilka miesięcy przed zniknięciem Gilly. Nie widzę związku.

– Co on dokładnie mówił o tym spotkaniu? – dopytywał się Sam.

– Szczerze? Już nie pamiętam. To było tak dawno.

– A gdy pierwszy raz się odezwał, co mówił?

– Tylko że zna mnie przez jedną z moich koleżanek, Claire, ale pytałam ją i powiedziała, że nie zna gościa. Zgłosił się tylko na jej profil, żeby go dołączyła do grona znajomych, a wiadomo, jak z tym jest. Fajnie jest mieć dużo znajomych, więc się zgodziła, ja potem też, ale facet robił się coraz bardziej nachalny.

– Co przez to rozumiesz?

Dziewczyna się zaczerwieniła.

– Zadawał za dużo osobistych pytań. Co lubię, tego typu rzeczy.

– Próbował cię uwieść?

Rachel zerknęła na matkę.

– Zamierzałam go zablokować, ale akurat, kiedy się do tego zabierałam, okazało się, że zniknął z listy znajomych. Nie mogłam go odszukać, więc pewnie on mnie też zablokował.

– Możesz zajrzeć na profil Claire, sprawdzić, czy jest na liście jej znajomych?

– Jeśli mnie zablokował, to na jej liście też go nie będę widziała, ale mogę napisać SMS do Claire – odparła dziewczyna. – Pójdę po telefon.

Kiedy odeszła, jej matka odwróciła się do Sama. Widać było, że jest zaszokowana.

– Nic o tym nie wiedziałam. Naprawdę myślicie, że ten chłopak może mieć coś wspólnego z zaginięciem Gilly?

Sam chciał potwierdzić, wyjaśnić, że coś go niepokoi w związku ze zdejściem, tylko jeszcze nie wie co. Jednak pamiętał

pierwszą zasadę postępowania ze świadkami, że nie należy rozpalać ich nadziei. Pozytywne informacje można przekazywać tylko, gdy są sprawdzone i pewne, a z wątpliwościami trzeba poczekać, aż się rozwieją.

– To zwykła procedura. Sprawdzamy wszystko, co nam wpadnie w ręce – odrzekł. – A ostatnio w ręce wpadło nam to zdjęcie.

Widział, że matka wyczuła, iż unika szczerej odpowiedzi, mimo to milczał aż do chwili powrotu Rachel.

– Wysłałam SMS do Claire – poinformowała dziewczyna. – Jak odpisze, dam znać.

– Wolałbym sam z nią porozmawiać, więc może podaj nam jej namiary.

Rachel poszperała w szufladzie i gdy znalazła długopis, zapisała na kartce nazwisko i adres.

Sam odebrał karteczkę, po czym on i Charlotte pożegnali się i wyszli. Na dworze przywitało ich rześkie powietrze przyływające znad wrzosowisk.

– I co sądzisz? – zapytała Charlotte, kiedy szli do samochodu.

– Że zdjęcie jest ogniwem łączącym i że coś znaczy.

– Ale jak to się stało, że zwróciłeś na nie uwagę?

– Nie wiem i to mnie martwi – odrzekł. – Cały czas dręczyło mnie, że widziałem coś ważnego przy komputerze, ale nie wiem, dlaczego w ogóle miałem takie odczucie. I teraz też czuję, że powinienem się nad tym zastanowić, że to istotne.

– To mi wygląda na klasyczny przykład uwodzenia – stwierdziła Charlotte cichym głosem. – Ktoś namierza młodą dziewczynę i stopniowo ją uwodzi. Dziewczyna coraz więcej o sobie mówi, śle zdjęcia, również te intymne. Po jakimś czasie umawia się na randkę, jest przekonana, że chłopak jest w jej wieku lub niewiele starszy, ale okazuje się, że na spotkaniu zjawia się dorosły mężczyzna, który zna tajemnice dziewczyny, więc zaczyna ją szantażować i zmusza do robienia tego, co jej każe.

– Więc uważasz, że zdjęcie jest fałszywe, że to tylko

przykrywka?

Charlotte zabrała zdjęcie i uważnie mu się przyjrzała. Nagle, unosząc wysoko brwi, zatrzymała się w pół kroku.

– Zdecydowanie – mruknęła. – Nie pojmuję, dlaczego wcześniej tego nie zauważyliśmy.

– Czego?

Sam pochylił się nad zdjęciem, chcąc dostrzec to, o czym mówiła Charlotte. Fotografia przedstawiała szczupłego, modnie obciętego, ciemnowłosego nastolatka w T-shircie. Twarz rozjaśniona światłem lampy błyskowej. Za plecami spowita w półmroku ściana z jakimiś zdjęciami i plakatami.

– Nic mi się nie rzuca w oczy. Na ścianie są jakieś plakaty z drużynami sportowymi. I jakieś grupowe zdjęcia.

– Tak, ale widzisz, co to za drużyny?

– Nie bardzo rozpoznaję.

– Nie widać tego wyraźnie, ale niektórzy zawodnicy trzymają kaski – tłumaczyła Charlotte.

– Takie, jakich się używa w futbolu amerykańskim. A na półce widać czubek piłki, takiej do rugby.

– Jesteś pewna? – zapytał Sam, jeszcze niżej pochylając się nad zdjęciem.

– A może to piłka do futbolu amerykańskiego, już sama nie wiem.

Sam spojrzał na Charlotte.

– Chyba masz rację.

– Moim zdaniem ten chłopak jest Amerykaninem – kontynuowała Charlotte. – Falszywy profil łatwo założyć. Wystarczy wyszukać profil przystojnego chłopaka i skopiować jego zdjęcie. Potem tworzysz własny, wstawiasz zdjęcie, i proszę bardzo, masz kompletnie nową osobę. Chłopak jest młody i przystojny. Reszta to już poszukiwania. Wybierasz cel, dowiadujesz się, jaka jest ta namierzona osoba, i zaczynasz ją omotywać.

– Ale czy nastolatki naprawdę są aż tak naiwne?

– Młode dziewczęta i chłopcy niczym się nie różnią.

Emocje i nieznane im dotąd potrzeby targają nimi niczym huragan. Są zdezorientowani, wszystko im się miesza. Dlatego wystarczy, że ktoś im podsunie kierunek, i dzieciaki szybko wpadają w pułapkę. Pracowałam w wydziale do spraw przestępstw na tle seksualnym. Te psychole myślą tak samo. Każdy ma się za nauczyciela, wszyscy chcą przemienić swoje ofiary z dziewcząt w kobiety, ale gdy do tego dojdzie, często są zawiedzeni, bo dziewczynom otwierają się oczy i dociera do nich, że ten, kto je uwiódł, to po prostu seksualny przestępca, zwykły oszust. Najczęściej żalorny łaknący podziwu osobnik, dlatego wybiera dziewczyny, którym łatwo zaimponować i zmusić do robienia rzeczy, do których zrobienia ofiara nigdy publicznie by się nie przyznała. Ale wtedy jest już w pułapce. I w tym wszystkim podziw nie ma znaczenia: cały proces opiera się na strachu.

– Ale w naszym przypadku chodzi o coś więcej niż tylko uwiedzenie – zauważył Sam. – Nasze ofiary znikają.

Rozdział 49

Joe obrzucił Ginę zaskoczonym spojrzeniem, gdy wpadła do jego biura jak huragan.

– Co się stało? – zapytał z niepokojem.

– Chodzi o Monicę. Nie ma jej w domu. A kiedy do niej dzwonię, odzywa się skrzynka głosowa, jakby wyłączyła telefon.

– I na pewno nie dzwoniła, że jest chora?

– Nie. Pytałam wszystkich.

Joe zmarszczył czoło.

– To do niej niepodobne.

– Jest młoda, mieszka w dużym mieście. Może zabalowała?

– Uważasz, że to w jej stylu? – Ponieważ Gina nie odpowiadała, uczynił to za nią: – Ja też tak nie uważam.

– Martwię się, Joe.

– Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

– Dzwonić na policję nie ma na razie sensu – odparła Gina.

– Bo co mielibyśmy powiedzieć?

Że młoda, samotna kobieta nie zjawiała się w pracy?

– Należy przynajmniej powiadomić jej rodziców. Mamy ich

numer?

– Gdzieś na pewno jest – mruknęła Gina.

– Jestem przekonany, że wszystko będzie dobrze. – Joe posłał Ginie pocieszający uśmiech.

– No dobrze, wierzę ci – odparła była policjantka i zmieniając temat, zapytała: – To jak było z Kim? Co ci powiedziała twoja ukochana?

– Kim nie jest moją ukochaną.

– Ale będzie.

– Jako swatka chyba nie powinnaś popychać mnie w stronę kogoś, kto jest zaręczony.

– Skoro nie chcesz o nią walczyć, trudno.

Joe, uśmiechając się, pokręcił głową. Lubił sposób, w jaki Gina go traktowała. Reszta personelu podchodziła do niego jak do szefa, ale Gina wciąż widziała w nim początkującego prawnika, który próbował zepsuć jej dochodzenie.

– Kim nie wiedziała o Terry'm Dayu – poinformował.

– Wierzysz w to?

– Znałaś ją, kiedy jeszcze pracowałaś w policji. Jak ją postrzegaliście?

– Że kiedy się postara, jest naprawdę niezła, tyle że czasami strzela prosto do celu, jeśli wiesz, co mam na myśli. Woleliśmy, żeby nas bardziej wspierała.

– Ale to nie jest jej zadanie, prawda. Dlatego tak ją podziwiam jako prawnika. Kim potrafi być bezwzględna, ale jest uczciwa.

– A więc policja zatrzymała rewelacje Terry'ego dla siebie – mruknęła Gina. – Nieładnie.

– Ale cię to nie dziwi?

– Dziwi mnie jedynie, że sądzili, że im to ujdzie na sucho. Jak się jest policjantem, trzeba mieć wyczucie, przewidywać, co może do człowieka wrócić i się zemścić. Wiadomo było, że Terry Day nie utrzyma języka za zębami. Chcieli, żeby prawda wyszła na rozprawie? I żeby sędzia ich zrugał za ukrywanie dowodów? Dziwne. – Gina głośno westchnęła. – Więc co teraz?

– Porozmawiamy z Ronniem. Powtórzę mu, co powiedział Terry, a poza tym sprawdzę, czy prawnik z Mahones o tym wiedział. Wiesz, jak oni pracują: pewnie rozmawiali ze świadkami, jeszcze zanim Ronnie został oskarżony. Ronnie z nich zrezygnował, a jednak dalej działali w jego sprawie. Coś mi tu nie gra. – Joe zerknął na zegarek. – A Ronnie powinien tu zaraz być.

Zadzwoił telefon na biurku, więc sięgnął po słuchawkę, do której po chwili powiedział: – Przyślij go na górę. – Uśmiechnął się do Giny. – To Ronnie. Jest punktualny, co znaczy, że posiada przynajmniej jedną dobrą cechę.

Gina usunęła się na bok, gdy Ronnie wszedł do pokoju.

Ronnie oblizywał usta i przeczesywał dłońmi włosy. Wzrok miał dziwnie rozbiegany, podniecony, oczy czerwone, jakby mało spał.

Joe wskazał mu krzesło. Ronnie usiadł; Gina przysiadła na parapecie za plecami Joego.

– Co takiego pilnego mieliście do mnie? – zapytał Ronnie, nerwowo wierząc się na krześle.

– Chodzi o Terry’ego Daya – wyjaśnił Joe.

Ronnie głęboko wciągnął powietrze.

– To znaczy?

– Opowiedział nam kilka interesujących rzeczy. Jedna z nich może ci pomóc i uznałem, że chciałbyś usłyszeć pomyślnie wieści bezpośrednio z moich ust.

Ronnie pobladł i spojrzał na sufit. Joe przyglądał się jego rozdymającym się nozdrzom, nie rozumiejąc tej reakcji.

Potem Ronnie znowu opuścił wzrok i z wyrzutem warknął przez zęby: – Mówiłem, żebyście zostawili go w spokoju.

– Ale przecież nie wiesz jeszcze, co powiem.

– Nie chcę tego słuchać.

– Moim zadaniem jest wymyślenie dla ciebie linii obrony, co właśnie się stało.

– Nie, pana zadaniem jest robić to, co powiem – wygłosił Ronnie podniesionym głosem, uderzając ręką w poręcz. – Ja jestem klientem. Tak to działa.

– Nie, Ronnie, to wcale tak nie działa – zaprzeczył Joe, który w tej chwili mówił bardzo spokojnie, bardzo wyważonym tonem, żeby zatuszować rosnący w nim gniew. – Jeśli zależy ci tylko na reprezentancie w sądzie, to równie dobrze możesz sam siebie reprezentować. – Joe poczuł na ramieniu dłoń Giny, ale ją strząsnął. – Pozwól, że coś ci powiem, Ronnie. Nie zależy mi na tobie. Nie zależy mi na żadnym moim kliencie. Dobrego adwokata charakteryzuje to, że przede wszystkim dba o siebie i swoją reputację. Jeśli cię skażą, dla mnie będzie się liczyło tylko to, czy zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Jeśli uznam, że tak było, będziesz musiał się pogodzić z każdym wyrokiem, jaki usłyszysz. Jeśli wykonam dobrą robotę, to nie będę się specjalnie przejmował, nawet wtedy, gdy jedną z tych białych furgonetek zawiozą cię z powrotem do Strangeways.

Ronnie uparcie milczał.

– Więc nie myśl sobie, że będę robił, co powiesz, bo to by oznaczało, że nie wykonywałem swojej pracy jak należy.

Ronnie tylko splótł ręce na piersiach, co widząc, Joe z frustracji walnął pięścią w stół.

– I teraz to ty mnie posłuchaj, Ronnie – warknął. – Dzisiaj ci pomogłem. Rozmawiałem z prokuratorką i powtórzyłem jej, co mówił Day. Nic nie wiedziała, a ponieważ jest uczciwa, będzie to miało wpływ na przebieg procesu. Bardzo możliwe, że wycofa oskarżenie, jeśli uzna, że zeznanie Daya nie pozwoli jej wygrać sprawy. Więc powinienes mi być raczej wdzięczny, zamiast się ciskać.

– Nie chciałem, żebyście rozmawiali z Dayem – upierał się przy swoim Ronnie.

Joe popatrzył na niego i potrząsnął głową.

– Poddaję się. To twoje życie, nie moje. Ja wykonam swoją pracę, dostanę zapłatę i zajmę się następnym klientem, a o tobie zapomnę.

– Bardzo się pan zmienił – mruknął Ronnie.

– Jak to się zmieniłem? Przecież się nie znaliśmy przed tą sprawą – zdziwił się Joe.

– Zналиśmy się, i to dość dobrze. Tylko pan nie pamięta, i w tym cała rzecz.

– O czym ty mówisz? Gdzieś się spotkaliśmy? Już cię reprezentowałem?

– Skoro pan nie pamięta, to nie ma sensu o tym gadać.

Joe poczuł, że zalewa go wściekłość. Nie był w nastroju na zgadywanki.

– Dlaczego nie pytasz, co powiedział Terry Day?

Ronnie, odmawiając odpowiedzi, zacisnął zęby.

Joe postanowił złagodzić ton.

– Mówił, że tydzień temu widział Carrie i Grace.

Ronniemu w reakcji na wiadomość jedynie drgnęła powieka.

– To nie tylko oznacza, że nie mogą cię skazać. To znaczy też, że twoja córka prawdopodobnie wciąż żyje.

Ronnie spuścił oczy na podłogę.

Joe potrząsnął głową i wyprostował plecy. Zerknął na Ginę, która sprawiała wrażenie tak samo zaszokowanej jak on.

Ronnie spojrzał na Joego.

– Mówiłem, żebyście nie rozmawiali z Terryem Dayem.

– Dobrze pamiętam, co mówiłeś.

– W takim razie to koniec.

– To znaczy?

– To, co powiedziałem: kończymy współpracę.

Ronnie wstał.

– Co robisz? Dokąd idziesz?

– Jeśli powiem, zachowa to pan dla siebie?

Joe nerwowym ruchem przesunął ręką po włosach. Nagle poczuł się bardzo znużony.

– Tak, zachowam.

– Znikam stąd, wyjeżdżam. Mam dosyć.

– I nie obchodzi cię, że być może twoja córka żyje?

Ronnie po tych słowach znieruchomiał. Spojrzał na Joego, potem na Ginę.

– A gdzie ta druga laleczka? Monica?

– Dlaczego o nią pytasz?

– Na tamtą przyjemniej się patrzyło. Ma takie ładne włosy – rzucił Ronnie z szyderczym uśmieszkiem. – O, przepraszam, miała ładne włosy. Jak pan mówił, muszę pamiętać o formie czasowników. – Potem wyszedł.

– Ronnie, wracaj – krzyknął za nim Joe.

W odpowiedzi usłyszał tylko echo kroków na korytarzu.

Joe spojrzął na Ginę i zobaczył, że pobladła. Skąd Ronnie wiedział, że Moniki nie ma w pracy?

– Zadzwoń do brata. Chyba czas włączyć do sprawy policję.

Rozdział 50

Sam zadzwonił do inspektora Evans z samochodu.

– Chyba coś mamy – poinformował, gdy odebrała.

Opowiedział o zdjęciu, potem się rozłączył.

– I co mówiła? – zapytała Charlotte.

– Kazała iść za tropem i informować o postępach.

– Więc jedziemy do przyjaciółki siostry Gilly, tak? – upewniła się Charlotte, zaglądając do swoich notatek. – Do Claire?

Sam kiwnął głową.

– To zdjęcie je łączy, a ten, kto się ukrywa za profilem, najpierw zaczął Claire, dopiero potem zajął się Gilly.

W milczeniu pokonali zakorkowane autobusami, taksówkami i prywatnymi samochodami ulice centrum miasta, po czym wyjechali na drogę podmiejską, żeby na koniec skrócić w uliczkę, przy której stały domy w zabudowie szeregowej: partery z czerwonej cegły, reszta otynkowana. Z tyłu za domami rozciągało się boisko miejscowego liceum.

– To na pewno tutaj? – zapytała powątpiewającym tonem Charlotte.

– A co?

– Rozejrzyj się. Rachel Henderson to rozmiłowana w koniach córka adwokata. Jej przyjaciółki raczej nie mieszkają w takiej okolicy.

Kiedy zajechali pod adres, który dostali, Sam pokazał na

stojącą na dworze parę jeździeckich butów. Były zabłocone i wyglądało, że zostawiono je na zewnątrz, żeby obeschły.

– W tym wieku nawiązuje się przyjaźnie pod kątem zainteresowań. Dopiero później ludzie zaczynają zwracać uwagę na różnice.

– Bardzo głęboka myśl – zakpiła Charlotte z kwaśnym uśmiechem.

Kiedy szli podjazdem, drzwi z boku domu otworzyły się i stanęła w nich kobieta o rudych włosach, której rumiana i szorstka cera zdradzała, że jej właścicielka sporo czasu spędza na świeżym powietrzu.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała.

Sam wyjął odznakę.

– Musimy porozmawiać z Claire.

Kobieta była zaszokowana.

– Czy Claire zrobiła coś złego?

– Nie, nie, proszę się nie martwić. Po prostu wydaje nam się, że mogłaby nam pomóc w sprawie zaginięcia Gilly Henderson.

Kobieta gniewnie potrząsnęła głową.

– To straszne, co się stało. Biedna Gilly. Nie znałam jej dobrze, ale jej siostra, Rachel, to bardzo miłe dziecko. Jest taka mądra i bystra. – Kobieta krzyknęła w stronę kuchni: – Claire?

Policja do ciebie, w sprawie Gilly.

Po kilku sekundach w wejściu pojawiła się młoda dziewczyna, rude włosy miała potargane po jeździe w toczku. Była w utyłanych błotem bryczesach.

– Dostałam wiadomość od Rachel.

Sam popatrzył na matkę dziewczyny.

– Chcielibyśmy porozmawiać z córką na osobności.

– Wolalabym jednak zostać.

– Ile masz lat, Claire?

Dziewczyna spojrzała na matkę.

– Szesnaście.

– Chcesz z nami rozmawiać bez mamy?

Claire znowu zerknęła na matkę i pokręciła głową.

– Nie, mama może zostać.

Sam podał dziewczynie zdjęcie.

– Znasz tego chłopca?

Policzki Claire pokryły się rumieńcem, gdy usłyszała głośnie prychnięcie matki.

– Znowu on? – rzuciła kobieta ze złością. – Wiedziałam, że w końcu w coś się wpakuje.

– A więc pani go zna? – zdumiał się Sam.

– Ja nie – odparła kobieta. – Ale wy chyba powinniście, bo policja wie o nim wszystko.

Sam i Charlotte zostali wprowadzeni do pokoju dziennego, w którym na podłodze leżał dywan w różowy wzorek, a ściany były wyłożone pasiastą tapetą z biegnącą przez środek bordiurą w kwiaty. Wszędzie, gdzie tylko to było możliwe, stały rodzinne fotografie, a na jednej ze ścian widniała wystawa trofeów jeździeckich i kotylionów.

Kiedy usiedli, Sam pokazał na wystawę.

– Musisz być w tym dobra.

Claire podążyła za jego spojrzeniem.

– Lubię konie. Dzięki nim poznałam Rachel i Gilly. Jeździmy w tej samej stadninie. One wprawdzie mają własne konie, a ja tylko pomagam, ale Rachel wie, że dobrze jeżdżę.

Sam podniósł zdjęcie.

– Opowiedz mi o tym chłopcu.

Claire spojrzała na matkę, która kiwnięciem głowy dała znak, że się zgadza. Dziewczyna wzięła głęboki oddech i odsunęła włosy z twarzy.

– Skontaktował się ze mną przez Internet. Napisał, że widział mnie w stajni i że wie, że się przyjaźnię z Rachel. Pisał, że Rachel mu się podoba i że mu głupio, że tak mnie wykorzystuje, ale chciałby przeze mnie nawiązać z nią kontakt.

– A ty co na to?

– Tak jak napisał, uważałam, że mnie wykorzystuje, ale chłopaki tak robią. Kiedy spodoba im się jakaś dziewczyna, zwracają się do jej koleżanki, żeby ich zapoznała.

– I co zrobiłaś?

– Jakiś czas pisaliśmy do siebie SMS-y, potem gadaliśmy na czacie. On cały czas nalegał, żebym go poznała z Rachel.

– Zapoznałaś ich?

– W końcu tak, ale on się jej nie spodobał. Uważała, że jest obciachowy. Oczywiście nie był tym zachwycony. Na czacie pisał, że jest wściekły.

– Więc jak on się nazywa?

– Twierdził, że ma na imię Billy. Nazwiska nie pamiętam.

– I nadal jest na liście twoich znajomych?

– Nie.

– Podobał ci się, prawda? – zapytała Charlotte łagodnym tonem.

– Polubiłam go – przyznała Claire i pokazała na zdjęcie. – Fajnie wygląda, był dowcipny i wydawało się, że wie, co lubię. Ale potem policja powiedziała, że był zupełnie inny, o wiele starszy i niższy. I nawet nie nazywał się Billy.

– Co się z nim stało? – pytała dalej Charlotte.

Claire spojrzała na matkę, potem wbiła oczy w podłogę.

– Umówiłam się z nim. Miał mnie zabrać na spacer w jakieś miłe miejsce, ale, no... – Dziewczyna wzruszyła ramionami.

Jej matka wybuchnęła krótkim i cierpkim śmiechem.

– Nie dopuściłam do spotkania – wyjaśniła. – Claire nie wiedziała, że sprawdzam jej komputer. Szukałam właśnie takich rzeczy. Niektóre ich rozmowy były obrzydliwe. Claire nie powinna mieć wiedzy na takie tematy.

– Mamo!

Matka machnęła ręką.

– Powinnaś się cieszyć, że to odkryłam.

– I co pani zrobiła? – zainteresował się Sam.

– Ten chłopak pisał o spotkaniu, więc zadzwoniłam na policję. Wiedziałam, że coś jest nie tak.

– To znaczy?

Claire wyprostowała się i splotła ręce na piersiach.

– Mama chce powiedzieć, że tacy chłopcy nie interesują się

takimi dziewczynami jak ja.

Sam przeniósł wzrok na matkę, która tylko zasznurowała usta. Claire słusznie zgadywała, choć była to dla niej bolesna prawda.

– I jak zareagowała policja? – pytał dalej.

Odpowiedzi udzieliła matka.

– Usłyszałam, że skoro się tylko umawiali, to nie mogą nic zrobić. Nie chcieli reagować, bo jeszcze do niczego złego nie doszło. Co jest absurdalne, bo znaczy, że wszczęliby działania, dopiero gdyby córce coś się stało.

Sam podzielał zdanie kobiety, ale nie chciał wchodzić w dyskusje o niedociągnięciach w przepisach prawa.

– Powiedziałas Rachel, że chłopak nie jest tym, za kogo się podaje?

– Mama mi zabroniła – wyjaśniła Claire. – Mówiła, że już i tak narobiłam jej wstydu i że nie chce, żebym o tym rozpowiadała.

Sam przymknął oczy, zirytowany faktem, że Claire i jej matka nie przestrzegły Rachel.

– Mówiłaś, że chłopak był zainteresowany Rachel – rzekł, powracając do pytań. – Więc jak to się stało, że zaczęliście rozmawiać o tym, żeby się umówić?

Claire nie odpowiedziała. Spuściła wzrok i bawiła się palcami. Zamiast niej odpowiedziała jej matka.

– Bo ona mu się podłożyła – rzekła z obrzydzeniem w głosie, posyłając córce wściekłe spojrzenie. – Obiecała, że mu się odda, i jeszcze się przechwalała, co to ona mu robi.

Claire poderwała się na nogi i wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Jej matka na początku milczała, ale Sam i Charlotte nie naciskali. Wiedzieli, że kobieta w końcu coś powie. Długo nie musieli czekać.

– Przepraszam – rzuciła już spokojniejszym tonem. – Po prostu nie mogłam uwierzyć, że tak się narażała. Tyle razy ją przestrzegaliśmy przed Internetem i obcymi i że ludzie ukryci za klawiaturą mogą tylko udawać fajnych. A ona i tak to zrobiła. –

Kobieta pokręciła głową. – Ja też kiedyś byłam w jej wieku, ale wtedy było inaczej.

– Fakt, kiedyś świat był zupełnie inny – zgodził się Sam. – Tak czy inaczej, dziękujemy za poświęcony czas. Bardzo nam pani pomogła.

– Naprawdę?

– O tak. Prześledzimy sprawę pani doniesienia i dzięki temu uzyskamy nazwisko chłopaka.

– Ale ja mam jeszcze jedno pytanie, jeśli wolno – rzekła kobieta.

– Słucham, o co chodzi?

– Mówiliście, że przyjechaliście w związku z tym, co się stało z Gilly. Czy to znaczy, że ten chłopak mógł mieć coś wspólnego z jej zaginięciem?

– To tylko jedno z przypuszczeń – odparł Sam.

Kobieta przyłożyła ręce do twarzy.

– Nie zaprzeczacie, czyli że to, co się stało z Gilly, mogło się też przytrafić Claire.

Sam zawahał się przed odpowiedzią. Nie mógł zaprzeczyć, bo taka ewentualność istniała.

Wprawdzie Claire nic nie łączyło ze sprawą Bena Granta, ale przestępca mógł polować na różne ofiary.

Matka Claire zaczęła płakać, więc Sam uznał, że pora się ewakuować.

Dom opuścili sami, a kiedy szli do samochodu, ze środka przypląnęły do nich odgłosy kłótni.

– Zdaje się, że otworzyliśmy stare rany – mruknęła Charlotte.

– Ale również wpadliśmy na nowy trop – odrzekł. – Zajmiemy się nim zaraz po przyjeździe na komendę.

Rozdział 51

Następne pół godziny Joe nie pracował, tylko przesuwając się z fotelem, na którym siedział, myślał o Ronniem Bagleyu. Działo się coś niedobrego, czego nie rozumiał. Dlaczego Ronnie nie chciał wykorzystać zeznania Terry'ego Daya, mimo że

zawierało pomyślne wieści?

Przede wszystkim tę, że jego córka żyje? Po drugie – dzięki tym zeznaniom Ronnie mógł uniknąć dożywocia. Może opadły go wyrzuty sumienia, bo wiedział, że Day się pomylił, a jeśli tak, dlaczego po prostu się nie przyzna?

Joe opuścił biuro i poszedł szukać Giny. Siedziała przy swoim biurku ze słuchawką przy uchu.

Kiedy stanął w drzwiach, spojrzała na niego.

– Rodzice Moniki przyjeżdżają do Manchesteru. Oni też się niepokoją. – Zauważyła, że Joe trzyma kurtkę. – Dokąd idziesz?

– Do Mahones.

Gina zrobiła zaskoczoną minę.

– Mają informacje o przeszłości Ronniego – wyjaśnił.

– Tak, ale Mahones?

– Muszę lepiej poznać jego życiorys.

– Po co ci to? Prowadzisz własną sprawę. Przecież nie będziesz się opierał na tym, co Ronnie powiedział prawnikom z Mahones.

– Ronnie dwukrotnie napomykał, że powinienem go pamiętać. Teraz ze mnie zrezygnował. I jeszcze to, że mówił o Monice w czasie przeszłym...? Próbuje mi w ten sposób coś przekazać, bo z jakiegoś powodu nie może tego powiedzieć bezpośrednio.

– A oni cię tam w ogóle wpuszczają?

– Gina, ja tylko zrezygnowałem z pracy, to wszystko.

– Dobrze wiesz, co mam na myśli. Nikt nie odchodzi tak, jak ty to zrobiłeś.

Joe się uśmiechnął.

– Jestem ci wdzięczny za troskę.

Kiedy wyszedł na ulicę, nie musiał się odwracać, wiedział, że Gina obserwuje go z okna.

Przechodząc obok parku, zajrzał w głąb i ze zdumieniem stwierdził, że Ronnie stoi na ścieżce i patrzy w okno biura.

Mruknąwszy pod nosem: „A to gnojek”, skręcił do parku i podszedł do Ronniego.

Nie wiedział, co się może wydarzyć, nawet nie był przekonany, że Ronnie będzie chciał rozmawiać, ale chłopak się nie poruszył, gdy się do niego zbliżał.

– Wyjaśnij mi, o co chodzi z Monicą – zażądał.

Ronnie na początku milczał, w końcu jednak ze złością wyrecytował: – To wszystko pana wina.

– Jak to? O czym ty mówisz?

– Miał pan to powstrzymać.

– Dziwnie mówisz, Ronnie. Co miałem powstrzymać?

Ronnie usiadł na ławce i zwiesił głowę między kolana.

– Czy wie pan, co to za uczucie, kiedy traci się kontrolę nad wydarzeniami, kiedy coś sobie zaplanujesz, ale ktoś każe ci robić coś innego?

– To chyba zwykła proza życia, nie sądzisz?

– Albo śmierci.

Joe zacisnął zęby.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

Ronnie pokręcił głową.

– Nie, bo pan już nic nie zrobi. Już za późno.

– A co z Monicą?

Ronnie znowu pokręcił głową.

– O co panu chodzi? Nic o niej nie wiem. – Wstał i chciał odejść, ale Joe chwycił go za ramię.

– Mów, co się stało Monice?

– Nie muszę z panem rozmawiać – burknął Ronnie i wyszarpnął ramię, a potem szybko opuścił park. Przy furtce odwrócił się i krzyknął: – To wszystko przez pana.

Joe, zły i sfrustrowany, odprowadził Ronniego wzrokiem, potem ruszył w stronę kancelarii Mahones. Miał nadzieję, że tam znajdzie odpowiedzi.

Do kancelarii nie miał daleko, mijał ją codziennie w drodze do sądu, chociaż zawsze, gdy tamtędy szedł, przechodził na drugą stronę ulicy i patrzył pod nogi. Nie chciał nikogo spotkać.

W Mahones odbył staż, spędził tam dwa wspańiałe lata, ucząc się zawodu od bardziej doświadczonych prawników, a

potem, gdy już zbudował sobie portfolio, zaczął zaglądać na posterunki policji. To tam najwięcej się nauczył, o wiele więcej niż na sali sądowej, gdzie przynajmniej z pozoru pilnowano poszanowania prawa. Na posterunkach policyjnych dochodziło do drastycznych scen. Klienci, wściekli, że trafili za kratki, widząc nieopierzonego młodego adwokata, wpadali w jeszcze większy gniew. Policjanci też nie byli mili, pytali, jak może spokojnie spać, broniąc takich szumowin. Z początku Joe próbował się tłumaczyć, z czasem jednak dotarło do niego, że pytanie jest retoryczne. Przestał się tłumaczyć, a pytanie zbywał wyniosłym uśmiechkiem.

Po tym doświadczeniu praca w sądzie przypominała plac zabaw. Joe musiał tylko pamiętać, jakie pytania ma zadać, ciesząc się, gdy na miejscu dla świadka stał ktoś z policji.

Jednak do odejścia z Mahones nie zmusiły go długie godziny pracy ani chęć rozwijania kariery. Chodziło o coś zupełnie innego.

Kiedy przechodził przez drzwi wejściowe, zauważył, że wygląd recepcji się zmienił.

Zniknęło niskie biurko, zza którego recepcjonistka widziała cały hol, a w jego miejscu stanął wysoki kontuar. Joe domyślił się, że zmiana to wynik względów bezpieczeństwa; sporo klientów nie potrafiło się opanować, kradli wszystko, co było w zasięgu ręki.

Recepcjonistka, z powodu przesadnego makijażu przy siwych włosach sprawiająca wrażenie mocno zmęczonej, spojrzała w górę i gdy go rozpoznała, szeroko otworzyła oczy.

– Joe Parker! – zawołała. – Nie sądziłam, że zobaczę cię jeszcze kiedyś przechodzącego przez te drzwi.

– Witaj, Islo. Ja też nie myślałem, że do tego dojdzie. Ale przyszedłem w sprawie zawodowej, nie żeby rozrabiać.

– Och, daj spokój. To było tak dawno.

Joe rozejrzał się dokoła i nagle poczuł się w tym miejscu bardzo swojsko. Mile wspominał lata przepracowane w Mahones, pomimo nieprzyjemnego końca. W Mahones nie tylko zaczynał swoją karierę, ale też po raz pierwszy w życiu się zakochał. I to, jak to się mówi, na zabój.

Dziewczyna miała na imię Susie. Zatrudniła się w firmie jako stażystka, w czasie gdy on już zaliczył aplikację. Ponieważ przydzielono ją do niego, musiała chodzić z nim na wszystkie rozprawy. Z sądami jest tak, że sporo czasu spędza się w nich na korytarzach, czekając na wezwanie, więc on i Susie mieli okazję dobrze się poznać. Zresztą jemu to bardzo odpowiadało, bo Susie była śliczna, szczupła, z oliwkową cerą, sięgającymi ramion ciemnymi włosami i promiennym, łobuzerskim uśmiechem.

Do pierwszego zbliżenia doszło po długim dniu spędzonym w sądzie w Salford, który jeszcze wtedy mieścił się w starym budynku, w którym ławki były drewniane, a podesty zdobiły rzeźbienia. Wybrali się wtedy na drinka, a potem na następny. Susie nie wracała do siebie przez tydzień, a następnie, po miesiącu, przeprowadziła się do Joego.

Niestety, ponieważ jako adwokat na wezwanie Joe rzadko bywał w domu, Susie zaczęła się rozglądać. Nie musiała szukać daleko. To, czego potrzebowała, znalazła dwa pokoje dalej w postaci prawnika do spraw cywilnych. Pewnego wieczoru, w przerwie przesłuchań prowadzonych na komendzie, Joe wrócił do biura, żeby nadrobić zaległości w pracy papierkowej. Kiedy dotarł na miejsce, przeżył szok – zza zamkniętych drzwi biura kolegi usłyszał znajome, miękkie jęki Susie.

Z telefonem w dłoni cicho otworzył drzwi. Zanim para kochanków zdążyła go zauważyć, udało mu się pstryknąć trzy zdjęcia – Susie na biurku, bluzka i stanik na podłodze, spódnica zadarta na biodra, nowy kochanek pomiędzy jej rozchylonymi udami.

Joe nic nie powiedział. Nie musiał. Wyszedł z pokoju i to był ostatni raz, gdy jego stopa stanęła w kancelarii Mahones. Potem przez kilka tygodni nie robił nic oprócz usuwania z mieszkania rzeczy Susie, aż zadzwonili do niego z Honywells.

– Co tam słyhać u naszej pary gołąbków? – zapytał.

Isla uśmiechnęła się, a potem, rozejrzawszy się, żeby sprawdzić, czy nikt nie słucha, szeptem powiedziała: – Sytuacja jest napięta. Zdaje się, że żona nie chce spokojnie przeprowadzić

rozvodu.

Joe się ucieszył.

– Mimo wszystko trochę mnie gryzie, że wysłałem te zdjęcia – mruknął.

– Zupełnie niepotrzebnie. Ja tam na twoim miejscu byłabym z nich dumna.

Isla miała rację. Telefon był wyposażony w całkiem niezły aparat. Zdjęcia wyszły idealnie – na jednym Joe uchwycił piersi Susie, wyglądające jak dwie rozplywające się na talerzu galantyny, na drugim nogi Mike’a, których biel ostro kontrastowała z czernią spuszczonej do kostek spodni. Na trzecim widać było ich zaszokowane twarze, kiedy się odwrócili. Joe w przypiływie pijackiego gniewu i zazdrości jeszcze tej samej nocy rozesłał zdjęcia do wszystkich w firmie, a drzwi mieszkania zamknął przed Susie na łańcuch. Ale to zdjęcie wysłane do żony Mike’a narobiło najwięcej szkód.

Poznawszy ból niewierności, Joe postanowił, że nigdy nikogo tak nie zrani. Dlatego od tamtej pory interesowały go jedynie kobiety wolne, tyle że takich było wokół niewiele.

Zrozumiał, że przyjdzie mu czekać, aż ludzie z jego rocznika zaczną się rozwodzić.

– Potrzebuję porozmawiać z kimś, kto wie coś na temat Ronniego Bagleya – wyjaśnił.

Isla przez chwilę wyglądała, jakby nie kojarzyła nazwiska, ale na koniec zapytała: – To ten morderca?

– Bagley twierdzi, że nim nie jest.

– Słyszałam plotki na jego temat. Napsułeś kilku osobom krwi, podkradając Ronniego.

– Jakoś mnie to specjalnie nie rusza. Byleby tylko ktoś chciał ze mną o nim porozmawiać.

Może Matt?

– Mam sprawdzić, czy jest w biurze?

– Jeślibyś mogła. Nie przyszedłem tu z nostalgii.

Isla gdzieś zadzwoniła, a gdy skończyła rozmawiać, powiedziała: – Idź na górę. Matt wciąż urzęduje w tym samym

pokoju. – Widząc, że Joe się waha, dodała: – Mike’a nie ma.

– A Susie?

– Gdzieś się kręci, ale przecież nie będziesz się ukrywał do końca życia.

– Nie, chyba nie – zgodził się i odszedł w stronę schodów.

Kiedy się po nich wspinał, myślał o Ronniem i jego tajemnicach. Miał dziwne przeczucie, że wkrótce je pozna.

Rozdział 52

Sam i Charlotte przeszli prosto do stanowiska z komputerem. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Żeby dojść do rangi detektywa, Charlotte musiała wykazać, że posiada odpowiednie cechy, mimo to w zespole wciąż wypełniała funkcję młodszego oficera. Sam zdawał sobie sprawę, że jego pozycja jest jeszcze niższa.

Zalogował się do systemu i wyszukał skargę złożoną przez Claire. Gdy na ekranie pojawiła się ikona klepsydry, za jego plecami stanęła inspektor Evans.

– I jak wam dzisiaj poszło? – zapytała.

Sam się odwrócił.

– Wydaje się, że coś mamy – rzekł i opowiedział o zdjęciu oraz o powiązanych z nim osobach.

– Nowe ogniwo? – Evans chwilę myślała, po czym powiedziała: – Kontynuujcie poszukiwania, ale do tego zadania będziemy potrzebowali więcej ludzi.

Zanim Sam zdążył odpowiedzieć, ktoś z drugiej strony pokoju krzyknął do Evans: – Mary, prokuratura na linii.

– Za chwilę wracam – mruknęła policjantka i odeszła odebrać telefon.

Sam powrócił spojrzeniem do ekranu komputera, na którym wciąż migiała ikona klepsydry.

Nagle usłyszał głośny trzask słuchawki rzuconej na widelki. Razem ze wszystkimi odwrócił się w stronę, skąd dobiegł huk.

Evans podniosła się od biurka, wałąc tyłem krzesła w ścianę.

– No dobra, czas na spowiedź – oznajmiła, cedząc słowa przez zęby. – Kto rozmawiał ostatnio z Terry Dayem?

Nikt się nie odezwał. Kilka osób wymieniło spojrzenia i potrząsnęło głowami.

Evans wyszła zza biurka i przeszedłszy na środek pokoju, zatrzymała się tam i oparła ręce na biodrach.

– Żeby było jasne, porozmawiam sobie z Dayem, ale wolałbym usłyszeć prawdę od mojego zespołu – kontynuowała, okręcając się i patrząc na każdego po kolei. Nadal nikt się nie odzywał. – To był telefon z prokuratury. Wiecie, co się dowiedziałam? Że Terry Day opowiedział obronie, że widział Carrie Smith już po terminie, w którym Ronnie Bagley rzekomo ją zabił. Grace też. Nasze ofiary w sprawie o morderstwo. Jest przekonany, że żyją.

W pokoju dało się słyszeć zdumione sapnięcia, ludzie patrzyli po sobie i szeroko otwierali oczy. Wszyscy zdawali sobie sprawę, jak źle to wygląda. Bez potencjalnych nieboszczyków śledztwo czekało zamknięcie.

– Taka informacja nie miała prawa dotrzeć do mnie w ten sposób, z ust prokuratury. Więc mówcie, co wiecie, bo Terry powiedział obrońcy, że rozmawiał z kimś z naszych.

Evans, ciężko dysząc przez nos, znowu zaczęła się rozglądać po podwładnych. Jej groźne spojrzenie wyraźnie mówiło, że jest wściekła.

Wtedy rozległo się ciche kasznięcie. To był Ged, detektyw kulturysta, ten od kawy.

Evans szybko odwróciła się w jego stronę.

Ged, szukając wsparcia, popatrzył lękliwie na kolegów, ale wszyscy jakoś uciekali przed nim spojrzeniami.

– To ja z rozmawiałem z Dayem. Podczas weekendu – wykrztusił wreszcie.

– I co Day powiedział?

– To, co mówiłaś. – Ged uniósł ręce w geście obrony. – Hej, to nie tak. Day faktycznie powiedział, że widział Carrie, ale nic do siebie nie pasowało. Po pierwsze, Carrie miała inny kolor włosów,

o wiele ciemniejszy, a poza tym to była tak duża odległość, że mógł się pomylić. I tak mu powiedziałem, że musiał się pomylić. Sądziłem, że się ze mną zgodził.

– Widać jednak zmienił zdanie – warknęła Evans. – Co ty sobie wyobrażałeś, na litość boską? Cały weekend staramy się przekonać prokuraturę, żeby złożyła oskarżenie, a tymczasem nasz świadek zeznaje, że widział ofiary żywe.

– Uznałem, że nie ma sensu tego zgłaszać, bo obrona na pewno zrobiłaby z tego wielki szum, a nie ma z czego. Z tak dużej odległości łatwo się pomylić. I tak było, Dayowi coś się przywidziało.

– Nie interesuje mnie, co uznałeś – zaczęła groźnie Evans, podchodząc do Geda i nachylając się nad nim. – Zatrzymałeś informację dla siebie i teraz oprócz tego, że nasz świadek jest przekonany, że ofiary żyją, to jeszcze zarzucają nam mataczenie. – Pierś Evans ciężko falowała, podobnie jak nozdrza. – Możliwe, że spieprzyłeś dochodzenie i Ronnie Bagley pozostanie na wolności.

Ged, czerwony jak burak, wbił oczy w podłogę.

Evans odwróciła się do niego plecami i wskazała palcem na Sama.

– Idź do Daya i odbierz od niego nowe zeznanie. – Policjantka rozejrzała się po pozostałych osobach. – Świetnie wszyscy wiecie, jak pracuję. Zależy mi na prawdzie, nie na wynikach. Po to wstąpiłam do policji, żeby odkrywać prawdę. Nie chcę się więcej powtarzać. Czy wszyscy mnie dobrze zrozumieli?

Po pokoju rozszedł się pomruk potwierdzenia.

Evans wróciła za swoje biurko; Ged rozglądał się po kolegach, licząc na pocieszenie. Nikt nie zamierzał mu go udzielić.

Sam postanowił z powrotem skupić się na tropie ze zdjęciem. Kiedy znowu spojrzął na monitor, zobaczył na nim kilka wpisów powiązanych z Claire. Rejestr zgłoszenia skargi. Opis zdarzenia. Raporty funkcjonariuszy, którzy zajmowali się zgłoszeniem. Czytając opis, szeroko otworzył oczy.

Opis zawierał streszczenie zgłoszenia i tego, co w związku z nim uczyniono. Kończył się stwierdzeniem, że podejrzany został

pouczony w kwestii tego, do jakich celów nie wolno mu wykorzystywać Internetu.

– Musimy już iść – oświadczył, podrywając się od biurka. – Pojedziemy do Daya, ale najpierw wpadniemy do kogoś innego.

– To znaczy do kogo?

– Do mojego brata. Muszę z nim porozmawiać.

Pokazał na monitor. Charlotte sapnęła. Na ekranie widniało nazwisko podejrzanego, osoby ukrywającej się za fałszywym internetowym profilem, tej, która skontaktowała się z Gilly Henderson.

To był Ronnie Bagley.

Rozdział 53

Kiedy Joe szedł korytarzami kancelarii Mahones, zaczęły do niego powracać wspomnienia z wczesnego okresu jego kariery. Pamiętał, jak się na początku denerwował – nowy pracownik, żółtodziób, świeżo po studiach prawniczych. Pamiętał zakrapiane alkoholem noce i poranki, gdy budził się u boku młodej sekretarki lub urzędniczki. Te czasy skończyły się wraz z nastaniem Susie.

Podobnie jak wiele biur prawniczych w centrum, kancelaria Mahones mieściła się w jednym z tych niegdyś eleganckich, dużych budynków, poprzecinanych licznymi wijącymi się korytarzami i małymi pokojami o wykuszowych oknach, służącymi w przeszłości za sypialnie.

W budynku pachniało woskiem do mebli, widać było, że sprzątacze nie próżnują. Mijając kolejne pokoje, zerkał do środka każdego. Czasami ktoś podniósł wzrok, a ci, którzy go rozpoznawali, machali do niego. Niektórzy nawet za nim wołali, ale Joe się nie zatrzymywał.

Nie chciał robić wokół siebie szumu.

Biuro Matta znajdowało się na końcu korytarza, jego okna wychodziły na mały parking. Joe nie wiedział, jakiego przyjęcia może się spodziewać. Ostatnim razem, gdy się spotkali, podbierał Liverowi klienta.

Zapukał w drzwi i powoli je uchylił. Na jego widok Matt zawołał: – Ty to masz tupet, wiesz? – Roziskrzony gniewem oczy

Matta zasłaniały małe okrągłe okulary, ubrany był w garnitur z sieciówki, jak zwykle za ciasny, przez co wyglądał, jakby z niego wyrósł.

– Nie przyszedłem towarzysko – wyjaśnił Joe. – Poza tym już się nie złość, bo to nie ja starałem się o Ronniego. Sam o mnie poprosił.

– Nasz stary widzi to inaczej.

– Nie chciałem przysporzyć ci problemów, uwierz mi.

Matt wycelował palcem w jego podbite oko.

– Widzę, że dorobiłeś się kilku wrogów w ciągu minionego tygodnia.

– To długa historia, którą przemilczę, bo kilka osób stąd bardzo by się ucieszyło, gdyby ją poznało.

– Masz na myśli Susie?

– Ją to już na pewno. A co u niej słyhać?

– To że sypia z jednym ze współników, daje jej władzę, na którą nie zasługuje i której nie potrafi w ładnym stylu udźwignąć.

– Zawsze była ambitniejsza niż ja.

Matt westchnął.

– Okej, skoro nie przyszedłeś do mnie, dlatego że jestem taki błyskotliwy, to mów, o co chodzi.

– O Ronniego Bagleya.

– A co, chcesz go oddać?

– Wciąż napomyka, że mnie zna, ale ja go nie pamiętam. Mówi to tak, jakby to było coś ważnego, prawie jakby chciał, żebym wiedział, kim jest.

– Naprawdę go nie pamiętasz? – zdziwił się Matt. – Ronniego Fryzjera?

Joe otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymał się, bo nagle wróciła mu pamięć.

– Ronnie Fryzjer to Ronnie Bagley?

– Nie wiedziałeś?

– To było sześć, siedem lat temu. Od tamtego czasu miałem mnóstwo klientów.

Joe pogrzyżył się we wspomnieniach. Pamiętał, że sprawę

Ronniego Fryzjera, bardzo dziwaczną, potraktował jako odsapkę od zwykłych spraw, tych przepełnionych nieszczęściem i niegodziwością.

Ronnie miał obsesję na punkcie włosów. Łaził za studentkami po ulicach przy uniwersytecie, w kieszeni nosił nożyczki i obcinał dziewczynom kosmyki włosów. Spłynęło na niego kilka skarg, więc policja zaczęła go obserwować i w końcu przyłapała na gorącym uczynku. Ronnie w sądzie przyznał się do popełnionego czynu. Joe uważał, że dobrze zrobił, bo zarzuty dotyczyły tylko jednego przypadku. Pamiętał jednak, że Ronnie miał na ten temat odmienne zdanie.

Mimo to po latach znowu zwrócił się do niego, żeby go reprezentował.

– Ronnie się bardzo zmienił – wyjaśnił. – Zwyczajnie go nie rozpoznałem.

– Ludzie się starzeją.

– Ale teraz już rozumiem, dlaczego mówił, że powinienem go pamiętać – mruknął Joe.

Potem podziękował Mattowi i zaczął się zbierać. – Miło było pogadać i mam nadzieję, że więcej nie będzie między nami sytuacji takich jak z Ronniem. Tak czy inaczej, już pójdę. Nie chcę wpaść na kogoś, kto może być niezadowolony, że mnie tu zobaczy.

– No tak, racja. I cieszę się, że obiecujesz, że będziesz się trzymał własnych klientów. – Matt pokręcił karcąco głową. – Uważaj na siebie, Joe.

– Ty też.

Joe chciał jak najszybciej opuścić kancelarię. Dowiedział się tego, co chciał, chociaż nie bardzo pojmował, z czym to się może wiązać. Kiedy szybkim krokiem zmierzał korytarzem w stronę schodów, nagle usłyszał znajomy głos. Drzwi pokoju sekretarek otworzyły się i stanęła w nich Susie z aktami pod pachą.

Joe szybko się obejrzał, ale wiedział, że z tamtej strony nie ma wyjścia. Nie pozostawało mu nic innego, tylko iść dalej. Kiedy był już blisko, Susie się odwróciła.

Przez chwilę tylko na niego patrzyła, dzięki czemu oboje

mieli czas, żeby się opanować.

– Joe, co ty tu robisz? – zapytała ze zdziwieniem i pewnie, żeby uniknąć plotek, szybko zamknęła drzwi sekretariatu.

– Ot, zrobiłem sobie taką nostalgiczną wycieczkę – odrzekł lekko.

Susie popatrzyła na jego oko.

– Co się stało?

– Nie wszyscy klienci są zadowoleni z moich usług.

Ta uwaga przywołała uśmiech na twarz Susie, a Joe miał okazję sobie przypomnieć, co go tak w niej kiedyś zauroczyło. Pomimo skromnej powierzchowności Susie miała w oczach ogień.

Dla niego okazał się zbyt gorący.

– Ładnie wyglądasz – pochwalił, zanim zdążył ugryźć się w język. Ale naprawdę tak uważał.

Od rozstania prawie się nie widywali. Nie było go w domu, kiedy Susie przyszła zabrać swoje rzeczy. Potem widywał ją tylko z okna swojego biura, gdy pod nim przechodziła w drodze do pracy.

Susie się zaczerwieniła.

– Dziękuję – rzuciła, potem zerknęła w stronę biura, w którym ją przyłapał na zdradzie. Jej ramiona nagle opadły w dół. – Wciąż mi głupio, że tak się o wszystkim dowiedziałeś. Powinnam była ci powiedzieć.

– A mnie głupio za to, co zrobiłem po tym, jak cię przyłapałem.

– Zrobiłabym to samo – zapewniła.

– A jak ci się układa z Mike'em?

Susie potrząsnęła głową.

– Odkąd żona się dowiedziała, jest dość nerwowo. Zresztą nigdy nie zakładałam, że to będzie coś trwałego. To był po prostu... no, sam wiesz.

– Potrzebowałaś się do kogoś przytulić, bo mnie ciągle nie było?

– Coś w tym stylu – mruknęła Susie i łagodząc ton, dodała:

– Dlaczego wcześniej nie umieliśmy tak ze sobą rozmawiać?

- Dlatego, że teraz to mniej bolesne.
- No tak, racja... ale mów, co tu robisz?
- Ronnie Bagley.

Susie zmarszczyła czoło, potem wzrok jej się rozjaśnił.

- Ronnie Fryzjer?

– Jakim cudem go pamiętasz? To ja byłem jego adwokatem, nie ty.

– Pamiętam, bo wystąpił o zakaz zbliżania się dla swojej dziewczyny i chciał zatrzymać przy sobie córkę. Przyszedł z tym do mnie.

Joe był zaskoczony.

- Co, zakaz dla Carrie?

– No właśnie, Carrie.

- Dlaczego nie chciał, żeby się do niego zbliżała?

– Na tym polegał cały problem: nie chciał powiedzieć, więc nie mogliśmy mu pomóc.

– Chyba wiesz, że został oskarżony o zamordowanie Carrie i córki?

– Taa, słyszałam, jak Matt na ciebie wyklinał – przyznała Susie, dodając: – Ale co do oskarżenia Ronniego, to mam duże wątpliwości.

- Dlaczego?

– Bo Ronnie bał się Carrie i kochał córkę. Przynajmniej tak mówił, jakby ją kochał.

- I jak to się skończyło?

– Przestał przychodzić, kiedy zrozumiał, że będzie musiał wyłożyć kupę kasy na przegraną sprawę. – Susie podniosła na Joego zaniepokojone spojrzenie. – Może coś zaniedbałam? Może nie zabiły Carrie, gdybym załatwiła mu ten zakaz?

– Nie, ty nie masz z tym nic wspólnego. Dobrze wiesz, że nie kontrolujemy naszych klientów, co najwyżej możemy im czasami pomóc – uśmiechnął się. – Ale dzięki, Susie, że mi o tym powiedziałaś. To ważna informacja.

Odwrócił się, żeby odejść, ale Susie chwyciła go za rękę. Kiedy się zatrzymał i obejrzał, zbliżyła się i go pocałowała. Jej

cieple i miękkie wargi na chwilę rozpały w nim ogień pożądania. Susie odsunęła się i powoli otwierając oczy, szepnęła: – Nie pożegnaliśmy się jak należy, Joe. Chyba wiesz, o czym mówię. O ostatnim razie, żeby przypieczętować rozstanie.

Joe zabrał rękę i dał krok do tyłu.

– Masz kogoś, a zdrada boli. – Po tych słowach znowu się odwrócił, żeby odejść, a Susie tym razem już go nie zatrzymywała.

– Jesteś łajdakiem, Joe Parkerze – rzuciła za nim.

Nie zamierzał protestować. Za bardzo pochłaniało go pytanie, dlaczego informacje, jakie zdobył na temat Bagleya, tak go poruszyły.

Opuścił kancelarię i ruszył szybko w drogę powrotną do biura. A więc Ronnie kilka lat temu był jego klientem, a teraz zależało mu, żeby Joe sobie o tym przypomniał, jakby to było ważne.

I co on jeszcze bredził? Że to wszystko jego wina? Tylko o jaką winę chodzi?

Kiedy dotarł na miejsce, zobaczył samochód brata, w którym na miejscu pasażera siedziała młoda kobieta. Przewrócił oczami. Znowu będzie musiał wysłuchiwać mądrości Sama, samozwańczego patriarchy rodziny. Kiedy wszedł do budynku, Sam siedział w recepcji.

– W czym ci mogę pomóc, Sam? – zapytał, próbując ukryć znużenie.

Sam pokazał na jego oko.

– Skąd to masz?

– Kolejny niezadowolony klient.

– Zgłosiłeś to?

– Nie, nie zgłosiłem i nie zgłoszę. Nie warto, to nic ważnego.

– Próbowałem cię złapać wczoraj wieczorem.

– W trakcie utarczki rozbiłem telefon – wyjaśnił Joe. Sam, kiedy to usłyszał, chyba się rozluźnił. Na Joego miało to odwrotny wpływ. – Stało się coś? – zapytał, ale zauważył, że Marion im się przysłuchuje, więc kiwnął głową w stronę schodów. – Chodźmy,

znajdziemy bardziej ustronne miejsce.

Gdy szli korytarzem, pojawiła się na nim Gina. Sam popatrzył najpierw na nią, potem na Joego i szeroko otworzył oczy.

– Gina pracuje u nas od roku – wyjaśnił Joe.

– Cześć, Sam – przywitała się była policjantka.

– To ty prowadziłaś śledztwo w sprawie Ellie – zauważył Sam. – I to ty mnie zainspirowałaś, żebym wstąpił do policji, a teraz zajmujesz się tym?

– Czyli czym?

– Pomagasz bandytom.

– Pomagam ludziom.

– Tak samo myślałaś, kiedy jeszcze byłaś w policji?

– Nie, raczej nie.

– To kiedy miałaś rację, wtedy czy teraz?

– Teraz widzę drugą stronę medalu. W życiu nie zawsze wszystko jest jasno określone.

Joe chrząknął, żeby przerwać tę dyskusję.

– Z czym przyszedłeś, Sam? Znowu będziesz węszył w sprawie Ronniego Bagleya?

Sam zacisnął zęby.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać na osobności – oświadczył, zerkając na Ginę.

Gina położyła mu rękę na ramieniu.

– Miło było cię znowu spotkać, Sam. Zostawię was samych.

Sam i Joe zachowali milczenie do chwili, aż opuściła biuro. Potem Joe usiadł i powiedział: – Teraz pracujesz dla wydziału zabójstw, więc pewnie chodzi o jakąś sprawę od nich.

Znowu przyszedłeś wycisnąć ze mnie jakieś informacje?

Sam popchnął okulary głębiej na nos.

– Nie przyszedłem się kłócić, Joe. Ale jeśli masz ochotę się ciskać, proszę bardzo. Tylko nie udawaj świętoszka, bo moja robota polega na docieraniu do prawdy, a twoja na próbach jej ominięcia. Tym właśnie zajmują się adwokaci, zgodzisz się chyba: pomagają klientom wywinąć się od różnych rzeczy. Więc nie

urządza mi tu umoralniających wyrzutów, bo to, co ja zrobiłem, to nic w porównaniu z tym, co wykrecąją twoi klienci. Ale ty przecież nikogo nie oceniasz, oczywiście poza mną, prawda?

– Więc przyszedłeś się usprawiedliwić? Cóż, zrobiłeś to, więc żegnam.

Bracia mierzyli się wściekłymi spojrzeniami. Sam wciąż stał. Joe siedział za biurkiem, opierając na nim ręce.

Pierwszy milczenie przerwał Sam.

– Przyszedłem w sprawie Ronniego Bagleya.

– Odpieprz się, Sam. Nic ci nie powiem o moim kliencie.

– Nie chodzi o obecną sprawę – warknął Sam, podnosząc głos. – Chodzi o Ruby.

Joe znieruchomiał.

– Ruby? To znaczy?

– Najpierw powiedz mi wszystko, co wiesz o Bagleyu.

– Ale dlaczego on jest taki ważny?

– Boję się, że może zagrażać Ruby.

– Ronnie? Chcesz powiedzieć, że jej w jakiś sposób groził?

– Ruby ktoś śledził. Wczoraj.

Joemu nie spodobał się twardy wyraz twarzy brata.

– Śledził? Gdzie to było?

– Na ścieżce.

Joe zaczął trzeć oczy, ale zaraz przestał, przypomniawszy sobie o siniaku.

– Co? Na tej ścieżce, gdzie Ellie...?

Sam pokiwał głową.

Joe opuścił wzrok na biurko. Zalały go wspomnienia: Ellie skręcająca na ścieżkę, słuchawki na jej uszach, zakapturzony mężczyzna.

– Czy Ruby wie, kto ją śledził? – zapytał, podnosząc głowę.

– Nie. Nie zdążyła się przyjrzeć, widziała tylko niewyraźną sylwetkę między drzewami, ale to wystarczyło, żeby się wystraszyła. Mówiła, że ten ktoś szedł w tym samym tempie co ona.

Nikomemu nic nie mówiła, bo bała się mamy, ale ponieważ była bardzo smutna i cicha, mama w końcu z niej to wyciągnęła.

– I co z tym zrobimy?

– Zamierzam sprawdzić, czy w ostatnich kilku tygodniach ktoś zgłaszał, że w okolicy kręci się podejrzany typ, ale przede wszystkim martwi mnie Bagley.

– Ale skoro Ruby nie widziała wyraźnie, to skąd pewność, że to był Ronnie?

– Spróbuj myśleć jak glina, a nie jak adwokat – warknął Sam. – Jeśli wiedziałbym, kto to jest, mógłbym tej osobie utrudnić życie. Jeśli to Ronnie, postaramy się o odwołanie zwolnienia za kaucją.

– Dlaczego uważasz, że to był Ronnie?

Sam ciężko westchnął.

– No tak... ja ci powiem, co wiem, a ty nadal go będziesz bronił, prawda?

– Nie, to nie tak.

– Powiem, pod warunkiem że nic nie wyjdzie poza ściany tego pokoju. I nie będę chciał cię znać, jeśli dorwiemy Ronniego, a ty wykorzystasz coś z tego, co powiem, w sądzie.

– Jesteśmy braćmi – przypomniał Joe. – Poza tym, jeśli w sprawę zamieszana jest Ruby, to nic więcej się nie liczy.

Sam przez chwilę milczał, potem rzekł: – Jest coś, o czym nie wiesz. Jeszcze tego nie upubliczniliśmy, ale prasa wkrótce roztrąbi temat.

– Mów.

– Znikają młode dziewczyny. Do tej pory zaginęła piątka. Ostatnia wczoraj. Między zaginionymi istnieje związek, rodzice wszystkich mieli coś wspólnego ze sprawą Bena Granta.

Zaginęła córka członka ławy przysięgłych, jednego z adwokatów, technika kryminalistycznego, detektywa.

Joe był skołowany.

– Chodzi o tego Granta, którego zatrzymałeś? Tego zabójcę dzieci?

Sam przytaknął kiwnięciem głowy.

– Dziewczyna twojego klienta, ta, która nie żyje, Carrie, była najczęstszym gościem Granta w więzieniu.

– Ta, która zdaniem Terry’ego Daya wciąż żyje.

– Nie będę się teraz o to sprzeczał.

– W porządku, rozumiem, ale dlaczego tego nie ogłosiliście?

– Bo nie chcemy, żeby osoba, która jest odpowiedzialna za zaginięcia, zorientowała się, że dostrzeżliśmy powiązanie. A w sprawę zamieszany jest również Ronnie.

– W jaki sposób?

– Odkryliśmy, że zaginione dziewczęta łączyła jeszcze jedna rzecz: internetowy profil, pod który podszywał się Ronnie, żeby uwodzić te dziewczyny.

– Ronnie uwodzicielem? – Joe był szczerze zaskoczony. – Takim zwykle chodzi o dzieci.

Nie sądzę, żeby Ronnie miał podobne skrzywienie.

– Gusta się zmieniają – zauważył Sam. – A wszystkie fakty wskazują na niego. Ruby mówi, że ktoś ją śledził, a kto był bardziej powiązany ze sprawą Granta niż ja? Przecież to ja go zatrzymałem.

Joe poczuł, że zalewa go fala paniki. Serce zaczęło mu walić jak oszalałe, żołądek zawiązał się w supeł.

– No dobrze, skoro wymieniamy się informacjami, ja też coś mam. W Mahones nazywaliśmy go Ronnie Fryzjer.

Sam zbladł i opadł na krzesło przed biurkiem.

– Fryzjer? Dlaczego?

– Miał jakąś obsesję na punkcie włosów. Obcinał kosmyki studentkom i go złapali. Jak to możliwe, że o tym nie wiesz?

Sam chwycił się za głowę.

– Sam, co się stało?

– Wczoraj byłem w więzieniu, rozmawiałem z Grantem. Opowiadał, że zabił swoją siostrę, podobno powodowany obsesją na punkcie włosów. Ale kiedy sprawdziliśmy jego akta, okazało się, że nie miał żadnej siostry. – Sam wyciągnął telefon i wybrał numer inspektor Evans. Kiedy odebrała, powiedział: – Muszę

jeszcze raz porozmawiać z Grantem. – Gdy wyjaśnił, o co chodzi, z miejsca otrzymał pozwolenie.

– Muszę lecieć – zwrócił się do Joego. W drodze do drzwi rzucił: – Mama się niepokoi.

Pomyśl, żeby do niej wpaść. – I już go nie było.

Kiedy jego kroki na korytarzu ucichły, w biurze zapanowała przytłaczająca cisza. Joe pomyślał o człowieku, który przed laty śledził Ellie. Teraz ktoś chodził za Ruby.

Drzwi biura wolno się uchyliły i w szparze pojawiła się głowa Giny.

– Wszystko w porządku? – zapytała Gina.

– Nie – odparł Joe. – Nic nie jest w porządku.

Rozdział 54

Gdy strażnik wprowadził Sama i Charlotte na więzienny korytarz, Charlotte zapytała: – Naprawdę sądzisz, że Grant powie coś więcej?

– Wczoraj dał niezły pokaz, zakpił sobie ze mnie – mruknął Sam, wycierając okulary chusteczką. – Na pewno jest ciekaw efektów.

– Jesteś przekonany, że to dobry pomysł? Wyglądasz na zdenerwowanego. Żeby cię nie wyprowadził z równowagi.

– Grant wczoraj skłamał. Czuję, że ta jego historyjka nie ma sensu, ale teraz się zastanawiam, czy coś się za nią nie kryje. Widziałas go kiedyś?

– Nie i bardzo jestem ciekawa.

– Spodoba mu się to – rzucił Sam. – Uwielbia zainteresowanie. Wczoraj rozmawiałem z nim pierwszy raz od dnia zatrzymania. W ogóle się nie zmienił. To człowiek, który skumulował w sobie całe zło świata. Rzecz w tym, że on zdaje sobie z tego sprawę, i chyba właśnie to najbardziej mu się w nim samym podoba.

Dotarli do zamkniętego pokoju. Strażnik otworzył go i Sam wraz z Charlottą weszli do środka.

– Nie spodziewałem się, że przyprowadzisz koleżankę.

– To detektyw Glover – spokojnie oznajmił Sam. – Dzisiaj

pracujemy razem.

– Ale chyba ma jakieś imię, co? – burknął Grant, nie spuszczając wzroku z Charlotty.

Charlotte potrząsnęła głową.

– Pani detektyw wystarczy.

Grant się skrzywił.

– I tak się dowiem – mruknął i zaraz dodał: – Zresztą dla mnie jesteś za stara.

– I na zawsze poza zasięgiem – odgryzła się Charlotte.

Sprawiała wrażenie twardej i pewnej siebie, ale Sam zauważył, że siadając, zaciągnęła poły marynarki, tak żeby Grant nie mógł zaglądać jej w dekolt. Grant też musiał to zauważyć, bo przekrzywił głowę i powiedział: – Proszę tego nie robić, pani detektyw. – Z teatralną miną rozejrzał się na boki, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie słyszy, i wyszeptał: – Wykorzystam panią dzisiejszej nocy, jeśli wie pani, co mam na myśli. Mogę się z panią zabawić nawet tutaj – i Grant postukał się palcem w skroń.

– W porządku, Grant, rozumiemy – wtrącił się Sam poirytowanym głosem. – Ale zmieńmy temat.

– Och, dlaczego? – Grant, udając zaskoczenie i rozczarowanie, zasłonił dłonią usta. – Masz coś przeciwko fantazjom? To sto razy lepsze niż rzeczywistość. W myślach można odtworzyć każdą scenę i niepotrzebny do tego kontakt z drugim człowiekiem, te wszystkie podchody, wielkie uczucia. Ale powiedz no, panie Parker, wspominałeś o mnie żonco? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, Grant mrugnął do Sama. – Widzę, że nie, bo to by znaczyło, że mi uległeś. Więc jak było? Nic nie powiedziałeś, ale też się do niej nie zbliżyłeś, co? Duży błąd.

Sam, żeby się nieco uspokoić, otworzył notatnik, ale wtedy Grant dodał: – A co z twoją siostrą? Z małą Ruby?

Sam się spał, mimo to nie odrywał oczu od notesu.

– Nic się jej nie stało? Chyba nie, inaczej by cię tu nie było. Oddawałbyś się żalobie, tyle że tym razem nie zostałaby ci już żadna siostra, a twoja matka, no cóż, jest już za stara, żeby urodzić ci kolejną siostrzyczkę. – Grant pochylił głowę, chcąc przechwycić

spojrzenie Sama. – Albo raczej urodzić ją dla mnie, co?

Sam poczuł, że krew napływa mu do twarzy. Jego palce same zacisnęły się na notesie. W polu widzenia nagle miał tylko Granta. Chciał się na niego rzucić, chciał go zmasakrować. Nie zrobił tego tylko dlatego, że wiedział, iż Grantowi właśnie o to chodziło.

Na ramieniu poczuł łagodny dotyk. Spojrzał w bok. Charlotte lekko kręciła głową, jakby mówiła: nie daj mu się.

Potem odsunęła rękę i zwróciła się do Granta.

– W porządku, zamieniamy się w słuch, proszę mówić.

Grant prychnął.

– Ale o czym? To wy do mnie przyszlście. Skąd mam wiedzieć, o co wam chodzi.

– Po pierwsze, chcę wiedzieć, dlaczego mnie wczoraj oszukałeś – odezwał się Sam.

Grant nie spuszczał oczu z Charlotty. Sam nie wiedział, czy robił tak, bo policjantka mu się spodobała, czy dlatego, że chciał ją zawstydzić.

Zabębnił palcami w stół.

– Tutaj, Grant – i pokazał na siebie. – Rozmawiasz ze mną.

Grant odchylił się na oparcie i splótł ręce na piersiach.

– Co chcesz wiedzieć?

– Wczoraj opowiedziałeś mi historyjkę o tym, jak to niby zabiłeś swoją siostrę – zaczął Sam. – Pewnie dobrze się ubawiłeś, ale dla mnie i mojej przełożonej to nie było zabawne.

Sprawdziliśmy, nigdy nie miałaś siostry. Dlatego wybaczone, ale więcej nie będziemy się zajmowali tym tematem. Mamy co innego do roboty, chyba rozumiesz. I o wiele mniej wolnego czasu niż ty.

Grant wybuchnął śmiechem.

– Już wczoraj ci powiedziałem, że wszystko, co potrzebujesz wiedzieć, było w mojej opowieści, ale widzę, że tylko marnowałem czas. Jesteście zbyt głupi, żeby mnie rozgryźć.

Sam pokornie spuścił głowę.

– To fakt, nie dorównuję ci inteligencją.

– Nie kpij sobie ze mnie – warknął Grant.

– No, jak to? Przecież chyba po to nas wezwałeś – kontynuował Sam. – Żebyśmy cię podziwiali. A teraz mów, co twoim zdaniem przeoczyłem?

Grant milczał.

– Chodzi o moją siostrę, co? – rzucił Sam. – Nie tę, którą zamordowano, ale tę, która żyje.

W ten sposób dajesz mi do zrozumienia, że dużo o mnie wiesz. Ale to przecież nic wielkiego.

Mamy wiek informacji, cały świat jest dostępny za jednym kliknięciem myszki. Mam się zachwycać, że potrafisz korzystać z komputera? – Sam zaczął bić brawo. – No dobra, jestem pod wrażeniem. Ale jest coś jeszcze, Grant. Mów, czego nie zauważyłem.

Grant poczerwieniał, jednak wciąż się nie odzywał.

Sam spojrzął na Charlotte, która lekko wzruszyła ramionami. Oboje wstali.

– No to do zobaczenia, Grant – rzucił Sam i odwrócił się, jakby chciał odejść. Nagle jednak się zatrzymał i dodał: – O nie, przepraszam, źle powiedziałem. Żadne „do widzenia”, bo przecież ty jesteś tutaj, a ja tam, więc gdzie mielibyśmy się spotkać?

– Nic się martw, tam też będę – burknął Grant lodowatym głosem. – I radzę ci o tym nie zapominać.

– Jak to, tam też będziesz? – zapytał kpiąco Sam. – Mówisz, że będziesz w mojej głowie? – Sam szyderczo prychnął. – Niedoczekanie twoje.

– Wiesz, co to jest ostateczna władza? – zapytał nieoczekiwanie Grant.

– Nie, musisz mnie oświecić.

– Usiądź, to ci wyjaśnię.

Sam chwilę się zastanawiał, ale w końcu usiadł, a razem z nim Charlotte.

– Tylko pamiętaj, że kończy nam się cierpliwość.

Oboje wpatrywali się w Granta, który patrzył na nich wściekłym wzrokiem. Sam go wkurzył.

– Doświadczyłeś kiedyś zdrady? – zaczął. – Zdrada sprawia, że człowiek chce się zemścić.

Możliwe, że to przez nią rozmawiam z wami w ten sposób i mówię to, co mówię.

– Ktoś cię zdradził? – zaciekał się Sam.

– Wiesz, zabijanie to nie to, co myślisz – ciągnął Grant.

– A co zabijanie ma wspólnego ze zdradą?

– Wszystko. Ale powiedz, jakie twoim zdaniem uczucia towarzyszą zabijaniu?

– Dlaczego sądzisz, że się nad tym zastanawiałem?

– Na pewno się zastanawiałeś. Każdy czasami o tym myśli. Ty sam w tej chwili z chęcią byś mnie udusił, przecież widzę. Ale nie zrobisz tego, bo powstrzymuje cię tak zwana ludzka przyzwoitość. Poza tym nie sprawiłoby ci to przyjemności.

– Skąd to przekonanie? – zadrwił Sam. – Mam wrażenie, że nic nie sprawiłoby mi większej radości, niż widzieć, jak cierpisz.

– Mylisz się. Wcale by tak nie było. Oczywiście człowiek planując zemstę, jest nakręcony.

Oczekiwanie też może być ekscytujące, ale w momencie faktycznych wydarzeń jest się nimi w pełni pochłoniętym. Nie ma miejsca na delektowanie się tym, co się dzieje. Adrenalina jest tak silna, że wszystko wygląda jak nacierająca na ciebie nawałnica obrazów. Ma się wrażenie, że to, co się dzieje, nie dzieje się naprawdę. Tak więc prawdziwą przyjemność odczuwa się w fazie planowania. Sam akt zabijania to tylko realizacja, dopełnienie.

– Więc na czym polega ten ostateczny odjazd na punkcie władzy?

– Na tym, że przeżywasz ekstazę nie sam, ale z kimś.

Sam się wzdrygnął i przypomniał mu się dzień, gdy zatrzymał Granta. Grant był młodszy, on mniej doświadczony.

Grant się uśmiechnął.

– Od początku o tym wiedziałeś – zwrócił się do Sama. – Już tam, w tym miejscu, w którym mnie zatrzymałeś, tam, gdzie zostawiłem mój ostatni prezent. Dobrze wiedziałeś, że ktoś tam ze mną był, ukrywał się w krzakach.

– Nie, to nieprawda – zaprzeczył Sam.

– Nie? Pamiętam, jak na mnie patrzyłeś. Byłeś przerażony, twoja mała latareczka drżała ci w dłoni, ale mimo wszystko obejrzałeś się, kiedy coś usłyszałeś. Poświeciłeś tam latarką, ale przypomniałeś sobie o mnie, więc szybko skierowałeś światło z powrotem na mnie. Co usłyszałeś? Szelest? Kroki? Uznałeś, że to pewnie ptak, a może tylko wiatr. Lub wytwór twojej wyobraźni, bo tyle się działo i było ciemno. – Grant zaczął chichotać. – Nigdy o tym nikomu nie mówiłeś, co? Jak mały, wystraszony chłopczyk. Pamiętam rozprawę. Pamiętasz, jak cię zapytano, czy na miejscu zbrodni byłem sam? Pamiętasz swoją odpowiedź?

Sam ciężko przełknął ślinę.

– Oczywiście, że pamiętam, bo mówiłem prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Nikogo więcej tam nie było. Nikogo nie widziałem. Nic nie wskazywało, żeby ktoś tam jeszcze był. Nie było żadnych dowodów.

– Dowody? Dowodów domagają się winni, niewinni je oprostowują. Poza tym, czy policjant opiera się tylko na dowodach? A co z przeczuciami, intuicją? Podobno dobry policjant to policjant z intuicją, prawda? – Grant znowu postukał się w czoło. – Ale tutaj... tutaj nie chodzi o dowody, prawda? Odtwarzasz całe zdarzenie, ilekroć słyszysz moje nazwisko. – Grant przymrużył oczy. – Pamiętam, jak się wzdrygnąłeś, kiedy podszedłem, kiedy przed tobą ukląknęłam. Patrzyłeś w stronę krzaków, bo usłyszałeś to samo co ja. Że coś się tam poruszyło.

Tyle że ja wiedziałem, co to było.

– Tam nikogo nie było.

Grant lekceważąco machnął ręką.

– Nigdy nie zamierzałeś się do tego przyznać. Zatrzymałeś potwora, dziką bestię. Po co miałbyś psuć efekt, wyjawiając, że był ktoś jeszcze, tylko uciekł?

– A więc na tym polega twoja nowa taktyka, Grant? Chcesz odwrócić kota ogonem.

Pomniejszyć swoją winę. Po co to robisz? Marzy ci się zwolnienie warunkowe? Będiesz teraz wszystkich przekonywał,

że wcale nie jesteś taki zły, że ktoś cię tylko sprowadził na manowce?

– Och, ja jestem zły, co do tego nie ma cienia wątpliwości. Najgorszy ze wszystkich.

Krzywdzenie ludzi mnie podnieca. – Grant wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu. – Ale najbardziej mnie kręci, gdy ktoś inny realizuje moje fantazje, ktoś normalny, ktoś, kogo przerobiłem na swoją modłę. Wtedy mam wszystko. Podniecenie oczekiwania, przygotowania, a potem sam akt, którym mogę się delektować, bo nie jestem nim pochłonięty. A po wszystkim zostają mi wspomnienia. I nie tylko to, mogę też obserwować, jak mój uczeń się rozwija, dojrzewa. To ekscytujące. I właśnie to, panie Parker, jest władza.

– Jesteś chory.

– Taa... prawdziwa ze mnie bestia, ale jest coś, o czym nie wiesz. Nie wiesz, że nie ma większego entuzjasty nad osobę, która świeżo przeszła przemianę. Takich ludzi kręci nie tylko zabijanie, ale również to, że mogą mi sprawić przyjemność.

– A więc cały czas miałeś współnika?

– Każdy jakiegoś ma, mój drogi. We wszystkim, co robisz. Czasami jest nim twoje pochodzenie albo styl życia, a może nawet te ciche głosy, które słyszysz z tyłu głowy. Są jak symfonia towarzysząca fantazjom. To wszystko są twoi współnicy.

– Okej, rozumiem, ale w twoim przypadku był to człowiek, tak? – wtrąciła się Charlotte. – Rzeczywista osoba? I ten ktoś cię zdradził?

Grant pogroził policjantce palcem.

– Podobasz mi się. Jesteś sprytna. Chyba jednak się z tobą później zabawię. Tylko powiedz, co lubisz, żebym mógł sobie to lepiej wyobrazić. Seks ma być ostry? Lubisz dominujących kochanków czy jesteś z typu tych uległych, spragnionych czułości? Trzeba cię najpierw utulić?

– Kto był pańskim współnikiem, panie Grant? – zapytała Charlotte już bardziej stanowczym tonem. – Ronnie Bagley?

– Pamiętajcie, że mówiłem o zdradzie – przypomniał Grant,

mrużąc oczy. – To najważniejsze.

Sam potrząsnął głową.

– Nie rozumiem. Kto cię zdradził?

Grant splótł ręce na piersiach. Cisza się przedłużała, aż w końcu było oczywiste, że nic więcej od niego nie wyciągną.

– Jeszcze tu wrócę, Grant – zapowiedział Sam.

Grant wciąż wpatrywał się w Charlotte.

– Kiedy? Gdy znajdziecie kolejnego trupa? – uśmiechnął się. – Będę czekał.

Rozdział 55

Joe spojrział w górę na dom, w którym mieszkała matka Ronniego. Dom był nieduży, miał szerokie kamienne parapety, a drzwi były tak niskie, że Joe, kiedy się wyprostował, ledwie się w nich mieścił. Zgodnie z nakazem sądu Ronnie miał tu przebywać do czasu rozprawy, ale nie odbierał telefonów.

Joe zapukał i czekał, chodząc nerwowo przed drzwiami w tę i z powrotem. Koniecznie musiał porozmawiać z Ronniem. Ruby była w niebezpieczeństwie, a Ronnie miał z tym coś wspólnego. Od początku mu zależało, żeby to Joe był jego adwokatem, ale potem zaczął mieć pretensję, że Joe zrobił coś nie tak, tylko że nie było wiadomo, o co mu chodziło.

Matka Ronniego mieszkała w Marton, blisko torów kolejowych. Miejscowość na dwie części dzieliło wysokie wzgórze. Na jego szczycie, tam gdzie mieszkali Ronnie i Carrie, stały stare, bogate domy, dolinę zajmowały domy robotników. To oni musieli się dusić dymem wydobywającym się z fabryk.

Drzwi wreszcie się otworzyły i stanęła w nich matka Ronniego.

– Dzień dobry, pani Bagley, zastałem Ronniego?

Kobieta najpierw rozejrzała się po ulicy, potem pokręciła głową.

– Tak naprawdę to on tu nie mieszka – wyznała cichym, roztrzęsionym głosem.

– Jak to? Musi. Sąd mu nakazał.

– To już sprawa między sądem a Ronniem.

- Więc gdzie on jest?
- Nie wiem. Ronnie nic mi nie mówi.
- Musimy porozmawiać – oznajmił Joe.

Kobieta chwilę się wahała, ostatecznie kiwnęła głową na zgodę.

Joe wszedł za nią do środka, mrużąc oczy, bo w przedpokoju, gdy zamknął drzwi, zrobiło się ciemno. Przeszedł do salonu, gdzie zauważył srebrne pudełko od papierosów. Zrozumiał, że poszarzałe ściany i sprzęty to nie tylko efekt upływu czasu.

Kiedy usiadł, kobieta wyciągnęła papierosa i zapaliła. W pokoju, gdy wydmuchnęła błękitną smużkę dymu, zrobiło się jeszcze mroczniej.

– Ronnie się pani nie opowiada, ale chyba ma pani jakiś pomysł, gdzie może być – rozpoczął rozmowę Joe.

Kobieta pokręciła głową.

– Ja o nic nie pytam. On nic nie mówi. – Widząc, że Joe marszczy czoło, dodała: – To nie ja chciałam, żeby u mnie zamieszkał. To był pański pomysł albo tej dziewczyny, która do mnie dzwoniła. Twierdziła, że Ronnie zostanie w więzieniu, jeśli mu nie pomogę. Więc co miałam zrobić?

– Ronnie to pani syn. W takich przypadkach zawsze zwracamy się do najbliższych. Co w tym złego?

Kobieta mocno zaciągnęła się papierosem.

– Z nim jest coś nie tak. On jest... jakby to powiedzieć? On nie jest normalny.

– Co pani przez to rozumie?

– No chodzi o te jego chore skłonności. Nie mówił panu? Że przychodzili tu ludzie i krzyczeli, że Ronnie sieje postrach w okolicy, że straszy młode dziewczyny, bo za nimi łązi? Że dotyka ich włosów w autobusach, sklepach, sterczy pod ich domami, żeby im się przyglądać? On nie jest normalny. Nigdy nie był. A przynajmniej od... no, cóż... – kobieta na chwilę zamilkła. – Od czasu tamtego zdarzenia.

Joe rozejrzał się po pokoju, małym, zastawionym tanimi ozdóbkami i fotografiami w ramkach. Ronniego nie było na

žadnej. Za to na wielu widać było młodą dziewczynę. Ładną, z długimi włosami, uśmiechniętą.

– Kim jest ta dziewczyna na zdjęciach? – zapytał, pokazując na fotografii. Po głowie chodziło mu to, co mówił Sam.

Pani Bagley obejrzała się, a Joe zauważył, że zacisnęła zęby.

– To siostra Ronniego. – Kobieta znowu zaciągnęła się papierosem. – To część jego chorych skłonności.

– Nie rozumiem.

– Powinien pan wiedzieć, jakiego człowieka pan broni – oświadczyła twardo pani Bagley, celując w Joego palcem. Z papierosa w jej dłoni spadł na dywan popiół.

Joe poczuł ukłucie niepokoju. Czyżby przez niego na wolność wydostał się niebezpieczny bandyta?

– Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło.

– Ronnie podglądał siostrę. Własną siostrę, mieści się to panu w głowie? Przyłapała go, jak się ze sobą zabawiał, ten wstrętny mały zboczeniec. Może sobie pan wyobrazić, jak się czuliśmy? Mój Frank, no cóż, nie mógł tego znieść, więc odszedł. Nie potrafił mieszkać z nim pod jednym dachem.

– Gdzie jest teraz pani córka? Może Ronnie zatrzymał się u niej?

Kobieta wolno pokręciła głową, a jej oczy zamglily się łzami. Przeżegnała się.

– Bardzo bym chciała – rzuciła i zaraz łamiącym się głosem dodała: – Córka miała na imię Sally. Nie żyje. Pośliznęła się w wannie.

Rozdział 56

Sam odebrał swoją komórkę od strażnika. Nawet policja musi zdawać telefony przy wejściu na teren więzienia. Gdy spojrział na wyświetlacz, zobaczył, że ma jedno nieodebrane połączenie: od inspektor Evans. Postanowił, że oddzwoni za chwilę.

– Ta cała gadka o współniku, to wcale nie były żarty – zwrócił się do Charlotte. – Nie rozumiem tylko tej części o

zdradzie.

– Ja też nie – przyznała Charlotte. – Ale co tam, niech sobie Grant ma to swoje małe zwycięstwo. Najważniejsze, że siedzi i nikomu nie zagraża. – Złośliwa uwaga wywołała uśmiech na twarzy Sama, który jednak szybko przybladł, gdy Charlotte dodała: – Bardziej mnie zastanawia to, co mówił o tym, że kiedy go zatrzymałeś, na miejscu zbrodni był ktoś jeszcze.

Faktycznie ktoś tam był?

Sam się zawahał. Trwało ty tylko sekundę, jednak to wystarczyło, żeby w oczach Charlotte pojawiło się zdumienie.

– A więc Grant miał rację?

Sam zacisnął zęby.

– Nie, nie miał – burknął, po czym głośno odetchnął. – Albo, jeśli mam być szczerzy, nie wiem, czy miał. W sądzie nie kłamałem. Pytali, czy coś widziałem lub słyszałem. Nie widziałem i nie słyszałem. Nie miałem pojęcia, że ktoś tam jeszcze był.

– Więc w czym Grant miał rację?

– W tym, że nie mogłem tego wykluczyć.

Charlotte zatrzymała się w pół kroku.

– Nie rozumiem, Sam.

Sam chwilę milczał, potem powiedział: – To było tylko przecucie. Słyszałem jakieś szelesty, miałem wrażenie, że nie jesteśmy sami. A Grant zachowywał się tak, jakby chciał całą moją uwagę skupić na sobie. Podszedł bardzo blisko, uklęknął.

– Żeby dać współnikowi czas na ucieczkę?

– Bardzo możliwe.

– A więc miał jakiegoś współnika?

– Może.

– Mówiłeś komuś o tym?

– Rozmawiałem z inspektorem, który prowadził sprawę, ale on powiedział, żebym nie pisał o tym w raporcie. Złapaliśmy mordercę, więcej zabójstw nie było. Uważał, że nie ma sensu prowokować dalszych spekulacji. I chyba miał rację. Bo co dobrego by z tego wynikło? Niczego nie widziałem. To było tylko przecucie. Gdybyśmy to zgłosili, obrona miałaby szansę zrzucić

winę na kogoś innego.

– Ta robota czasami jest zbyt pokręcona – mruknęła ze zniechęceniem Charlotte. – Niby chodzi o prawdę, ale wciąż musisz się oglądać za siebie, żeby sprawdzić, jaki użytek zrobisz z tej prawdy inni. To prawie tak, jakby prawda zależała wyłącznie od tego, jak ją przedstawisz.

– Z tego wszystkiego wynika, że te zaginione dziewczyny mogły być ofiarami współnika – zastanawiał się na głos Sam. – A to by znaczyło, że moje milczenie wtedy przyczyniło się do tego, co się wydarzyło teraz.

– Kluczową postacią w całej sprawie jest Ronnie Bagley – stanowczym tonem orzekła Charlotte. – Jest ogniwem łączącym wiele wątków. To on zamordował kobietę, która odwiedzała Granta, to on ma skrzywienie na punkcie włosów, takie, o jakim mówił wczoraj Grant. Tylko w opowieści w miejsce prawdziwego bohatera podstawił siebie.

W tym momencie Samowi przyszła do głowy pewna myśl.

– A jeśli to Grant był uczniem i wziął na siebie winę za swojego mistrza?

– Po co miałby to robić?

– Po to, że podziwiał swojego nauczyciela... albo, skoro już został zatrzymany, postanowił wybrać sławę. Przecież go widziałeś. To żaloszny człowieczek, którego kręci, że jest kimś. A kim był, zanim trafił za kratki? Pracował w fabryce na linii produkcyjnej. A teraz? Teraz świat się o nim dowiedział. Siedzi w więzieniu, ale w zamian coś zyskał: rozgłos.

– Tylko dlaczego odezwał się do nas akurat w tym momencie? – zastanawiała się Charlotte.

– Siedzi od kilku lat. Dziewczyny zaczęły zniknąć dość niedawno. Związek z Grantem jest oczywisty, ale dlaczego postanowił mówić teraz, a nie wcześniej?

– Wspomniał coś o zdradzie – przypomniał Sam. – Może czuje się zdradzony, bo dostał dożywocie, a jego współnik, uczeń albo mistrz, lub kto tam jeszcze, działa dalej bez niego?

Chce go wydać, ale się z nami droczy, bo chociaż jest

rozżalony z powodu zdrady, to wciąż pożąda uwagi.

– W takim razie musimy odkryć, kim jest uczeń, wtedy może się dowiemy, kto się kryje za zaginięciami.

– To Ronnie Bagley – z przekonaniem rzucił Sam. – Bo kto inny? Może dlatego Carrie się z nim związała, bo był następcą Granta? A potem on ją zamordował? Dlaczego? Może chciała go wydać i musiał ją uciszyć? – Ponieważ Charlotte, która też intensywnie myślała, nie odpowiadała, dodał: – Muszę powiadomić Evans, na czym stoimy.

Zadzwoił do inspektor i opowiedział o przebiegu spotkania, a także o Ronniem i jego próbach uwodzenia młodych dziewcząt. Im dłużej mówił, tym większe zdenerwowanie wyczuwał w głosie przełożonej.

– Musimy namierzyć Bagleya – oświadczyła na koniec.

– Gdzie mamy zacząć? – zapytał Sam.

– Nigdzie – padła krótka odpowiedź. – My się tym zajmujemy. Ty jedź do Terry’ego Daya i odbierz od niego zeznania. – I Evans się rozłączyła.

Sam popatrzył na telefon ze złością.

– Co się stało?

– Zostaliśmy zdegradowani do posłańców i odbiorców zeznań – burknął.

Wściekli, że odsunięto ich boczny tor, prawie całą drogę do domu Daya przejechali w milczeniu, aż do momentu, gdy Sam coś sobie nagle uświadomił. Na skrzyżowaniu, na którym powinien skręcić w lewo, pojechał prosto, ulicą wznoszącą się pod górę.

– Dokąd jedziesz? – zdziwiła się Charlotte. – Do Daya powinniśmy skręcić w lewo.

– Zaufaj mi – mruknął uspokajająco, nie zmieniając kursu. Po kilometrze wykonał ostry skręt w lewo i wjechał w jakąś uliczkę o szeregowej zabudowie.

Gdy dotarł na jej koniec, zatrzymał się i wysiadł z samochodu.

– Co ty robisz? – denerwowała się Charlotte, dołączając do niego na chodniku.

Sam pokazał na długi rząd domów, stojących na opadającym w dół zboczu.

– Chodźmy – rzucił krótko.

Ruszyli ulicą, a odgłos ich kroków odbijał się echem od murów domów. Wszystkie były dwupiętrowe, z kamiennymi gankami i schodkami przed wejściem, które w przeszłości błyszczało pewnie czystością, wyszorowane spracowanymi dłońmi kobiet z Północy.

Kiedy dotarli do końca ulicy, Sam się zatrzymał. Przed sobą mieli stromą, porośniętą rzadką trawą skarpgę. Sam pokazał na rozciągającą się w dole kotlinę. Stała tam mała fabryka; jeżdżący po placu w tę i z powrotem wózki widłowy głośno terkotał.

– To tam pracował Ben Grant – wyjaśnił. – Przypomniałem sobie o tym miejscu dopiero po drodze, bo już dawno nie odwiedzałem tych okolic. – Odwrócił się, żeby wskazać na mały, poszarzały od spalin i starości kamienny domek. – To dom Granta. Tam zabijał swoje ofiary, a potem je gdzieś wywoził i porzucał.

Charlotte wsparła ręce na biodrach i uważnie przyjrzała się domowi.

– Wygląda całkiem zwyczajnie – powiedziała cicho.

– Tak jest zawsze – mruknął pośepnie Sam. – Dom stoi pusty od czasu, gdy Granta zamknęli. Jest jego własnością, ale nie chce go sprzedać. Na początku niszczyli go wandalami, ale sąsiedzi w końcu się nim zajęli, nie chcieli, żeby powybijane okna przypominały im, co się w nim wydarzyło. Mieli nadzieję, że jeśli będą dbali o dom, pewnego dnia zmieni właściciela. Mogliby wtedy żyć tu dalej we względnym spokoju.

– Dlaczego to takie istotne? – nie rozumiała Charlotte.

Sam popatrzył na nią.

– Od kilku miesięcy otrzymuję dziwne telefony. Nie miałem możliwości tego sprawdzić, bo nie pracowałem w wydziale zabójstw, tylko w przestępstwach finansowych. Sprawa Bena Granta to sprawa z dość odległej przeszłości.

– Więc o co chodzi z tymi telefonami?

– Ktoś krzyczy. Ze strachu albo z bólu, trudno powiedzieć,

bo dźwięki są przytłumione.

Myślałem, że to ścieżka z jakiegoś filmu, że ktoś robi mi paskudny żart. Może ktoś, kto przeze mnie trafił do więzienia lub poniósł straty finansowe. Teraz myślę, że telefony mają związek z Benem Grantem.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo w tym nagraniu słychać jeden dziwny dźwięk. Skopiowałem wszystko na komputer i wiele razy odtwarzałem. Ten dźwięk przypomina ostrzegawcze pikanie, jakie wydaje cofająca ciężarówka. – Sam jeszcze raz pokazał na plac przed fabryką. – Dźwięk jest słaby, ale brzmi bardzo podobnie, jakby dochodził z dalszej odległości; jednak słychać tylko to, nic więcej.

Żadnych odgłosów ruchu ulicznego. Poza tym jest cicho, jak tam. – Pokazał na dom Granta.

Charlotte była zaskoczona.

– Masz jeszcze to nagranie?

Sam wyciągnął komórkę i odszukał w niej właściwy plik. Wcisnął guzik odtwarzania i podał telefon Charlotte.

Żeby wysłuchać nagrania, Charlotte odwróciła się plecami. Potem oddała telefon i chwilę milczała.

– To prawdziwe odgłosy, prawda? – zapytała w końcu przygaszonym głosem.

– Teraz myślę, że tak. Ben Grant chciał rozmawiać ze mną. Nie z kimś innym z policji, tylko ze mną. No i to ja dostaję te telefony. Ale niemożliwe, żeby były od Granta. Nie mógłby dzwonić z więzienia.

– Wspólnik – domyśliła się Charlotte.

– Myślę, że jest gorzej – wyznał Sam. – Jeśli stoi za tym Grant i nagranie zostało zrobione w jego domu, to znaczy, że musiał swoje ofiary filmować i ten film gdzieś jest. Wyobrazasz sobie, jak się będą czuli rodzice, jeśli się o tym dowiedzą?

– Więc kto jest tym wspólnikiem?

Sam pokazał na wąską ścieżkę biegnącą wzdłuż domu Granta.

– Chodź za mną.

Szli ścieżką aż do zabłoconej drogi ze skarpą po jednej stronie. Droga prowadziła do fabryki w dolinie. Potem pokonali jeszcze dwie ulice, przy których stały długie rzędy domów.

Wreszcie Sam zatrzymał się przed trzypiętrowym budynkiem o brudnych, zasnutych pajęczynami oknach.

– To dom Terry’ego Daya – oznajmił. – Tu mieszkał Ronnie.

Charlotte popatrzyła na budynek, potem spojrzała za siebie na drogę, którą przyszli.

– Mieszkali niedaleko siebie.

– Dzielili ich tylko dwie ulice, chociaż patrząc z góry, wydaje się, że to dalej, bo ulica się wiję. Ale na skrót jest o wiele bliżej.

– To jeszcze mocniej potwierdza teorię, że mogli działać razem – orzekła Charlotte.

– Wszystko sprowadza się do Bena Granta i Ronniego Bagleya. Zaginione dziewczęta.

Miejsce, w którym zginęła Carrie, która przecież odwiedzała Granta w więzieniu. Ronnie ma skrzywienie na punkcie włosów, o czym opowiadał Grant.

– No i Ronnie chciał być blisko Granta, żeby mu pomagać – dodała Charlotte.

– Jeżeli zależało mu na wprowadzeniu swoich fantazji w czyn, musiał być blisko. Chciał mieć dostęp do ofiar Granta.

Charlotte odwróciła się w stronę domu Terry’ego Daya.

– To miejsce wygląda strasznie. Co za człowiek mieszka w takiej ruderze? Może Ged miał rację, że zlekceważył zeznanie Daya?

– Obserwuj go, kiedy będę z nim rozmawiał. Oceniaj, czy mówi prawdę. Ged postąpił głupio, ale go rozumiem. Pierwsze pytanie, jakie obrona zadałaby Dayowi, brzmiałoby: czy widział Carrie Smith od dnia jej rzekomej śmierci. Oczywiście Day odpowiedziałby, że widział.

Już samo to wystarczyłoby, żeby Ronnie Bagley usłyszał werdykt niewinniający. Ale jeszcze większe miałby na to szanse,

gdyby się okazało, że ukryliśmy informację o zeznaniu.

– A więc teraz musimy odkręcić wszystko, co do tej pory w tej sprawie zrobiliśmy – mruknęła ze zniechęceniem Charlotte. – Gdy zapukamy do tych drzwi i Day zezna, że widział dziewczynę Ronniego, będzie po dochodzeniu.

– Cóż, nie możemy zignorować zeznania – odparł ponuro Sam. – Musimy zrobić, co do nas należy. Taką mamy pracę.

Po kamiennych schodach wspięli się do drzwi wejściowych. Sam nacisnął guzik dzwonka mieszkania na górze. Czekając, aż ktoś otworzy, oboje z Charlotte rozglądali się na boki, za drzwiami jednak było cicho.

– Może dzwonek nie działa – rzuciła Charlotte i zabębniła w drzwi pięścią. Drzwi, cicho skrzypiąc, otworzyły się na oścież.

Sam i Charlotte popatrzyli na siebie. Wiedzieli, że coś jest nie tak.

Hol w środku był pusty. Sam krzyknął „dzień dobry”. Nikt nie odpowiedział, jednak odniósł wrażenie, że nie są sami. Nie umiał tego wyjaśnić, ale czuł czyjąś obecność.

– Panie Day? – zawołał. – Jesteśmy z policji.

W holu, w którym stali, panował półmrok. Jedyne światło dopływało z ulicy. Schody przed nimi prowadziły w górę, na pierwsze piętro. Po prawej były drzwi zaklejone policyjną taśmą.

– Mieszkanie Ronniego – szepnęła Charlotte, widząc spojrzenie Sama.

– Idziemy na górę? – zapytał.

Charlotte podjęła decyzję i ruszyła ku schodom.

– Panie Day? – krzyknęła. Nikt nie odpowiadał.

Nagle oboje drgnęli. Na górze usłyszeli kroki, lekkie i szybkie. Zaskrzypiały deski podłogi.

W tej samej chwili ciężkie drewniane drzwi za nimi zamknęły się ze szczęknięciem, odcinając dopływ światła. Sam, szukając kontaktu, wyciągnął rękę do ściany. Znalazł włącznik, ale gdy nim pstryknął, nic się nie wydarzyło. Wyciągnął komórkę i odszukał aplikację „latarka”.

Z telefonu popłynęła szeroka łuna. Sam podniósł telefon,

żeby oświetlić schody. Kiedy spojrzął na półpiętro, zobaczył, że zyrandol na suficie lekko się kołysze.

– Musimy tam wejść – oznajmił.

Charlotte wzięła głęboki oddech i kiwnęła głową.

Sam z telefonem w wysuniętej dłoni dał krok ku schodom.

Rozdział 57

Zerknął na zegarek, żeby sprawdzić, która jest godzina. Dziewczyna miała się niedługo pojawić. Chyba nie była jeszcze gotowa na spotkanie, ale to się musiało stać teraz. Dostał obietnicę, że koniec jest blisko.

Przymknął na chwilę oczy, żeby przypomnieć sobie wydarzenia z poprzedniej nocy. Szukał podniecenia, chciał mieć pewność, że w ostatniej chwili się nie wycofa. Bo mógłby to zrobić, stać go było na to. Siedział w furgonetce. Mógłby odjechać i już nie wrócić. Przede wszystkim dlatego, że to nie było zakończenie, jakie sobie zaplanował. On chciał czegoś zupełnie innego, chociaż i tak cały jego plan był nastawiony na nią. Wszystko było dla niej. Bo miłość już taka jest. Wymaga poświęceń.

Ale wiedział, że nie odjedzie. Sprawy zaszły za daleko. Zbyt wiele by stracił. Poza tym był słaby. Zawsze jej ulegał. Była jego piętą achillesową. Próbował to zmienić, ale ona tego nie chciała.

Żeby nie odpływać myślami gdzie indziej, pomyślał o Monice. Nie spodziewał się, że dostanie taki prezent. Ale go otrzymał, mimo że plan tego nie przewidywał. Włosy Moniki między jego palcami, jej szybko falująca pierś, gdy zaczęła się bać.

Zorientował się, że dyszy. Ucieszył się. Podniecenie dawało mu siłę. Bez niego wyrzuty sumienia były zbyt przytłaczające, tracił nad nimi kontrolę. Potrzebował podniecenia, żeby nie stehórzyć.

Otworzył oczy i rozejrzał się po ulicy, żeby się upewnić, że nikt go nie obserwuje. Tym razem bardzo ryzykował, bo podał czas i miejsce. Jeśli policja coś wie, na pewno już się gdzieś zaczęła. Ale nikogo nie zauważył. Wybrał ślepą uliczkę, tak żeby mógł

obserwować odsunięte od drogi domy, samemu nie będąc widzianym.

Wiedział jednak, że jeśli policja go wyśledzi, zaakceptuje swoje przeznaczenie. Podda się, pozwoli się zatrzymać. Tak będzie w porządku.

Tyle że raczej nie spodziewał się policji. Wiedział, że tak jak inne, ta dziewczyna też nikomu nic nie powie ze strachu, że zdradzi jej tajemnice. Na tym to właśnie polegało.

Najpierw poznawał wszystkie ich tajemnice, a potem miał je w garści.

W końcu ją dostrzegł. Szła w jego stronę. Wysoka, chuda, ze zwieszoną głową, ręce splecione na piersiach.

Dał znak światłami. Dziewczyna to zauważyła i nagle zwolniła kroku. Jakby się wahała. Nie zatrzymuj się, zawołał w duchu. Rozejrzała się, jak jej kazał. To była ich tajemnica. Mieli być czujni.

Nachyliła się do opuszczonej szyby i powiedziała „cześć”.

– Cześć – odparł. – Jestem ojcem Billy’ego. Dostałaś wiadomość, że to ja po ciebie przyjadę?

– Tak, dostałam. – Znowu się rozejrzała, była zdenerwowana.

– Billy już się nie może doczekać spotkania – rzucił zachęcająco.

Uśmiechnęła się, szybko i nerwowo. Nachylił się do drzwi od strony pasażera, żeby je otworzyć.

– Wsiadaj. Nie każmy Billy’emu czekać.

– No, nie wiem – mruknęła.

– O co chodzi? Co się stało?

– Nie znam pana. Nigdy wcześniej pana nie widziałam. Chyba nie powinnam wsiadać.

– Pewnie tak cię ostrzegała rodzina, ale jesteś już dużą dziewczynką. Więc wskakuj. Jesteś na tyle dorosła, że możesz sama o sobie decydować.

– Tak, ale... no wie pan... to niebezpieczne.

– Czy Billy zrobił na tobie wrażenie niebezpiecznego?

– No, nie. Wydaje się miły.

– Czyli to mnie się boisz?

Dziewczyna się zaczerwieniła.

– Nie, nie. Nie o to mi chodziło.

– W takim razie nie zwlekaj, tylko wskakuj – poklepał siedzenie. – No już, choć raz zrób to, na co masz ochotę.

Jeszcze chwilę się wahała, ale w końcu wsiadła. Spódniczka jej się zadarła, odsłaniając kolana i chude uda. Widząc jego spojrzenie, szybko ją obciągnęła.

– Zrobiłaś to, o co prosił Billy? Usunęłaś wiadomości? – zapytał.

Kiwnęła głową.

– Wszystkie?

Znowu kiwnięcie.

– Nie denerwuj się – rzucił uspokajająco.

Wyciągnął do niej rękę. Wzdrygnęła się, ale on i tak dotknął jej włosów. Odsunął je z ramion, żeby odsłonić szyję.

– Billy to miły chłopak – zapewnił.

– Cieszę się – rzuciła wylęknionym głosem. – Ale możemy już jechać?

Uśmiechnął się i uruchomił silnik.

– Oczywiście, że możemy, Ruby. Oczywiście.

Rozdział 58

Sam obejrzał się na zamknięte drzwi wejściowe. Były z grubego drewna, więc światło z zewnątrz przedostawało się tylko szparami przy framudze.

– Jak sądzisz, da się je wyważyć? – zapytał.

– Wyglądają na ciężkie, mają mocne zawiasy – mruknęła powątpiewająco Charlotte. – Ten dom to w ogóle jedna wielka rudera – dodała ze złością. – Jak on mógł brać od ludzi pieniądze za to, że tu mieszkali?

Byli na schodach. Szli na ostatnie piętro, do mieszkania Daya, przyświecając sobie komórkami, ale światło było rozproszone, więc w mroku widzieli tylko rozmazane kontury drzwi i zarys poręczy przy schodach.

– Panie Day? – zawołał Sam. Czekali, ale odpowiedziała im cisza.

– Jego tu nie ma – zawyrokował. – Czuję to.

– Skoro tak, to może dajmy sobie spokój? Przyjedziemy kiedy indziej.

Sam przystanął, żeby się zastanowić. Charlotte miała rację, czas ich przecież nie gonił.

Przyszli tylko po to, żeby sprawdzić, co naprawdę Day powiedział Joemu. Czy jest jeszcze sens prowadzić dochodzenie w sprawie Bagleya. Nie musieli się spieszyć. Powinni zawrócić.

Ale w powietrzu wyczuwał coś, co kazało mu zrezygnować z tego pomysłu. Nie chodziło tylko o ciemność i ciszę. W domu wyczuwało się jakieś napięcie, jakby ktoś, wstrzymując oddech, czujnie ich obserwował.

Oboje szybko się odwrócili, bo usłyszeli nagły trzask zamykanych drzwi. Sam skierował w tamtą stronę snop światła z komórki, ale ujrzał tylko mrok.

– Powinniśmy zawrócić – powtórzyła Charlotte wystraszone głosem. – A przynajmniej wezwać posiłki.

– Nie, idziemy dalej – zarządził. – Coś mi tu śmierdzi. – Postawił stopę na kolejnym stopniu i skrzywił się, bo schodek głośno skrzypnął. – Cholera, dlaczego tu nie ma światła?

Niezrażony, wspinał się dalej. Schody już tak bardzo nie skrzypiały, pod nogami wyczuwał wykładzinę, miejscami dziurawą.

Charlotte szybko go dogoniła i złapała za marynarkę. Kiedy dotarli na kolejne piętro, zaczął macać ściany, a Charlotte, szukając kontaktu, świeciła na nie komórką. On swoją skierował na wprost. Zobaczył mały korytarz prowadzący do pomieszczenia w głąbi. Chyba do kuchni, bo światło odbijało się od metalowych rogów szuflad. Trochę wcześniej dostrzegł jeszcze jedno pomieszczenie. Zorientował się, że to łazienka, kiedy w świetle z telefonu zauważył metalowy sznurek lampki.

Wszedł do środka i pociągnął za niego. Nic.

– Nie ma prądu – oznajmił.

Na karku poczuł oddech Charlotte.

– Wracajmy – poprosiła.

– Nie, idziemy dalej.

– Nie powinniśmy robić tego sami – upierała się Charlotte.

– Nie wiadomo, co tam zastaniemy.

– A jeśli nic? – rzucił. – Tyle trudu dla jednego samotnika, któremu zabrakło drobnych na prąd?

– Już rozumiem – prychnęła Charlotte. – Ryzykujemy, bo się boisz, że się zbłąznimy.

– Jeśli naprawdę chcesz, możesz wyjść, ale ja zostaję.

Przez chwilę na korytarzu słychać było tylko ich ciężkie oddechy. Potem Charlotte zapytała: – Widzisz tu coś, czym dałoby się wyważyć drzwi na dole?

Sam odwrócił się, żeby się rozejrzeć, ale nagły hałas w głębi domu natychmiast postawił go na baczność. Usłyszał jęk i jakieś szuranie, jakby ktoś ciągnął po podłodze coś ciężkiego.

– Co to było? – zapytała zduszonym szeptem Charlotte.

– Nie wiem, ale to gdzieś tam – odparł i ruszył przed siebie, w jednej ręce trzymając telefon, drugą przesuwał po poręczy. Stał teraz twarzą do frontu domu. Światło z komórki wyluskiwało z mroku dwie pary drzwi, tak jakby w mieszkaniu na środkowym piętrze nie było drzwi wejściowych i przedpokoju, tylko same pokoje. Pchnął drzwi do pierwszego, gotowy zaświecić komórką do środka. Ale drzwi były zamknięte.

– Panie Day? – zawołał kolejny raz. Wciąż cisza.

Przesunął ręką po poręczy i spojrzał w górę. Stał u podnóża schodów prowadzących na najwyższe piętro. Te schody były węższe i bardziej strome. Poświecił na nie komórką. Na górze dostrzegł jakiś ruch. A może to był tylko cień od smugi światła?

Poczuł, że skrócił mu się oddech, a żołądek z nerwów zacisnął w kulkę. Ciemność potęgowała strach.

– Idę na górę – oznajmił mimo suchości w ustach.

– Dzwonię po wsparcie – zapowiedziała Charlotte. – Tu się dzieje coś dziwnego.

Charlotte cofnęła się, żeby wykonać telefon, Sam zaś

wszedł na pierwszy stopień i poświecił w górę komórką. Schody kończyły się szklanymi drzwiami, za którymi było ciemno, co wywnioskował po tym, że światło odbijało się od szkła. Przyszło mu na myśl, że może Daya rzeczywiście nie ma, a oni słyszeli tylko trzaski i szelesty, jakie zawsze słychać w starych domach. Ale wtedy na górze coś kliknęło.

Jeszcze dalej wysunął telefon, szukając źródła dźwięku. Charlotte w tym czasie wzywała przez własną komórkę uzbrojony patrol. Sam wspiął się na następny stopień, potem się zatrzymał. Za szklanymi drzwiami zobaczył jakiś cień.

Znieruchomiał. Znowu kliknięcie, po czym drzwi na górze wolno się otworzyły i w otworze stała jakaś postać. Sądząc po wzroście, mężczyzna, chociaż był dziwnie przygarbiony i miał zwieszoną głowę.

– Panie Day? – zawołał Sam. Już nie krzyczał, raczej był poważnie zaniepokojony. Wspiął się na kolejnych kilka stopni.

Wtedy usłyszał ostry zgrzyt i postać na szczycie się poruszyła, ale jakoś dziwnie.

Mężczyzna wciąż miał zwieszoną głowę i chociaż wyglądał jakby szedł, jego stopy nie odrywały się od podłogi. Wszystkiemu towarzyszyło głośnie stękanie.

Widząc, że mężczyzna szybko przesuwa się ku schodom, Sam cofnął się, ale mimo że wyciągnął przed siebie ręce, to nie wystarczyło.

Głowa mężczyzny uderzyła go w pierś; Sam poczuł, że leci w tył i że jego stopy tracą kontakt z podłożem. Wiedząc, że upadek może się źle skończyć, przygotował się na niego, ale i tak głową rąbnął w ścianę i coś mu chrupnęło w ramieniu. Z bólu aż zawył, zaraz jednak został uciszony, bo spadający mężczyzna zwałił się na niego całym ciężarem; na koszuli poczuł lepłą wilgoć. Przygwożdżony ciałem, rzeził z braku powietrza.

Na górze znowu rozległ się hałas. Ten sam zgrzyt, co wcześniej, tylko tym razem głośniejszy; ktoś szybko zbiegał po schodach. Sam pchnął ciało, ale było za ciężkie. Usłyszał krzyk Charlotte. Jego telefon spadł na półpiętro, wyświetlaczem do góry.

W dobywającym się z niego świetle dostrzegł błysk metalu. Spróbował się poruszyć, ale ciężar mężczyzny przygwaździł go do ziemi. Znowu jakiś zgrzyt, potem powietrze przeciął świst. Sam poczuł gorąco na ramieniu, a zaraz potem kopnięcie w żebra, zaparło mu dech.

Kolejne wrzaski, teraz Charlotty. Wszystko było pogrążone w mroku. Jakieś kroki na półpiętrze. Odgłosy szamotaniny. Potem okrzyk bólu i strachu, zastąpiony sapnięciem i płaczem. Sam z całych sił wyteżał wzrok, żeby dojrzeć, co się dzieje, ale było zbyt ciemno.

Nagle zobaczył, że ktoś się na niego przewraca. W świetle z komórki mignęły mu kręcone włosy Charlotte. Upadła tuż obok niego, z głośnym hukiem, ciężko i bez życia. Wyciągnął do niej rękę, chciał jej pomóc, ale jego dłoń trafiła na twarz. Przesunął ją do ust, żeby sprawdzić, czy poczuje na palcach ciepło oddechu. Był; słaby, ale był. Przesunął rękę niżej. Na koszuli wyczuł coś mokrego, zrozumiał, że to krew.

Spojrzał w stronę telefonu. Leżał za daleko, żeby mógł do niego dosięgnąć. Postanowił wysunąć się spod leżącego na nim ciała, ale gdy tylko się poruszył, ramię przeszył rozdzierający ból. Krzyknął i opadł na plecy, jednak wcześniej zdążył rzucić okiem na Charlotte; zrozumiał, że musi się uwolnić. Jeszcze raz spróbował przesunąć się w stronę telefonu, jęcząc z bólu, ilekroć jego prawe ramię dotykało podłogi.

Wreszcie udało mu się pochwycić telefon. Wybrał numer pogotowia, wezwał pomoc i dopiero wtedy, krańcowo wyczerpany, czując, że obraz mu się rozmazuje, opadł na plecy. Potem, półprzytomny, czekał, aż usłyszy wycie syren.

Rozdział 59

Alice zadzwoniła, gdy Joe wracał do biura. Wcześniej kilka razy próbował połączyć się z Samem, ale brat miał wyłączoną komórkę. Kiedy Alice powiedziała mu, że Sam został pchnięty nożem, Joe zawrócił i pognął do szpitala. Na parkingu kłął na całe gardło, bo nie mógł znaleźć wolnego miejsca.

Szpital wyglądał jak większość szpitali – duży, brzydki

budynek z cegły i szkła, niebieskie tabliczki i szum wiatraków klimatyzatorów – chociaż ten akurat stał na końcu spokojnej podmiejskiej drogi, jakby nie chciano, żeby ktoś wiedział o jego istnieniu. Ścieżki między budynkami roily się od pielęgniarek i lekarzy przechodzących z jednego oddziału do drugiego, i oczywiście od pacjentów. Obok Joego, wsparty na kulach, przekuśtykał młody chłopak z nogą w gipsie. Pięćdziesięcioletni mężczyzna na wózku, podłączony do tlenu z butli plastikowymi rurkami tkwiącymi w nosie, palił papierosa; sinawe plamy na jego policzkach zadawały kłam przekonaniu, że rzucenie nałogu mogłoby mu jeszcze pomóc. Nałóg już go zabił, chociaż pozornie wciąż żył.

Joe, podążając za tabliczką wskazującą drogę do Izby Przyjęć, szybko wbiegł do wyłożonej niebieską wykładziną, pomalowanej na biało poczekalni. Siedzieli w niej ludzie z urazami i ich zatrwożeni bliscy. Zobaczył Alice. Stała pod ścianą i ściskając w rękę chusteczkę, wpatrywała się w podłogę.

– Alice... Podniosła głowę i natychmiast zaczęła płakać, jakby już zbyt długo się powstrzymywała i tylko czekała, aż ktoś się zjawi, żeby mogła dać upust rozpacz. Joe objął ją ramieniem i pogłaskał po głowie, kiedy się do niego przytuliła. Łzami zmoczyła mu koszulę.

– Co się stało? – zapytał; z nerwów ścisnęło go w żołądku.

– Mów, co z Samem?

Alice odsunęła się i wytarła oczy wierzchem dłoni.

– Przepraszam – jęknęła. – Mówią, że wszystko będzie dobrze, ale nie mogę do niego wejść. Jego koleżanka została poważnie ranna. To młoda kobieta. Dźgnęli ją w klatkę piersiową. Byli w jakimś domu i zostali zaatakowani. Sam też dostał nożem, ale tylko w ramię. – Alice wolno pokręciła głową. – Nic więcej nie wiem, bo nie chcą mnie do niego wpuścić.

– Kto? Policja czy lekarze?

– Policja. Lekarz mówił, że już go opatrzyli i przewieźli do pokoju.

– Do którego?

– Gdzieś na szóstym oddziale.

Joe ruszył w tamtą stronę.

– Nie wpuszczą cię do niego – zawołała za nim Alice.

Nie odpowiedział. Alice pozwoliła się zbyć, ale jego nikt nie zatrzyma.

Podążając za numerami na tabliczkach, szybko przedzierał się szpitalnymi korytarzami, co chwila zmuszony omijać wózki z jedzeniem i inwalidzkie, pchane przez szpitalny personel.

Twarz wykrzywił mu grymas niechęci. Nienawidził szpitali. Nienawidził chorób i słabości.

Wiedział, że pewnego dnia i do niego zapukają, ale jeszcze nie miał odwagi się z nimi zmierzyć.

Najpierw chciał osiągnąć wszystko, co sobie w życiu zaplanował. W głębi korytarza dostrzegł grupę umundurowanych funkcjonariuszy. Ich obecność stanowiła niezbity dowód, że gdzieś blisko jest jego brat.

Kiedy podszedł bliżej, jeden z policjantów odłączył się od grupy i wyciągnąwszy rękę, ruszył w jego stronę.

– Proszę zawrócić. Tu nie wolno wchodzić.

– Czy w tym pokoju leży Sam Parker? – Policjant milczał, więc Joe wyjaśnił: – Jestem jego bratem.

– Nie obchodzi mnie, kim pan jest. Proszę odejść. – Policjant pchnął go rozpostartą dłonią w pierś, aż Joe się zachwiał.

Natychmiast krew napłynęła mu do twarzy. Rozum mówił, żeby posłuchał i odszedł, ale buzujący w całym ciele gniew podpowiadał, że nie może dać się poszturchiwać. Jednak zanim zdążył zareagować, z pokoju wyszedł jakiś policjant i Joe przez otwarte drzwi dostrzegł Sama siedzącego na łóżku.

– Sam! – zawołał.

Kiedy drzwi znowu się zamknęły, zwrócił się do policjanta:

– To mój brat. Jest pacjentem w tym szpitalu i chcę go odwiedzić.
– Dał krok w stronę pokoju. Funkcjonariusz mocno chwycił go za rękę, ale Joe zdążył pchnąć drzwi.

Sam go zauważył i krzyknął: – W porządku, można go wpuścić.

Joe strząsnął rękę policjanta z ramienia i wszedł do pokoju.

Panowała w nim posepna atmosfera. Oprócz Sama znajdowało się tam jeszcze dwóch detektywów: kobieta, którą Joe spotkał w sądzie na początku sprawy Bagleya – inspektor Evans, i mężczyzna o spiętej, gniewnej twarzy. Sam siedział na brzegu łóżka, bez koszuli, z obandażowanym torsem i ręką na temblaku.

– Słyszałem, co się stało z twoją koleżanką – zaczął Joe. – Mam nadzieję, że się wyliże i że złapiecie tych drani, którzy wam to zrobili.

– Żebyś mógł ich potem bronić? – zakpił detektyw z naburmuszoną miną.

Joe nie zareagował. To nie była pora na kłótnie.

– Jak się czujesz? – zwrócił się do brata.

– Żyję, to najważniejsze. – Sam spojrzał na kolegów. – Mógłbym porozmawiać z bratem?

Na osobności?

Kobieta i mężczyzna spojrzeli na siebie, po czym ruszyli do drzwi.

– Tylko nic nie mów na temat dochodzenia, chyba że jest coś, czym chcesz się podzielić – ostrzegła Evans, wychodząc.

– To przecież mój brat – burknął Joe. – Nie zawsze praca jest najważniejsza.

Po tych słowach Evans i jej kolega wyszli, a Sam i Joe zostali sami.

Sam, próbując wygodniej usiąść, skrzywił się z bólu.

– Trochę to wszystko gównianie wygląda – mruknął i zazgrzytał zębami. Było widać, że cierpi.

– W poczekalni czeka Alice. Nie chcieli jej wpuścić.

– Powiesz jej, że nic mi nie jest?

– Gdzie to się stało?

– Pojechałem do Terry’ego Daya – zaczął Sam. – Powiedziałeś prokuraturze, że Terry widział dziewczynę Ronniego. Od ciebie pojechaliśmy więc prosto do Terry’ego, odebrać od niego zeznania.

Joe zacisnął oczy i palcem potarł nos. Sam milczał do

chwili, aż Joe otworzył oczy.

– Day ci to zrobił? – zapytał, ruchem głowy pokazując na bandaż.

– Nie. Terry nie żyje. Został zamordowany. Chyba tuż przed naszym przyjazdem. Ktoś zrzucił na mnie jego zwłoki na schodach.

– Zwłoki? Jezu! – Joe pokręcił głową i powiedział: – Ronnie Bagley nie chciał, żebym zajmował się tym, o czym mówił Terry: że widział Carrie.

Mina Sama zdradzała, że nie rozumie.

– Dlaczego nie chciał?

– Nie wiem. Nie udało mi się dowiedzieć. Opowiedziałem mu, co usłyszałem do Terry’ego, a on się wkurzył, jakby nie chciał, żeby to wyszło na jaw.

– Gdzie on teraz jest?

– Nie wiem. Właśnie wracam od jego matki. Usłyszałem od niej coś, co może wskazywać na powiązania Ronniego z Benem Grantem.

– Co takiego usłyszałeś?

– Mówiłeś, że Grant przechwalał się, że zabił siostrę, ale się okazało, że jej nie miał.

– Owszem, mówiłem.

– Cóż, Ronnie siostrę miał, tylko młodo umarła.

– Na co?

– Pośliznęła się w wannie i rozbiła głowę.

Sam szeroko otworzył oczy.

– Cholera – zaklął i spuścił wzrok na podłogę.

– To coś znaczy?

– Tak, znaczy. – Sam spojrzął na Joego. – Chyba się domyślasz, że przekażę to dalej. Jeśli Ronnie miał coś wspólnego ze śmiercią siostry, nie będę go krył.

– Trudno, jakoś przeboleję.

– Myślałem, że zawsze chronisz swoich klientów.

– Jeśli to Ronnie maczał palce w tym, co ci się stało, możesz mówić, komu chcesz.

– Skąd ta nagła zmiana?

– Wtedy wieczorem nie przyszedłeś do mnie, żeby mi towarzyszyć w czasie urodzin albo narzekać na zawód, jaki wykonuję. Przyszedłeś, bo miałeś nadzieję, że puszczę farbę o Bagleyu, i to tylko dlatego, że jesteś moim bratem. Sam wiesz, że chciałem mnie wykorzystać, a tak się nie robi.

Sam milczał, więc Joe przysiadł obok niego na łóżku.

– Ale ta sytuacja to coś innego – rzekł, pokazując na bandaż. – Wstąpiłeś do policji z powodu Ellie. Wiem, bo sam wiele razy to mówiłeś.

– Za to ty poszedłeś inną drogą.

– Uważasz, że zdradziłem Ellie?

Sam nie odpowiedział.

Joe zwiesił głowę i zamknął oczy. Wiedział, że moment jest w sam raz. To, co przydarzyło się Samowi, miało związek z jego klientem, a poza tym doszło do ataku na policjanta. Powinien wykorzystać okazję i wyznać prawdę. Odkryć przed bratem tajemnicę, którą ukrywał od piętnastu lat. Tyle że nie wiedział, jak się ma do tego zabrać, a także czy to mu przyniesie ulgę.

Na koniec uznał, że nie chodzi o niego. Dlatego wziął głęboki oddech i podniósł głowę.

– Zostałem adwokatem z tych samych powodów co ty policjantem – z powodu Ellie.

– Nie rozumiem.

– Powiem ci teraz coś, czego nigdy nikomu nie mówiłem. Może ci się to nie spodobać.

– Słucham – rzekł cicho Sam.

Joe przełknął ślinę. Żałował, że rozpoczął tę rozmowę, ale nie mógł się już wycofać.

– Ten człowiek, który zabił Ellie... – zaczął. – Ja go widziałem, krótko przed tym, jak to się stało.

– Jak to? O czym ty mówisz?

Joe, rozpamiętując tamten dzień, przez chwilę milczał. Potem, mając wrażenie, że w pokoju wszystkie inne dźwięki zniknęły i słychać tylko jego głos, powrócił do opowieści.

– Wracalem ze szkoly do domu. Szedlem w pewnej odleglosci za Ellie. Miała sluchawki na uszach, wiec nie mogłem jej zawołac, a zreszta i tak bym tego nie zrobil, bo po co? Kto chialby gadać z własną wkurzającą siostrą? Widzialem, jak skrecza na sciezke w lesie. Na jej koncu ktos stal. Nie sardze, zeby Ellie widziala tego kogos, bo szla ze spuszczoną glową, kiwala nią w takt muzyki. Wiedzialem, ze z tym gościami jest cos nie tak, bo dreptal nerwowo w miejscu, jakby na kogos czekal.

– I co ten czlowiek zrobil?

– Poszedl za Ellie. Zalozyl kaptur i wszedl na sciezke zaraz po niej. Chialem do niej krzyknac, ostrzec, czulem, ze cos jest nie tak, ale nie krzyknałem. Bylo mi glupio, balem sie, moglo sie okazać, ze sie pomylilem. Zreszta uznalem, ze nic zlego sie nie stanie. Ellie przeciez czesto tamtedy chodzila.

– Cholera – szepnal Sam.

– Taa... cholera.

– Dlaczego nikomu o tym nie powiedziales? – zapytal Sam.

– Bo sie balem. Balem sie, co powiedzieliby ludzie, gdyby wiedzieli, ze moglem zapobiec temu, co sie stalo. Nawet sobie nie wyobrazasz, co czulem, jakie mialem wyrzuty sumienia.

Nadal je mam. Drecza mnie kazdego dnia. Chialbym sie cofnac w czasie i wszystko zmienic, krzyknac, zlapac tego gościa. Ellie wciaz by zyla. Wszystko wygladaloby inaczej. Moze nawet tata by byl.

Sam milczal. W pokoju zalegla glucha cisza tlumiaca wszystkie dzwieki: szum urzadzen, regularny stukot wentylatora, nawet jego rzęzacy oddech.

W koncu postanowil sie odezwac.

– Wyjasnij mi tylko, jak to, co sie stalo z Ellie, moglo miec wplyw na to, ze zostales adwokatem? Zupełnie tego nie pojmuje.

– Codziennie widze te twarz, o tutaj. – Joe postukal sie w glowe. – Zostalem obrońcą, bo pomyslam, ze dzieki temu kiedyś, gdzie sie na niego natkne. Wlasnie to robie kazdego dnia.

Szukam go. Ilekroć ide do komisariatu na spotkanie z klientem, zawsze mam nadzieje, ze to bedzie on. Jesli jestem w

sądzie i akurat toczy się proces jakiegoś przestępcy seksualnego, zaglądam na salę, żeby zobaczyć oskarżonego. Codziennie rano obdzwaniam komisariaty i przeglądam internet, szukam nowych doniesień, wszędzie szukam jego twarzy.

– To bardzo szlachetne – mruknął Sam. – A co zrobisz, kiedy go znajdziesz?

– To proste – odparł Joe. – Zabiję sukinsyna.

Rozdział 60

Alice milczała w drodze do domu. Prowadził Joe. Zmieniające się na skrzyżowaniach światła malowały ruchome jasne plamy na ich twarzach.

– Będzie dobrze, nie martw się – rzekł Joe, gdy dojeżdżali. Alice spojrzała na niego i zobaczyła, że płacze. – Naprawdę się nie martw. Sam to twardziel.

Alice potrząsnęła głową.

– Nie, nieprawda. Ma tylko niebezpieczną pracę. A to różnica.

Po tych słowach znowu odwróciła twarz do okna, więc Joe odpuścił. Chciał powiedzieć, że Sam to jego brat, że łączą ich więzy krwi i przyjaźń, ale wiedział, że utracił wszelkie prawo wypowiedzenia się na ten temat w dniu, w którym Alice wyszła za Sama. Joe nie został nawet poproszony na drużbę. Ten zaszczyt przypadł szkolnemu koledze, z którym Sam po ślubie prawie nie utrzymywał kontaktów, nie licząc okazjonalnych kartek, jakie sobie wysyłali z okazji Bożego Narodzenia. Niechęć Sama wobec tego, jak Joe się zachował po śmierci Ellie, była wyczuwalna już wtedy.

Kiedy podjechał pod dom brata, sądził, że Alice wysiądzie i go zostawi. Ale Alice zwlekała.

– Jeśli masz ochotę, to zapraszam – powiedziała wreszcie. – Nie chcę jeszcze zostać sama.

Zgasił silnik i poszedł za Alice, która szła wolno, ze zwieszonymi ramionami. W domu panowała cisza. Alice musiała się domyślić, że jest zaskoczony, bo nim podeszła do lodówki, żeby wyciągnąć piwo, powiedziała: – Emily i Amy są u moich

rodziców.

Potem wyjęła piwo i mu podała. Joe podniósł puszkę w górę na znak, że dziękuje, a Alice sięgnęła po stojącą na półce na drzwiach lodówki butelkę wina. Drżącymi rękami nalala sobie kieliszek i zaczęła łąpczywie pić, jakby bardzo tego potrzebowała.

– Dziewczynki niedługo wrócą – mruknęła. – Nie wiem, co im powiem.

Joe rozumiał, co miała na myśli: że wieść o otarciu się o śmierć koleżanki Sama już trafiła do wiadomości, chociaż nazwiska policjantki nie wymieniano. Na razie opowieści o tatusiu bohaterze będą dziewczynkom sprawiały radość, ale nadejdzie czas, że nocami zaczną je dręczyć wspomnienia o tym, że Sam był ranny, że wykonuje niebezpieczny zawód.

– Obawiam się, że nie mogę ci pomóc – rzekł. – Na razie jeszcze odrzucam od siebie myśl o rodzicielstwie. Ale jestem przekonany, że zrobisz to, co należy.

Alice spojrzała na niego i Joe dopiero teraz zauważył, że jej przygnębienie to nie tylko rezultat szoku. W oczach Alice czaił się lęk. Miała ściągnięte brwi i przyspieszony oddech. To był pierwszy raz, kiedy w jej domu wydarzyło się coś naprawdę groźnego. Joe zauważył, że zaczęła sobie zdawać sprawę z czegoś, co on i Sam odkryli już piętnaście lat wcześniej – że spokój i bezpieczeństwo mogą być ludziom odebrane w każdej chwili.

Alice usiadła i znowu napiła się wina.

– Wiesz, że będzie się obwiniał – rzuciła.

– Wiem. Taka już jest ludzka natura.

– Nie, chodzi o coś więcej. Będzie się obwiniał, bo za bardzo się przejmuje. Wiele razy mu powtarzałam, że to tylko praca, że powinien większą wagę przykładąć do rodziny, ale nie słucha. Kiedy coś źle idzie w śledztwie, zamyka się w sobie, czasami na wiele dni, jakby czekał, że ktoś przyjdzie i mu zarzuci, że to przez niego. Nie potrafi się jak inni odciąć i otrząsnąć.

Traktuje swoją pracę jak misję, chce wyłapywać nawet najmniej szkodliwych przestępców, żeby tylko nikomu nic nie uszło na sucho. Znałeś kogoś takiego?

Joe przymknął oczy. Wiedział, o czym mówiła Alice. Dorastał z Samem.

– Mówiłam mu, że to chore – ciągnęła, ocierając łzę. – Rzecz w tym, że on o tym wie, ale nie umie nad tym zapanować. Drepczy się każdą porażką i teraz też tak będzie.

– Sam już taki jest – rzucił Joe. – Taki się urodził, poza tym wstąpił do policji z powodów emocjonalnych: żeby odpokutować za Ellie.

– Tak bym chciała, żeby choć trochę się zmienił – jęknęła Alice, biorąc kolejny łyk wina. – Z tym jego milczeniem, kiedy się zamyka, jeszcze sobie jakoś radzę, chociaż te okresy ciszy stają się coraz dłuższe. Ale najbardziej mnie wykańcza, kiedy wychodzi z tej swojej skorupy; wtedy najmniejsza rzecz urasta do wielkiego problemu. Na przykład idzie do sklepu i zapomni czegoś kupić, a potem tłumaczy to tym, że jest przepracowany i że już sobie nie radzi. A przecież tylko zapomniał coś kupić, to się wszystkim zdarza. Teraz też będzie nieznośny i nie wiem, czy to udźwignę.

– Wystarczy, że przy nim jesteś, nic więcej nie musisz robić – rzekł Joe.

– A ty? Pójdiesz sobie, bo już taki jesteś, co? Żyjesz swoim życiem i wydaje się, że nic innego cię nie obchodzi. Sam też żyje swoim i ma jeszcze mnie do pomocy. Ale co ze mną? Kto się mną zaopiekuje?

Joe odstawił piwo. Nie chciał się kłócić. Zresztą Alice miała rację. Zamierzał wyjść, zostawiając ją samą. I nawet fakt, że mu to wytknęła, nie mógł go zatrzymać.

– Powiedz Samowi, żeby do mnie zadzwonił, kiedy wróci – powiedział i ruszył do drzwi. Ale nagle się zatrzymał. Uzmysłowił sobie, że ucieka. Odwrócił się. – Nie tylko Sam będzie miał się czym gryźć.

Alice spojrzała na niego, twarz miała zalaną łzami.

– Nie rozumiem.

– Prowadził dochodzenie w sprawie mojego klienta. Ronniego Bagleya. Pojechał do tego domu z powodu tego, co powiedziałem w prokuraturze: że właściciel domu, Terry Day,

mógłby pomóc mojemu klientowi. To sprawa jak wszystkie inne. I będą następne, ale o mało przez nią nie straciłem brata. Przez nią zginął Terry Day i mało brakowało, a to samo spotkałoby tę młodą policjantkę. Wszystko przez informację, której nie musiałem przekazywać. Więc powiedz mi, jak mam stąd wyjść, bo może prawda jest taka, że najchętniej bym został. Na mnie w domu nie czeka nikt, kto mnie wesprze. Dlatego lepiej nie wyciągaj co do mnie pochopnych wniosków.

Alice, urażona i zła, wbiła wzrok w kieliszek.

W ciszę wdarł się dzwonek telefonu Joego. Odwrócił się, żeby odebrać. Dzwoniła matka.

– Joe, musisz koniecznie przyjechać. – Matka płakała, była na granicy hysterii.

– Jeśli chodzi o Sama, to nic mu nie jest.

– Nie, nie chodzi o niego. Chodzi o Ruby.

Joe zadrżał. Alice musiała coś wyczuć, bo spojrzała na niego z niepokojem.

– Co się stało? – zapytał.

Przez chwilę w telefonie panowała cisza, a gdy matka znowu zaczęła mówić, miał wrażenie, jakby czas cofnął się o piętnaście lat.

– Chodzi o Ruby – powtórzyła matka i zaczęła szlochać. – Nie wróciła do domu.

Rozdział 61

Sam skrzywił się z bólu, kiedy drzwi od centrum dowodzenia, do którego wchodził, uderzyły go w ramię.

– Mogłeś je przytrzymać – rzucił ze złością do Geda, który przepchnął się przed nim.

Inspektor Evans zaprowadziła go w róg pokoju, z dala od okien.

– Musisz opowiedzieć, co się stało – powiedziała, kiedy ostrożnie opuścił się na krzesło.

Z szuflady wyciągnęła czysty druk raportu i położyła go na biurku. Nie miała długopisu. Sam wiedział, że zanim spisze zeznanie, najpierw będzie chciała usłyszeć, co on ma do

powiedzenia.

Spojrzał na kartkę.

– Nie powinniśmy szukać Ronniego Bagleya? – zapytał. –
Dlaczego to teraz takie ważne?

Chodzi o ustalenie wersji wydarzeń, jaką zaprezentujemy
światu?

– Co przez to rozumiesz?

– Jestem nowy w tym wydziale, ale nie w policji. Wiem,
jak to działa. Ty nas wysłałeś do tego domu, więc chcesz się
upewnić, czy nie popełniłeś błędu. A wiadomo, że w tej robocie
najwięcej czasu spędza się na unikaniu oskarżeń. Cóż, ode mnie
usłyszysz tylko jedną wersję, to znaczy prawdę. Jeśli ci to nie w
smak, trudno, nie zamierzam zmieniać zdania.

Evans popatrzyła na Sama i przeciągle westchnęła.

– Szukamy Ronniego, ale dzisiaj mało brakowało, żebyśmy
stracili jedną osobę z naszego zespołu. Wciąż ją możemy stracić.
Teraz chcemy się dowiedzieć dlaczego. Więc opowiadaj, żebyśmy
mogli złapać tego, kto to zrobił. Nic więcej się za tym nie kryje.

Sam zwiesił głowę. Nie chciał tego robić. Wolałby wrócić
do domu, do Alice, Amy i Emily, wziąć coś przeciwbólowego i
użalać się nad sobą. Całe ramię rozsadał mu ból, czuł się
zmęczony, ale wiedział, że działania Evans to zwyczajna
procedura, że w takich przypadkach właśnie tak zachowują się
policjanci. Jedną z pierwszych rzeczy, której się nauczył, gdy
wstąpił na służbę, było to, że policja to instytucja grupowa; jeśli
ktoś został ranny, czuli to wszyscy pozostali. Pomyślał o Charlotte,
o tym, jak bardzo cierpiała i jaka była przestraszona.

Przypomniał sobie, jak ją trzymał w ramionach,
zastanawiając się, czy przeżyje.

– Tak jak powiedziałem, podążaliśmy za tropem – zaczął. –
Odwiedziliśmy rodziny zaginionych, bo przy komputerze Julie
McGovern wisiało zdjęcie młodego chłopaka. Coś mnie w nim
zaniepokoilo, ale nie wiedziałem, o co chodziło. Więc
postanowiliśmy je pokazać, żeby sprawdzić, czy moje przecucia
są słuszne. Były. Okazało się, że to fałszywka, przykrywka

uwodziciela. Ronnie Bagley wykorzystał zdjęcie, żeby skontaktować się z co najmniej dwiema naszymi ofiarami. Ale w związku z tym zdjęciem dręczyło mnie coś jeszcze, i nadal nie wiem, co to może być. Zdjęcie wydało mi się podejrzane, jeszcze zanim odkryliśmy, że ma coś wspólnego z Bagleyem.

– Mówiłeś, że gdzie wpadliście na trop Bagleya?

– U Gilly Henderson, córki adwokata. Rozmawiałem z jej siostrą, Rachel, i ona rozpoznała zdjęcie. Powiedziała, że chłopak próbował się z nią zaprzyjaźnić, ale go spławiła. Gilly musiała być mniej wybredna.

– Nie możemy znaleźć Bagleya – wyjaśniła Evans. – Ciągle szukamy, ale na razie bez skutku.

– Myślę, że był współnikiem Granta – oznajmił Sam. – Grant zakpił sobie z nas, bo opisywał Bagleya, nie siebie. To siostra Ronniego zginęła podczas kąpieli i to Bagley miał obsesję na punkcie włosów, nie Grant. – Sam się skrzywił. – Prawdopodobnie to wszystko moja wina.

Ged, który siedział po drugiej stronie pokoju, kiwnął głową i wymownie chrząknął.

– W jaki sposób, do cholery, to może być twoja wina? – zdziwiła się Evans, posyłając Gedowi wściekłe spojrzenie.

– Bo Grant mówił, że ktoś go zdradził, a kiedy go zatrzymywałem, ktoś mógł tam z nim być, może współnik. A ja nikomu o tym nie powiedziałem.

Evans wyglądała na zaskoczoną.

– Kiedy się o tym dowiedziałeś?

– Tak naprawdę to nie wiedziałem. Po prostu nigdy nie byłem pewny. Cały czas o tym myślę, bo od zatrzymania ciągle dręczy mnie niepokój, że coś mi wtedy umknęło. Ben Grant nie próbował uciekać, nie bronił się. Ukląkł i pozwolił się skuć. Byłem skoncentrowany na nim, więc nie wiem, czy był tam ktoś jeszcze w tych krzakach. Patrzyłem tylko na Granta, nie rozglądałem się za nikim więcej. A kiedy poszliśmy odwiedzić Granta, on sobie z nas zakpił.

Opowiedział, że zabił siostrę, że miał tę obsesję z włosami,

ale naprawdę mówił o Ronniem Bagleyu. I jeszcze powiedział coś, co było naprawdę dziwne.

– Czy ta twoja opowieść dokądś prowadzi? – wtrącił się Ged.

– W tym rzecz, że nie wiem – odparł Sam rozdrażnionym głosem. – Czuję, że Grant próbuje mi coś powiedzieć, ale mówił zagadkowo, opisywał historię swojego życia. Jednak dzisiaj mówił jaśniej. Powiedział, że ktoś go zdradził i że prawdziwy odlot jest wtedy, gdy ktoś mu pomaga. Użył nawet zwrotu, że świeżo nawróceni są największymi entuzjastami.

– Tak powiedział?

– Tak, tylko co on miał na myśli, jak sądzisz? Powiem ci, co. Wspólnika. I wiesz co, nie mogę tego wykluczyć. A to znaczy, że dałem plamę. Bo chociaż nie miałem pewności, to jednak dręczyło mnie przecucie, że Grantowi mógł ktoś pomagać. Nie miałem żadnych dowodów, ale mimo wszystko to mnie męczyło. Więc teraz już rozumiesz. – Sam, zniechęcony i wyczerpany, odchylił się na oparcie krzesła.

– Ale przecież to Carrie przyjaźniła się z Grantem, nie Bagley – zauważyła Evans.

– Grant ją pociągał, była nim zafascynowana – zaczął Sam. – Może z tego samego powodu zafascynował ją Ronnie? Znalazła zastępstwo za Granta. Tylko dlaczego Ronnie miałby ją zabić? Może chciała go wydać? Fascynacja to jedno, ale kiedy partner wraca do domu z krwią na rękach, to już nie jest takie miłe.

– Wszystko możliwe, pod warunkiem, że mielibyśmy pewność, że Carrie nie żyje – mruknęła Evans. – Ale Terry Day twierdzi co innego. – Policjantka westchnęła. – Ta sprawa to jeden wielki chaos.

Gdy nikt nie zaoponował, wyciągnęła długopis z kieszeni.

– Teraz opowiedz, co się wydarzyło w domu Daya – poprosiła.

Więc Sam opowiedział. O tym, że weszli do środka i że było ciemno. O dziwnych odgłosach, o wrażeniu, że nie są sami. O tym, jak się skradali po schodach, i że nagle na szczycie pojawił się

Terry Day, po czym jego ciało zwałiło się na nich.

Evans zastukała w czysty formularz, wciąż nic w nim nie zapisując.

– A więc jeśli ogniwem jest Ronnie Bagley, to może on na was napadł?

Sam z początku nie odpowiedział, jakby się zastanawiał. Potem potrząsnął głową.

– Nie, to nie był on.

– Skąd wiesz? Znasz Bagleya, wiesz, jak wygląda?

Znowu chwila zastanowienia, po czym Sam się wyprostował, krzywiąc się przy tym z bólu, bo zranionym ramieniem zahaczył o róg krzesła.

– Nie – rzekł. – Nie znam Bagleya, ale wiem, że to nie był on.

– Skąd ta pewność?

Sam powrócił pamięcią do mrocznej klatki schodowej. Widział ciężkie ciało Daya staczające się wolno w dół, słyszał odgłos szybkich kroków. Napastnik był szczupły i lekki, ale też szybki i silny. I bił od niego zapach, niewyraźny, coś jak kwiaty, choć z domieszką piżma.

Perfumy. Ramiona miał wąskie, a zarys szczęki, którą Sam widział w przyćmionym świetle komórki, wydawał się delikatny.

– To nie był Ronnie Bagley – powtórzył. – Napastnik, który nas zaatakował, nie był nim, tylko nią.

Rozdział 62

Joe nawet nie zamknął samochodu, tylko od razu pobiegł do domu. Na ulicy było pusto, nie licząc grupki dzieciaków stojących na jej końcu. I matki, która niczym samotny wartownik czekała na stopniach przed drzwiami, mnąc w dłoniach chusteczkę.

– Joe, jesteś! – zawołała, kiedy się zbliżył. Wyglądała, jakby chciała, żeby ją przytulił, patrzyła mu w oczy wyczekująco, ale on umknął przed tym spojrzeniem. Nie przytulał matki od tamtego popołudnia, kiedy Ellie została zamordowana.

– Mów, co się dzieje – rzucił, wchodząc do środka. Matka szła za nim powłócząc nogami.

Zalatywało od niej alkoholem.

– Ruby nie wróciła po szkole do domu – wyjaśniła. Słysząc było, że za chwilę się rozplacze, poza tym mówiła bełkotliwie. Joe zerknął na zegarek. Dziewiąta. Zwykle o tej porze matka zaczynała odpływać.

– Jesteś pewna, że o czymś nie zapomniałaś, na przykład że Ruby mówiła, że pójdzie do koleżanki?

– Dlaczego miałabym zapomnieć?

Joe przemierzył kuchnię i podniósł flaszkę po wódce. Była mała, jakby jej wielkość miała zatuszować problem, ale wiedział, że butelek jest więcej.

– Może dlatego?

– Nie krzycz na mnie, Joe – powiedziała matka i wyszła do pokoju. Tam usiadła na kanapie i opuściła głowę na ręce. Joe poczuł ukłucie wyrzutów sumienia.

Ale nie przeprosił. Zamiast tego pobiegł na górę, do pokoju Ruby.

Już dawno tu nie był – sprawy rodzinne pozostawił na barkach Sama – i uderzyło go, że pokój wyglądał inaczej niż go zapamiętał. Widać było, że należy do dorastającej dziewczyny. Z boku na podłodze leżały przybory do układania włosów, z otwartych szuflad wysypywały się ubrania. Na biurku pod oknem dostrzegł zapalniczkę. Zaczął szukać oznak problemu z narkotykami, bibulek i sreberka z pudełek od papierosów, z których robi się filtry do jointów, ale niczego takiego nie znalazł. Najwyraźniej Ruby jeszcze nie weszła na tę ścieżkę.

Ściany były obwieszane zdjęciami gwiazd filmowych, choć Ruby gustowała w tych z dawniejszych czasów. Młody Marlon Brando na rowerze, James Dean oparty o szopę.

Nostalgiczne, banalne ujęcia. Joe włączył komputer i czekając, aż się uruchomi, rozejrzał się po pokoju. Przyglądając się mu, miał wrażenie, jakby nie znał własnej siostry; jakby dorosła, a on tego nie zauważył. Uzmysłowił sobie, że nic o niej nie wie. Dokąd chodziła. Kim byli jej znajomi.

Wyszedł na korytarz i zawołał ze schodów: – O której Ruby

zwykle wraca do domu?

Placzliwa odpowiedź dotarła do niego po kilkusekundowej zwłóce.

– Zależy. Czasami po szóstej. Ale nigdy tak późno.

– A dokąd najczęściej chodzi?

– Do kolegów i koleżanek ze szkoły. Tak naprawdę to mi nie mówi.

Joe zacisnął zęby i wrócił do pokoju. Jak do tego doszło? Udają kochającą się rodzinę, urządzają urodziny, chodzą na cmentarz, ale w rzeczywistości żyją oddzielnie, każde we własnym świecie.

Komputer przestał terkotać i rzeźić, więc uruchomił przeglądarkę internetową. Otworzył historię i wyszukał wejście na stronę portalu społecznościowego. Kliknął na nią i czekał, aż się załaduje.

Na ekranie pojawiły się zdjęcia Ruby; Joe ujrzał dziewczynę, której nie rozpoznawał.

Zalotną, dorastającą. Przeszedł do zakładki z wiadomościami, szukając jakiejś wskazówki.

Znalazł coś gorszego – wiadomości z pytaniem, gdzie Ruby się podziewa, dlaczego się nie odzywa, mimo że znajomi cały wieczór do niej piszą. Był czwartek i młodzi już umawiali się na weekend.

Odpowiedział na kilka wiadomości, wyjaśniając, kim jest, i pytając, czy ktoś coś wie o planach Ruby. Potem kilka minut krążył po pokoju, czekając na odpowiedź. W końcu nadeszła, od jednej z koleżanek: „Nie. Wszystko okej?” Potarł dłońmi twarz. Właśnie do niego dotarło, że tak naprawdę nic nie było okej.

Znowu się rozejrzył, szukając dalszych wskazówek, czegoś złowieszczego. Nigdzie nie widział komórki, domyślił się więc, że Ruby musiała planować wyjście, chociaż... była w szkole, więc może zawsze nosi przy sobie telefon.

Na małej toalecie przy łóżku dostrzegł jakąś fotografię opartą o radio z budzikiem. Młody chłopak, nastolatek, przystojny.

Znowu wyszedł na korytarz.

– Czy Ruby ma chłopaka?

Cisza, a potem: – Nic nie wspominała.

– Okej – mruknął i wrócił do pokoju. Zajrzał do zakładki ze znajomymi, chcąc znaleźć wśród nich chłopaka ze zdjęcia. Przesunął listę w dół, dziwiąc się, że siostra zna aż tyle osób. W końcu prawie na samym dole go wypatrzył.

Kliknął na profil. To samo zdjęcie. Przyjrzał się stronie i zaskoczyła go mała liczba znajomych. Tylko siedmiu. Wiedział, jak działają portale społecznościowe, że jak się już do nich dołączy, ludzie zaczynają cię wciągać na swoje listy i bardzo szybko ma się pełno znajomych, których się prawie nie zna. Znajomi znajomych i tak dalej.

Przeczytał osobiste informacje podane w profilu. Billy Bridge. Lubi piłkę nożną, muzykę i zabawę. Nie lubi autorytetów i żeby ktoś mu mówił, co ma robić. Zwyczajny młody chłopak.

Ale jednak nie do końca. Coś z tą stroną było nie tak. W oczy rzuciła się mała liczba wiadomości i znajomych. Chłopak prawie nic o sobie nie napisał.

Joe postanowił zadzwonić do brata. Sam widział się z Ruby poprzedniego dnia, kiedy wydawało jej się, że ktoś ją śledził. Komórka przełączyła go na pocztę głosową, więc zostawił wiadomość: „Sam, to ja. Zadzwonił. To pilne. Nie wiemy, gdzie jest Ruby”.

Kiedy się rozłączył i w pokoju zrobiło się cicho, poczuł, że opada go znajomy mrok i zalewają wspomnienia tamtego dnia sprzed piętnastu lat.

Rozdział 63

Sam szedł do drzwi i zaglądał w okna, ale nie dostrzegł Alice. Podjazd był pusty, jego auto zostało pod domem Terry’ego Daya, zapewne otoczone taśmą policyjną.

Wszedł do kuchni i zobaczył, że na blacie stoi do połowy wypita puszka piwa. Otworzył lodówkę. Wino było otwarte, ale kieliszka nigdzie nie widział.

Wyjął z szafki czysty i kiedy nalewał sobie wino, usłyszał kroki na schodach.

Do kuchni weszła Alice z kieliszkiem w ręku. Zauważył, że płakała.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Podeszła do niego, więc wyciągnął zdrową rękę, tę, w której trzymał kieliszek.

– Tylko bez uścisków, błagam – rzucił, krzywiąc się.

Więc zamiast go objąć, Alice chwyciła go za dłoń i ją pocałowała.

– Wysłałam dziewczynki na noc do rodziców. Nie chciałam, żeby cię widziały w tym stanie.

– Jutro też będę tak wyglądał, więc i tak mnie zobaczą. Będą musiały się przyzwyczaić do tego widoku.

– Nie chodzi tylko o to. Nie ochronię ich przed tym, co ci się może przydarzyć.

– O czym ty mówisz?

– Bałam się o ciebie, kiedy jeździłeś na patrole. Potem przeszedłeś do wydziału przestępstw finansowych. Wydawało się, że to bezpieczna praca, więc przestałam się bać. Ale teraz pracujesz w wydziale zabójstw, a ja znowu zaczęłam myśleć o tym, że któreś nocy dostanę telefon z wiadomością, że już nie wrócisz. To jest praca, w której ludzie giną. Nie wiem, czy jestem w stanie żyć na co dzień z tą myślą.

– Ta praca już taka jest, Alice – mruknął. – I nic tego nie zmieni.

Alice podeszła do lodówki i dołała sobie wina. Przez chwilę się w nie wpatrywała, potem zapytała: – A więc to z Ruby, to był fałszywy alarm, tak?

Ręka Sama, kiedy podnosił kieliszek do ust, na chwilę zastygła w bezruchu.

– Co masz na myśli?

– No, jak to? Przyjechałeś prosto do domu, więc pewnie wszystko jest w porządku.

– O czym ty mówisz? – Odstawił kieliszek.

– O Ruby – odpowiedziała. – Joe próbował się do ciebie dozwonić.

Sam był skołowany, ale potem sobie przypomniał.

– W szpitalu wyłączyłem telefon. – Sięgnął do kieszeni, wyciągnął komórkę i ją włączył.

– To znaczy, że nic nie wiesz? – zapytała Alice, a kiedy pokręcił głową, przytknęła rękę do ust.

Jego telefon zabrzączał. Wiadomość głosowa. Odsłuchał ją. Była od Joego. Brat rzadko do niego dzwonił. Ale kiedy usłyszał, co powiedział Joe, ręka mu zadrżała.

„Sam, to ja. Zadzwoń. To pilne. Nie wiemy, gdzie jest Ruby”.

Rozłączył się i wybiegł w noc.

Ruby spojrzała w bok, na mężczyznę na siedzeniu kierowcy. Ojciec Billy’ego, przynajmniej tak się przedstawił. Nie podobał jej się sposób, w jaki facet co chwila na nią zerkał, poządliwie spoglądał na jej włosy i nogi. Żeby nie mógł ich widzieć, wciąż obciągała dół spódniczki. Załowała, że nie założyła spodni.

– Gdzie jest Billy? – zapytała. Wiedziała, że mówi naburmuszonym głosem, ale oczekiwanie się przedłużało, jedyną rozrywką było przekąszenie kanapki z fast foodu.

Mężczyzna spojrzął na nią. Złączyła kolana i skrzyżowała ręce na piersiach. Czuła się skrepowana. Przycisnęła guzik zamka, ale drzwi były zablokowane. Facet musiał usłyszeć, że przy nich majstruje, bo powiedział: – Billy niedługo przyjdzie. Pewnie zajęcia mu się przedłużyły – uśmiechnął się. – Wynagrodzi ci to, nie martw się.

Już mu nie wierzyła. Coś tu nie grało. Znajdowali się w samym środku Manchesteru i robiło się ciemno. Tyle zachodu, żeby spotkać kogoś, kogo znała tylko z sieci!

Potem pomyślała, że ma paranoję. Widziała zdjęcie Billy’ego, widziała opis na jego profilu.

Nie, wszystko jest w porządku. Niech tylko Billy się wreszcie pojawi.

Tylko że otoczenie nie było najprzyjemniejsze. W furgonetce śmierdziało zatęchłym dymem z papierosów i potem.

Ojciec Billy'ego znowu zapalił. Chciała otworzyć okno, ale kiedy zapytała, czy może, usłyszała, że nie. Więc musiała siedzieć w tym dymie, którym nasiąkały jej ubranie i włosy.

Spojrzała na mężczyznę obok. Miał brudne ciuchy i zmęczone, podkrążone oczy. Na rękach widniały dziwne znaki, jakieś małe, wytatuowane przy kciuku kreski. Było ich sześć.

Jednak na duchu podtrzymywała ją myśl o Billym. Tyloma rzeczami się ze sobą podzielili.

Ona mu zdradziła swoje tajemnice, opowiedziała o marzeniach, pragnieniach, a Billy opowiedział jej o swoich. Wszystko prowadziło do tej chwili, zdawała sobie z tego sprawę, chociaż moment spotkania nadszedł szybciej, niż się spodziewała. Była podekscytowana, ale też się denerwowała i niecierpliwiła. Mimo to wolała nie wysiadać z furgonetki. Okolica na zewnątrz wyglądała niebezpiecznie, w pomarańczowym blasku latarni majaczyły ceglane łuki mrocznego wiaduktu, po którym co jakiś czas przejeżdżał pociąg.

Ojciec Billy'ego nachylił się do szyby. Na ulicy przed nimi ktoś szybko szedł w ich stronę.

– Już prawie jest – mruknął.

Ruby, czując, że jej ulżyło, też się nachyliła. Miała ochotę się roześmiać. Nigdy nie widziała Billy'ego. Rozmawiali na czacie, ale nigdy twarzą w twarz, dlatego jej zdenerwowanie przemieniło się w ekscytację, że w końcu go zobaczy.

Dość wyraźnie widziała zbliżającą się postać, ale osoba była niższa, niż oczekiwała. Twarzy nie mogła dostrzec, bo zasłaniał ją zarzucony na głowę kaptur. Sylwetka też ginęła w obszernej bluzie.

Ojciec Billy'ego zamrugnął światłami. Bardzo się ożywił, uśmiechał się i kiwał głową.

– Kto to jest? – zapytała. – To Billy?

Kiedy postać dotarła do furgonetki, ojciec Billy'ego opuścił szybę.

– Wsiadaj do tyłu.

Ruby wykręciła szyję, żeby się obejrzeć, ale osoba, która

wsiadała, poruszała się zbyt szybko. Tylne drzwiczki otworzyły się i coś zabrzęczało.

– Billy? – zapytała Ruby, odwracając się. Uśmiechała się, była podekscytowana. – To ja, Ruby.

W tym momencie sapnęła, bo czyjeś ramie otoczyło jej szyję. Głośno jęknęła.

– Nie jestem Billy, moja słodka.

Głos należał do kobiety.

Ruby zaczęła się szamotać, krzyczała, waliła nogami w schowek na rękawiczki, drapiąc obcasami szary plastik.

Zobaczyła błysk metalu i zaraz potem na szyi poczuła ostrze noża, naciskające na skórę tuż pod uchem.

– Jeśli cię tu ugodzę, z miejsca umrzesz – ostrzegła kobieta.
– Chcesz tego?

Ruby przestała się szamotać i ciężko przełknęła ślinę.

– Boję się – wydusiła. – Nie rozumiem, co się dzieje. Gdzie jest Billy?

– Nie musisz niczego rozumieć. Jest jak jest. Może to twój koniec. Teraz wszystko zależy od twojego brata. Od tego, czy wystarczająco mocno cię kocha.

– Od mojego brata? Dlaczego od niego?

– Sam... To o niego nam chodzi. Na razie pójdiesz z nami. Zrobisz to? Spokojnie, bez walki? Bo jeśli się będziesz opierała, zabiję cię. I nie będziesz pierwszą moją ofiarą.

Ruby wzięła kilka głębokich oddechów, czując, że do oczu napływają jej łzy. Pomyślała o Samie. Będzie na nią zły. Powinna była go słuchać. Wpakowała się w niebezpieczną historię i teraz również jemu grozi niebezpieczeństwo.

– Nie jesteś ojcem Billy’ego? – zapytała.

Mężczyzna za kierownicą parsknął śmiechem. Kobieta mocniej przycisnęła nóż do jej szyi.

Mężczyzna wysiadł z furgonetki i przeszedł do drzwiczek od strony pasażera. Otworzył je i chwyciwszy Ruby za szyję, wyciągnął ją z samochodu. Krzyknęła, ale napastnik szybko zatkał jej usta i pociągnął za sobą po chodniku.

Na ulicy, im bardziej się w nią zagłębiali, tym było mroczniej. Wiele latarni miało potłuczone żarówki. Ruby próbowała się uwolnić, ale mężczyzna trzymał ją mocno. Kobieta szła tuż za nimi.

Dotarli do metalowej bramy zastawionej stalowymi blachami, na górze był drut kolczasty.

Dalej nie mogli pójść, Ruby miała szansę uciec. Ale mężczyzna kopnął jakąś zardzewiałą płytę obok i pokazała się szpara, niczym ciemna rana, za którą była tylko czarna pustka.

– Właż – warknął mężczyzna i pchnął ją w stronę wąskiego otworu. Przeciskając się przez niego, zaczepiła nogą o coś ostrego i krzyknęła z bólu, ale porywacz nie przestawał jej popychać. Po chwili znaleźli się po drugiej stronie. Mężczyzna pociągnął ją za sobą przez poznaczony górkami złomu i śmieci, porośnięty pokrzywami i wysoką trawą teren aż do miejsca w rogu, do którego nie docierało światło.

Kobieta wyciągnęła telefon i wycelowwała go w Ruby. Ruby zamrugła, oślepiąca błyskiem flesza. Kobieta spojrzała na zdjęcie i warknęła: – Zabierz ją do środka. Ja muszę zadzwonić.

Znowu rozległ się zgrzyt metalu i czerń nocy ustąpiła miejsca niebieskiej poświacie, w której błyszcząły wyłożone terakotą schody.

– Idź, nie zatrzymuj się – rozkazał mężczyzna.

Ruby wyszarpnęła się z jego uścisku.

– Nie, nie pójde! – Ale wtedy czymś dostała. Poczła ból w głowie i zorientowała się, że leci w tył. Kiedy upadła, dźwięki wokół przycichły, a gdy spojrzała w górę, dostrzegła gwiazdy i blask księżyca.

Poczła, że ktoś, ostro szarpiąc, podnosi ją, i powiedziała w duchu „przepraszam”.

Przepraszła matkę, ojca, chociaż prawie go nie знаła, i swoich braci, którzy tak bardzo się o nią troszczyli. Zrobiła źle i wszystko popsuła.

Kiedy już przeciągnięto ją do jakiegoś miejsca, którego zupełnie nie rozpoznawała, napastnicy przestawili blachy z

powrotem na miejsce i Ruby otoczyła kompletna ciemność.

Rozdział 64

Joe usłyszał, że pod dom coś podjechało, więc podszedł do okna. Taksówka. I Sam.

Mimo bandaży Sam wpadł do domu jak huragan.

– Mów, co wiesz – zażądał. Widać było, że jest wystraszony.

– Ruby nie wróciła do domu.

– Dzwoniłeś na policję?

Joe pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Mówimy o Ruby. Próbuję ustalić fakty, żebyśmy mogli przekonać kogo trzeba, że nie chodzi o głupi wybryk nastolatki.

– Sądzisz, że to tylko próba ściągnięcia na siebie uwagi? – zapytał powątpiewająco Sam.

– Nazywaj to, jak chcesz.

– Dzwoniłeś do jej znajomych?

– Do wszystkich, o których wiemy, ale mama twierdzi, że wielu nie przywodziła do domu. – Joe odsunął się na bok, żeby przepuścić Sama. – Do poszukiwań nie trzeba mieć specjalnych umiejętności, Sam. Zrobiłem wszystko, co i ty byś zrobił.

– Więc gdzie ona jest?

– Nie wiem. Objechałem miejsca, do których chodzi. Sklepy, centra handlowe. Widziałem tam mnóstwo dzieciaków, ale Ruby nie znalazłem.

Sam przez chwilę milczał, zaciśnięta szczeka świadczyła o tym, że jest spięty.

– To może być coś więcej niż tylko chęć zwrócenia na siebie uwagi – rzekł w końcu. – Wiesz, że ktoś ją śledził.

– To relacja Ruby, nie wiadomo, czy tak było naprawdę.

– Sam tam kogoś widziałem. Uciekał przez las.

– Może uciekał, bo pomyślał, że jesteś niebezpieczny.

Sam nie odpowiedział.

– Przeglądałem jej konta, mejle. Nie znalazłem nic, co by sugerowało, że wdała się w coś niemądrego – tłumaczył Joe. –

Może naprawdę chodzi jej tylko o to, żeby nam dokuczyć?

Dopiero co była rocznica Ellie, a wiesz, jaka Ruby wtedy jest, świat już nie kręci się wokół niej.

Słyszała o tych zaginionych dziewczynach. Może specjalnie chce nas nastraszyć. Wróci do domu i będzie zachwycona, kiedy nas tu zobaczy, swoich dwóch braci, którzy się o nią niepokoją. Jak mogłem zawiadomić policję w obliczu tego wszystkiego?

– Mogłeś, bo od jakiegoś czasu znikają młode dziewczyny, a wszystkie były w jakiś sposób powiązane z Grantem – oznajmił Sam ze złością. – Co znaczy, że wiedza, gdzie się podziewa Ruby, jest cholernie istotna. A co z Ronniem? Gdzie on jest?

– Nie wiem – przyznał się Joe. – Szukałem go, bo nasza stażystka nie pokazała się dzisiaj w pracy, a Ronnie sugerował, że coś wie. Powiedział też coś jeszcze: że powinienem był go powstrzymać.

Sam zacisnął usta. Joe widział, że się zastanawia, ile może ujawnić.

– Chodzi o Ruby, więc nic przed sobą nie ukrywamy – przypomniał.

– Grant opowiadał o obsesji na punkcie włosów. Wprowadził nas w błąd, sugerując, że chodzi o niego, ale kłamał. Chodziło o Ronniego.

– Ruby chyba ma chłopaka – zauważył Joe. – Może być u niego.

– Skąd wiesz, że ma?

– Nie wiem, ale widziałem fotografię w jej sypialni, przy budziku.

Sam wypadł z pokoju i wbiegł na schody. Joe poszedł za bratem.

Kiedy wszedł do pokoju Ruby, Sam już tam stał i przyglądał się zdjęciu, które trzymał w rękach. Fotografia przedstawiała przystojnego nastolatka – modnie obcięty, siedział na łóżku, na ścianie za plecami plakaty.

– To właśnie to zdjęcie – rzucił. – Wiesz, kto to jest?

Sam przełknął ślinę.

– Nie kto, tylko co.

– Nie rozumiem.

Sam wziął głęboki oddech.

– To jest zdjęcie, za którym ukrywał się Ronnie. Zaginione dziewczyny łączy Grant i to zdjęcie.

– O kurwa – zaklął Joe. – Dzwon na policję. Rób, co się robi w takich sytuacjach.

Sam wyciągnął telefon i w tej samej chwili telefon zadzwonił. Sam wcisnął guzik połączenia.

Joe przyglądał się, jak słucha i robi coraz większe oczy.

– Kim jesteś? Z kim rozmawiam? – zapytał wreszcie wściekłym głosem.

Joe wciąż wpatrywał się w brata. Sam wysłuchał odpowiedzi, potem odsunął telefon od ucha i popatrzył na niego z niedowierzaniem. Na czole miał krople potu.

– O co chodziło? – zapytał Joe.

Sam spojrzał na niego. W oczach miał łzy, ale były to łzy wściekłości i furii, nie rozpacz.

– Porwali ją – wycedził przez zęby.

Rozdział 65

Porywacze ciągnęli ją za sobą po schodach. Ruby słyszała urywki rozmowy telefonicznej; wiedziała, że kobieta dzwoniła do Sama, bo w trakcie rozmowy wypowiedziała jego imię. Dlatego Ruby, teraz już płacząc, zaczęła się szarpać. Chciała się wyrwać, ale znowu została uderzona, tym razem w ramię. Głośno zawyła. Cios był zadany z całej siły, jeszcze nikt nigdy tak mocno jej nie uderzył.

Nie widziała, dokąd ją ciągną. Wokół było ciemno, drogę oświetlała tylko latarka, jej światło odbijało się od brudnych białych kafli, od paproci i mchu, wyrastających z pęknięć. Potknęła się, ale porywacze chwycili ją pod pachy i taszczyli dalej pod górę.

Kiedy dotarli na szczyt schodów, ujrzała olbrzymią przestrzeń poprzecinaną kolumnami.

Wyglądało to jak wielka hala opustoszałej fabryki, tyle że

na środku betonowej posadzki widniał duży dół porośnięty zielskiem. Ruby spojrzała w górę. Dach był potrzaskany i popękany, przez dziury przeświecały gwiazdy. Usłyszała trzepot skrzydeł, coś przelatywało z jednej krokwi na drugą.

– Co to za miejsce? – zapytała.

– Coś to zmieni, jeśli ci powiem? – burknęła kobieta.

Ruby nie odpowiedziała.

Została popchnięta pod żelazną kolumnę. Chustą, którą kobieta wyciągnęła z kieszeni, skrepowano jej ręce na plecach.

– Nawet nie myśl o ucieczce – ostrzegła porywaczka. – Jestem szybsza, więc na pewno cię dogonię i wtedy zabiję.

Ruby, cicho pochlipując, kiwnęła głową, potem osunęła się na ziemię i oparła czoło o zimny twardy metal. Popatrzyła przed siebie i w oddali dostrzegła jakieś światła. Hala z jednego boku była otwarta. Ruby zaczęła się przysłuchiwać i usłyszała odgłos pociągów; regularny turkot wagonów i pisk kół roznosiły się echem po pustej przestrzeni.

Próbowała się uspokoić, żeby się zorientować, gdzie jest i w którą stronę ma biec, gdyby postanowiła uciec. Kilka kroków od niej kobieta, która ją porwała, krążąc nerwowo w tę i z powrotem, majstrowała coś przy komórce. Chyba pisała jakąś wiadomość. Spod kaptura bluzy, który wciąż miała nasunięty na głowę, wystawały końcówki ostrzyżonych na pazia ciemnych włosów. Kobieta była chuda, spodnie na niej wisiały.

– No to wykonaliśmy plan. I co teraz? – zapytał porywacz, zwracając się do swojej współpracownicy.

Kobieta przystanęła.

– Pójdę do Bena, żeby mu wszystko opowiedzieć.

– Ale co z nami? Ben i tak się dowie. Co z naszą przyszłością?

– Nie robimy tego dla nas, przecież wiesz.

– Obiecywałaś, że na tym się skończy.

Kobieta podeszła do partnera i zatrzymała się przed nim, kładąc ręce na biodrach.

– Ty chyba wciąż nie łapiesz, co? Nigdy nie chodziło o

ciebie i o mnie.

– Mówiłaś, że robisz to ze względu na mnie – obruszył się mężczyzna.

Porywaczka pokręciła głową.

– Jesteś załosny.

– Mówiłaś o wielkiej miłości. Możliwe, że to właśnie czuję, bo inaczej bym tego nie robił. Na pewno nie robię tego dla niej. – Machnął ręką, pokazując na Ruby. – Robiłem to dla nas. I to się musi skończyć.

Kobieta odwróciła się i podeszła do Ruby. Przyklęła przed nią i pogłaskała Ruby po policzku. Ruby wzdrygnęła się i odsunęła głowę.

– Wiesz, że to koniec – mruknęła miękko kobieta.

– Nie. – Ruby gwałtownie potrząsnęła głową. – Jeśli coś mi zrobicie, mój brat was wyśledzi.

Kobieta się uśmiechnęła, w oczach miała cień politowania.

– Nie znajdą mnie. I ciebie też mogą nie znaleźć. – Kobieta nachyliła się i pocałowała Ruby w czoło, jakby się zegnała. Potem wyciągnęła z kieszeni kawałek ciemnego materiału.

Ruby szarpała się, nie pozwalając założyć sobie przepaski. Ale nie miała szans i już po chwili otoczyła ją ciemność. W nozdrza wdarł się zapach perfum kobiety, kiedy ta nachyliła się do jej ucha.

– Ciemność jest podniecająca, nie uważasz? Nie będziesz wiedziała, gdzie jesteśmy, ale my będziemy cię obserwowali. Jeśli spróbujesz uciec, umrzesz. Szybko i bezboleśnie, ale chyba tego nie chcesz, prawda? Wolisz żyć.

Ruby przełknęła ślinę i kiwnęła głową, że zrozumiała. Kobieta wyprostowała się, potem rozległy się jej ciche kroki na betonie. Ruby starała się zwalczyć strach. Nie chciała mu ulec.

Zamierzała walczyć, bo taki miała charakter, a w tym celu musiała wyczuć, gdzie są jej napastnicy.

Usłyszała jakąś wymianę zdań; rozmowa toczyła się szeptem, więc nie zrozumiała, o czym była mowa, ale potem zorientowała się, że kobieta odeszła, słyszała jej lekkie kroki na

schodach. Potem rozległ się metaliczny trzask oznaczający, że kobieta opuściła budynek.

Ruby została sama z mężczyzną. Pojawiła się szansa na ucieczkę.

– Co ty mówisz? Kto kogo porwał? – pytał Joe, niczego nie rozumiejąc.

Sam popatrzył na telefon.

– Ruby. Ktoś porwał Ruby.

Joe był tak zaszokowany, że nie mógł wydobyć głosu.

– Imię Monica coś ci mówi?

– Tak. To stażystka, o której wspominałem, ta, o której mówił Ronnie. – Joe zamknął oczy.

– Z początku myśleliśmy, że jest chora i że po prostu nie zadzwoniła, żeby to zgłosić.

– Ale teraz myślisz, że zginęła?

– Tak.

Sam zamknął oczy i wziął kilka głębokich wdechów.

– Powiedzieli, że Ruby spotka to samo, co Monicę.

Jego telefon zapikał. Spojrzał na wyświetlacz. Wiadomość. Ze zdjęciem. Kiedy otworzył plik, zachwiał się. Ze strachu zakręciło mu się w głowie.

Na zdjęciu była Ruby, związana, wystraszona. Pokazał zdjęcie Joemu.

– O kurwa, kurwa, kura – zaklął szeptem Joe. Jego umysł zalała fala faktów i informacji, od których zawirowało mu w głowie, na czoło wystąpił pot. Obraz Moniki, młodej, dopiero zaczynającej prawniczki, łączył się z obrazem Ruby, długonogiej, nieznosnej nastolatki. – Kim są porywacze?

– Rozmawiałem z kobietą – rzekł Sam. – W domu Terry’ego też była kobieta. To ona mi to zrobiła – kiwnął głową, pokazując na ramię. – Wspominała o tym. Powiedziała, że było jej miło, że się spotkaliśmy u Terry’ego, tylko że wydarzenia wymknęły się spod kontroli, bo nie chciała, żeby to się tak skończyło. Miało się skończyć na Ruby.

– Nie rozumiem.

– To zemsta za Bena Granta. Kimkolwiek jest ta kobieta, działa z Ronniem.

– Natychmiast dzwoni na policję – zażądał Joe. Widząc, że Sam zwleka, wyciągnął własną komórkę. – Skoro nie chcesz, ja zadzwonię.

Sam wyciągnął rękę.

– Nie, nie wolno ci.

– Dlaczego?

– Z tego samego powodu, jaki zawsze wywlekają te szumowiny – jeśli zawiadomię policję, zabiją Ruby.

Te słowa podziałały na Joego jak cios w żołądek. Poczul, że mu niedobrze.

– Więc czego oni chcą?

Sam podniósł wzrok, a Joe ujrzał w nim coś, czego nie umiał rozszyfrować, jakąś głęboką emocję, której nie widział od czasu śmierci Ellie. Zagubienie, lojalność, determinacja, strach – wszystko zawarte w sieci drobnych zmarszczek okalających oczy brata.

– Mnie – powiedział Sam.

– Ciebie? Jak to ciebie?

– Mam jechać do Piccadilly Garden. Jeśli zrobię, co każą, wypuszczą Ruby. Jeśli nie, zabiją ją.

– A co chcą, żebyś zrobił?

Sam zwiesił głowę i przesunął po niej ręką.

– Sam?

Sam popatrzył na Joego, w oczach miał łzy.

– Co masz zrobić, Sam?

– Chcą, żebym się zabił.

Rozdział 66

Joe dowiódł brata pod postój. Uznali, że Sam szybciej dotrze na miejsce taksówką, bo te mogą korzystać z buspasa. Kiedy Sam odjechał, Joe zadzwonił do Giny. Powiedział, że zaraz u niej będzie. Nie wyjaśnił, o co chodzi, ale był przekonany, że z tonu jego głosu Gina zorientowała się, że sprawa jest poważna. Teraz gnał do niej na złamanie karku i aż do bólu zaciskając

szczęki; wściekał się na światła i korki na ulicach.

W pewnej chwili na dobre utknął w długim sznurku aut. Zniecierpliwiony, bębniąc palcami w kierownicę, popatrzył w przód, potem za siebie. Szukał migającego niebieskiego koguta lub jaskrawej szachownicy na bokach policyjnych wozów. Nic takiego nie zauważył. Czując, że zaraz eksploduje, zaczął jeszcze szybciej przebierać palcami. Samochodów przed nim nie ubywało. Uznał, że nie może dłużej czekać.

Ostro skręcił kierownicę i wyjechał na przeciwległy pas, oślepiany błyskającymi światłami jadących z naprzeciwka aut, które, żeby się z nim nie zderzyć, zjeżdżały na pobocze. Na skrzyżowaniu, gdy do niego podjeżdżał, paliło się czerwone światło. Ignorując trąbienie klaksonów i pisk hamulców, przeciął skrzyżowanie. Myślał tylko o jednym: musi ratować Ruby.

Ulica pod domem Giny nie była już tak zapchana. Dał sygnał klaksonem i zaraz potem Gina wybiegła z domu i wsiadła do samochodu. Joe ruszył, zanim jeszcze zdążyła zapiąć pasy.

– Co się dzieje? – zapytała zdyszczanym głosem, dopinając kurtkę.

– Chodzi o Ronniego. Porwał Ruby.

Gina popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Ronnie Bagley? Nie rozumiem.

– Sam też do końca nie rozumiem, ale chyba zaczyna mi coś świtać.

– Musisz mówić jaśniej.

Więc to uczynił. Opowiedział o tym, jak Ruby ktoś śledził. Że Sam podejrzewa, że Grant miał współnika. Opowiedział o napaści na koleżankę brata, do której doszło, kiedy sprawdzali informacje uzyskane od Joego.

Gina potrząsnęła głową.

– Ale jeśli Ruby twierdzi, że ktoś ją śledził, gdy wracała ze szkoły, to nie mógł to być Ronnie, bo w tym czasie był z nami.

– Ronniemu ktoś pomaga, jakaś kobieta – wyjaśnił.

– Zaczekaj. Wspólnik ma własnego współnika? – zdziwiła się Gina.

– Na to wygląda.

– No a teraz dokąd jedziemy? – zapytała po chwili milczenia. – I dlaczego po mnie przyjechałeś?

– Porywacze kazali Samowi pojechać do Piccadilly Gardens. Musimy dotrzeć do centrum, żeby być blisko.

– Ale przecież do tego nie jestem ci potrzebna.

Joe wziął głęboki oddech; próbował powstrzymać napływające do oczu łzy. Opanuj się, upomniał się w duchu.

– Potrzebuję cię, w razie gdyby Ruby... no, w razie gdyby... – nie skończył, nie mógł.

Gina delikatnie dotknęła jego ręki.

– Rozumiem – rzuciła cicho. – Jestem przy tobie, Joe, możesz na mnie liczyć – zapewniła i czule pogłaskała go po rękę.

– Trzeba zadzwonić do inspektor Evans – rzekł, przeciągle wypuszczając powietrze i mrugając szybko powiekami, żeby pozbyć się łez. Nie płakał od czasu śmierci Ellie i teraz też nie zamierzał do tego dopuścić, chociaż było to trudne.

Gina wyciągnęła komórkę.

– A dlaczego ona jeszcze o niczym nie wie?

– Kobieta, która dzwoniła, zakazała Samowi informować policję. Sam się boi, że jeśli nie posłucha, Ruby zginie. Musisz się skontaktować z kim trzeba. Będziesz wiedziała z kim.

Joe, nie odwracając oczu od drogi, przysłuchiwał się, jak Gina dzwoni pod właściwy numer i rozmawia z byłymi współpracownikami, podkreślając, że sprawie należy nadać odpowiednią wagę. Kiedy skończyła, wyciągnął rękę po telefon.

– Uważaj, prowadzisz – ostrzegła, podając mu komórkę.

Zignorował przestrożę i wybrał numer domowy brata. Odebrała Alice.

– To ja, Joe. Musisz zadzwonić do Sama.

– Dlaczego? Co się stało?

Joe chwilę milczał. Zastanawiał się, czy powinien wyjawić prawdę, na koniec uznał, że nie powinien.

– Po prostu myślę, że potrzebuje teraz usłyszeć twój głos.

Alice zaczęła płakać.

– Zadzwoń do niego, Alice – powtórzył, po czym się rozłączył.

– Co Sam chce zrobić, Joe? – zapytała Gina. Jej głos wibrował niepokojem.

– Porywacze powiedzieli, że wypuszczą Ruby, jeśli Sam się zabije.

Gina zasłoniła ręką usta.

– Ale on tego nie robi, prawda? Chociaż... ten telefon do żony... Martwisz się, tak?

– Tak, martwię – przytaknął i po chwili dodał: – Jest coś jeszcze. Chodzi o Monicę.

Gina opuściła rękę i szeroko otworzyła oczy.

– Porywacze twierdzą, że ją zabili.

Z ust Giny wydobył się głośny jęk, potem oboje zamilkli. Jednak gdy Joe spojrział na Ginę, zobaczył na jej twarzy wyraz tego samego zdecydowania, jakie trochę wcześniej zagnieździło się i w jego sercu. Wiedzieli, że zrobią wszystko, żeby odbić Ruby i pojmać porywaczy.

Kiedy taksówka wjechała do Manchesteru, Sam po raz setny spojrział na zegarek.

Jechali za wolno.

Przymknął oczy i oparł głowę o siedzenie. Ten dzień od początku zapowiadał się źle. Wrócił pamięcią do pościgu przez las przy szkole Ruby, potem była Charlotte, a teraz to. Wszystko przez wydarzenie sprzed ośmiu lat, przez odkrycie, jakiego dokonał w parku. Mógł wtedy wszystko zakończyć, ale coś przeoczył. Podejrzenie, że Grant miał współnika, bezustannie go potem gnębiło. I trzymał je w tajemnicy, nikomu nic nie powiedział.

Nie rozumiał, dlaczego życie znowu go tak doświadcza. Śmierć Ellie nie wystarczyła?

Uważał, że to niesprawiedliwe. Zacisnął ręce na kolanach. Czy to przez niego? Zrobił coś złego i teraz spotykała go za to kara?

Nie, to nie to. Takie myślenie jest niedorzeczne. Przecież wiedział, że życie jest nieprzewidywalne, że różne rzeczy dzieją

się, bo się dzieją, bez żadnej przyczyny. Tylko że jakiś głos z tyłu głowy szeptał, że jego życie już zawsze będzie takie trudne.

Postanowił o tym nie myśleć. Powinien skupić się na terażniejszości, powinien się zastanowić, jak uratuje Ruby. Zasłonił twarz dłońmi i na chwilę mrok pod powiekami, dotyk własnej skóry, przyniosły mu ukojenie. Ale wiedział, że ta chwila uciezki nie będzie trwała długo, i rzeczywiście już po kilku sekundach ujrzał w wyobraźni twarz Ruby. Wiedział, że jest przerażona, dlatego musiał słuchać żądań porywaczy. Bez względu na to, co mówił Joe, wypełni je. Jednak na razie był uwięziony w przedzierającej się przez korki, rozklekotanej taksówce.

Otworzył oczy, kiedy do jego uszu dotarł charakterystyczny stukot tramwajów. Byli blisko.

Zauważył, że kierowca zerka na niego w lusterku wstecznym, więc odwrócił głowę do okna. Nie chciał rozmawiać. Wolał patrzeć na wysokie ceglane mury na zewnątrz. Wreszcie dojechali do dworca Piccadilly.

– Proszę się tu zatrzymać – rzucił i podał kierowcy banknot; jego nominał był wyższy od tego, co wskazywał licznik. Sam jednak nie czekał na podziękowania, tylko szybko wysiadł.

Na ulicy panował duży ruch. Sam przystanął i zaczął wypatrywać w tłumie przechodniów kogoś, kto by się wyróżniał. Było już ciemno, okolica wyglądała na niebezpieczną. Ta część miasta nawet za dnia nie należała do najlepszych, a nocą kręciły się tu podejrzane typki; wydawało się, że tylko czekają, żeby kogoś zaczepić. Na rogach sterczeli młodzi mężczyźni w puchowych kurtkach, których przechodnie starali się jak najszybciej wymijać. Sam znajdował się kilka metrów od mostów pod torami przy dworcu Piccadilly, gdzie młode kobiety sprzedawały swoje ciała za kilka funtów.

Porywacze kazali mu iść do Piccadilly Gardens, parku otoczonego sklepami i hotelami. W pobliżu był też mały dworzec autobusowy. Park od dawna stanowił miejsce zbiórki dla pijaczków, ćpunów i młodych chłopców świadczących usługi seksualne. Sytuacja niewiele się zmieniła, nawet pomimo tego, że

władze miasta postanowiły zrobić z parku miejsce powszechnie dostępne.

Sam rozumiał sposób myślenia porywaczy. Chcieli mieć pewność, że nikt go nie śledzi, że przyszedł sam. Jednak on też miał plan. Dlatego nie podjechał taksówką pod sam park.

Zamierzał wśliznąć się do niego chyłkiem i obserwować, czy dostrzeże kogoś podejrzanego.

Idąc w stronę parku, zaglądał w twarze mijanych osób, wypatrując na nich oznak, że został rozpoznany. Niektórzy odwracali wzrok. Inni obrzucali go zdziwionym spojrzeniem i oglądali się za nim. Przez skrzyżowanie przetaczał się sznurek czarnych taksówek, piętrowe autobusy kaszłały spalinami.

Wszedł na teren parku, który już raczej nie zasługiwał na tę nazwę, bo z zieleni ostały się tu tylko nieduże połacie trawnika, wciśnięte między betonowe chodniki, prowadzące do oszklonego budynku dworca autobusowego po drugiej stronie. W powietrzu unosił się stały huk ruchu ulicznego. Sam rozejrzał się wokół, szukając kogoś, kto go obserwował, ale było to niemożliwe do stwierdzenia. Z każdej strony otaczały go hotele, puby, biura i sklepy. Ten, kto go wezwał, mógł być wszędzie.

Zadzwoiła jego komórka. Wyszarpnęła ją z kieszeni i od razu zaczął się rozglądać.

Porywacze musieli go zauważyć. Szukał łuny z komórki, kogoś z ręką przy uchu. Ale widział tylko przejeżdżające po ulicy pojazdy i przechodniów na chodnikach. Przyłożył rękę do drugiego ucha, żeby zablokować hałas.

– Halo?

– Przyjechałeś. – Znowu głos kobiety.

– Gdzie jesteście? – zapytał. Musiał krzyczeć.

– Nieważne, gdzie jesteśmy.

Sam próbował wydedukować coś z tego, co słyszał w słuchawce; miał nadzieję, że coś mu podpowie, gdzie jego rozmówcy może się znajdować. Nasłuchiwał, czy dotrze do niego odgłos autobusów lub taksówek, jakiś hałas w tle, który wskaże mu kierunek, może jakieś okrzyki w pubie, ale dokoła zbyt

wiele się działo.

Nagle coś usłyszał. Pisk, coraz głośniejszy, a później dzwonienie tramwaju i zaraz potem zgrzyt kół. Odwrócił się, żeby odszukać źródło dźwięków, ale tramwaje nadjeżdżały z każdego kierunku.

– Skąd mam wiedzieć, że macie Ruby? – zapytał.

Musiał poczekać na odpowiedź, bo głos kobiety zagłuszył turkot ruszającego tramwaju.

– Musisz zaryzykować – odparła wreszcie. – Mamy ją albo nie. Ale powiedz: co będzie wygraną w tej grze? To, że ty umrzesz, a Ruby przeżyje, czy że stchórzysz i pogrzebiesz siostrę? – Śmiech, szyderczy i ostry. – No więc jak, gotowy do gry?

Znowu usłyszał echo tramwajów.

– Jakiej gry?

– Naszej małej gry w cykora.

Sam zamknął oczy. Adrenalina pulsowała mu w żyłach, sprawiając, że wysychało w ustach, a z czoła lał się pot.

– Co mam zrobić?

– Przecież już wiesz.

– Chcecie, żebym się zabił? – Mijający go mężczyzna w garniturze obrzucił go zdumionym spojrzeniem. Sam się odwrócił. – Dobrze wiecie, że nie mogę tego zrobić.

– W takim razie Ruby zostało tylko pół godziny życia. – Głos kobiety brzmiał, jakby biegła; mówiła urywanie i dyszała.

– Co to znaczy pół godziny?

– Takie są zasady tej gry. Pół godziny i gra się kończy. Telefon zadrżał mu w dłoni. Poczul w oczach pieczenie łez, ale to były łzy wściekłości, niekontrolowanej furii. Musi się opanować.

– Więc co mam zrobić? – powtórzył pytanie.

– Idź na dworzec Piccadilly, na peron czternasty – wyjaśniła kobieta. – Musisz wykonać jedną prostą rzecz: wskoczyć pod nadjeżdżający pociąg.

Sam potrząsnął głową. Nie mógł tego zrobić. Szybko się odwrócił, szukając wskazówek.

– I wtedy wypuścić Ruby?

– Tak.

– Skąd mam mieć pewność, że to zrobicie?

– Nie możesz mieć pewności, ale jeśli nie spełnisz naszego żądania, na pewno usłyszysz, jak Ruby umiera. – Śmiech i potem:
– Musisz się pospieszyć. Pociągi jeżdżą dość rzadko, a masz tylko pół godziny. To stała zasada tej gry. I zostało ci już tylko dwadzieścia osiem minut.

Potem telefon umilkł.

Kiedy chował komórkę do kieszeni, dostrzegł tramwaj nadjeżdżający od strony dworca.

Jaskrawo oświetlony pojazd, chybotając się na boki, jechał prosto na niego.

Sam zrozumiał, że to był ten sam tramwaj, którego pisk słyszał w tle rozmowy.

Zerwał się do biegu.

Rozdział 67

Ruby wiedziała, że porywacz został sam. Słyszała jego kroki. Krążył nerwowo w tę i z powrotem, pod jego butami zgrzytał żwir. Wydawało się, że na coś czeka. Albo na kogoś.

Kroków kobiety, szybszych, krótszych, bardziej niecierpliwych, nie było słychać.

– Czy ona wróci? – zapytała. Drżała. Robiło się coraz zimniej, a ona miała na sobie tylko mundurek szkolny. Na gołych nogach czuła gęsią skórę.

Kroki się zatrzymały.

– Ta kobieta – znowu się odezwała, tym razem już odważniej. – Dlaczego ona jest taka okrutna? Zanim przyszła, byłeś miłszy. Nie chcę, żeby wracała.

Usłyszała, że mężczyzna ruszył w jej stronę. Szedł wolno, jakby się wahał. Ruby przycisnęła plecy do filaru. Poczowała wibracje jego kroków, kiedy się przed nią zatrzymał.

Wiedziała, że patrzy na nią z góry.

Rozległ się trzask zginanych kolan i doleciał do niej jego zapach. Pot i papierosy. Skrzywiła się, gdy musnął ją palcami po policzku, i zadrżała, kiedy wsunął rękę w jej włosy. Oddychał

ciężko, przez nos.

– Dlaczego się jej słuchasz? – zapytała, starając się powstrzymać drżenie w głosie. Chciała przeciągnąć mężczyznę na swoją stronę, bo widziała, jak się zmienił, kiedy pojawiła się jego współniczka. Pod jej przywództwem był agresywniejszy. Usiłowała ukryć odrazę, nie chciała go rozzłościć, więc przełykając ślinę, pozwalała się głaskać. I chociaż miała na oczach opaskę, zamknęła je. Mężczyzna wstrzymał oddech, gdy jego palce rozchyliły pasmo włosów i dotknęły szyi.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – przypomniała.

– Chodzi o miłość – odparł prawie szeptem. – Jesteś za młoda, żeby to rozumieć.

– Ale ja rozumiem. Wiem, co to miłość. Właśnie dlatego przyszedłam na spotkanie, bo zakochałam się w Billym.

– To było tylko głupiutkie zauroczenie, poza tym Billy nie istniał.

– Taa... teraz już wiem.

Mężczyzna tego nie skomentował.

– Zimno mi – poskarżyła się i usłyszała skrzypnięcie rozsuwanego suwaka. Mężczyzna okrył ją swoją kurtką. Mimo że śmierdziała, Ruby ucieszyła się, że wreszcie będzie jej ciepłej.

Czując w nogach mrowienie szybciej krążącej krwi, uzmysłowiła sobie, że kurtka ma jeszcze jedno zastosowanie. Ukrywała jej ręce.

Zaczęła się lekko przesuwac, aż wyczuła pod nadgarstkami róg filaru. Słup u dołu był szorstki, pokryty rdzą. Poruszała rękami wolno, tak żeby mężczyzna nie zorientował się, co robi.

– Zdejmiesz mi opaskę? – poprosiła. – Chciałabym cię widzieć, kiedy rozmawiamy.

Odpowiedziała jej cisza.

– Proszę – spróbowała jeszcze raz.

Mężczyzna ukląkł i szarpnął za węzeł. Gdy przesunął opaskę w górę, Ruby szybko zamrugła, jakby ciemność w hali ją osłepiała.

Mężczyzna wciąż przed nią klęczał i w milczeniu się jej

przyglądał.

– Dziękuję – rzuciła, próbując się uśmiechnąć. – Więc, o co chodzi z tą miłością?

– Miłość wymaga poświęceń – wyjaśnił. – Czasami z miłości trzeba zrobić coś, co pozwoli ukochanej osobie zachować wolność. To właśnie jest prawdziwa miłość.

– Nie rozumiem.

– Mówiłem, że nie zrozumiesz.

– Więc mi to wyjaśnij – poprosiła. – Jak masz na imię?

Chwilę się zastanawiał.

– Ronnie – odparł w końcu.

– A ta kobieta, jak ona się nazywa?

Kilka sekund milczał, jakby rozważał, czy powinien odpowiedzieć. Ostatecznie zdecydował się mówić.

– Carrie – rzekł. – A tam jest Grace, nasza córka. – Pokazał na róg hali.

– Nikogo tam nie widzę.

– Grace śpi. Jest ciepło opatulona.

– Więc, Ronnie, o co chodzi z tym poświęceniem?

Usiadł przed nią, krzyżując nogi, i wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej włosów. Ruby zwalczyła chęć cofnięcia głowy i zamiast tego przymknęła powieki, pod którymi zebrały się łzy.

W nozdrzach miała zapach jego brudnych rąk, którymi muskał i gładził jej włosy.

– Miałem dla niej pójść do więzienia – zaczął cicho. – Faceci robią takie rzeczy dla Carrie.

Bo jest wyjątkowa.

– To znaczy?

Pokręcił głową.

– Teraz to brzmi głupio, ale wszystko zaaranżowaliśmy tak, żeby wyglądało, że ją zabiłem.

Pomazaliśmy sprzęty krwią, a potem Carrie wyjechała. Zachowywałem się podejrzanie, krzychałem, w pracy popełniałem błędy. Myśleliśmy, że policja zjawi się szybciej, że rodzina Carrie zgłosi jej zaginięcie, ale ktoś ją zobaczył, więc poszedłem na

policję i powiedziałem, że ją zabiłem. Miałem iść do więzienia, żeby Carrie mogła rozpocząć nowe życie, ale, no cóż... – Wzruszył ramionami.

– To dość ekstremalne.

– Musieliśmy tak zrobić.

– Więc co poszło nie tak?

– Nie wytrzymałem. Myślałem, że zniosę więzienie, ale nie dałem rady. Wziąłem sobie twojego brata, żeby mnie bronił. Sądziłem, że będzie mnie pamiętał, bo już kiedyś mnie reprezentował. Wiem, jacy są prawnicy, że gadają między sobą, więc liczyłem, że rozniesie się plotka, która dotrze też do policji, że nawet mój adwokat uważa, że jestem winny, mimo że sąd by mnie uniewinnił. Wtedy musiałbym przesiedzieć tylko te pół roku, a potem byłbym wolny.

Mógłbym dołączyć do Carrie i nikt by się nas nie czepiał o to, co zrobiliśmy, bo wszyscy by myśleli, że Carrie i Grace nie żyją. Przestaliby ich szukać. Ale najpierw musieliby uwierzyć, że one nie żyją, inaczej cały plan nie miałby sensu.

– I co, plan się nie powiódł?

– Przez twojego brata, Joego. Wywalczył dla mnie zwolnienie. Kiedy mnie wypuścili, Carrie stwierdziła, że to znak i że musimy dalej to ciągnąć.

– Ciągnąć co? – spytała Ruby łamiącym się głosem. – Co robiliście?

Ronnie zabrał rękę i potarł tatuaże na palcu. Sześć kresek. Wstał i odszedł.

– Co chcecie ze mną zrobić? – zapytała.

– Jeszcze na to nie pora – odparł, potem ciężko przełknął ślinę i zacisnął zęby.

– Ale dlaczego to dla niej robisz? – dopytywała się Ruby z przerażeniem. – Przecież nie chcesz. Zachowujesz się jak frajer.

Ronnie wbił w nią oczy. Pomyślała, że posunęła się za daleko. Skuliła się, przyszykowana na cios, ale Ronnie nagle się uśmiechnął, prawie z żalem. Wróciła jej nadzieja, że udało jej się przeciągnąć go na swoją stronę.

– Rozwiąż mnie, proszę – powiedziała. – I wypuść. Nikomu nic nie powiem. Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną. Powiemy, że wszystkiemu winna jest Carrie.

– Za późno. Poznałaś prawdę, ale to już bez znaczenia. I tak umrzesz.

Na dole coś walnęło, zazgrzytał metal, potem na schodach rozległy się czyjeś pospieszne kroki.

Ronnie szybko sięgnął do opaski i ściągnął ją w dół. Ruby znowu pogąrzyła się w ciemności.

Kobieta wróciła. Carrie. Dyszała, jakby była zmęczona po szybkim biegu.

– Już jest w drodze – oznajmiła rozentuzjasmowanym głosem. – Wreszcie, Ronnie.

Wreszcie doczekamy się końca.

– I co teraz będzie?

Carrie roześmiała się, głośno i piskliwie.

– Wyjdę na zewnątrz, żeby to widzieć. Jak Sam Parker umiera. Pomyśl tylko, co zrobi Ben, gdy mu opowiem.

Ruby oparła głowę o filar i z rozpaczy zaczęła płakać.

Sam biegł, ale nie był do tego odpowiednio ubrany. Powiewający na boki krawat uderzał go w twarz, poły marynarki wydymał pęd powietrza. Przy każdym ruchu prawe ramię wciąż zawieszona na temblaku, przeszywał ostry ból. Mimo to nie zwalniał.

Uczynił to dopiero, kiedy dobiegł do przejścia. Z prawej najeżdżał autobus, ale uznał, że zdąży, więc szybko przeciął ulicę. Usłyszał za sobą pisk hamulców, potem klakson, ale nie zatrzymał się, żeby przeprosić.

Wyciągnął telefon i zerkając przed siebie, żeby na kogoś nie wpaść, wybrał numer Joego.

– Są w okolicy dworca Piccadilly – wydyszał, kiedy brat odebrał.

– A wiesz, gdzie dokładnie?

– Nie, ale wiem, że widzieli mnie w parku. Są gdzieś blisko. – Sam przedzierał się przez tłum przechodniów, ignorując

okrzyki oburzenia i wyzwiska, które padały, gdy kogoś potrafił.

– Jesteś pewien?

– Najpierw kazali mi być w parku. Teraz chcą, żebym poszedł na dworzec. Ta kobieta wiedziała, gdzie jestem. I będzie wiedziała, kiedy dotrę na dworzec. Jest gdzieś blisko, to pewne.

– I teraz idziesz na dworzec, tak?

– Tak, żeby uratować Ruby. Ale mam na to mniej niż pół godziny.

– O czym ty mówisz? Dlaczego tak?

– Porywaczka powiedziała, że zabije Ruby, jeśli w ciągu pół godziny nie rzucę się pod pociąg.

W telefonie zapadła cisza. Przez chwilę Sam słyszał tylko dudnienie własnych kroków na chodniku i swój rzęzący oddech.

– Dzwoniłem do Evans – powiedział wreszcie Joe.

Sam, którego klatka piersiowa ciężko falowała od wysiłku, gwałtownie się zatrzymał.

– Mówiłem, żebyś tego nie robił – wrzasnął do telefonu spanikowanym głosem.

– Nie pozwolę ci się zabić. Nie możesz się tak poświęcić.

– Dlaczego nie?

– Bo masz żonę i dwie śliczne córki. I pomyśl, co by się stało z mamą.

– Ja już zaznaczyłem swoje miejsce na tym świecie – odrzekł Sam. – Mam za sobą sporo lat całkiem znośnego życia. Teraz kolej na Ruby.

– Gówno prawda i dobrze o tym wiesz – odwarknął Joe. Był coraz bardziej wściekły. – Oni i tak ją zabiją. Chcą, żebyś zginął. Dlaczego mieliby potem wypuścić Ruby?

Sam nie odpowiedział. Pustym wzrokiem wpatrywał się w tłum przechodniów przed nim i w szklane ściany dworca Piccadilly, stojącego na końcu lekko wznoszącej się ulicy, której poboczne zajmowały liczne sklepiki i kioski z gazetami.

– Jak to wyjaśnimy mamie? Co jej powiemy? – ciągnął rozwścieczony Joe. – Że straci syna i prawdopodobnie też córkę? Zatrzymaj się i zastanów, Sam. Pomyśl, co byś zrobił, gdyby nie

chodziło o twoją siostrę.

– Zostawiłbym sprawę policji.

– Więc dlaczego nie chcesz tak postąpić?

– Bo muszę coś zrobić, nie mogę stać i czekać! – krzyknął.

– Ale nie musisz się zabijać. Istnieją inne rozwiązania. Rób, co masz robić, ale się nie zabijaj. Nie musisz za nikogo oddawać życia. To niczego nie zmieni. Powiadomię Evans, gdzie jesteś.

Sam wolno kiwał głową i zarazem głęboko oddychał, żeby chociaż trochę zapanować nad uczuciem paniki.

– Dobrze, ale nadal będę wykonywał ich polecenia. Pójdę ich śladem i dam znać, dokąd mnie to doprowadzi.

– Ja już do ciebie idę, Sam. Pomogę ci. Tylko pamiętaj, nie rób nic głupiego. Zaczekaj na mnie.

– Nie mam czasu czekać. Już i tak zmarnowałem pięć minut. – Sam się rozłączył.

Potem od razu zaczął biec. Nogi miał ciężkie, kłuły go płuca, gardło bolało od szybkiego oddychania. Kiedy dobiegł do wejścia na dworzec, zatrzymał się i oparłszy zdrową rękę na kolanie, pochylił się i mocno wciągnął powietrze przez nos. Czoło miał złane potem. Spojrzał w górę. Na dworcu roilo się od ludzi; bary, kafejki i sklepy pękały w szwach od klientów, którzy po pracy wstąpili ze znajomymi na drinka. Jego oczy przesuwaly się od grupy do grupy, szukał kogoś stojącego samotnie, kobiety lustrującej otoczenie. Musiałaby dopiero co wejść na dworzec, bo dzwoniła z o wiele cichszego miejsca. A może na dworcu wartę trzymał ktoś inny?

Sfrustrowany, Sam zazgrzytał zębami. Wokół widział tylko znuzonych przechodniów i ludzi, których twarze zdradzały, że pofolgowali sobie z alkoholem.

Rzucił się do tablicy z rozkładem. Wkrótce na peron czternasty miał wjechać pociąg. Peron znajdował się w oddzielnej części dworca, na górnym poziomie. Sam wziął kolejny głęboki oddech i ponownie zerwał się do biegu. Biegł, przeciskając się między tłumem ludzi, objuczonych torbami na zakupy i aktówkami.

W oddali dostrzegł biletera, do którego ustawiła się kolejka. Sięgnął do kieszeni po legitymację i pomachał nią bileterowi, kiedy koło niego przebiegał. Ale wtedy ktoś go pchnął, a ktoś inny, krzycząc, złapał za rękaw marynarki. Wyszarpnął się i znowu zaczął biec. Myślał, że za sobą usłyszy odgłosy pościgu, ale zamiast tego w powietrzu rozniosło się charakterystyczne pikanie i bzyczenie krótkofalówek. Wiedział, że długo nie będzie sam.

Wbiegł na ruchomą kładkę prowadzącą na górny poziom, potem minął bocznice zastawione czerwonymi wagonami pociągów dalekobieżnych. Z tyłu słyszał jakieś okrzyki, ale zignorował je i torując sobie drogę między przechodniami, szedł dalej do kładki, którą schodziło się na peron. Gdy już stanął na jego betonowej posadzce, w oddali na torach zobaczył pociąg jadący w stronę Oxford Road. Jeden przegapił.

Wciągnął powietrze nosem, żeby uspokoić łomoczące serce. Twarz zalewał mu pot.

Rozejrzał się. Na peronie było prawie pusto, nie licząc starego mężczyzny w zniszczonej kurtce, który siedział na plastikowym krzeselku, i trzech kobiet z torbami pełnymi zakupów.

Kobiety widząc, że Sam się im przygląda, przerwały rozmowę i obrzuciły go podejrzliwym spojrzeniem.

Wtedy znowu zadzwonił jego telefon. Spojrzał na numer. Zastrzeżony.

– Tak?

– Jesteś na miejscu. Dobrze.

– Gdzie jesteście? – krzyknął, szybko się odwracając. I nagle go olśniło.

Przeszedł na skraj peronu. Był przeznaczony tylko dla pociągów bezpośrednich, które starymi ceglanyymi wiaduktami rozjeżdżały się z dworca we wszystkich możliwych kierunkach.

Zaraz za torami panowały ciemności, trochę dalej migotały jaskrawe światła centrum miasta. Z miejsca, w którym stał, widział biurowce, bloki mieszkalne, wysoki budynek akademika i pomarańczowe światła ulicy, po której oprócz taksówek prawie nic

nie przejeżdżało. Ludzi też nie widział, bo to nie był teren zachęcający do spacerowania. Było tu zbyt ciemno, a pokruszone ze starości mury straszyły brzydotą. To dlatego kobieta wybrała ten peron. Żeby mogła go widzieć, a on jej nie.

– To co mam robić? – zapytał.

Kobieta dyszała, wyglądało, że biegnie.

– Już mówiłam. Kiedy nadjedzie pociąg, masz skoczyć. Wtedy Ruby wróci do domu. Zostało ci już tylko dwadzieścia minut. Czas ucieka.

– To niemożliwe, żebym spełnił to żądanie. Wymyślcie coś innego – warknął.

W odpowiedzi usłyszał jakiś hałas, szamotaninę i okrzyk: „Nie, proszę, przestańcie, to boli.

Nie, nie, nie”. Zaraz po nim rozległ się kolejny krzyk, wysoki, głośny, przepełniony paniką, bólem i strachem, który jednak nagle się urwał i zastąpiły go zduszone jęki. Najwyraźniej usta osoby, która krzyczała, zostały czymś zakneblowane. Sam nie miał cienia wątpliwości, że tą osobą była Ruby.

Zamknął oczy. Nie chciał myśleć o tym, co porywacze robili z jego siostrą i jaka będzie pokiereszowana, jeśli przeżyje.

– Skąd mam wiedzieć, że ją wypuścicie? – zapytał.

– Znikąd – padła krótka odpowiedź. – Nie możesz mieć takiej pewności. Za to możesz nam spokojnie zaufać, że ją zabijemy, jeśli nie zrobisz tego, co każemy.

Po tych słowach telefon ogłuchł. Sam popatrzył na niego z niedowierzaniem, potem przeniósł wzrok na mroczną pustkę za torami. Gdzie ona jest?

Trzy kobiety, które dotąd stały dość blisko, odsunęły się. Kiedy spojrział w ich kierunku, odwróciły głowy. W tym momencie jego uwagę przykuł tupot ciężkich butów. Rozejrzał się i w oddali dostrzegł jaskrawozielone kurtki.

Straż kolejowa.

Rozdział 68

Są gdzieś w okolicy Piccadilly – poinformował Joe, dodając gazu. – I mamy mało czasu.

– Co? Czyli Sam ich widział? – zdumiała się Gina, ocierając łzy z policzków; wiadomość o Monice nią wstrząsnęła.

– Nie, ale oni widzieli jego w Piccadilly Gardens. – Joe podjechał do samochodu przed nim.

Chciał go wyminąć, ale na poboczu były słupki, a z drugiej strony ciągnął się sznur pojazdów.

Od zaciskania palców na kierownicy miał pobielełe kostki.

– Ale dlaczego Monica? – dywagowała Gina. – Co takiego zrobiła Bagleyowi?

– Nie wiem – odparł, wpatrzony ponurym wzrokiem w przednią szybę. – Wiem tylko, że powinienem był ją przed nim ochronić.

– Nie wolno ci tak myśleć. Ronnie to tylko klient.

– Oskarżony o morderstwo. Powinienem był zachować czujność. I pamiętać go. Właśnie dlatego mnie wybrał: bo już raz mnie wykorzystał. I bardzo mu zależało, żebym go sobie przypomniał. Pytanie brzmi: dlaczego aż tak mu na tym zależało?

– Ale to nie tylko on, prawda? Kim jest ta kobieta? Jego współniczką?

Joe zerknął na Ginę.

– Nie jestem pewien, że to Ronnie przewodzi całej akcji.

– Jak to?

– No, zastanów się – rzucił. – Miałaś rację, że był z nami, kiedy za pierwszym razem porywacze próbowali porwać Ruby. To znaczy, że do brudnej roboty mają kogoś innego. Mówię o śledzeniu, porywaniu. A czego się dzisiaj dowiedzieliśmy o kobiecie, o której zamordowanie oskarżono Ronniego?

– Carrie? Że żyje.

Joe kiwnął głową.

– Terry Day powiedział nam, że widział Carrie i Grace. Jak zareagował Ronnie?

– Wściekł się.

– Nie zdziwiło cię to? Wisi nad nim oskarżenie o popełnienie morderstwa, a on zamiast odczuć ulgę, że sprawa zostanie zamknięta, i ucieszyć się, że córka żyje, wpada w gniew i

zabrania nam pójść tym torem obrony. Niedługo potem ginie Terry Day. Sam mówił, że Daya zabiła kobieta. Jakie z tego płyną wnioski?

Gina zmarszczyła czoło.

– Nie wiem.

– Że Ronnie nie chciał, żeby informacja o tym, że Carrie żyje, się wydała – rzekł i mocno wałnął ręką w kierownicę. – A dlaczego miałby nie chcieć? Jeśli ktoś mu pomagał, jakie znaczenie miało to, czy Carrie żyje, czy nie? Sam podejrzewał, że Ronnie zabił ją dlatego, że odkryła, iż porywa nastolatki, osoby powiązane z Benem Grantem, więc ją uciszył. Ale niby dlaczego Carrie miałoby to przeszkadzać? Utrzymywała kontakt z Grantem, nawet gdy już trafił do więzienia. Mówiło się, że wcześniej byli parą. Nie, Carrie nie czułaby odrazy do tego, co robił Ronnie. – Joe zmarszczył czoło. – Myślę, że to coś innego.

– Wybacz, że tak wolno myślę, Joe, ale nie bardzo za tobą nadążam.

Joe przez chwilę się nie odzywał, zajęty wyszukiwaniem objazdów, dzięki którym uniknęliby przedzierania się przez zatłoczone stare miasto, gdzie na tle rozpadających się murów z czerwonej cegły połyskiwały światła nowo powstałych biurowców.

– Pamiętasz morderstwa na wrzosowiskach? – rzucił, kiedy już wjechał w odpowiednią ulicę. – Ian Brady porywał dzieci, w czym mu pomagała Myra Hindley. Ci idioci, którzy domagali się jej uwolnienia, bo jest taka piękna i naturalna. Ale zwróciłaś uwagę, że w większości mówili tak mężczyźni, zauroczeni wyglądem Myry? To właśnie ten wygląd sprawił, że łatwiej jej było zwabiać dzieci do furgonetki, a potem wieźć do Brady’ego. Czy te dzieciaki wsiadłyby do furgonetki, gdyby siedział w niej Ian Brady? Wiadomo, że nie.

– Więc myślisz, że Carrie była Myrą Bena Granta?

– A nie wydaje ci się, że to ma sens? Sam uważa, że Grant mógł mieć współnika. Dlaczego nie miałyby nim być Carrie? Te plotki o ich romansie. Częste odwiedziny w więzieniu. To ona jest mózgiem wszystkiego, bo tęskni za tym, co było. Za

podnieceniem, dreszczem emocji.

Gina potrząsnęła głową.

– Carrie jest kobietą, matką. Nie robiłaby czegoś takiego.

– Myra Hindley robiła.

– Bo była pod wpływem Iana Bradleya, zauroczył ją.

– A może Carrie jest zauroczona Grantem? Hindley i Bradleya rozdzieliło więzienie, to osłabiło wpływ Bradleya. Ale Carrie nigdy nie straciła kontaktu z Grantem. Odwiedzała go w więzieniu. A co Sam mówił o tych zaginionych dziewczętach? Że porywacz poznawał je i uwodził przez Internet. To mogła być Carrie. Kto lepiej wiedziałby, o czym marzą nastolatki?

Przecież nie Ronnie.

– Ale jeśli Carrie i Ronnie działają razem, po co mieliby udawać, że Carrie nie żyje? – zastanawiała się Gina. – Moim zdaniem Sam ma rację. To Ronnie jest mózgiem i znalazł sobie nowego współnika. Możliwe, że Carrie tylko przyjaźniła się z Grantem, a w pewnej chwili odkryła więcej, niż by chciała. I dlatego uciekła od Ronniego.

Joe milczał, rozważając słowa Giny, jednak przeszkadzały mu w tym nawracające myśli o Ruby. Wyobrażenia wciąż mu podsuwała obrazy tego, co Ronnie mógł z nią robić. Potrząsnął głową. Nie może o tym myśleć. Musi odnaleźć siostrę. To jest teraz jedyna rzecz, na której powinien się skupić.

Sięgnął po telefon i zerkając na drogę, zaczął szukać w liście kontaktów odpowiedniego numeru. Znalazł go, wcisnął guzik połączenia i czekał.

Dzwonił do klienta, z którym spotkał się w Acropolis.

– Joe, aleś ty w gorącej wodzie kąpany – usłyszał. – Na kiedy potrzebujesz to info? Już się trochę rozpytywałem, ale jeszcze nic nie wiem. Ale pytam. Tylko wiesz, jak to jest: to nie zakład pracy, nikt się tu nie rejestruje.

– Nie chodzi mi o tamtą sprawę – sprostował Joe. – Wyskoczyło mi coś nowego i potrzebuję nowych informacji.

– Strzelaj. Wciąż jestem ci dłużny.

– Dokąd zabrałbyś kogoś w okolicy Piccadilly, gdybyś

chciał mu wklepać? Mówię o jakimś ustronnym miejscu, ale w pobliżu torów kolejowych?

– Hej, co to jest? Nagrywasz to, Joe?

– Nie, niczego nie nagrywam. Sprawa jest poważna. Dotyczy tego, co się właśnie dzieje. – W telefonie zapadła cisza, potem Joe dodał: – Nie obchodzi mnie, co kiedyś robiłeś. Jestem twoim adwokatem. Zależy mi na tej informacji.

Joe opuścił telefon, bo musiał mieć wolną rękę, żeby przejeżdżając przez skrzyżowanie, zmienić bieg. Potem znowu przyłożył komórkę do ucha.

– To proste, jeśli pytasz hipotetycznie – rzekł jego rozmówca.

– Udawajmy, że tak jest.

– Dworzec Mayfield.

Joe nie mógł skojarzyć miejsca.

– Dworzec Mayfield? Nie wiem, gdzie to jest.

– Będiesz wiedział, kiedy tam dotrzesz. Każdy, kto kiedykolwiek jechał pociągiem z tych zewnętrznych peronów, widział ten dworzec. To duża, opuszczona stacja. Nieużywana od sześćdziesięciu lat, ale wszystko tam jest: perony, kasy, nawet szyny. Miejsce wygląda, jakby ktoś po prostu zamknął drzwi i sobie poszedł. Dlatego często się tam wozi klientów. Pusto tam i cicho, i ludzie ze strachu szybko pękają.

– Dzięki – rzucił Joe i się rozłączył. Spojrzał na Ginę. – Słyszałaś?

– Wiem, gdzie to jest – odparła, wskazując kierunek. – Skręć w prawo na następnych światłach i jedź prosto.

Na skrzyżowaniu paliło się zielone, ale zaraz miało się zmienić, więc Joe dodał gazu i przejechał skrzyżowanie z piskiem opon. Stojąca na przejściu grupa nastolatków nagrodziła jego wyczyn wiwatami. Starając się nie spuszczać oczu z drogi, ponownie zaczął przeglądać w telefonie listę kontaktów. Szukał numeru Sama. Musiał mu powiedzieć, czego się dowiedział.

Miał tylko nadzieję, że już nie jest za późno.

Rozdział 69

Sam zaklął, kiedy zobaczył, że strażnicy idą w jego stronę. Nie miał teraz na to czasu.

Spojrzał na zegarek. Piętnaście minut. Strażnicy trzymali kciuki za pasami, jak jacyś kowboje z Dzikiego Zachodu. Pierwszy z mężczyzn był niższy, za nim kroczył wyższy i grubszy, biała koszula wydymała się na jego wyдутym brzuchu.

Sam wyciągnął legitymację.

– Wszystko w porządku. Jestem z policji – powiedział, gdy strażnicy podeszli. Musiał się ich pozbyć.

– Tak, wiemy – odparł niższy strażnik. Jego grubszy kolega stał za nim i łypał groźnie na Sama. Tłusty podbródek sięgał mu aż do kołnierzyka koszuli. – Mówił nam biletter, którego popchnąłeś. Ale co się właściwie dzieje?

Sam zwilżył usta; próbował szybko wymyślić jakąś sensowną historijkę.

– Czekam na podejrzanego. Prawdopodobnie niedługo przyjedzie. I myślę, że wysiądzie na tej stacji – skłamał. – Ale jeśli będziecie tu stali w tych mundurach, to na pewno tego nie zrobi.

Strażnicy popatrzyli na siebie.

– Kim jest ten podejrzanym?

Sam pokręcił głowę.

– Nie mogę ujawnić. Śledztwo jest objęte tajemnicą. – Uśmiechnął się, udając, że mu przykro, ale wiedział, że uśmiech wypadł fałszywie. Zdradzało go napięcie.

– Ale skąd wiadomo, że ten ktoś wysiądzie właśnie na tym przystanku? – pytał dalej ciekawski strażnik. – I dlaczego jesteście sam, jeśli to takie poważne dochodzenie?

– Nie wiemy, dokąd facet jedzie – odrzekł Sam poirytowanym głosem, nie potrafiąc dłużej ukrywać zniecierpliwienia. – Wiemy tylko, że wsiał do pociągu i że jeśli chce dostać się do miasta, to prawdopodobnie wysiądzie tutaj.

– I co potem?

– Będę go śledził. Dlatego jestem sam.

– Więc skąd ten pośpiech na gorze? – Strażnik pokazał na schody.

Sam starał się zachować spokój. Strażnicy byli dociekliwi.

– Bileter na pewno by mnie zatrzymał, a pociąg już nadjeżdżał. Nie chciałem marnować czasu. Kilku innych policjantów stoi w różnych punktach dworca. Jeśli któryś dostrzeże podejrzanego, mamy dać sobie znać i wezwać posiłki.

– Czy pasażerowie są bezpieczni?

Sam kiwnął głową.

– Nic im nie grozi. Zapewniam.

Strażnicy znowu na siebie popatrzyli. Mieli niezdecydowane miny.

– W porządku – rzucił wreszcie ten niższy, ustawiając się w rozkroku dla podkreślenia swojej ważności. – Ale następnym razem poinformujcie, że prowadzicie akcję, to pomożemy. I bądźcie miłsi dla bileterów. Nie zasługują na takie traktowanie.

– Tak, oczywiście. Przepraszam – odparł Sam, pozwalając, żeby strażnicy mieli swój moment chwały. Zaczekał, aż odejdą, po czym znowu odwrócił się do torów i ciemności za nimi.

Gdzieś tam była Ruby i ludzie, którzy ją porwali. Wiedział, że go obserwują.

Zamknął oczy i natychmiast załaty go wspomnienia związane z siostrą. Ucieszył się, potrzebował tych wspomnień, żeby dodały mu sił przed tym, co zamierzał zrobić. Jednak trudno mu było skupić się tylko na tych z udziałem Ruby, bo wraz z nimi przyływały inne. Wyobraźnia podsuwała mu obraz córeczek, jak je usypia, kołysząc na rękach. Sceny ze ślubu. Alice zaraz po przebudzeniu, zaspana i ciepła. Szukał w pamięci momentów dotyczących Ruby, ale znajdował tylko same smutne. Nawet przy narodzinach towarzyszył jej cień Ellie, radość rodziców nawet wtedy była zabarwiona świadomością, że Ruby żyje, bo zginął ktoś inny. Na pewno się zastanawiali, co ją czeka w przyszłości? Czy będzie jej trudno? Od śmierci Ellie minęły dwa lata, rodzice zbliżali się do czterdziestki. Kiedy Ellie zginęła, Sam pierwszy raz widział ojca płaczącego. Kiedy urodziła się Ruby, pierwszy raz widział w jego oczach strach.

Wiedział, że ojciec nie bał się odpowiedzialności, ale tego,

że znowu może dojść do tej samej tragedii.

Ten stres go w końcu zabił. Sam zrozumiał to, kiedy urodziły się jego własne dzieci. Stres doprowadził ojca do zawału, a matkę pchnął w stronę butelki.

Ruby. Mała, niezdarna Ruby. Zawsze ciut za wysoka, trochę dziwna, ale zawsze śmieszka.

Sama utrudniała sobie życie, pakując się w różne przykre historie i nie przykładając do nauki, ale Sam wiedział, że to wszystko były próby ściągnięcia na siebie uwagi matki. Tak funkcjonują nastolatki. Ruby z tego wyrośnie. Może nawet odniesie sukces w jakiejś dziedzinie, doda światu jakąś wartość. On obdarował go dwiema ślicznymi córeczkami. Czy teraz kolej na Ruby?

Usłyszał, że dzwoni jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Alice. Zamknął oczy. Musi zachować życie dla Alice, dla Emily i Amy.

Obejrzał się na monitor wyświetlający czasy odjazdów pociągów. Najbliższy miał przyjechać za dwie minuty. Wolno wypuścił powietrze. Wiedział, że porywaczka go widzi i że obserwuje jego poczynania. Spojrzał w dół na swoje stopy. Stał po bezpiecznej stronie żółtej linii wyrysowanej na peronie. Od brzegu dzieliły go tylko trzy kroki. Wystarczyło je wykonać i już. To jego śmierci chcieli porywacze, w zemście za Bena Granta. Nie chodziło im o Ruby, więc dlaczego mieliby ją zabić, gdyby spełnił ich żądanie? Wydało mu się, że słyszy wołanie córek. Otrząsnął się z tego wrażenia. Ratował komuś życie. Miał nadzieje, że córki, chociaż nigdy nie przeboleją jego śmierci, kiedyś go zrozumieją.

Poczuł drżenie pod stopami. Zaledwie lekkie drgania. Spojrzał w lewo. W oddali ujrzał światła. Pociąg nadjeżdżał za wcześnie. Megafony zachrobotały, a potem nagrany głos zawiadomił, że pociąg nie zatrzymuje się przy tym peronie.

Dał krok w stronę torów. Teraz miał już tylko pół metra do krańca peronu. W dole rozciągały się ciemne szyny, torowisko upstrzone było papierowymi śmieciami. Huk nadciągającego pociągu coraz bardziej się wzmaczał. Spojrzał w tamtą stronę.

Pędząc, pociąg kołysał się na boki. Pięć wagonów. Lokomotywa nie zwalniała.

Jego żołądek wykonał ostrą woltę. Myślał o córkach, o tym, jak będą dorastały bez ojca.

Alice w żałobie. Ale będą wiedziały, dlaczego to zrobił. Czy przez to pamięć o nim będzie im jeszcze bardziej nienawistna? Jak Ruby poradzi sobie z wyrzutami sumienia?

Znowu spojrzął na tory. Teraz już wibrowały, olbrzymie kłamry trzymające szyny zaczęły brzęczeć. Pociąg był coraz bliżej. Huk wręcz ogłuszał. Sam się skrzywił. Musi skoczyć teraz, bo wkrótce pociąg przejedzie i Ruby zginie.

Przyszykowany do skoku, napiął mięśnie nóg, wychylił się. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale jakaś część w nim mówiła, że musi. Podniósł wzrok i spojrzął na światła swojego rodzinnego miasta. Czerwone, żółte, a nad nimi mieniące się na niebie delikatne cętki gwiazd.

Patrzył na ten widok ostatni raz. Usłyszał gwizd pociągowego klaksonu. Ktoś krzyknął za jego plecami. Spojrzął w dół. Palce jego stóp wystawały za brzeg peronu.

I wtedy coś mu się rzuciło w oczy. Jakieś światełko. Ktoś wyszedł z cienia.

Cofnął się i w tej samej chwili pociąg z hukiem przetoczył się przed nim; pęd powietrza rozwiął mu włosy.

Kogoś widział. Był tego pewien. A teraz musi tam dotrzeć, nim jeszcze nie jest za późno.

Rozdział 70

Kiedy Ruby usłyszała szcęk metalu i odgłos szybkich kroków, czujnie się wyprostowała. Do tej chwili cały czas próbowała pozbyć się więzów na nadgarstkach. Z całych sił tarła rękami o róg żeliwnego filaru, i nawet odniosło to jakiś skutek, bo czuła, że więzy trochę popuściły. Jednak kiedy usłyszała kroki, porzuciła te próby. Ronnie milczał, mimo to wyraźnie czuła, że coś się zmieniło. Zaniepokoiło ją, że zbliżające się kroki są takie szybkie.

Zaczęła intensywniej trzeć rękoma o słup.

– Nie skoczył – krzyknęła Carrie, kiedy dotarła na szczyt schodów. Słysząc było, że jest wściekła. – Ten tchórz tylko się przyglądał. Wiedział, co to oznacza, a jednak nie skoczył i tylko się gapił na ten przejeżdżający pociąg.

Ruby usłyszała, że kobieta jest coraz bliżej. Zaraz potem dostała otwartą dłoń w twarz.

Nadal miała przewiązane oczy, więc nie mogła przewidzieć, że zostanie uderzona.

– Hej, nie rób tego – zawołał Ronnie.

Słyszając to, Ruby, mimo bólu i krwi w ustach, ucieszyła się. Najwyraźniej Ronnie trzymał jej stronę.

Niestety w tej samej chwili marynarka, którą była okryta, zsunęła się na ziemię i Carrie zobaczyła jej ręce.

– Ty mała dziwko – wrzasnęła i chwyciła Ruby za włosy, aż ta jęknęła. – Co ty knujesz? – Pociągnęła za szmatę na nadgarstkach.

Ruby zaczęła płakać.

– Przepraszam, ale było mi niewygodnie. Nie chciałam zrobić nic złego. Po prostu bolały mnie ręce. Proszę, nie bij mnie.

Carrie odwróciła się do Ronniego i warknęła: – Idź, przynieś jakiś sznur z samochodu.

Ronnie nie odpowiedział, ale wyszedł, i gdy jego kroki na schodach ucichły, Carrie podeszła do Ruby i nachyliła się do jej ucha.

– Chcesz wiedzieć, co się dzieje? – syknęła. – Powiem ci. Twój starszy braciszek popełni samobójstwo, a ja się będę temu przyglądała. A jeśli tego nie zrobi, zginiesz. I nie myśl, że to jakieś czcze pogroźki, bo nie będziesz pierwsza.

– Nie możesz tego od niego żądać – krzyknęła Ruby przez łzy. – A poza tym, co to znaczy, że nie będę pierwsza?

– Taka sprytna dziewczynka, jak ty, powinna się już domyślić. Wszędzie dookoła pogrzebane są ciała takich samych jak ty, młodych dziewczyn, którym się wydawało, że życie to zabawa, chociaż żadna nie wiedziała, co naprawdę się liczy.

– Ale dlaczego to wszystko? Nie rozumiem. Kiedyś sama

byłaś młoda. Czy ja też taka się stanę?

– Nie będziesz miała tego szczęścia, nawet jeśli stąd wyjdiesz. Wiem, że ci się wydaje, że znasz się na tych rzeczach, bo czytałam, co pisałaś do Billy’ego.

Ruby wzdrygnęła się, bo Carrie nachyliła się do niej i odsunęła z jej twarzy kosmyk włosów.

Nie był to gest czułości. Ruby wiedziała, że Carrie w ten sposób pokazuje jej, jaka jest bezbronna, że może z nią zrobić, co zechce.

– Ale tak naprawdę ty nic o tych sprawach nie wiesz. – Głos Carrie brzmiał łagodnie, lecz gdzieś w tle czaiła się w nim groźba. – Udajesz, że wiesz, ale to wiedza z Internetu i książek. A to nie to samo, co prawdziwe uczucie. Brakuje tej więzi, tego czegoś głębokiego, przez co zrobisz wszystko dla drugiej osoby. Mam na myśli naprawdę wszystko. I nie chodzi o te obleśne obietnice, jakie składałaś Billy’emu, których zresztą byś nie spełniła, bo obie wiemy, że to były tylko fantazje. To, co ja czułam, jest niedostępne dla większości ludzi.

– Mówisz o sobie i Ronniem?

Carrie parsknęła śmiechem.

– Nie, nie chodzi o niego. Ronnie to tylko zapchajdziura, ktoś, kto mi pomaga osiągnąć cel.

– Nie potrafię rozmawiać z zasłoniętymi oczami, bo się boję – powiedziała Ruby. – Proszę, zsuń opaskę, przynajmniej tylko tyle, żebym mogła cię widzieć.

Przez chwilę nic się nie działo, potem Ruby poczuła na głowie dotyk rąk. Opaska opadła w dół.

Zamrugła. Wreszcie miała możliwość dobrze przyjrzeć się Carrie. Wydawało się, że kiedyś była ładna, ale schudła i przez to zbrzydła. Miała wystające kości policzkowe, pod dużymi zmęczonymi oczyma widniały ciemne sińce, a mocno zaciśnięte usta otaczała siateczka zmarszczek.

– Dziękuję – szepnęła.

– No to mów, co chciałabyś wiedzieć – ponagliła ją Carrie.

– Sama już nie wiem. Chyba chciałabym zrozumieć. Na

przykład, dlaczego właśnie ja.

Carrie przechyliła głowę na bok, potem się skrzywiła.

– A więc sądzisz, że chodzi o ciebie? – Śmiech. – Nie, nie chodzi o ciebie. Nigdy o ciebie nie chodziło, mała Ruby.

– Jeśli nie o mnie, to o kogo? Wytłumacz mi, bo nie rozumiem. Nie chcę tu być, jest mi zimno i się boję, a ty mówisz, że nawet nie chodzi o mnie.

Carrie wyciągnęła rękę i musnęła ją po włosach.

– Czy w twoim otoczeniu jest ktoś, dla kogo zrobiłabyś wszystko? Bracia? Przyjaciółka?

Mama? A może świat kręci się dokoła ciebie, słodka Ruby, ulubienico rodziny? – Carrie potrząsnęła głową. – Nie, pewnie nie masz kogoś takiego, ale tym się właśnie różnimy.

– Czym? Nie rozumiem. Wyjaśnij mi to.

– Trzeba ci przyznać, Ruby, że potrafisz manipulować ludźmi. Tylko że na mnie te sztuczki nie działają. Znam się na nich. Ale gratulacje, byłaś blisko.

Ruby podniosła głowę, bo do hali wrócił Ronnie. Niósł kawałek linki holowniczej.

Carrie wstała.

– Tylko tym razem zwiąż ją mocniej – przestrzegła. – Idę na zewnątrz. Zaraz podjedzie następny pociąg.

Ruby patrzyła za Carrie, która po chwili zniknęła w czeluściach ciemniej klatki schodowej.

Kiedy już była pewna, że Carrie ich nie słyszy, przywołała uśmiech na twarz, chociaż to było trudne.

– Nie zwiążuj mnie, Ronnie – poprosiła. – Nie ucieknę. Ale jest mi zimno i bolą mnie ręce.

Pokręcił głową.

– Muszę, Carrie kazała.

– Carrie mi powiedziała, że cię nie kocha – rzuciła i zaraz potem dodała szeptem: – To wszystko jest dla kogoś innego. Nie chodzi jej o ciebie.

– Myślisz, że nie wiem? Ale ja ją Kocham, i tylko to się liczy. Ty będziesz ostatnia. Potem uciekniemy.

– O czym ty mówisz?

– Uciekniemy gdzieś, gdzie nikt nas nie znajdzie. – Ronnie obwiązał sznurem jej nadgarstki.

– Co? Znowu jakiś plan, taki jak ten, że niby zabiłeś Carrie, żeby mogła uciec?

Ronnie mocno zaciągnął sznur i dopiero wtedy odpowiedział: – Widzisz tę dłoń? – Wyciągnął prawą rękę, na której między kciukiem a palcem wskazującym widniały wytatuowane kreski. – Sześć kresek. Jedna na każdą. Ale będę musiał dorobić jeszcze jedną. Za ciebie.

Ruby z przerażenia zaczęła się dusić i po policzkach popłynęły jej łzy.

– Błagam, nie rób tego – wydyszała łamiącym się głosem. Wiedziała, że może zapomnieć o tym, że Ronnie jej pomoże.

Ronnie pchnął ją na ziemię. Upadła na bok. Ronnie nachylił się i zasłonił jej oczy opaską.

Ruby natychmiast zaczęła nasłuchiwać, chcąc przygotować się na ewentualny atak. Ale słyszała tylko ciężki oddech Ronniego.

Czuła, że na nią patrzy, i z przerażeniem pomyślała, że to bardzo możliwe, iż ostatnie chwile życia spędzi w kompletnej ciemności.

Rozdział 71

Sam popatrzył za znikającym w oddali pociągiem, potem przeniósł wzrok na ulicę za torami. Był prawie pewien, że widział tam jakiś słaby błysk.

Za plecami usłyszał zbliżające się kroki. Strażnicy dworcowi.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – zawołał wyższy ze strażników.

Sam milczał. Wiedział, co chciał zrobić, ale się wystraszył. Bliskość pociągu, jego pęd wystarczyły, żeby się odsunął.

Zabrzączał jego telefon. Zastrzeżony numer. Odwrócił się, żeby odebrać. To była ona.

– Nie skoczyłeś – warknęła lodowatym tonem. – A czas się kończy.

Odszedł kilka kroków, żeby się oddalić od strażników.

– Nie, nie skoczyłem. Muszę mieć większą pewność, że wypuścisz Ruby.

– Pewne jest tylko to, że ona zginie, jeśli nie skoczysz. A czas ucieka. Miałeś pół godziny.

Taki limit dajemy wszystkim, chociaż żadna nie przeżyła.

Sam, czując, że zalewa go fala paniki, wziął głęboki oddech.

– Ale dlaczego chcecie to zrobić? Przecież to o mnie wam chodzi.

– Więc, kurwa, skacz!

– To nie jest takie proste! – wrzasnął. – Mam dzieci. Żonę.

– A co z siostrą? Jej życie cię nie obchodzi?

– Ty dziwko. Ty parszywa chora dziwko! – Pasażerowie na peronie obejrżeli się na niego, ale napotkawszy jego wściekłe spojrzenie, szybko się odwrócili. Niższy ze strażników położył mu rękę na ramieniu. Strząsnął ją i zasłonił telefon dłonią. – Jeśli coś jej zrobicie, dopadnę was.

– Nie, nie dopadniesz, poczucie winy ci nie pozwoli. Tchórzliwy Samuel Parker. Ten, co zawsze robi to, co należy. Ma miłą żonkę i dwie śliczne córeczki.

Sam poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Zrobiło mu się słabo i się zachwiał.

– Nie mieszaj do tego moich córek. Zostaw je w spokoju.

– Niby dlaczego? To nie negocjacje. I może nie poprzestanę na Ruby. Może sięgnę po więcej, aż nikt ci nie zostanie. Tchórzliwy Sam. Czeka cię tylko rozpacz i wyrzuty sumienia. Co to za życie? Równie dobrze możesz je zakończyć już teraz.

– Dlaczego to robisz?

W telefonie na chwilę zapadła cisza, potem kobieta powiedziała twardym głosem: – Bo jeśli ktoś ci zabrał coś tak cennego, robisz mu to samo. Równowaga musi być zachowana.

Sam popatrzył na ulicę w oddali, szukając na niej światełka, które widział wcześniej. Nie był pewien, czy to nie było tylko odbicie blasku latarni, chociaż mogła to być też łuna z

wyświetlacza w komórce. Mimo spuszczonej głowy cały czas lustrował teren za torami. I nagle coś dostrzegł. Słabe świecenie. Miał rację. To był telefon, który w ciemności podświetlał czyjąś twarz.

– Kim są ci dwaj w zielonych kurtkach za tobą? – zapytała kobieta.

– Strażnicy kolejowi – odpowiedział i obejrzał się za siebie. Zobaczył, że strażnicy mówią coś do krótkofalówek.

– Powiedziałam, że masz być sam.

– Wyglądałem, jakbym chciał skoczyć, więc to chyba niedziwne, że się zainteresowali.

– Następnym pociąg przyjedzie za cztery minuty. Masz się znaleźć pod nim, bo jeśli nie, Ruby za pięć minut będzie martwa, a ja zajmę się resztą twojej rodziny.

– Mówiłaś, że mam pół godziny. Zostało mi jeszcze dziesięć minut.

– Nie skoczyłeś, więc zostałeś ukarany. Poza tym Ruby jest zimno. Chce wrócić do domu.

Dasz radę. Skoczysz.

– Zaczekaj, nie odchodź! – krzyknął. – Kim jesteś? Skoro mam umrzeć, chciałbym wiedzieć przynajmniej to.

Śmiech.

– Dobrze wiesz, kim jestem.

Zamknął oczy. Wiedział.

– Carrie. – Zrobił krok w stronę brzegu peronu. W ciemności przed sobą wciąż widział poświatę płynącą z telefonu.

– Dlaczego spiknęłaś się z Ronniem? Przecież cię pobił.

Carrie zaniósła się śmiechem.

– Ronnie mnie nie pobił. On mnie nigdy nie uderzył.

– A ta krew w mieszkaniu?

– Wiem, że chcesz zyskać na czasie, ale nie zatrzymasz pociągu.

Sam nie odpowiedział.

– Problem z takimi jak ty – ciągnęła Carrie – jest taki, że nie wiecie, co to kreatywność.

Krew była podłożona. Nabraliśmy trochę do strzykawki, spryskaliśmy nią ściany i roztarliśmy.

Ronnie to wymyślił, żeby wyglądało, że mnie zabił, i żebyście uwierzyli jego zeznaniom, które złożył na komisariacie. Wiedzieliśmy, że dacie się złapać na haczyk. – W telefonie rozległo się przeciągłe westchnienie. – To był głupi pomysł, ale uznałam, że jeden raz mogę zrobić, tak jak chciał Ronnie. Miał nadzieję, że po wszystkim ucieknę i przestanę służyć mojemu wspaniałemu Benowi.

– Więc te morderstwa, te młode dziewczyny, to była twoja robota, chciałaś zrobić przyjemność Grantowi ?

– Zamknęliście go w więzieniu, ale ja dawałam mu poczucie, że jest wolny.

– Ale przecież miałaś zniknąć, więc musiałabyś porzucić swój proceder.

– Nie, wcale nie. Zamierzałam tylko opuścić Ronniego. Dzięki temu, co zrobił, sytuacja była idealna; wszyscy uważaliby, że nie żyję. I nikt by mnie nie szukał.

– Jednak twój ukochany Ben nie był zachwycony waszym planem – mruknął Sam.

– Jak to?

– To nie wiesz? Próbował was wydać.

W telefonie znów zrobiło się cicho. Sam starał się odwrócić uwagę Carrie, przedłużyć rozmowę, żeby tylko odroczyć jej powrót do Ruby.

– Ben by tego nie zrobił – rzuciła Carrie, niby to pewnie, ale w jej głosie, dotąd ociekającym mściwą satysfakcją, pojawiły się nuty gniewu.

– Ależ on to zrobił. Uważał, że go zdradziłaś. Użył okrzężnej drogi, niemniej jego wskazówki miały nas doprowadzić do Ronniego, a przez niego do ciebie. Dla Granta fakt, że zgodziłaś się na to, żeby Ronnie zgłosił się na policję, był równoznaczny z tym, że go porzuciłaś. Uznał, że chcesz zniknąć i że w nowym życiu, jakie byś rozpoczęła, nie byłoby dla niego miejsca. Uważał tak, dlatego że dopilnowałaś, żeby jego wspólnik trafił za kratki.

Tyle że mój brat załatwił mu wyjście z aresztu i pewnie dlatego musisz ciągnąć swój proceder, nie myślę się?

Carrie zaczęła się śmiać, głośno i piskliwie.

– Myślisz, że współnikiem Bena był Ronnie? – Znowu śmiech. – To ja wtedy siedziałam w tych krzakach, Sam, nie Ronnie.

Sam szeroko otworzył usta.

– Ty?

– Tak, ja. Widziałam, jak go zakuwałeś w kajdanki, mojego ukochanego Bena. To, co robiliśmy, było czymś wyjątkowym, a ty mi to odebrałeś. Wróc pamięcią do tamtego dnia, Sam, bo ja go pamiętam tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Ciągłe go odtwarzam w wyobraźni. Tej nocy, kiedy mi zabrałeś Bena, obserwowałam cię, Sam, i już wtedy widziałam, że jesteś tchórzem. Twoja mała latareczka drżała ci w dłoni. Bałeś się, że Ben rzuci się na ciebie i cię zmasakruje.

Sam nie odpowiedział. Myślał o wydarzeniach sprzed ośmiu lat. Szelest liści. Ciche kroki.

– Ben zrobił to dla mnie – ciągnęła Carrie. – Ujawnił się, żebym miała czas uciec. Dlatego nie uwierz, że chciał mnie wydać.

– On myśli, że go zdradziłaś.

– Napisałabym do niego, wyjaśniłabym, że tak nie było. I dalej bym mu służyła. Ben się dla mnie poświęcił. Ronnie też chciał to zrobić. Teraz kolej na ciebie. Jeśli kochasz Ruby, poświęcisz się dla niej. Tylko że ty tego nie zrobisz, bo nie wiesz, co to prawdziwa, głęboka miłość.

– Nie wiem? – powtórzył z wściekłością. – Nie próbuj robić z siebie i Granta romantycznych bohaterów, jakichś Bonnie i Clyde'a. Cała władza spoczywa w rękach Granta. Ty nie masz żadnej. I gdyby Grant kochał cię tak bardzo, jak twierdzisz, pozwoliłby ci odejść. To właśnie jest prawdziwa miłość i prawdziwe poświęcenie.

– Widziałam jego poświęcenie tamtego dnia, kiedy go zaaresztowałeś.

– I co mu z tego przyszło? Trafił za kratki, ty spiknęłaś się z Ronniem, masz z nim dziecko i chcesz uciec. Naprawdę się dziwisz, że jest na ciebie wściekły?

Cisza, a potem ostre warknięcie: – Skacz, jeśli chcesz uratować Ruby. – I Carrie się rozłączyła. Sam oderwał oczy od swojej drżącej ręki, w której trzymał telefon, i popatrzył w miejsce, w którym widział blask komórki.

Zobaczył tylko ciemność.

Wzdrygnął się, bo telefon znowu się odezwał. Dzwonił Joe.

– Joe! Dowiedziałeś się czegoś?

– Tak, próbowałem się do ciebie dodzwonić. Ile czasu nam zostało?

Sam popatrzył na monitor z rozkładem odjazdów.

– Dwie minuty.

– Spróbuj dotrzeć na dworzec Mayfield – rzucił Joe. – Oni tam mogą być i my też już tam jedziemy.

Sam odwrócił się do strażników.

– Gdzie jest dworzec Mayfield?

Jeden z funkcjonariuszy wskazał obszar mroku za torami, tam gdzie Sam widział świecąca komórkę.

– Tam – rzekł strażnik. – To była stacja dla pociągów do Eccles. Ale od sześćdziesięciu lat jest nieczynna. Któregoś dnia trzeba się tam będzie przejść, żeby przegonić bezdomnych.

Sam wyteżył wzrok. Obszar za torami wciąż był pogrążony w mroku, jakby ktoś zarzucił na niego wielki, ciemny koc. Mimo to w tej czarnej studni nicości, do której nie docierała luna bijąca od miasta, zobaczył coś, czego wcześniej tam nie było – słabe migoczące światełka.

Rozległ się chrzęst megafonu. Nadjeżdżał kolejny pociąg. Sam jeszcze raz spojrział w ciemność i wreszcie udało mu się wypatrzyć w niej zarysy dachu dworca. Podłużne krawędzie, miejscami popękane, i przeświecające przez wybite szyby światła latarni. Im dłużej wpatrywał się w mrok, tym wyraźniej widział kontury dworca. Stał nieczynny dłużej, niż trwało jego życie, zaledwie cień na tle jaskrawych świateł, pustka, której już nic nie

przecinało, ani pociągi, ani ludzie.

Potem dostrzegł krzyżujące się wiązki światła prześlizgujące się po dziurawym dachu.

Wyglądało to jak dwie osoby z latarkami. Na dworcu ktoś był.

Przyłożył telefon do ucha.

– Miałeś rację. Oni tam są. Widziałem kobietę. Ona też mnie widziała, ale nie sądzę, żeby się domyśliła, że ją zauważyłem.

– My już prawie dojeżdżamy na miejsce.

– Nie zdążycie.

Kilkusekundowa przerwa, a potem: – Nie rób niczego głupiego.

Sam nie odpowiedział.

Za plecami usłyszał jakiś hałas. Odwrócił się. Peronem biegła inspektor Evans, a za nią jeszcze dwóch zdyszanych detektywów.

– Są na dworcu Mayfield! – krzyknął, ruszając ku nadbiegającym kolegom. Evans spojrzała w stronę dworca. Chyba dostrzegła światełka latarek, bo pokazała gestem dłoni, że zawraca.

Sam też rzucił się do wyjścia.

– Nie, ty zostajesz! – krzyknęła do niego Evans. – Jesteś za bardzo zaangażowany.

Zatrzymał się w pół kroku i zrezygnowany postanowił wrócić na poprzednie miejsce, skąd miał dobry widok na opuszczoną stację. Gdy podchodził do torów, usłyszał huk nadjeżdżającego pociągu. Miał niewiele czasu na podjęcie decyzji.

Rozdział 72

To gdzieś tutaj? – zapytał Joe, nachylając się do przedniej szyby. Przejeżdżali obok sznura stojących na postoju czarnych taksówek; asfalt na pustej ulicy przed nimi błyszczał w blasku latarni.

– Tak, tam po prawej – odpowiedziała Gina, wskazując kierunek palcem.

Joe wreszcie dostrzegł miejsce, o którym mówiła – duży, opuszczony budynek z czerwonej cegły. Trąc kołami o krawężnik,

wykonał ostry skręt, potem się zatrzymał i szybko wyskoczył z samochodu.

– Chodźmy! Mamy mało czasu.

Zaczęli biec w stronę opuszczonego dworca, a odgłos ich kroków rozniósł się głośnym echem po wyludnionej ulicy; słychać je było nawet ponad rżeniem silników taksówek zostawionych na jałowym biegu i brzęczeniem megafonów na stacji nad wiaduktami. Ceglane mury przed nimi w pomarańczowej poświacie latarni pobłyskiwały głęboką czerwienią.

Kiedy dotarli do rogu budynku, Joe od razu zrozumiał, dlaczego to miejsce upodobał sobie ludzie szukający ciszy i spokoju. Budynek był wielkości boiska piłkarskiego, wysoki na dwa piętra, sylwetką przypominał wielki, stary skład. W środku znajdowały się długie perony. Na oblepionym plakatami froncie szczeliny między cegłami porastało zielsko. Wygląd dworca odstraszał; ludzie, mijając go, na pewno woleli przechodzić na drugą stronę ulicy.

– Jak się dostaniemy do środka? – zapytała Gina, nerwowo rozglądając się dokoła.

– Nie wiem – odparł. Nigdzie nie dostrzegł wejścia. Dach był popękany, miejscami przeświecały przez niego belki stropu, ale grube ściany o zabudowanych cegłami otworach okiennych sprawiały wrażenie solidnych. Jego uwagę przykuł huk nadjeżdżającego pociągu, więc spojrzał na drugą stronę ulicy. W górze rozciągał się zewnętrzny peron, na którym stali ludzie. Dostrzegł Sama, który machał ręką, pokazując, że powinni pójść na wprost.

– Zobacz, to Sam – rzucił, szarpiąc Ginę za ramię.

– Dzięki Bogu, nie skoczył – mruknęła Gina z ulgą. – A teraz chodźmy szukać Ruby.

– Ale którądy?

– Frontem nie wejdziemy. Musimy znaleźć inny sposób, żeby się tam dostać. – I po tych słowach Gina zaczęła biec.

– Dokąd biegiesz?

– Tam, gdzie pokazuje Sam – odkrzyknęła, biegnąc ulicą

wzdłuż dworca. Jej koniec tonął w ciemności, bo wszystkie latarnie w tym miejscu były potłuczone.

Joe szybko dogonił Ginę, ale nie w odruchu rycerskości – Gina, jako była policjantka, nie potrzebowała jego ochrony – jednak to on był bratem Ruby, więc uważał, że powinien jako pierwszy wejść do niebezpiecznego budynku.

Im bardziej pogrążali się w mroku, tym dudnienie ich szybkich kroków stawało się donośniejsze, odbijało się echem od murów dworca i stojącego obok wysokiego budynku akademika. Biegając, Joe co chwila macał mur. Nie chciał przegapić wejścia: jakiegś wyrwy lub bocznych drzwi. W pewnej chwili ponury cień rzucany przez budynek ustąpił miejsca mrocznemu niebu; wbiegli na otaczający dworzec ugór.

Joe się zatrzymał.

– Zaczekaj – zawołał do Giny. – Tu dworzec się kończy. – Wziął kilka głębokich wdechów i zaczął obmacywać mury, aż natknął się na metalową blachę. Spojrzał w górę i na tle ciemnego nieba dostrzegł zwoje kolczastego drutu. Ale potem zobaczył coś jeszcze: błysk światła, które się poruszało. To było światło latarki. – Musimy się tam dostać – wychrypiał, napierając na metalową płytę.

– Dzwonię po policję – zapowiedziała Gina.

– Nie będę na nich czekał.

Gdy Gina rozmawiała przez telefon, on przesuwiał ręce po metalu, szukając miejsca, które ustąpiłoby pod naciskiem. Nic się nie działo, aż w pewnej chwili wyczuł jakąś zmianę. Obejrzał się na Ginę, prawie niewidoczną w mroku. Uderzył dłonią w zardzewiały metal. Blacha wydała inny dźwięk niż wcześniejsze, wyższy, jakby płyta była z cieńszego kawałka metalu, ale co ważniejsze, dała się poruszyć. Lekko wygięła się do wewnątrz, jednak to wystarczyło.

Joe pchnął ją mocniej i usłyszał głośny zgrzyt metalu ocierającego o kamień. Płat zardzewiałej blachy odchylił się do środka.

– Tu jest wejście – zawołał.

Nie czekał na Ginę, tylko jeszcze mocniej pchnął blachę. Ignorując hałas, wcisnął się w szczelinę. Z niejakim wysiłkiem, krzywiąc się, przepchnął ciało na drugą stronę. Przytrzymał blachę, żeby Gina mogła do niego dołączyć.

Znaleźli się w miejscu pogrążonym w mroku. Zaczęli się rozglądać, żeby się zorientować, w którym kierunku powinni się udać. Dźwięki z ulicy już tu nie docierały, a widok z przodu ginął w gąszczu zarośli i drzew. Z boku biegł niski murek; przyplątywał stamtąd równomierny szum wody w strumieniu. Do wyboru mieli tylko jeden kierunek: musieli iść ku ciemności przed nimi.

Joe znowu dostrzegł jakieś błyski; snop słabego światła wypływał przez dziury w dachu.

– Musimy tam pójść – powiedział szeptem.

– Moglibyśmy włączyć komórki, oświetlibyśmy sobie nimi drogę.

– Nie, bo nas zobaczą. Trzeba ich zaskoczyć, żeby nie wpadli w panikę i nie zrobili czegoś głupiego. Nie obchodzi mnie, dokąd idą. Chcę tylko odzyskać Ruby.

Szli przed siebie powoli, grunt wyczuwali stopami. Teren był nierówny, w spletanym zielisku leżały górki złomu i śmieci. Otrzeptyjąc się z ocierających się o jego twarz liści i gałęzi, Joe nie mógł się pozbyć wrażenia, że ktoś za chwilę się na niego rzuci.

Gdy dotarli do budynku, przekonali się, że jest tam jeszcze ciemniej; mury dworca zasłaniały światło płynące z ulicy i z peronu za nią. Gina chwyciła go za brzeg kurtki, żeby się nie rozdzielili. Joe kroczył ostrożnie, stawiając lekkie kroki, mimo to i tak miał wrażenie, że jego urywany, głośny oddech zdradza ich obecność.

Nagle poczuł ostry ból w nodze i mimo woli głośno jęknął – okazało się, że nieopatrznie zahaczył łydką o leżący na ziemi kawałek zardzewiałego ostrego żelastwa.

Wraz z Giną zamarli w bezruchu, niepewni, czy porywacze usłyszeli krzyk. Usłyszeli. Z okna w górze popłynęło ku nim światło latarki. Oślepieni, oboje zmrużyli oczy.

– Oni tu są – krzyknął Ronnie i wrócił biegiem do Carrie.

Ruby szybko usiadła. Coś się działo. Czy zbliża się jej koniec?

– Jacy oni? Gdzie są? – pytała Carrie.

– Joe Parker i kobieta z jego biura.

– Cholera. – Przerwa, a potem: – W takim razie to już koniec, Ronnie.

Ruby zaczęła płakać, ale był to płacz nadziei. Joe po nią przyszedł. Potem szybko wbiła plecy w filar. Ktoś przed nią stanął. Słyszała oddech, blisko... Ktoś na nią patrzył.

– O co chodzi? Co się dzieje? – zapytała niepewnie, a potem krzyknęła, bo ktoś zerwał opaskę z jej oczu. Zamrugła i zobaczyła przed sobą Carrie. Carrie dyszała ciężko i wyglądała, jakby się bała.

– Są tu twoi wybawiciele – poinformowała. – Ale przyszli za późno.

– Jak to? Dlaczego tak mówisz? – Usta Ruby drżały, gdy nimi poruszała. – Nie, proszę... boję się. Wypuście mnie. Możecie odejść. Uciekajcie. Powiem im, że mnie oszczędziliście.

– Nie – warknęła Carrie. – Sam jeszcze się nie nacierpiał tyle, ile trzeba.

Carrie sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej plastikową torebkę. Wyglądała na grubą i mocną.

– Jeśli twój brat chce cię odnaleźć, proszę bardzo.

Ruby głośno krzyknęła i ten krzyk przerażenia rozniósł się dudniącym echem po przestronnej hali. Szybko jednak została uciszona – Carrie zarzuciła jej torbę na głowę i mocno ją zaciągnęła. Wszystko zrobiło się rozmazane i niewyraźne; Ruby widziała tylko to, co było najbliżej: napiętą od wysiłku twarz Carrie i jej wykrzywione usta. Chciała znowu krzyknąć, ale głos uwiązał jej w gardle, a potem nie była już w stanie nabrać oddechu.

Rozdział 73

Joe usłyszał krótki, głośny krzyk i za gardło chwycił go strach.

– Ruby!

Gina pociągnęła go za rękę.

– Chodźmy – zawołała i rzuciła się biegiem przez nierówny, zarzucony kawałkami złomu, zarosnięty zielskim teren.

Joe, krzywiąc się z bólu z powodu zranionej nogi, ruszył za nią. Gina biegła do miejsca, gdzie było najciemniej, po drodze wyciągając telefon, żeby oświetlić nim drogę.

W pewnej chwili o coś się potknęła i telefon wypadł jej z ręki. Joe, przebiegając obok, złapał ją za kurtkę i pomógł się podźwignąć, po czym pognął dalej.

Wydawało mu się, że przed sobą widzi zarys dużego otworu, ale nie wiedział, czy otwór jest pusty, więc szykując się na uderzenie, biegł z wyciągniętymi rękami. Stęknął, gdy jego dłonie walnęły w coś twardego. To była jakaś metalowa przesłona, która jednak drgnęła pod wpływem uderzenia. Wyklinając i głośno złorzecząc, natarł ramieniem na przesłonę, która, zgrzytając o podłoże, wolno się odchyliła. Podbiegła Gina i razem z nim zaczęła przepychać blachę.

– Ktoś ją zastawił kamieniem – wydyszała.

Wreszcie udało im się na tyle przesunąć przeszkodę, że mogli się precyzyjnie przeczesać przez szczelinę. Joe przeszedł pierwszy, wcześniej ściągając kurtkę, bo zaczepiała o ostre brzegi blachy. Potem przytrzymał ją, żeby i Gina mogła przejść.

Kiedy już byli po drugiej stronie, szybko się rozejrzeli. Wokół było ciemno, ale dostrzegł wznoszące się w górę schody; słaba poświata płynąca ze szczytu wyluskiwała z mroku długi drążek poręczy. Gdzieś w pobliżu kapała woda; rytmiczny dźwięk roznosił się echem po wyłożonej kafelkami klatce schodowej, na której szczycie wciąż migotało słabe światelko.

Przytrzymując się poręczy, Joe zaczął się wspinać na górę.

– To chyba jedyna droga – rzucił do Giny, potem głośno zawołał: – Ruby!

Żadnej odpowiedzi.

Zerwał się do biegu.

Sam usłyszał krzyk i wtedy wszystko się zmieniło.

Popatrzył na tory. Chybocząc się na boki, przy wtórze zgrzytania kół i migotania światłami nadjeżdżał kolejny pociąg.

Ale to już nie miało znaczenia. Był potrzebny Ruby.

Nie zważając na ból w ramieniu, rzucił się biegiem wzdłuż peronu. Po drodze rozglądał się za inspektor Evans i dwójką detektywów, jednak nigdzie ich nie dostrzegł. Wcześniej widział Joego, ale wyglądało na to, że on też się spóźnił. Pociąg był coraz bliżej. Peron zapełnił się pasażerami, którzy wysiedli z innego pociągu, tego, który nadjechał od północy i zatrzymał się po drugiej stronie peronu. Sam widział porządkowych, straż kolejową i ludzi z aktówkami.

Musiał się przebić przez ten tłum i dostać za tory. Miał mało czasu.

Obejrzał się za siebie na nadjeżdżający pociąg, który, minawszy wjazd na stację, teraz jechał wzdłuż peronu; w drzwiach widać było twarze szykujących się do wyjścia pasażerów.

Sam zaczął biec między ludźmi na peronie, ciężko dysząc, bo od słabej formy brakowało mu oddechu. W pewnej chwili wpadł na kogoś i krzyknął z bólu, łapiąc się za zranione ramię.

Osoba, na którą wpadł, przewróciła się na ziemię. Ludzie zaczęli krzyczeć, ale on się nie zatrzymywał.

Spojrzał w stronę dworca Mayfield. Widział pogrążone w mroku miejsce, w którym budynek się kończył. Była tam kiedyś bocznica, ale teraz rozciągał się pusty teren, prowadzący do torowisk dworca Piccadilly. Spuścił wzrok na tory w dole. Szyny były czarne, pokryte olejem, oprócz błyszczącego wierzchu. Po ich drugiej stronie biegł rząd utwardzających ziemię kafli chodnikowych, ułożonych tuż przy metalowym płocie, za którym rozciągał się długi nasyp, schodzący do ulicy w dole.

Rzucił ostatnie spojrzenie na peron. Pociąg się zbliżał, ale zwalniał. Uda mu się.

Zeskoczył z peronu na śliskie torowisko. Ktoś z tyłu krzyknął. Potem rozległ się gwizd lokomotywy i zapiszczały hamulce. Pociąg był bliżej, niż mu się wydawało, oślepił go światłami.

Szybko przeskoczył przez szyny, bezpiecznie lądując na wąskim chodniczku. Tuż za nim przetoczyły się wagony, których

pęd rozwiął mu włosy.

Krzywiąc się, jeszcze raz spojrział w stronę starego dworca, chcąc sprawdzić, czy dostrzeże błyski latarek. Miał wrażenie, że teraz tych błysków jest więcej.

Rzucił się do biegu i choć ślizgał się na wilgotnych kafkach, nie zwalniał. Przed upadkiem w dół chronił go jedynie metalowy płot.

Znowu spojrział na dworzec Mayfield. Biegł wzdłuż niego, wiedząc, że tą drogą dostanie się w końcu na teren dworca.

I choć czuł klucie w płucach i bolały go nogi, nie zatrzymywał się. Musiał dać z siebie wszystko.

Ruby rzucała głową i wierzgała nogami, żeby tylko utrudnić Carrie zaciskanie torby.

Plastik ściśle opinał jej twarz, kleiła się do skóry.

– Po prostu dźgnij ją nożem – wydyszał Ronnie przerażonym głosem. – To duszenie zbyt długo trwa.

– Chcę, żeby Sam widział, że ta mała dziwka, umierając, wiedziała, co się dzieje.

– Musimy uciekać.

W tym momencie ktoś zawołał „Ruby” i Carrie szybko odwróciła się w stronę, skąd przyplynął krzyk. Plastikowa torebka zwiotczała. Ruby zaczerpnęła głęboki haust powietrza, a potem mocno wyrzuciła nogi przed siebie, posyłając Carrie na ziemię.

– Ty dziwko! – wrzasnęła porywaczka.

Ruby krzyknęła: – Joe, Joe!

Carrie poderwała się na nogi i z kieszeni wyszarpnęła nóż. To był raczej sztylet, długi i ostry, poszarpane brzegi zabłyśły w blasku latarki upuszczonej na ziemię.

– Ronnie, masz swój nóż? – zapytała.

– Tak, tutaj – potwierdził, podnosząc ostrze.

– Kiedy się zjawia, zabij ich.

Carrie chwyciła Ruby pod pachy.

– Idziemy.

Ruby zaczęła się szamotać, ale Carrie ugodziła ją nożem w podbródek, rozcinając skórę.

Ruby jęknęła z bólu.

– Albo ze mną pójdziesz, albo obedrę cię ze skóry tu na miejscu – syknęła Carrie i znowu szarpnęła Ruby za rękę. Tym razem Ruby już się nie opierała.

– Dokąd idziesz? – krzyknął za nimi Ronnie, kiedy Carrie zaczęła biec, czubkiem noża szturchając plecy idącej przed nią Ruby.

– Ona jest naszą jedyną kartą przetargową.

– A co ze mną?

– Zabij tych sukinsynów i dołącz do mnie.

– A jeśli tego nie zrobię?

Carrie przystanąła.

– Poświęć się, tak jak Ben – warknęła. Potem odwróciła się do Ruby i ponownie szturchnęła ją nożem w plecy. – A teraz biegnij. – I dźgając Ruby w żebra, zmusiła ją do przyspieszenia kroku.

Zmierzały do wyjścia z hali, w kierunku torów kolejowych.

Joe dotarł na szczyt schodów, ciężko dysząc. Mimo strasznego bólu w nodze nie zatrzymał się, tylko runął w stronę otwartej hali, poprzecinanej peronami i porośniętymi zielskiem torowiskami.

– Ruby!

– Tam – krzyknęła Gina, pokazując palcem.

W oddali zobaczył dwie postacie. Biegły do wyjścia, dużego otworu, za którym niczym wabik pobłyskiwały tory kolejowe i światła okolicznych budynków. Rozpoznał Ruby. Długie, chude nogi. Dlaczego się nie odwróci i nie ucieknie, dlaczego nie walczy?

Znowu zerwał się do pościgu. Drogę oświetlał mu księżyc, którego światło wpływało przez przerwy w dachu, chociaż nie docierało do miejsc z boku, gdzie ściany hali zdawały się tonąć w ciemnościach. Słyszał, że Gina, ciężko sapiąc, stara się go dogonić.

Biegli do długiego peronu, po drodze mijając budkę starej kasy, wciąż nienaruszoną, wyglądającą jak zjawą z przeszłości. Ruby i towarzysząca jej osoba – Joe domyślał się, że to Carrie –

stały na tle świateł docierających z torowisk. Gdzie jest Ronnie?

Joe odnosił wrażenie, że odległość dzieląca go od Ruby coraz bardziej się zmniejsza, jednak wciąż miał do przebiegnięcia co najmniej czterdzieści metrów, a każdy mięsień w jego ciele dawał mu znać, że dłużej nie wytrzyma wysiłku, rana w nodze przy każdym kroku promieniowała ostrym bólem. Ale wiedział, że nie może się zatrzymać.

Nagle jego uwagę przykuł jakiś ruch po prawej. Ktoś się czał w mroku. Zobaczył błysk metalu, ktoś zawył wściekle i rzucił się na niego.

Joe sapnął, gdy trafiony opadającą pięścią, zwałił się na ziemię. Spojrzał w stronę, gdzie widział Ruby; oddalała się coraz bardziej. Potem usłyszał kolejny okrzyk i ujrzał nad sobą czyjś cień. Postać trzymała nóż, którego ostrze zamigotało w świetle dobiegającym z zewnątrz.

Nie miał czasu się odczołgać, więc żeby się osłonić, szybko uniósł ramię i czekał na uderzenie noża, na ból agonii.

Nagle rozległy się szybkie kroki kogoś jeszcze. Gina. Rzuciła się na napastnika, zadając mu cios w szczękę. Mężczyzna upadł na bok, upuszczając nóż, który potoczył się daleko po betonie. Dysząc z wyczerpania i wysiłku, Gina dopadła do człowieka na ziemi i wykręciła mu rękę na plecy, tak mocno, że jej ofiara z bólu aż zawyla.

Joe rozpoznał głos Ronniego. Popatrzył na Ginę.

– Goń je, Joe! – krzyknęła. – Ja go zatrzymam.

Nie musiała mu tego powtarzać.

Podźwignął się na nogi i rzucił w pościg. Ruby była już teraz przed budynkiem, Carrie ciągnęła ją w stronę torowisk. Wiedział, że nie zdąży.

Sam dostrzegł je, kiedy się wyłoniły z hali starego dworca, Ruby i Carrie. Biegły w stronę torowisk, ledwie widoczne wśród krzaków i wysokiego zielska, jakie porastały teren przed wejściem na stację.

Tylko że tam, gdzie biegły, nie było przejścia. Sam widział to wyraźnie z miejsca, w którym się znajdował. Przed nimi

rozciągały się tylko tory, niektóre zelektryfikowane. Carrie będzie musiała się zatrzymać. Jednak nagle zdał sobie sprawę, że Carrie wcale nie miała takiego zamiaru i że doskonale wiedziała, że biegnie w pułapkę. Ciągnęła Ruby na tory.

Przerażony Sam postanowił przyspieszyć, ale nie był w stanie. Od siedzenia przy biurku i ślęczenia nad dokumentami stracił formę, poza tym dokuczало mu zranione ramię. Z oczu zaczęły mu płynąć łzy. Wiedział, że nie zdąży dobiec na czas i że zaraz utraci następną siostrę.

W myślach zaczął ją przeproszać, przeproszał też matkę za to, przez co znowu będzie musiała przejść. Kolejny pogrzeb. Śmierć następnego dziecka. Wiedział, że powinien był skoczyć. Ale nie zrobił tego; myślał, że zdoła uratować Ruby.

Zatrzymał się i zdrową rękę oparł na płocie. Przyglądał się, jak dwie małe postacie podążają ku torom. Ciężko dyszał, kłuło go w płucach, nogi paliły od wysiłku. Czuł, że zaraz zwymiotuje. Targała nim wściekłość, że zawiódł siostrę.

Nagle coś zauważył. Sznur pasażerskich wagonów toczących się ku jednemu z peronów.

Usłyszał gwizd lokomotywy. Pociąg dojeżdżał do stacji. Carrie i Ruby biegły w jej kierunku.

Musi pierwszy tam dotrzeć.

Znowu zerwał się do biegu.

Ruby krzyczała ze strachu, biegnąc przed Carrie, która dźgnięciami noża zmuszała ją do podążania w stronę torów. Jej stopy zaplątywały się w wysokiej trawie i zielsku.

W pewnej chwili postanowiła się wyrwać, ale Carrie tak mocno pchnęła ją nożem, że upadła na kolana. Na koszuli poczuła coś mokrego i lepkiego.

– Wstawaj i biegnij dalej – warknęła Carrie, szarpiąc ją za ramię.

Ruby podźwignęła się i mimo zawrotów głowy wywołanych przerażeniem i upływem krwi, znowu zaczęła biec. Biegła automatycznie, napędzana wyłącznie strachem, bo gdyby nie on, na pewno nie miałyby sił poruszać nogami. Ból ran

zadanych nożem, ból w nadgarstkach, które wciąż miała związane, i palenie w płucach były nie do zniesienia.

Popatrzyła przed siebie, stwierdzając, że stacja jest już blisko – konstrukcja z metalu, betonu i sieci trakcyjnej w górze.

– Tu nie ma żadnego przejścia – wychrypią, ledwie wydobywając z siebie głos.

Carrie nic na to nie odpowiedziała. Ruby próbowała zwolnić, ale Carrie, prąc do przodu, uparcie ją za sobą ciągnęła. Tuż przed nimi pojawiły się jaskrawe szyny torowisk. Ruby sądziła, że Carrie zboczy z drogi, skęci w stronę widocznej z boku ścieżki, ale kobieta weszła na pierwsze torowisko, a potem na następne.

Ruby potknęła się o coś, zachwiała i nie mogąc osłabić upadku rękoma, ciężarem całego ciała ciężko zwała się na szyny.

– No wstawaj, wstawaj – krzyczała Carrie, nachylając się do niej i ciągnąc w górę za ramię.

Ruby zawyła z bólu, mimo to podźwignęła się na nogi. Z jej potłuczonych kolan sączyła się krew, pot i brud na twarzy mieszał się ze łzami. Miała już dosyć bólu i ciągłego płaczu. Dłużej nie mogła walczyć. Pragnęła tylko jednego: żeby to wszystko się już skończyło.

Z przodu rozległ się jakiś huk, pod stopami poczuła drżenie, w oddali zabłyśły reflektory.

– Jedzie pociąg! – wrzasnęła, czując, że nogi się pod nią uginają. – Musimy zejść z torów!

– Nie – warknęła Carrie i przyciągnawszy Ruby do siebie, objęła ją mocno w pasie.

Ruby, przerażona nowym zagrożeniem, zaczęła się wrywać.

– Musimy uciekać, musimy zejść z tych torów!

Carrie tylko wzmocniła uścisk.

– Nie możemy tu zostać – darła się Ruby, jeszcze gwałtowniej szarpiąc się, kopiąc i wierzgając, ale Carrie nie puszczała.

– Tam jest Sam – krzyknęła nagle do ucha Ruby głosem, w

którym słuchać było gniew, a nie strach. – Chcę, żeby widział, że skończyłaś życie w panice i przerażeniu!

– Ale przecież ty też zginiesz.

– I co z tego? Ja już nie mam po co żyć. Jestem gotowa na śmierć.

Pociąg był coraz bliżej. Rozległ się gwizd, głośny i przenikliwy. Potem następny. A potem powietrze przeszły piskliwy zgrzyt hamulców i huk zderzających się ze sobą wagonów. Ale pociąg jechał zbyt szybko, odległość była zbyt mała. Ruby znowu zaczęła się szarpać, szamotać i wyrywać, ale Carrie trzymała ją w mocnym uścisku. Hałas był ogłuszający, światła tak oślepiające, że Ruby musiała odwrócić głowę. Drżenie szyn wywoływało drżenie w jej nogach, przez co ledwie się na nich utrzymywała. Krzyknęła, choć wiedziała, że nikt jej nie usłyszy.

Wykrzykiwała przeprosiny, żegnała się z matką, z braćmi. Krzyczała, że jest jej przykro, że żałuje wszystkiego, co zrobiła źle, potem zamknęła oczy i modląc się, żeby śmierć była szybka, czekała na uderzenie.

Sam wiedział, że nie zdąży. Biegł i krzyczał. Krzyczał do Ruby, ciemnej sylwetki na tle świateł pociągu. Zgrzyt hamulców, gwizd klaksonu. Pociąg jechał zbyt szybko.

Jeszcze jeden, ostatni zryw; płuca przesywał ból, włosy kleiły mu się do czoła, Ruby w świetle reflektorów, skulona, przyszykowana na uderzenie. Za nią Carrie, mocno ją obejmująca. Zostało mu tylko kilka kroków, cały jego świat składał się teraz tylko z rozdzierającego hałasu, z oślepiających błysków, ze strachu i okrzyków przerażenia, i z huku pociągu, który próbował zwolnić, ale jechał zbyt szybko, a on wciąż był zbyt daleko od stacji.

Prawie już docierał do celu, ale pociąg gnał przed siebie. Ruby była już prawie martwa.

Wyciągnął zdrową rękę. To był jeden błyskawiczny ruch, nie miał czasu się zastanawiać.

Otoczył Ruby ramieniem i mocno pociągnął. Poleciał w tył, Ruby za nim. Upadł na zranione ramię. Zawył, jednak okrzyk bólu zaginał w ryku wciąż próbującego zwolnić pociągu. Uderzył

plecami w szyny torów obok, aż go wygięło. Mignęły mu przed oczami wagony, poszukał wzrokiem Ruby, ale nigdzie jej nie dostrzegł.

Podniósł głowę i spojrzał w stronę peronu. I wtedy ją zobaczył; leżała przy płocie, rozplaszczona na ziemi zupełnie jak on, z twarzą pokiereszowaną, zakrwawioną od upadku na twarde chodnik. Ręce wciąż miała związane na plecach.

Zobaczył, że podniosła głowę i ciężko dysząc, zaczęła płakać. Wtedy i on się rozplakał, z wyczerpania i pod wpływem ulgi. Łzy lały mu się po twarzy strumieniami. Uratował Ruby. Nie, uratował ją sznur na jej rękach. Dzięki temu, że wciąż miała nim związane nadgarstki, mógł za niego chwycić i odrzucić Ruby na bok.

Usłyszał odgłos kroków; ktoś wołał Ruby. Podniósł głowę. To był Joe. Biegł poboczem torowiska, koszulę miał całą we krwi, spodnie rozdarte. Kiedy dotarł do Ruby, opadł przed nią na kolana i przyciągnął siostrę do siebie. A potem, wznosząc oczy do nieba, wziął głęboki oddech ulgi. Ruby otoczyła go rękoma w pasie i mocno się w niego wtuliła. Wiedziała już, że jest bezpieczna.

– A Carrie? – krzyknął Sam i obejrzał się na tory. Na żwirze obok pociągu leżały kawałki materiału, ale jakoś dziwnie błyszcząły. Sam zdał sobie sprawę, że to części ciała Carrie, zmiażdżonego przez pociąg. Trochę dalej zobaczył nadbiegających ludzi w jaskrawych zielonych kurtkach – strażnicy kolejowi.

Położył się z powrotem na zimnych kamieniach i patrząc na gwiazdy na niebie, głęboko odetchnął.

Koszmar się skończył.

Rozdział 74

Pogrzeb Moniki odbył się tydzień później; przedtem zgodnie z przepisami przeprowadzono sekcję zwłok z udziałem patologa obrony. Ronnie Bagley wrócił do Mahones.

Kancelaria wyraziła żal z powodu śmierci Moniki, przesyłając kwiaty z kondolencjami, ale Joe wiedział, że prawnicy z Mahones robili to, co i on by robił, gdyby przejął sprawę. Takie mieli zajęcie, on i ludzie z Mahones – handlowali ludzką nędzą i

pomagali złoczyńcom. Joe mógł się tej nędzy dokładnie przyjrzeć i zastanowić się, czy jest w stanie nadal zajmować się swoim fachem – uznał jednak, że tak. Takie życie sobie wybrał, na dobre i na złe.

Pogrzeb był trudnym doświadczeniem. Joe poznał rodziców Moniki. Twierdzili, że za nic go nie obwiniają, ale czuł podskórną niechęć, przekonanie, że gdyby Monica pracowała gdzie indziej, wciąż by żyła, że zabił ją ten krótki okres, jaki przepracowała w jego biurze.

Znajdowali się na Południowym Cmentarzu, rozległej szachownicy porośniętych trawą kwadratów, upstrzonych kamiennymi nagrobkami. Cmentarz leżał przy jednej z głównych dróg wyjazdowych z miasta. W oddali słuchać było huk samochodów, ale na terenie samego cmentarza panowała refleksyjna cisza.

Rodzina stała tuż przy otwartej dziurze w ziemi, przyszłym miejscu spoczynku zmarłej.

Gina też tam była, jednak Joe trzymał się z boku, a wraz z nim Sam.

Joe odwrócił się do brata.

– Dzięki, że przyszedłeś.

Sam kiwnął głową. Rękę wciąż miał na temblaku, twarz znaczyło trochę więcej siniaków i zadrapań niż wcześniej, ale żył. Ruby też żyła.

– Musiałem przyjść – rzekł. – Czuję się tak samo odpowiedzialny jak ty. Gdybym wiedział, że Carrie była w tych krzakach, kiedy aresztowałem Granta, to wszystko by się nie wydarzyło.

– Jeśli, gdyby... – mruknął Joe i obaj spojrzeli w stronę stojącej obok grobu trumny. Pastor wygłaszał jakąś przemowę, ale Joe stał za daleko, żeby rozróżnić słowa.

– Nie znałem tych ludzi – rzekł, pokazując na brata Moniki, jej przyjaciół z uczelni, zrozpaczonych rodziców. – Miała swoje życie, a potem na krótko jej drogi zeszyły się z moimi, i zobacz, jak się to skończyło. Taka bezsensowna strata.

– Widziałeś się już z kimś? – zapytał Sam. – Psychologiem,

lekarzem?

– Po co?

– Bo przeżyłeś duży stres. My w policji mamy psychologów do pomocy, ale ty zostałeś sam.

Joe potrząsnął głową.

– Dam sobie radę, jak zawsze.

– Upychając emocje.

– Dokładnie. Wtedy muszę się martwić tylko o to, żeby śmieci nie wypływały na powierzchnię. Jak pójdę do lekarza, wszystko wylezie w jednej chwili. Nie, wolę tego nie tykać, tak jest bezpieczniej dla wszystkich.

– Byłem u Granta – rzekł Sam.

– Po co do niego poszedłeś? – zdziwił się Joe.

– Żeby się upewnić, że wie, że to koniec. Że teraz jest niczym. Carrie nie żyje. Ronnie Bagley pójdzie siedzieć. Grant prawdopodobnie nigdy nie wyjdzie.

– I ta wiedza powinna dać mi ukojenie? Jakoś nie widzę w tym niczego dobrego, zwłaszcza, kiedy patrzę na rodziców Moniki.

– Zrobiłem to dla siebie i dla Ruby. I może w jakiejś części też dla Ellie, bo to ktoś taki jak Ben Grant nam ją odebrał.

– Rozumiem – rzucił cicho Joe. – I wiem, że powinienem być szczęśliwy, bo Ruby przeżyła, ale to trudne. Pomyśl o tej małej dziewczynce, o Grace. Jej matka nie żyje, a ojciec siedzi w więzieniu.

– Na pewno trafi do dobrej rodziny zastępczej – rzekł Sam.

– Na razie jest w domu dziecka, ale gdziekolwiek los ją pošle, będzie jej tam lepiej, niż gdyby miała dalej żyć w tym trującym środowisku.

– To nie to samo co być z rodzicami.

– A nie jest ważne, jacy są ci rodzice?

Joe nie odpowiedział i zamiast tego zapytał: – I jaka była reakcja Granta?

– Żadna. Gapił się tylko, ale widziałem w jego oczach, że tak samo jak ja wie, że nie zostało mu nic oprócz małej celi i pogardy świata. Już więcej nie będzie mógł prowadzić tych swoich

chorych gier.

– Więc co teraz? – zapytał Joe.

– Nic. Sprawa zakończona.

Na chwilę obaj pograżyli się w milczeniu. Pierwszy przerwał je Joe.

– Chcemy opłacić postawienie ławki w parku przed moim biurem. Monica często chodziła do tego parku. W ten sposób ją upamiętnimy.

– A potem życie będzie się toczyło jak dawniej – rzekł Sam.

– Tak to już jest. Jednak pozostają wspomnienia. Pamiętamy Ellie. Będziemy pamiętać, że mało brakowało, a stracilibyśmy Ruby. Ot, kolejny ciężar do dźwigania.

– Chodź ze mną – zaproponował Sam.

– Dokąd?

– Dobrze wiesz – odparł Sam i ruszył przed siebie.

Joe go dogonił i poszli razem asfaltową alejką obok rzędów czarnych granitowych płyt ze złotymi napisami. Groby dzieci znajdowały się w głębi cmentarza, teren zaznaczały plastikowe wiatraczki i zabawki zawieszane na gałęziach drzew. Władze miasta pod wpływem skarg, że zabawki psują widok cmentarza, próbowały doprowadzić do ich usunięcia, ale czy można naruszać smutek rodziców?

Grób Ellie stał ostatni w rzędzie. Kiedy się zbliżali, Joe w statywie na kwiaty zauważył świeże białe róże – Ellie najbardziej je lubiła.

Zatrzymał się przed grobem i wziął głęboki oddech. Czarny granit, jak wszędzie indziej, ale to widok wrytego złotego napisu zacisnął mu serce: Eleanor Parker. Ukochana córka i siostra.

Zmarła 19 maja 1998 r. Tylko tyle, bo cóż więcej można było dodać?

Zalały go wspomnienia: Ellie zmierzająca w stronę przecinki w lesie, z torbą szkolną na ramieniu, słuchawki na uszach, wystające z torby kabelki walkmana. A potem ujrzał stojącego w głębi mężczyznę. Wyglądał, jakby na coś czekał. Ręce w kieszeni szarej bluzy, kaptur na głowie, chociaż dzień był ciepły.

Powinien był ostrzec siostrę, czuł, że coś jest nie tak, ale tego nie zrobił. Nie krzyknął, bo się wystraszył, że się zbłąźni, i tylko patrzył, jak Ellie znika między drzewami. Przechodząc obok mężczyzny w kapturze, rzuciła mu krótkie spojrzenie i poszła dalej, a mężczyzna podążył za nią.

Do oczu Joego napłynęły łzy. Wyciągnął rękę i dotknął nagrobka.

– Przepraszam, Ellie – rzekł cicho. Powiedział to, co ciągle powtarzał w myślach.

A potem już otwarcie się rozplakał i choć ze względu na obecność Sama próbował się opanować, łzy wciąż napływały, podobnie jak wspomnienia o Ellie – jej złote włosy rozwiewane wiatrem podczas letnich spacerów, na jakie często wybierali się całą rodziną, on i Sam siłujący się w trawie, Ellie roześmiana i rozkrzyczana.

Stał tak jeszcze przez jakiś czas, zapatrzony w grób. Ellie leżała kilka metrów pod ziemią.

Wiedział, że nie wolno mu tak myśleć, że nie tak chce ją pamiętać.

Tyle że coraz trudniej mu było odtworzyć w pamięci jej twarz; coraz częściej zamiast niej pojawiała się twarz Ruby. Kiedy wspominał Ellie, widział Ruby.

Wziął głęboki oddech i wytarł łzy.

Na ramieniu poczuł rękę Sama.

– To, co mówiłeś o mordercy Ellie, że każdego dnia go szukasz... mówiłeś prawdę?

Kiwnął głową.

– Zamierzasz go zabić?

Znowu kiwnięcie.

– Wtedy ciebie też stracimy, bo trafisz do więzienia, do ludzi takich jak Ben Grant.

Dlaczego nie skierujesz wysiłków na coś pożytecznego? Mógłbyś zostać prokuratorem.

Joe pokręcił głową.

– Mam taką pracę, jaką mam. I tak już pozostanie.

– A my? Ja i ty? Brat detektyw?
– Chyba nie myślisz o porzuceniu policji, co?
– Oczywiście, że nie.
– Więc o nic się nie martw. Będzie dobrze – rzucił Joe i się uśmiechnął. – Jesteśmy braćmi, a to coś znaczy.

Sam też się uśmiechnął, po czym się odwrócił, żeby podejść do grupki żałobników przy grobie Moniki.

Joe, zanim ruszył za bratem, jeszcze raz dotknął pomnika na grobie siostry.

– Nie zapomnę, Ellie – szepnął. – Pomszczę cię.

Podziękowania

Wprawdzie na okładce widnieje moje nazwisko, ale pisanie powieści nie sprowadza się tylko do tego, że człowiek siada do komputera i wystukuje na klawiaturze wymyśloną historię.

Zdarzają się błędy, pomysły wymagają przemyślenia, dlatego tak nieocenione dla mnie były porady i pomoc, uzyskane od pracowników wydawnictwa Sphere, a zwłaszcza od Jade Chandler i Thalii Proctor. Chciałbym też ze specjalnymi podziękowaniami zwrócić się do mojej agentki, wspaniałej Soni Land z Sheil Land Associates, która umożliwiła mi współpracę z ludźmi ze Sphere.

A co do reszty – tych wszystkich, którzy musieli znieść moje zmęczenie, poirytowanie i ciągle roztargnienie – wiem, o kogo chodzi, i na zawsze pozostanę tym osobom wdzięczny.

\\/
(o o)
+-----oOO-{}-OOo-----+

Zapraszam na TnT. Najlepsza darmowa strona !!!

Zarejestruj się poprzez ten link :

<http://tnttorrent.info/register.php?refferal=2500332>